

Z E S Z Y T T R Z E C I

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1963

ZESZYTY HISTORYCZNE

III

BIBLIOTEKA " KULTURY "
Tom LXXXIV

IMPRIME EN FRANCE

**Editeur : INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)**

Z E S Z Y T T R Z E C I

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1963

Podajemy do wiadomości Czytelników „Zeszytów Historycznych”, że ukazują się one dwa razy do roku: w styczniu i w sierpniu. *Cena pojedynczego egzemplarza wynosi F. 15 (dol. 3,-; 22/-)*. Prenumeratorzy KULTURY korzystają ze specjalnej 50% zniżki. Opłacając z góry abonament „Zeszytów Historycznych” otrzymują *dwa* „Zeszyty” w cenie jednego.

Prenumeratorzy KULTURY mogą zgłaszać abonament „Zeszytów Historycznych” bezpośrednio w redakcji KULTURY albo u przedstawicieli.

TRZY DOKUMENTY: PRZYSZYNEK DO ZAGADNIENIA WOJNY PREWENCYJNEJ

Sprawa wojny przewencyjnej z 1933 roku zajmuje wciąż jeszcze historyków i publicystów tak polskich jak i zagranicznych. Literatura tego tematu jest obszerna i zawiera duże rozbieżności zdań i poglądów. W rozprawie, która ukazała się w Polsce przed dwoma laty pod tytułem *Wokół zagadnienia wojny przewencyjnej w 1933 roku*¹, autor jej Tadeusz Kuźmiński przedstawił wnikliwie i wyczerpująco istniejące wypowiedzi i opinie historyków, polityków i publicystów. Widać z nich jasno, że nie ma dotąd przekonywujących dowodów czarno na białym, iż inicjatywa Piłsudskiego miała rzeczywiście miejsce; jak zresztą nie można kategorycznie stwierdzić, że Piłsudski takiej wojny przeciw Niemcom nigdy nie proponował. Kuźmiński wyodrębnia cztery główne stanowiska reprezentowane w sprawie wojny przewencyjnej, które można streścić następująco:

1. Piłsudski proponował wojnę przewencyjną Francji celem obalenia Hitlera i zmuszenia Niemiec do przestrzegania postanowień traktatu wersalskiego;

2. Piłsudski propozycję wojny przewencyjnej wysunął, ale będąc z góry przekonany o negatywnej odpowiedzi Francji traktował ją jako manewr mający ułatwić negocjacje z Niemcami;

3. Propozycji wojny przewencyjnej nigdy nie było;

4. Jakkolwiek być może, że konkretnych propozycji nie było to jednak próby demonstracji militarnych i dyplomatycznych stanowiły pośredni jak gdyby gambit i miały na celu zastraszenie Niemiec i uzyskanie najkorzystniejszych warunków porozumienia.

Jeżeli pominiemy stanowisko trzecie, które wyklucza dalszą dyskusję, to można stwierdzić, że główne różnice sprowadzają

1. P.A.N., Instytut Historii. *Najnowsze dzieje Polski: materiały i studia z okresu 1914-1939*, Warszawa 1960, t. III, s. 5-45.

się do zagadnienia motywacji ze strony Marszałka Piłsudskiego; oraz w wypadku czwartym „plan” wojny przewencyjnej ogranicza się do sondaży i prób zastraszenia.

Dalsze różnice, które występują wśród zwolenników teorii wojny przewencyjnej sprowadzają się do kwestii daty. W jakim czasie propozycje polskie zostały złożone? Tutaj, jak Kuźmiński słusznie zauważa, mówi się o początku roku 1933, o wiosnie lub nawet o jesieni. Najczęściej jednak występuje marzec, kwiecień, rzadziej listopad.

Kontrowersje są również: sposób w jaki przedłożono propozycje wojny przewencyjnej oraz osoba, która była do tego użyta. Najbardziej rozpowszechniona teza głosi, że Piłsudski użył kanałów wojskowych a nie dyplomatycznych; wymienia się zwłaszcza nazwisko Wieniawy-Długoszowskiego.

Wobec wielkiego ubóstwa autentycznych i wiarygodnych źródeł, mogących wyjaśnić całe zagadnienie, wydaje się celowe podanie do wiadomości trzech dokumentów, które, choć nie przesądzają sprawy, wnoszą jednak nowe elementy i dają możliwość formułowania nowych przypuszczeń i hipotez. Dokumenty, o których mowa, znajdują się w Archiwum Instytutu Historycznego im. gen. Władysława Sikorskiego w Londynie, w zespole akt pochodzących z departamentu politycznego wydziału zachodniego MSZ.

Pierwszy z nich to odpis listu Józefa Becka do premiera i ministra spraw zagranicznych Francji Josepha Paul-Boncoura, treści następującej²:

Monsieur le Président et cher Ami,

Si malgré les nombreuses préoccupations et les lourdes charges que vous assumez, je crois pouvoir retenir votre attention sur certaines questions, c'est parce que je considère leur importance comme de premier ordre. Les entretiens que j'ai eu lors de mon dernier séjour à Genève, puis ma conversation à Paris avec M. Herriot, m'ont causé quelques préoccupations assez sérieuses. Croyant nécessaire de connaître votre opinion sur les graves problèmes de la politique internationale qui demandent leur solution, je me suis adressé à mon ami personnel, le Comte Potocki, sénateur, ancien aide de camp du Maréchal Piłsudski, et peut-être futur Ambassadeur, qui se rend à Paris, en le priant de se présenter chez vous et, si cela vous convenait, de vous entretenir des problèmes qui, en ce moment, préoccupent tout particulièrement le Gouvernement et l'opinion publique polonais.

Je vous serais donc très reconnaissant de vouloir bien réserver bon accueil au Comte Potocki qui s'est chargé de me rendre un compte exact de vos opinions sur les questions qu'il aura soin de vous exposer lui-même.

Excusez, Monsieur le Président, d'abuser ainsi de votre ama-

2. Zespół „Francja-Polska”, t. All/4.

bilité, j'ai cru cependant qu'un entretien de vive voix pourrait être actuellement très indiqué.

Veillez agréer, Monsieur le Président et cher Ami, les assurances de ma très haute considération et de mes sentiments sincèrement dévoués.

Przyjrzyjmy się bliżej temu listowi. Jest to kopia w typowej żółtej okładce MSZ, na której widnieją jedynie: sygnata „P.II” (czyli departament polityczny, wydział zachodni) napisana ołówkiem, oraz nazwisko p. Skiwski wpisane piórem w rubryce „référént”. Brak na niej innych znaków, na przykład daty. Sądzić należy, że mamy tu do czynienia z kopią egzemplarza, którego oryginał był przeznaczony dla Jerzego Potockiego, celem wręczenia go Paul-Boncoursowi. Na podstawie tego dokumentu nie możemy oczywiście wysnuć jeszcze żadnych bliższych danych, ani o misji Potockiego — czy doszła ona rzeczywiście do skutku? — ani też nie wiemy czy list ten dotarł rzeczywiście do rąk Paul-Boncoursa. Częściowej odpowiedzi na te pytania dostarczają nam pozostałe dwa dokumenty, o których będzie mowa poniżej. Sam list jednakże pozwala nam na skonstatowanie, że Beck pragnął wysłać Potockiego do Paryża z tajną misją i że list, który jest chyba czymś więcej niż projektem czy conceptem listu — słowa projekt na kopii nie ma — stanowi wyjaśnienie powodów misji. Spróbujmy je przeanalizować.

W liście jest mowa o jakichś „graves problèmes de la politique internationale qui demandent leur solution” i które „pré-occupent tout particulièrement le Gouvernement et l'opinion publique polonaise”. O jakie problemy może tutaj chodzić i czemu Beck ich nie precyzuje, a tylko podkreśla, że Potocki będzie o nich mówił ustnie? Dlaczego sprawa ta nie jest powierzona do załatwienia ambasadorowi R.P. w Paryżu, ale trzeba koniecznie wysłać specjalnego emisariusza? Dlaczego jest nim Jerzy Potocki?

Z początkiem roku 1933 istniał niewątpliwie szereg ważnych i istotnych zagadnień, dotyczących zarówno polityki międzynarodowej jak i stosunków między Polską a Francją. 11 grudnia 1932 roku konferencja rozbrojeniowa w Genewie doprowadziła do przyznania Niemcom „równouprawnienia w rozbrojeniu” co w praktyce oznaczało ustępliwość wobec niemieckich żądań zbrojeniowych. Na tym tle wystąpiły też bardzo ostro polsko-francuskie różnice w podejściu do zagadnienia niemieckiego i ogólnego bezpieczeństwa w Europie. Pewne napięcie pomiędzy Warszawą i Paryżem objawiło się również w dziedzinie stosunków wojskowych — w sierpniu 1932 r. rząd polski nie odnowił kontraktu francuskiej misji wojskowej w Polsce — i w dziedzinie gospodarczej — sprawa pożyczki kolejowej, a następnie afery Żyrardowa. Wreszcie rozmowy polsko-sowieckie dotyczące paktu o nieagresji wywołały tarcia między dyplomacją Quai d'Orsay, a pałacem Brühla. Wydaje się jednak, że ani sprawy wojskowe,

ani rozbieżności w traktowaniu Rosji, ani konflikty gospodarcze nie mogły stanowić zasadniczego powodu wydelegowania specjalnego wysłannika do premiera francuskiego. Centralnym zagadnieniem, które powodowało niepokoje w Warszawie, mogła być jedynie sprawa zbrojeń niemieckich. Motywem misji była więc chyba chęć zapobieżenia, wspólnie z Francją, powrotowi uzbrojonych Niemiec na widownię europejską.

Drugi dokument zdaje się potwierdzać tę tezę, a także daje częściowe choćby wyjaśnienie, dlaczego uznano za konieczne wysłać do Paryża specjalnego delegata uprawnionego do odbycia bezpośrednich rozmów z Paul-Boncurem. Dokumentem tym jest odpis listu Becka do ambasadora Alfreda Chłapowskiego:

I. 1933

Szanowny Panie Ambasadrze!

W związku z szeregiem posunięć w naszej polityce zagranicznej uznałem za konieczne przeprowadzenie w chwili obecnej rozmów z Premierem Paul-Boncour'em, przez osobę specjalnie w tej sprawie wydelegowaną.

Zwróciłem się w tej kwestii do P. Senatora Jerzego Potockiego, który zaproponowaną mu misję przyjął.

Donosząc o tym pragnę zaznaczyć, że ze względów taktycznych specjalnie mi zależało, by nie użyć w tym wypadku zwykłej drogi dyplomatycznej. Z tego też jedynie względu nie zwróciłem się w tej sprawie bezpośrednio do Pana Ambasadora. Będę wdzięczny Panu Ambasadorowi za ułatwienie P. Senatorowi Potockiemu jego misji, gdyż w poruszonych przeze mnie kwestiach nie chcę narazie oficjalnie angażować Rządu.

Łączę wyrazy szacunku i poważania.

Dokument ten jest również jak i poprzedni nie podpisaną kopią maszynową, ale w odróżnieniu od listu do Paul-Boncoura nie posiada w tej chwili swej okładki ani żadnych znaków, sygnatur, czy adnotacji. Wartość jego polega głównie na tym, że uzupełnia i częściowo wyjaśnia pierwszy dokument. Wiemy więc z niego, że list do premiera francuskiego był skierowany do Paul-Boncoura, chociaż sama data — styczeń 1933 pozwala nam to również stwierdzić. Widać także, że sprawa jest bardzo tajna, bowiem Beck nie wyjaśnia absolutnie o czym Potocki ma mówić w Paryżu. Wspomina on jedynie „szereg posunięć w naszej polityce zagranicznej”. Potwierdza to, że chodziło nie o bieżące sprawy polsko-francuskie, ale jakieś szersze zagadnienie. Wreszcie, charakterystyczne jest, że Beck zaznacza wyraźnie, że nie chce użyć normalnej drogi dyplomatycznej, gdyż „w poruszonych przeze mnie kwestiach nie chcę narazie oficjalnie angażować Rządu”. Ten ustęp wydaje się być bardzo znaczący, gdyż implikuje jakieś propozycje ze strony polskiej, czy też badanie

gruntu przez balon próbny. Gdyby chodziło o zwykłą wymianę zdań, stwierdzenie takie nie miałoby racji bytu.

Powyższe dwa dokumenty nie pozwalają jeszcze na wysunięcie hipotezy, że celem misji Jerzego Potockiego było poruszenie sprawy ewentualnej wojny przewencyjnej. Była to jednakowoż jakaś misja o doniosłym znaczeniu, o której nota bene nie znalazłem nigdzie wzmianki w innych dokumentach MSZ ani też w pamiętnikach czy wspomnieniach z tego okresu. Osoba wybrana przez Becka nasuwa również pewne przypuszczenia iż chodziło tu o sprawę bardzo zakonspirowaną. Jerzy Potocki był w swoim czasie adiutantem Piłsudskiego a więc stał blisko Marszałka. Był *au courant* polityki międzynarodowej jako członek komisji spraw zagranicznych senatu. Był on wreszcie przeznaczony do pracy dyplomatycznej, gdyż wkrótce potem objął stanowisko ambasadora w Rzymie. Wydaje się, że można było liczyć na jego całkowitą lojalność i dyskrecję, co pokazało się, gdy zgodnie z polityką Warszawy zrezygnował z ambasady w Rzymie na znak protestu przeciw Paktowi Czterech. Misja jego do Paryża była tak tajna, że prawie nikt z żyjących obecnie polskich dyplomatów o niej nie wiedział. Ambasador Józef Potocki, który był podówczas w centrali był jednym z nielicznych, który był poinformowany o misji swego kuzyna. Zapytywany przeze mnie o jej kulisy, Amb. Potocki określił ją jednak jako „balon próbny” dotyczący nawiązania „jakiegoś bezpośredniego kontaktu z Paryżem” głównie w związku z sytuacją na terenie Ligi Narodów. Amb. Potocki pisał do mnie (8 października 1961 r.): „Nie mam żadnych danych do sądenia, aby w czasie jedynej rozmowy Jerzego P. z Paul-Boncurem dyskutowana była ewentualność wojny przewencyjnej”. Podstawą tej opinii jest znajomość luźnych zapisków śp. Jerzego Potockiego. Zapytywany przeze mnie o misję i sprawę wojny przewencyjnej, eks-premier Paul-Boncour zaprzeczył jakoby w ogóle odbywał jakiegokolwiek rozmowy z Jerzym Potockim. W liście z datą 16 marca br. (w moim posiadaniu) Paul-Boucour stwierdzał: „Je n'ai jamais été en contact avec le Comte Potocki et les affaires étaient traitées entre Beck et moi”. W tym samym liście Paul-Boncour dodał, że jeśli chodzi o plany wojny przewencyjnej to „je n'ai aucun souvenir de cette proposition importante”, a wszystkie jego dokumenty uległy zniszczeniu podczas wojny.

Jeślibyśmy poprzestali na tych opiniach, odnoszących się bądź co bądź do wydarzeń sprzed blisko trzydziestu lat, można by dojść do wniosku, że dwa wyżej cytowane dokumenty nie posuwają dalej naszej znajomości zagadnienia wojny przewencyjnej. Co więcej osoba, do której list Becka i misja była skierowana w ogóle nie pamięta, aby miała ona miejsce. Jednakowoż istnieje trzeci dokument i to w oryginale, który, choć nie związany bezpośrednio z dwoma poprzednimi, daje nam ważne wyjaśnienia. Jest to odrębny list ministra Anatola Muhlsteina do Józefa

Becka, który znajduje się w tym samym zespole akt. Oto jego treść:

17 IV 1933

Drogi Jimie!

Korzystam z okazji wyjazdu Jerzego Potockiego, aby zakomunikować Ci kilka informacji, do których przywiązuję pewną wagę. Od pewnego czasu w bardzo poważnych kołach politycznych rozpowszechnia się wiadomość o zamierzonych jakoby *prewencyjnych działaniach wojennych* (podkreślenie w tekście — PW) ze strony polskiej przeciw Niemcom. Mówią o tym czołowe osobistości rządowe. Stwierdziłem bezsprzecznie, że mówił o tem Boncour, jako o rzeczy, którą należy się zająć. Wiem również, że myśl ta chodzi po głowie Daladiera i, że wzbudza w nim duży niepokój. Akcja na Westerplatte wydaje mu się czemś w rodzaju *przygotowanego* (podkreślenie w tekście — WP) incydentu. Caillaux ze swej strony powiedział mnie, kiedy się z nim kilka dni temu umawiałem, że po świątkach przyjdę do niego, aby porozmawiać: „Ne vous orientez pas vers la guerre. Ce pays ne marchera pas”. Tak „tragiczne” oświadczenie poczynione na schodach z okazji przelotnej rozmowy zdaje się wskazywać, że i pewne poważne czynniki mówiły o jakichś wojenno-prewencyjnych zamiarach Polski. Stwierdziłem ponad wszelką wątpliwość, że Daladier i Boncour dali wyraz w jednej rozmowie swoim obawom w tej mierze. Sądzę więc że i inne rozmowy w tym duchu miały miejsce.

Sądzę również, że zainteresują Cię i inne pewne wiadomości o usposobieniu Daladiera. W tej samej rozmowie o której mowa powyżej, Daladier powiedział: „Je na désarmerai pas, quelle que soit l'issue de la Conférence. J'irai jusqu'à faire des *budgets truqués* (podkreślenie w tekście — PW), mais je ne désarmerai pas davantage”. Pod tym względem duża zaszła zmiana na lepsze. O Boncourze wiadomości są mniej pomyślne. Wiem, że w fazie przygotowania memorandum francuskiego reprezentował on zawsze najbardziej ustępliwe wobec Niemców stanowisko. W rozmowach poufnych nie taił swego przekonania o konieczności wszczęcia rozmów na temat rewizji granicy polskiej. „Qu'est-ce que Vous voulez? Il faudra bien y arriver un jour. C'est le fond de ma pensée”. Mój informator, któremu bezwzględnie wierzę, twierdził, że bardzo się zdziwił tej transformacji Boncoura, który dawniej mówił „qu'il était le soldat de la Pologne” a teraz okazał się rewizjonistą. W jego mniemaniu Boncour zmienił swój wewnętrzny stosunek do Polski po opuszczeniu go przez Polskę podczas debaty genewskiej, czego nie mógł podobno przeboleć.

Ogólnie rzeczy biorąc, sytuacja zmieniła się poważnie na naszą korzyść. Antyżydowska heca w Niemczech jest nieocenioną poprostu dywersją. Żadna polska propaganda antyrewizjonistyczna nie wyrze na opinię francuską tego wpływu co słynne posiedzenie Izby Gmin i artykuły w pismach angielskich i amerykańskich, zwalczające rewizjonizm.

Przesyłam te kilka informacji w liście prywatnym, nie chcąc odkładać ich do kurjera.

Najserdeczniejsze pozdrowienia zasyła szczerze odany

Anatol MUHLSTEIN

List Anatola Muhlsteina, jednego z najlepiej zorientowanych polskich dyplomatów w Paryżu, posiada oczywiście dużą wartość. Przede wszystkim potwierdza on, że misja Potockiego doszła rzeczywiście do skutku. Trudno jednakowoż określić dokładnie jej datę. Z listu Muhlsteina widać, że Potocki wyjechał z Paryża 17-go kwietnia, ale nie wiadomo kiedy tam przybył. Poprzednie dwa listy cytowane tutaj pochodzą ze stycznia i ze sformułowań w liście Becka można by wnosić, że raczej z początku stycznia. Beck wspomina bowiem „lourdes charges que vous assumez” z czego wynikałoby, że pisał wkrótce po przyjęściu do władzy gabinetu Paul-Boncoura, który jak wiemy objął urządowanie pod koniec grudnia 1932 r. Rząd jego upadł pod koniec stycznia i 31 stycznia 1933 powstał nowy gabinet pod przewodnictwem Daladiera, w którym Paul-Boncour zatrzymał tekę spraw zagranicznych. Albo więc Potocki pojechał do Paryża w drugiej połowie stycznia, albo już po zmianie rządu. W tym drugim wypadku tekst listu Becka do Paul-Boncoura musiałby ulec zmianie, chyba, że Potocki miał nadal rozmawiać z Paul-Boucurem, a nie z szefem rządu i że zatrzymano kurtuazyjny zwrot „Monsieur le Président”. Jeśli sprawa była pilna nie wydaje się aby czekano z tym tak długo. W każdym razie nie ma możliwości bardziej precyzyjnego określenia okresu czasu jaki Potocki spędził w Paryżu.

Nie ulega natomiast wątpliwości, że misja jego zbiegła się z polskimi demonstracjami wojskowymi, przede wszystkim na Westerplatte, które większość historyków łączy z planami wojny prewencyjnej. Co więcej właśnie podczas pobytu Potockiego w Paryżu „rozpowszechniała się wiadomość o zamierzonych jakoby prewencyjnych działaniach wojennych”. Muhlstein widocznie nie łączy z sobą tych dwóch rzeczy, a więc albo nie był on poinformowany o celach misji Potockiego, albo istotnie polski wysłannik nic na ten temat nie miał do powiedzenia.

Być może, że mamy tu do czynienia ze zbieganiem okoliczności. Można uznać, że Warszawa wysłała Potockiego — Ambasador Chłapowski nie był lubiany w Belwederze i na Wierzbowej — celem wysondowania Francji w sprawie niemieckiej, lecz bez

wysuwania jakichś konkretnych propozycji. Być może, że akcja na Westerplatte była zupełnie niezwiązana z misją i sondażami w Paryżu. Wreszcie jeśli przyjmiemy tezę, że pogłoski o planach wojny przewencyjnej były celowo szerzone przez Berlin, aby wywołać niepokój — a tego absolutnie wykluczyć się nie da — można by nawet uznać, że wiadomości rozpowszechniane w Paryżu pochodziły z tego właśnie źródła. W takim wypadku jednak trzeba przyznać, że zbieg okoliczności był dość wyjątkowy.

Trzy dokumenty przedstawione powyżej stanowią oczywiście zbyt wąską podbudowę jakiejś nowej interpretacji planów wojny przewencyjnej. Jedynie w wypadku przyjęcia tezy o wysuwaniu takich propozycji ze strony polskiej można by stwierdzić, że dokumenty te konkretyzują nieco całe zagadnienie, ułatwiając odpowiedź na pytanie kiedy propozycje polskie mogły być złożone i jaką drogą. Być może też, że będą one mogły posłużyć jako punkt wyjścia do nowych badań w oparciu o nową hipotezę. Sprawa tajnej misji Jerzego Potockiego do Paryża z wiosną 1933 powinna być niewątpliwie głębiej przebadana i cel jej wykryty.

Piotr WANDYCZ

NACZELNI WODZOWIE I LOTNICTWO

Skrzydlaty Kopciuszek

Nazywając polskie lotnictwo Kopciuszkiem sił zbrojnych nie popełnia się wcale przesady. Wystarczy przypatrzeć się danym liczbowym by stwierdzić smutną prawdę. Wymowa liczb jest jasna i przekonywująca.

Polska przeznacziała na lotnictwo przeciętnie 6% ogólnych wydatków budżetu obronnego; dopiero w latach 1936/1939 procent ten wzrósł do 13 i 16, ale w rzeczywistości lotnictwo nie otrzymało całych przewidzianych sum, tak że wydatki na lotnictwo nie przekroczyły 10% budżetu.

W czasie pokojowym stan osobowy lotnictwa wynosił poniżej 1% stanu wojska, a po zmobilizowaniu wzrósł do 1 1/2% (dokładnie 16 tysięcy ludzi).

W 1936 roku Francja wydała na lotnictwo 23% budżetu wojskowego, Niemcy 33%, a Wielka Brytania 34%.

L'Armée de l'Air stanowiła ponad 25% ogółu sił zbrojnych, Luftwaffe i R.A.F. ponad 30%.

Nie tylko jednak budżet i stany osobowe decydowały o zepchnięciu lotnictwa do roli ubogiego krewnego i popychadła; broniąmi głównymi były w Polsce oficjalnie piechota, artyleria i kawaleria, a lotnictwo było jedną z licznych broni pomocniczych, w rzeczywistości na szarym końcu pod każdym względem. O sprawach lotnictwa — od błahych do najważniejszych — decydowali przedstawiciele kilku władz, nie znających się na lotnictwie i nie rozumiejących jego potrzeb i charakteru; lotnicy sami nie mieli decydującego głosu w niczym. Na czas wojny lotnictwo było rozdzielone między armie, którym podlegało pod względem użycia operacyjnego, zaopatrzenia i łączności; innymi słowy,

było rozproszone, nie miało łączności, nie miało zaopatrzenia i było używane niewłaściwie.

Siły powietrzne Francji, Niemiec i W. Brytanii, były samodzielne, skupione, miały własne służby i zaopatrywanie, były dowodzone fachowo, miały własną łączność oraz miały zapewnione uzupełnienia zgodnie z przewidzianymi stratami i rozbu-dową.

Na obczyźnie nastąpiła pewna poprawa doli lotnictwa polskiego: zostało formalnie usamodzielnione, o sprawach budżetu decydowały władze lotnictw sprzymierzonych, a stany liczebne w stosunku do stanów wojska wzrosły do około 5%. W rzeczywistości poprawa była nie wielka, mianowicie, władze naczelne nadal nie doceniały roli lotnictwa i nie rozumiały jego potrzeb, a o głównych sprawach nadal nie decydowali lotnicy.

Stan naszego lotnictwa, w kraju i na obczyźnie, oraz jego użycie w drugiej wojnie światowej, były często przedmiotem krytyki dość jednostronnej. W związku z okresem pokojowym krytykowano działalność gen. Rayskiego; po klęsce wrześniowej krytyka przyjęła niejednokrotnie formę poważnych zarzutów i oskarżeń stawianych dowódcy lotnictwa z okresu zagrożenia — od marca 1939 — gen. Kalkusowi, oraz dowódcy lotnictwa i OPL w kampanii polskiej, gen. Zającowi i jego zastępcy gen. Ujejskiemu; na emigracji ostrze krytyki zwrócone było głównie przeciw gen. Ujejskiemu, który był dowódcą Polskich Sił Powietrznych od lipca 1940 do września 1943; wreszcie, szczególnie w związku z pomocą lotniczą dla Powstania Warszawskiego, krytykowano działalność gen. Iżyckiego, ostatniego dowódcy P.S.P.

Krytyka działalności dowódców lotnictwa, częściowo zapewne słuszna, jest zbyt jednostronna, a stąd surowa i nawet krzywdząca. Zapomina się, że dowódca lotnictwa pracował w warunkach narzuconych przez ogólną organizację sił zbrojnych i wolę przełożonych, w atmosferze tradycji wojska lądowego, w systemie autokratycznego dowodzenia nawet na najwyższym szczeblu, Dowódca lotnictwa, w kraju i na obczyźnie, nie miał decydującego głosu — czasem nawet nie miał głosu doradczego! — w zasadniczych sprawach, takich jak rola lotnictwa w siłach zbrojnych, wielkość i użycie lotnictwa w czasie wojny, uzupełnienia dla lotnictwa, mianowanie na wyższe stanowiska.

Krytykę stanu naszego lotnictwa i w związku z tym naczelnym władz, zbywa się bardzo często argumentem, że Polska nie mogła się zdobyć na większe i sprawniejsze lotnictwo; jeśli idzie o pobyt na emigracji, składa się winę na ograniczenia wynikające z umów lotniczych. Jestem innego zdania. Uważam, że

przyczyną zła, zarówno w kraju, jak i na obczyźnie, było niedoceniaenie lotnictwa przez naczelnych wodzów i ich sztaby oraz powszechny brak zrozumienia odrębności lotnictwa.

Rola Naczelnego Wodza

Stanowisko Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych, zwanego w czasie pokoju Generalnym Inspektorem, było wyjątkowe. Przede wszystkim było ono faktycznie dożywotnie, gdyż, w przeciwieństwie do zwyczajów panujących w innych krajach, w Polsce nie było kadencji urzędowania statutowo określonej, ani nie było granicy wieku. W normalnych warunkach Generalny Inspektor zajmował swoje stanowisko do śmierci. Marszałek Rydz-Śmigły objął funkcję Generalnego Inspektora po śmierci marszałka Piłsudskiego; gen. Sosnkowski został Naczelnym Wodzem po śmierci gen. Sikorskiego. Wprawdzie marszałek Rydz-Śmigły i gen. Sosnkowski zostali zwolnieni ze stanowiska zarządzeniem Prezydenta R.P., ale były to raczej anomalie, sprzeczne z naszymi pojęciami, a wywołane szczególnymi okolicznościami. W pierwszym wypadku zwolnienie było wynikiem klęski i wyjścia władz z kraju, w drugim, wywołane było zewnętrznym naciskiem, w szczególności ze strony rządu brytyjskiego.

Drugą cechą charakterystyczną było to, że Generalny Inspektor w czasie pokoju, a Naczelnny Wódz w czasie wojny, miał faktycznie — aczkolwiek nie konstytucyjnie — nieograniczony wpływ na całość zagadnień obrony państwa, a w siłach zbrojnych miał właściwie władzę dyktatorską. Podlegał jedynie Prezydentowi R.P., który mógł go usunąć, ale, jak życie wykazało Naczelnny Wódz miał przewagę nad prezydentem.

Organami pracy Generalnego Inspektora był GISZ i sztab główny, ale w zasadniczych zagadnieniach podlegał mu również minister spraw wojskowych jako wykonawca wszelkich dyrektyw.

Wynika stąd zdaje się jasno, że Generalny Inspektor względnie Naczelnny Wódz był jedynym człowiekiem który mógł zmienić stan prawny i faktyczny lotnictwa.

W czasie wojny władza cała skupiała się wyraźnie w rękach Naczelnego Wodza; jego organem pracy był sztab N.W. i Ministerstwo Obrony Narodowej, a podlegali mu bezpośrednio dowódcy armii względnie wielkich jednostek i kierownik marynarki wojennej. Tuż przed wojną stworzono stanowisko naczelnego dowódcy lotnictwa i OPL, zamienione w 1940 roku na stanowisko dowódcy sił powietrznych. Teoretycznie więc szef lotnictwa znalazł się wreszcie w bezpośrednim otoczeniu Naczelnego

Wodza i jemu wprost podlegał. W rzeczywistości, o czym będzie obszerniej mowa w dalszych rozważaniach, rola dowódcy sił powietrznych była skromna, a w pewnych okresach bardzo ograniczona, prawie tak jak w kraju rola dowódcy lotnictwa M.S. Wojsk. czy szefa departamentu.

Wychodząc z powyższego założenia uważam, że rozważania nad odpowiedzialnością przed historią za stan naszego lotnictwa należy rozpoczynać od stosunku naczelnych wodzów do lotnictwa, następnie przejść do roli sztabu głównego, a w końcu dopiero do dowódców lotnictwa i ich sztabów jako wykonawców woli przełożonych.

Podając to krótkie studium stosunku naczelnych wodzów do lotnictwa zdaję sobie sprawę, że mogę temat tylko naszkicować. Mam nadzieję, że poglądy tu wyrażone wywołają poruszenie wśród wielbicieli i bliskich współpracowników czterech naczelnych wodzów¹, a w rezultacie pióra godniejsze od mego rozszerzą i pogłębią ten ciekawy temat, dla dobra współczesnych i późniejszych historyków.

Marszałek Piłsudski

Nie może chyba ulegać wątpliwości, że pierwszy Marszałek Polski, Józef Piłsudski, wywarł decydujący wpływ na organizację, skład i wielkość naszych sił zbrojnych. Był ich twórcą, a po zwycięskiej wojnie stał na ich czele do śmierci, przez piętnaście lat. Jego wielkich zasług w odbudowie Polski i w dziedzinie obronności państwa nie odmawiają mu nawet najzagorzalsi przeciwnicy polityczno-ideowi.

Józef Piłsudski był genialnym samoukiem w dziedzinie sztuki wojennej. Jak każdy geniusz, miał swoje ograniczenia, swoje słabości i uprzedzenia.

Nie doceniając Niemców, Piłsudski widział dla Polski groźbę jedynie ze wschodu. Do tej wojny na wschodzie przygotowywał siły zbrojne, kazał nastawiać organizację, szkolenie, plany działań. Na wielkich przestrzeniach na wschód od Wisły widział potrzebę mas piechoty do obrony komunikacji i ośrodków ludnościowych, oraz mas kawalerii do manewru. Lotnictwo, które oddało duże usługi w wojnie 1919/20, Marszałek uznawał i rozumiał jedynie jako środek rozpoznania (wedle ówczesnego okre-

1. Pomijam w tych rozważaniach gen. Bora-Komorowskiego, który prątniczo biorąc nie sprawował swej funkcji Naczelnego Wodza, oraz gen. Andersa, który pełnił obowiązki Naczelnego Wodza już w okresie likwidacji sił zbrojnych na obczyźnie.

ślenia — dla wywiadu). Wojna powietrzna i wojna pancernomotorowa były nowinkami, których poważnie w warunkach polskich nie należało traktować. Wprawdzie pod koniec pierwszej wojny światowej występowały już tysiące samolotów i tysiące czołgów, ale technicznie były one jeszcze niedoskonałe, a szybkich kroków postępu technicznego Marszałek nie doceniał. W nawale pracy i zagadnień państwowych nie znajdował czasu na problemy związane z lotnictwem, jak obrona powietrzna kraju, organizacja lotnictwa, dowodzenie lotnictwem w czasie wojny, użycie lotnictwa w różnych działaniach. Lotnictwo było bronią pomocniczą i nie stanowiło dla Marszałka problemu operacyjnego i strategicznego, mieli się nim przeto zajmować inspektorowie armii, częściowo sztab główny, a stroną techniczną szef departamentu lotnictwa; wystarczy, jeśli szef lotnictwa raz do roku zamelduje się do raportu i da mu się godzinkę na jego żale i kłopoty.

Może ktoś postawić mi zarzut, że są to wszystko domysły i przypuszczenia. Słusznie, ale opierają się one na pewnych faktach i przesłankach, które omawiam poniżej.

W czasie wojny Piłsudski, Naczelnik Państwa i Wódz Naczelny w jednej osobie, wykazywał zainteresowanie lotnictwem dość często; odwiedzał eskadry, dekorował osobiście lotników odznaczeniami bojowymi, był na dwóch pokazach lotniczych. Jak twierdzą niektórzy, katastrofa lotnicza która się wydarzyła na oczach Naczelnego Wodza w dniu 23 sierpnia 1919 r., w której zginął konstruktor samolotu por. Słowik i pilot por. Jesionowski, zraziła Naczelnego Wodza do tego stopnia, że odtąd nie widziano go na pokazach lotniczych. W czasie pokojowym Marszałek nie był nigdy w żadnym pułku lotniczym, na żadnych manewrach z udziałem lotnictwa. Wyjątkiem była obecność Marszałka w Dęblinie, w 1929 r., — na balu.

Próżno by ktoś szukał w mowach i pismach Marszałka rozważań problemów związanych z lotnictwem i obroną powietrzną kraju. Poza wzmiankami o wartości lotnictwa dla wywiadu nie ma nic więcej.

Żadna z wielu gier wojennych nie miała za przedmiot obrony powietrznej państwa lub użycia lotnictwa na szczeblu naczelnego wodza czy dowódcy frontu. Udział lotnictwa był z reguły „suponowany”, a lotników na grach Marszałka nie było.

Do 1938 roku nie istniał w ogóle plan użycia lotnictwa na wypadek wojny, nie było nigdy wypracowanej ani dyskutowanej w GISZ'u doktryny lotniczej; całość przewidywań na wypadek wojny ograniczała się do schematycznego podziału lotnictwa (całego) między armie; do 1936 roku nie istniał nawet problem

zaopatrywania lotnictwa w polu w sztabie głównym i w GISZ'u, nie było go na papierze nawet w dowództwie lotnictwa ministerstwa spraw wojskowych. Wszystko miało być tak jak w 1920 r.

Nie było sztabów lotniczych i nie było uczelni przygotowującej oficerów lotnictwa do pracy sztabowej, a było to dlatego, że GISZ i sztab główny były zdania, że skoro lotnictwem będą dowodzili dowódcy armii, nie było potrzeby sztabów lotniczych. Wolno więc chyba wnioskować, że Marszałek Piłsudski — a razem z nim ogromna większość generałów, z inspektorami armii na czele — nie widział konieczności aby lotnictwem dowodził fachowiec i nie rozumiał odrębności lotnictwa i jego potrzeb.

Kilka dowodów na poparcie moich twierdzeń znalazłem w książce gen. Rayskiego („Słowa prawdy o lotnictwie polskim, 1919 — 1930”), w której jedna strona (60/61) jest poświęcona wspomnieniom o marszałku Piłsudskim. Przytaczam wyjątki z tej strony:

„Marszałek Piłsudski rozumiał znaczenie lotnictwa. Ośmielałem się przypuszczać, że gdyby w ostatnich kilku latach poprzedzających drugą wojnę światową był z nami w Polsce, w pełni swych sił fizycznych, wydałby rozkazy przełomowe dla rozwoju lotnictwa wojskowego.

W czasie jednego z moich raportów Marszałek powiedział mniej więcej: — Przy jednakowych funkcjach największy spośród wszystkich broni stopień wiadomości i zdolności dowodzenia wymagany jest od lotnika.

A potem:

— W lotnictwie ogromną rolę odgrywa sprzęt i jego przygotowanie. Oceniając wartość lotnictwa, trzeba by chyba z 50% dać lotnikowi, a z 50% materiałowi.

Marszałek od r. 1928 wzywał mnie do siebie na raport raz do roku, w styczniu lub lutym. Dawał ogólne wytyczne, osobiście decydował awanse, chętnie wyrażał zgodę na awansowanie oficerów technicznych”.

Nie wszystkie jednak raporty były raportami. Oto co pisze dalej gen. Rayski:

„W r. 1934 byłem wzywany do Marszałka trzy razy. Za każdym razem raport miał charakter rozmowy prywatnej. W czasie pamiętnej dla mnie trzeciej bytności, zaczął mówić o kampanii napoleońskiej r. 1812...”.

Zatem w ciągu dziewięciu lat swego urzędowania za życia Marszałka Piłsudskiego szef lotnictwa był wzywany do raportu dziewięć razy, ale trzy ostatnie raporty były rozmowami prywatnymi, czyli tylko sześć raportów było służbowych w całych dziewięciu latach. Każdy musi przyznać, że nie świadczy to o zbyt wielkim zainteresowaniu się Marszałka lotnictwem. A cóż było tematem raportów? Gen. Rayski wymienia sprawy awansowe i ogólne wytyczne. Wolno stąd zatem wnioskować, że nie było

nigdy mowy o organizacji lotnictwa, o jego użyciu, o dowodzeniu o taktyce czy strategii.

Sprawa ogólnych wytycznych jest szczególnie ciekawa w świetle narzekań gen. Rayskiego na ogólną organizację. Przytaczam ze strony 32 wspomnianej książki:

„Władz miałem bez liku: minister, I wiceminister i jego zastępcę, II wiceminister i jego zastępcę, szef sztabu i jego zastępcę, szef biura budżetowego, szef biura przemysłu wojennego, szef biura personalnego, oraz liczni referenci, z których każdy próbował się mi na głowę i skąd każdego strząsać musiałem to podstępem, to brutalnością, to ignorowaniem.

Władze moje nie zawsze żyły ze sobą w zgodzie. Moją więc rolą był szczególnie taniec wśród mieczów, czyli lawirowanie wśród wodzów. Moje władze nie *umiały* dać ogólnych wytycznych, chciały natomiast wtrącać się do szczegółów”.

Podkreśliłem owe ogólne wytyczne. Jest tu wyraźna sprzeczność. Marszałek Piłsudski był najwyższym przełożonym i jako taki miał prawo wydawania ogólnych wytycznych, a jak gen. Rayski pisze na stronie 60, dawał je. Inni przełożeni mogli dawać wytyczne wykonawcze, zatem mieli prawo wkraczać w szczegóły. Nie sądzę, by gen. Rayski miał na myśli marszałka Piłsudskiego pisząc, że władze nie umiały dawać ogólnych wytycznych. Pozwalam sobie przypuszczać, że ogólne wytyczne Marszałka dotyczyły spraw personalnych i niczego więcej. Nasuwa się natomiast z wielką siłą pytanie, dlaczego szef lotnictwa w czasie swoich raportów nie meldował Marszałkowi o chaosie organizacyjnym, o licznych przełożonych którzy nie znali się na lotnictwie, o swoim braku kompetencji, o niemożności swobodnej pracy? Trudno też zgodzić się z poglądem gen. Rayskiego, że gdyby Marszałek żył dwa lub trzy lata dłużej, wydałby przełomowe dla lotnictwa rozkazy. Czas bowiem na te rozkazy był najwyższy właśnie w latach 1932/34, gdy wiadomo było, że Rosja miała potężne lotnictwo, że Niemcy zbudowali silną Luftwaffe (1 marca 1933 Göring powiadomił Francję i W. Brytanię o uzyskaniu równowagi lotniczej z ich siłami powietrznymi).

Oddaję głos gen. Rayskiemu dla naświetlenia warunków jego pracy:

Str. 34: „Trzymano (mnie) nie tylko za ręce i nogi, ale i za każdy palec. Uniemożliwiano swobodę dużych posunięć — szykanowano w małych. Po to właśnie walczyłem o kompetencje”.

I dalej na stronie 36:

„Polska chciała robić lotnictwo na modłę kawaleryjską, na kawaleryjski wzór”.

A na stronie 38 czytamy:

„Przez całe lata walczyłem o zmianę organizacji władz lotniczych, o zwiększenie budżetu, o zwiększenie kompetencji, o możliwość normalnej pracy. Bezskutecznie”.

Całość tych twierdzeń, moim zdaniem zupełnie słuszną, przeczy dobitnie twierdzeniu gen. Rayskiego, że marszałek Piłsudski znał się na lotnictwie i rozumiał je. Z drugiej strony, w świetle tych narzekań dziwnie wyglądają raporty gen. Rayskiego u Marszałka, nie ma w nich bowiem wzmianki, aby szef lotnictwa zreferował Marszałkowi te wszystkie bolączki. Jeśli wolno przypuszczać, że przedstawił je kiedyś Marszałkowi, a reakcji nie było, tym gorzej wypadłaby ocena rozumienia lotnictwa przez Marszałka, jeśli natomiast założymy, że szef lotnictwa nigdy Marszałkowi o tych sprawach nie meldował, to wnioski są niepochlebne dla gen. Rayskiego. Albo nie miał odwagi „zawracać głowy” Marszałkowi tymi istotnymi bolączkami lotnictwa, albo wołał mieć przełożonych bez liku i lawirować wśród nich, co w rezultacie pozwalało mu robić co chciał. W takim razie powojenne żale i oskarżenia są bezpodstawne.

W latach 1922/24 przez półtora roku szefem lotnictwa polskiego był generał francuski Leveque. Opracował on plan rozbudowy lotnictwa i zmian organizacyjnych. Mianowicie, proponował powołanie do życia inspektoratu obrony powietrznej państwa, któremu miało lotnictwo podlegać. Pomimo zgody ministra spraw wojskowych i szefa sztabu generalnego, projekt nie został urzeczywistniony — podobno sprzeciwił się Marszałek Piłsudski. Plan rozbudowy realizował gen. Zagórski (trzy nowe pułki lotnicze i szkoła w Dęblinie), oraz gen. Rayski.

Gdzieś do 1930 roku nie było właściwych podstaw do rozbudowy lotnictwa w Polsce, ale w następnych latach był już dość duży przemysł lotniczy (co jest w dużej mierze zasługą gen. Rayskiego), było szkolnictwo dobrze postawione, lotnictwo zdobyło sobie popularność w społeczeństwie, poprawiła się sytuacja skarbu. Toteż w latach 1932/35 sprawa reorganizacji i rozbudowy lotnictwa była ze wszech miar aktualna i możliwa, a były już oznaki zbierającej się nad Europą burzy. Tymczasem w tych latach nie zrobiono nic w kierunku zmiany na lepsze; przeciwnie, właśnie wtedy, bo w 1933 roku, wprowadzono nowy rodzaj lotnictwa który był koncepcyjnie przestarzały i odzwierciedlał pogląd Generalnego Inspektora i całej generalicji na lotnictwo jako broń pomocniczą wojska. Było to mianowicie lotnictwo towarzyszące, później nazwane obserwacyjnym; w dodatku otrzymało ono samoloty typu z 1918 roku, o szybkości 140 km/godz. i uzbrojone

w jeden karabin maszynowy (obserwatora, pilot nie miał wcale uzbrojenia). Gdyby istniała nowoczesna doktryna lotnicza, można było zamiast tych 12 eskadr towarzyszących wystawić np. 6 eskadr myśliwskich. Nadal też nie mieliśmy lotnictwa bombowego, a przeważało tak zwane „liniowe”, które było przewidziane aż do trzech zadań: rozpoznania, interwencji na polu walki (tj. bombardowanie i strzelanie) i współpracy z artylerią, innymi słowy — miało być dziewczyną do wszystkiego.

Reasumując można stwierdzić, że okres marszałka Piłsudskiego stworzył podstawy do rozwoju lotnictwa, ale w końcu tego okresu lotnictwo było nadal źle zorganizowane, było wybitnie lotnictwem współpracy z wojskiem, a zagadnienia obrony powietrznej państwa i operacyjnego użycia lotnictwa leżały odłogi. Ponadto, lotnictwo nie miało własnych służb, a wskutek fałszywie rozumianych oszczędności jednostki bojowe miały zaledwie 60% personelu latającego i 50% personelu technicznego. Pomimo stałych i usilnych zabiegów dowództwa lotnictwa etaty były mizerne i z trudem wystarczały na potrzeby pokojowego szkolenia, natomiast do wojny lotnictwo nie było nigdy gotowe.

Marszałek Rydz-Śmigły

Nowy Generalny Inspektor zdawał sobie sprawę z konieczności unowocześnienia sił zbrojnych do czekającej Polskę wojny, a w szczególności z konieczności rozbudowy lotnictwa. Świadczy o tym gen. Rayski w swej książce na str. 61:

„Pod jesień 1935, kiedy Polska uspokoiła się nieco po wstrząsie 12 maja, uzyskałem audiencję u marszałka Śmigłego i prosiłem o odpowiedź, czy lotnictwo ma być rozwijane, czy nie, ponieważ na przygotowanie trzeba mi kilku lat (zbudowanie nowych fabryk, założenie nowych lotnisk, powiększenie personelu szkół).

Marszałek Śmigły odrzekł, że nie może dać odpowiedzi, gdyż jeszcze nie rozpatrzył szczegółowo budżetu, dopiero bowiem obejmuje urządowanie. Zameldowałem, że chodzi mi tylko o zasadniczą decyzję. Na to dostałem wyraźną odpowiedź:

— Tak, będziemy rozbudowywali lotnictwo.

Wobec tego zająłem się w swoim zakresie przyjęciem jak największej ilości uczniów do szkół lotniczych oraz wyszukaniem miejsc pod nowe fabryki i opracowaniem ich planów (późniejszy Rzeszów i Mielec)”.
.

Była więc zasadnicza decyzja, przystąpiono do zrobienia planów rozbudowy i unowocześnienia; następnym krokiem było zwiększenie budżetu i rozpoczęcie realizowania planów.

Planowanie zabrało niestety blisko dwa lata czasu, plany

bowiem zostały zatwierdzone wiosną 1937 roku, a zakończenie ich realizacji było przewidziane na wiosnę 1941 r.

Kto planował rozbudowę lotnictwa? Wypowiedzi zainteresowanych stron różnią się znacznie.

Gen. Rayski w swej książce twierdzi co następuje (str. 61):

„Jednakże nie dowództwo lotnictwa, lecz sztab główny dostał polecenie opracowania planu rozwoju eskadr. Jakiego rodzaju? Jaka ilość? Żądania te postawić miał sztab. Dowództwo lotnictwa miało je wykonać. Widocznie takie były rozkazy marszałka Śmigłego dla sztabu. W sztabie tę pracę polecono płk. Jagrymowi-Sadowskiemu, pułkownikowi dyplomowanemu piechoty, (późniejszy generał). O tym powinni wiedzieć ci, co pod moim adresem zgłaszali rozliczne pretensje”.

Natomiast gen. Stachiewicz, ówczesny szef sztabu głównego, tak pisze w artykule ogłoszonym w „Orle Białym” 13.11.48:

„W rzeczywistości gen. Rayski opracował w 1936 r. plan rozbudowy lotnictwa. Jednak plan ten był zupełnie nierealny. Nie liczył się zupełnie z naszymi warunkami i możliwościami, i nie potrafilibyśmy go zrealizować nawet w ciągu kilkunastu lat. Wobec tego Gen. Inspektor Sił Zbrojnych polecił przepracować go Sztabowi Głównemu, który wówczas pracował nad ogólnym planem dozbrojenia i rozbudowy wojska. Plan sztabu rozpatrywany był przez KSUS (Komitet dla Spraw Uzbrojenia i Sprzętu), któremu przewodniczył gen. Sosnkowski. W posiedzeniach Komitetu brał również udział gen. Rayski. Jego plan był Komitetowi znany i gen. Rayski miał wszelką swobodę przedstawiania swego punktu widzenia. Po bardzo gruntownym i szczegółowym rozpatrzeniu całego zagadnienia rozbudowy lotnictwa, KSUS zatwierdził, z pewnymi zmianami, plan opracowany przez Sztab (projekt wykonawczy opracowało Dowództwo Lotnictwa).

Gen. dr J. Zając w artykule „Nasze przygotowania do wojny”, zamieszczonym w nr. 1/159 — 2/160 „Kultury”, pisze co następuje:

„Otrzymałem od gen. Sosnkowskiego referat Sztabu Głównego w sprawie rozbudowy lotnictwa z prośbą o ewentualny koreferat w tej sprawie. Uderzył mnie od razu fakt, że referat był opracowany przez płk. dypl. Sadowskiego, mego następcę na stanowisku dowódcy 23 dywizji, a więc oficera piechoty, a tylko koreferat sprzętowy przez dowództwo lotnictwa”.

Do planu rozbudowy lotnictwa powróć jeszcze, tutaj dodam tylko uwagę: gdyby marszałek Śmigły doceniał rolę lotnictwa i rozumiał jego odrębność, byłby powierzył opracowanie projektu planu gronu wybranych oficerów lotnictwa, z których jeden czy dwóch referowałoby plan na posiedzeniach KSUS'u.

Drugim przejawem postępu w ustosunkowaniu się naczelnych władz do lotnictwa było otwarcie w 1936, na jesieni, wyższej szkoły lotniczej; dowodziło to uznania wreszcie potrzeby sztabów lotniczych.

Trzecim dowodem przebudzenia było stworzenie inspektoratu obrony powietrznej państwa (o 14 lat za późno).

Czwartym wreszcie dodatnim aktem było stworzenie na jesieni 1937 r. sztabu lotniczego w sztabie głównym.

Należy więc stwierdzić, że marszałek Rydz-Śmigły wystartował dobrze w swoim stosunku do lotnictwa. Niestety, o wszystkich czterech wymienionych powyżej posunięciach można powiedzieć językiem sztabowym — myśl była przednia, ale wykonanie kiepskie.

Zacznijmy od planu rozbudowy lotnictwa. Opracował go oficer piechoty, zdolny sztabowiec, późniejszy generał, ale nie fachowiec w sprawach lotnictwa. Nie to jednak jest najważniejszym momentem całej sprawy. Nawet nie-fachowiec mógłby opracować lepszy plan, gdyby otrzymał właściwe założenie — w tym wypadku, gdyby była ustalona jakaś doktryna użycia lotnictwa, gdyby marszałek Śmigły wiedział i sprecyzował swoją myśl — czego chce od lotnictwa, jaką rolę ma ono spełnić. Jak wiadomo, doktryny użycia lotnictwa nie było, lotników się nie pytano, a dla planu rozbudowy przyjęto — tzn. płk. Sadowski przyjął względnie otrzymał — założenie nie będące zupełnie wynikiem fachowej analizy sytuacji lotniczej kraju i armii w polu, a po prostu czymś „widzi-mi-się”.

Gen. Zajac pisze o tym tak:

„Referat opierał się na stwierdzeniu, że wszędzie na świecie rozwija się lotnictwo bombowe, a zatem i my musimy rozwinąć lotnictwo bombowe, którego nam brakowało”.

Nie znam założenia jakie faktycznie dla planu przyjęto, ale znam plan i jeszcze w 1937 roku stwierdziłem, jak zresztą wielu lotników, że nie było w nim jasnej myśli przewodniej, że nie zawierał żadnej nowej koncepcji. Rok 1920 w powiększeniu, nic więcej.

Oto plan przewidywał stworzenie do wiosny 1941 r. 25 eskadr pościgowych i myśliwskich, 21 bombowych, 14 rozpoznawczych i 18 łącznikowo-obsługowych. W sumie miało zatem być 78 eskadr, a 642 samoloty. Pozornie więc wielki postęp: Polska miała mieć o połowę więcej samolotów, skok z 400 na 640.

Rozbijając na typy samolotów mieliśmy posiadać w 1941 roku: 250 myśliwskich (wraz z pościgowymi), 126 bombowych, 140 rozpoznawczo-bombowych (czyli dawniejszych liniowych), 126 obserwacyjnych. Nadal więc chcieliśmy mieć z każdego rodzaju po trochu, ale, co najważniejsze, całe lotnictwo miało w dalszym ciągu być bronią pomocniczą wojska, rozdzielone między

armie, używane paczkami o małej sile i wydajności. Dokładnie 40% miało być myśliwskich, a 20% bombowych.

Na czym opierano te liczby? Gen. Zając pisze w tej sprawie:

„....proponowaną ilość lotnictwa oparto, między innymi, na kalkulacji środków potrzebnych do przeprowadzenia rozpracowanej wyprawy bombowej na lotniska i urządzenia wojskowe w Prusach Wschodnich. Na tym przykładzie też uzasadniano potrzebę posiadania 21 eskadr bombowych i 8 eskadr pościgowych...”.

Zatem ćwiczenie szkolne wyprawy bombowej było podstawą do planowania naszego lotnictwa bombowego; zamiast analizy sytuacji kraju i potrzeb operacyjnych, bawiono się w kalkulacje fachowe bombowców.

Gdyby doceniano należycie znaczenie lotnictwa i rozumiano jego odrębność i charakter jego działań, gdyby przy współpracy lotników zanalizowano sytuację kraju i armii w polu, założenie czyli podstawa planu rozbudowy lotnictwa byłaby wyrazem doktryny użycia.

Powtarzam raz jeszcze: doktryny lotniczej nie było; sztab główny i generalny inspektor nie widzieli jej potrzeby, a samo lotnictwo — z własnej inicjatywy — szukało jej nieśmiało i bez przekonania, wiedząc, że i tak nikt lotników nie będzie ani pytał, ani słuchał.

Gen. Zając pisze, że w latach 1937/38 on i jego sztab zastanawiali się i nawet studiowali sprawę rozbudowy w świetle analizy zagrożenia lotniczego. Były to studia spóźnione o kilka lat, ponadto, były prowadzone na własną niejako rękę, bez upoważnienia i dyrektywy Generalnego Inspektora, a zatem bez żadnej gwarancji, że rezultaty studiów będą wykorzystane, zwłaszcza gdy pamiętamy, że przecież plan rozbudowy lotnictwa był już zatwierdzony! Charakterystyczne światło na te studia rzuca następujące zdanie gen. Zająca: „W tym czasie duży rozgłos zyskała sobie teoria Douheta...” — Douhet opracował swoją teorię w latach 1917/21, studiowano ją i dyskutowano już od szesnastu lat gdy gen. Zając się z nią zapoznawał. Byłem na wykładzie o teorii Douheta jako podchorąży w 3. p. lot. w 1927 r., prelegentem był ówczesny mjr. szt. gen. M. Romeyko. Sam przedstawiłem ją w odczycie dla oficerów rezerwy w Poznaniu w 1932 r. Teoria Douheta była przeznaczona dla państw potężnych, mogących podjąć się prowadzenia wojny powietrznej dającej rozstrzygnięcie. Polska takiej wojny nie mogła oczywiście prowadzić. Niemcy zbudowali siły powietrzne z pominięciem najważniejszego czynnika teorii Douheta — ciężkiego bombowca o dalekim zasięgu. Dlatego przegrali zapewne wojnę. Zrealizowaniem w dużej mierze,

aczkolwiek nie w całej pełni, wojny powietrznej, były wyprawy bombowe amerykańskiego i brytyjskiego lotnictwa w latach 1942/45.

W naszym położeniu, zarówno kraj jak armie w polu potrzebowały przede wszystkim obrony w powietrzu. Na niej więc należało położyć zdecydowany nacisk. Nie znaczy to jednak, aby należało całkowicie zrezygnować z lotnictwa bombowego. Nie potrzebne nam było ciężkie lotnictwo bombowe, czyli strategiczne. W tym względzie rozumowanie gen. Zająca przedstawione w jego artykule jest słuszne, podobnie jak słuszne było jego żądanie zwiększenia lotnictwa myśliwskiego. Mówił mi o tym gen. Zając w 1938 r., w grudniu, w czasie przypadkowego spotkania w Londynie. Ale to nie zmieniało radykalnie doktryny i planu rozbudowy lotnictwa.

Położenie nacisku na lotnictwo myśliwskie musiałyby się wyrazić w planie następująco: w obliczu przewagi powietrznej nieprzyjaciela, nasze lotnictwo rozpoznawcze, a tym bardziej lotnictwo obserwacyjne, nie miało widoków na wykonanie swoich zadań w sposób skuteczny i przez szereg tygodni; logiczny wniosek był taki, że należało scentralizować rozpoznanie lotnicze i całkowicie zrezygnować z lotnictwa obserwacyjnego czyli współpracy w najniższym zakresie (pułk, dywizjon artylerii, dywizja piechoty). Naczelne dowództwo mogło mieć 4 lub 6 eskadr rozpoznania operacyjnego i strategicznego, natomiast rozpoznania bliskie (bojowe i taktyczne) trzeba było powierzyć myśliwcom. *Przewidywał to polski regulamin lotniczy* — na dziesięć lat przed Brytyjczykami i Amerykanami, którzy powierzyli rozpoznanie pola bitwy i pola walki myśliwcom w latach 1942-44.

Obracając się w zaplanowanej ilości 78 eskadr, przyjmijmy zatem 6 eskadr rozpoznawczych N.W. Co dalej? Lotnictwo bombowe taktyczne było potrzebne, dla zwalczania celów na polu bitwy, odwodów przeciwnika i broni pancernej oraz artylerii. To było narzędzie w rękach dowódców lotnictwa armii czy frontu do wykonywania uderzeń w miejscach czułych, w sytuacjach groźnych. Oczywiście chciałoby się mieć możliwie dużo takich atutów w ręce, ale realnie biorąc, w świetle warunków finansowych i produkcyjnych, oraz pamiętając o nacisku na obronę powietrzną, można było ustalić ilość eskadr w zależności od tonażu bomb potrzebnego do skutecznego zwalczania dywizji pancerno-motorowej i udźwigu danego typu samolotów. Przyjmując, że samolot byłby typu Łosia, o średnim udźwigu na krótki zasięg lotu np. tysiąc kilogramów, ilość eskadr można było zaplanować na 16 do 20.

Jeśli więc przyjęto by np. 6 eskadr rozpoznania N.W. i 16 bombowych, pozostałoby dla obrony powietrznej 56 eskadr. Biorąc jednak pod uwagę znacznie większy koszt bombowca w stosunku do samolotów myśliwskich i obserwacyjnych, prawdopodobnie trzeba by zejść do następujących liczb:

— 48 eskadr myśliwskich, 16 bombowych, 4 rozpoznawcze, czyli w sumie — 68 eskadr, natomiast samolotów:

— 504 myśliwskie (długo 2 eskadrowy, 21 samolotów), 144 bombowe, 40 rozpoznawczych, w sumie — 688.

Plan nie powinien jednak kończyć się na ilości eskadr i samolotów oraz typach samolotów, ale powinien zawierać wytyczne organizacji lotnictwa. W konkretnym przykładzie mogło to wyglądać tak: z 24 dywizjonów myśliwskich 6 byłoby przydzielonych do armii (po jednym na armię, z głównym zadaniem rozpoznania bojowego i zwalczania nieprzyjaciela bezpośrednio nad wojskami); zgrupowanie 6 dywizjonów (126 samolotów) dla obrony Warszawy, drugie zgrupowanie 6 dywizjonów (nazwa brygady czy inna, nie gra roli) dla obrony obszaru Kraków — Śląsk — Łódź, trzecie zgrupowanie 6 dywizjonów dla obrony obszaru Pomorza i Poznańskiego. W ten sposób mielibyśmy trzy silne zgrupowania myśliwskie, działające samodzielnie, dowodzone przez lotników i mające jedno zadanie: bicie przeciwnika w powietrzu nad nakazanym obszarem, w razie możliwości współpracowanie z sąsiednim zgrupowaniem. Lotnictwo bombowe mogło tworzyć dwa zgrupowania po 4 dywizjony nastawione na dwa główne kierunki — Śląsk, Pomorze, w dyspozycji N.W., wyniki natomiast rozpoznania przekazywałoby w razie potrzeby również dowódcom armii na danych kierunkach.

Utworzona wyższa szkoła lotnictwa nie dostała myśli przewodniej ani założeń doktrynalnych; trudno się dziwić, skoro wiemy, że ich nie było. Jej komendant, płk. dypl. S. Kuźmiński, świetny oficer, taktyk i technik wysokiej klasy, zgłosił się po wytyczne, na co usłyszał odpowiedź: Panie, jest pan dyplomowanym, to musisz pan wiedzieć czego macie uczyć i jak. Szkoła pracowała dobrze, wysiłki komendanta i kadry nie poszły na marne, ale nie mając założeń własnych doktrynalnych szkoła szukała, błądziła, robiła fikcyjne założenia — nie mogąc po prostu w ćwiczeniach przeciwstawiać lotnictwu niemieckiemu i sowieckiemu polskiej nędzy sprzętowej, beznadziejnej organizacji i braku myśli. Stąd też studia w szkole prowadzone były czysto akademickie i dla lotnictwa polskiego nie miały żadnego praktycznego znaczenia. Rzecz jasna, że szkoła powinna była powstać o kilka lat wcześniej, a więc za życia marszałka Piłsudskiego.

Powołano do życia w 1936 r. Inspektorat Obrony Powietrznej Państwa; nie rozumiejąc, że trzonem obrony powietrznej jest lotnictwo myśliwskie, a inne środki uzupełniają obronę, wyznaczono na stanowisko inspektora najpierw generała kawalerii, Dreszera, a po nim generała piechoty, Zajęca. We wspomnianym poprzednio artykule gen. Zając pisze: „Zacząłem się orientować w sprawach lotnictwa...”. Nie był to czas na uczenie się lotnictwa, potrzebny był fachowiec, a więc lotnik. Co gorsze jednak, nie zmieniono chaotycznej organizacji władz lotniczych, a dodany inspektorat, który najpierw otrzymał pewne uprawnienia w stosunku do lotnictwa (inspekcja niektórych jednostek), a później był przewidziany na naczelne dowództwo lotnictwa i OPL, nie miał jasno określonych kompetencji. Po prostu doszedł jeszcze jeden czynnik mieszający się do lotnictwa, równie nefachowy jak ministerstwo spraw wojskowych i sztab główny. Gen. Zając pisze o swoich staraniach w kierunku uporządkowania kompetencji różnych władz w odniesieniu do lotnictwa, o scentralizowaniu kierownictwa i dowodzenia na wypadek wojny. Oczywiście nic nie zrobiono, a gen. Zając został nawet *skarcony* przez marszałka Śmigłego na ponowienie swego projektu usprawnienia podległości lotnictwa. Trudno się też dziwić, że różne sprawy lotnicze nie były zgrane; każdy coś robił w swoim zakresie, ale nikt nie kierował całością i jedni nie widzieli co drudzy robią względnie co było już zrobione. Jaskrawym przykładem jest zaopatrzenie lotnictwa w materiały pędne. Dowódca lotnictwa M.S. Wojsk. zbudował dwa wielkie podziemne zbiorniki benzyny, ale nie wiedzieli o nich dowódcy lotnictwa armii i brygad lotniczych (pościgowej i bombowej, zorganizowanych niemal w ostatniej chwili przed wojną); w rezultacie całemu lotnictwu brakowało po kilku dniach benzyny, a tej było w bród.

W jesieni 1937 r. stworzono sztab lotniczy w sztabie głównym; na czele tego sztabu stał gen. Ujejski (jeszcze wówczas pułkownik). Mniej więcej do wiosny 1938 r. sztab ten przejmował agendy lotnicze od oddziałów sztabu głównego, po czym zaczął własne prace w różnych dziedzinach do tego czasu zupełnie zaniedbanych. W czasie wojny sztab ten stał się sztabem lotniczym gen. Zająca, naczelnego dowódcy lotnictwa i OPL. Współpracy między sztabem lotniczym i dowództwem lotnictwa M.S. Wojsk. prawie nie było do czasu odejścia gen. Rayskiego tj. do marca 1939 r., tak że względu na brak sformułowania kompetencji jak i ze względów personalnych.

Realizacja planu rozbudowy szła wolniej aniżeli to przewidywano. W lotnictwie główną przyczyną były zdaje się trudności

przemysłu; nie mógł on wchłonąć od razu wielkich kapitałów i zwiększyć produkcji z braku odpowiedniej ilości inżynierów i majstrów; nowe fabryki zaczęły pracować dopiero w 1939 roku, na małą raczej skalę, ale PZL Warszawa musiały wysłać do Mielca i Rzeszowa (oraz do 1 p. lot.) inżynierów i majstrów do pomocy i instruowania. To zapewne było powodem nie oddania lotnictwu wszystkich przewidzianych sum, czego gen. Rayski się domagał i na co nie otrzymał wyjaśnienia. KSUS widział się zmuszony przesunąć termin zakończenia planu do wiosny 1943 r. Przebudzenie nastąpiło za późno, a wojna nie czekała. Tymczasem jednak, w latach 1937/38 liczono się z realizacją planu do wiosny 1941 r., a przy zwykłym optymizmie nie pomyślano o gotowości lotnictwa w okresie przejściowym, to znaczy w latach 1939-1940. Lotnictwo myśliwskie czekało na nowe samoloty, a tymczasem dobre P-24 sprzedawano zagranicę. Gen. Rayski w swej książce pisze (str. 47): „Ostatniego wywozu płatowców zagranicę dokonałem w połowie 1938 roku”, a jeśli idzie o ostatnie zamówienie, pisze: „Ostatnia partia, czyli 42 sztuki P-43 dla Bułgarii, zamówiona była u nas na początku 1938 roku”. Gdyby rozumiano konieczność przebrojenia lotnictwa na czas przejściowy — do chwili wyjścia nowych samolotów z fabryk, tj. Jastrzębi w 1940-41, oraz Mew i Sumów, właściwą decyzją byłoby zerwanie ze sprzedawaniem samolotów, oddanie P-24 naszym dyonom myśliwskim i wyprodukowanie jeszcze jednej serii tych samolotów, skoro Jastrząb jeszcze jako prototyp nie latał. Wszelkie kalkulacje były optymistyczne, zawsze liczono na najlepszy zbieg warunków, zamiast na najgorszy.

Gdyby marszałek Śmigły doceniał należycie groźbę wojny powietrznej i rozumiał odrębność lotnictwa, byłby mógł w 1936 r. przeprowadzić reorganizację lotnictwa w sposób prosty i bez większych zmian personalnych. Mianowicie, można było skupić *wszystkie* agendy lotnicze w jednym organie tworząc dowództwo lotnictwa naczelnego wodza, z gen. Rayskim na czele; podlegałby mu sztab lotniczy w sztabie głównym z gen. Ujejskim na czele, i oczywiście dowództwo (zamienione z powrotem na departament) M.S.Wojsk. z gen. Kalkusem na czele; zastępca naczelnego dowódcy lotnictwa (gen. de Beaurain) mógł się zająć przygotowaniem personelu, sztab lotniczy w sztabie głównym mógł przejąć wszystkie agendy od sztabu głównego i kwatermistrza generalnego (zaopatrzenie) — ale wszystkim kierowałby i prace uzgadniał, jeden człowiek — gen. Rayski jako naczelną dowódca lotnictwa. Skończyłby się w ten sposób chaos kompetencyjny, wtrącanie się ośmiu mistrzów do kuchni lotniczej, o której pojęcia nie mieli. Inspektor OPP nie miałby nic do lotni-

ctwa oprócz uzgadniania obrony rejonów z lotnictwem myśliwskim.

Po przyjęciu dymisji gen. Rayskiego, marszałek Śmigły wyznaczył na jego miejsce gen. bryg. pil. Władysława Kalkusa. Wszyscy tego oczekiwali, było bowiem jasne, że skoro wraz z gen. Rayskim chciał odejść gen. Beaurain, a gen. Ujejski był już w sztabie głównym, Kalkus był jedynym „wolnym” generałem lotnictwa. Był on powszechnie szanowanym i lubianym dowódcą, w przeciwieństwie do generałów Rayskiego i Ujejskiego znał doskonale linię, przeszedł bowiem normalną służbę: był pilotem, dowódcą eskadry na wojnie, dowódcą dywizjonu, potem był personalnym w sztabie, dowodził pułkiem lotniczym (3 lata w Poznaniu, 2 lata w Warszawie), wreszcie był dowódcą grupy lotniczej. Nie był technikiem, ale na to miał swego zastępcę — fachowca, ppłk. Makowskiego i kilku inżynierów w swoim sztabie; poza tym był energiczny, umiał pobierać słuszne i szybkie decyzje, nie bał się przełożonych. Po niesławnych wyprawach (litewskiej i czeskiej) raportował otwarcie o brakach i mizernym stanie gotowości lotnictwa.

Rzecz zrozumiała, że gen. Kalkus i jego sztab nie mógł w ciągu kilku miesięcy dokonać cudów; miał te same warunki pracy co jego poprzednik, z tym że musiał dużo czasu stracić na zorientowanie się we wszystkim. Jak jednak wynika z wielu relacji, współpraca między dowództwem lotnictwa M.S.Wojsk., sztabem lotniczym i Inspektorem OPP była od tego czasu ścisła, niemal codzienna, gładka i harmonijna — co już samo w sobie było ogromnym krokiem naprzód. Toteż obwinianie gen. Kalkusa i jego sztabu za braki i trudności w lotnictwie w czasie wojny są niesłuszne.

W czasie samej kampanii marszałek Śmigły nie miał większego wpływu na użycie lotnictwa. Mściła się na nim zła organizacja dowodzenia lotnictwem. Zastrzegł sobie dysponowanie brygadą bombową, co było teoretycznie słuszne, ale wobec braku dobrej łączności — co można było przewidzieć — doprowadziło do mało wydajnego użycia brygady. Dowódca brygady, płk. Heller, siedział w sztabie N.W. czekając na rozkazy, a brygada była pod Dęblinem. Zagadnienie łączności lotniczej było zaniedbane przez całe lata, lotnictwo samo nie wykazało większej inicjatywy w tym kierunku, będąc ograniczone i zależne do ośmiu przełożonych, a dowodzenie lotnictwem, w szczególności brygadą myśliwską i bombową, zależało całkowicie od łączności. Jedynym rozwiązaniem w tych warunkach było oddanie płk. Hellerowi inicjatywy do wysyłania wypraw, do czego wystarczyły szczegółowe wytyczne Naczelnego Wodza. Brygada robiła własne rozpoznanie

i mając oficerów dyplomowanych potrafiłaby ocenić właściwie cel i czas wypraw, zwłaszcza gdyby dowódca brygady znał plan działania Naczelnego Wodza. W rzeczywistości rola jego ograniczyła się do przekazywania rozkazów, które z reguły były spóźnione i dla lotnictwa nierealne.

Generał Sikorski

Lotnictwo pokładało duże nadzieje w nowym Naczelnym Wodzu, wiadomo było bowiem, że należał on do nowoczesnych teoretyków wojny, doceniał więc lotnictwo.

Pierwsze posunięcie gen. Sikorskiego zdawało się być zapowiedzią gruntownej zmiany stosunku do lotnictwa. Rozkazem z dnia 22.2.1940 lotnictwo zostało usamodzielnione jako trzecia część sił zbrojnych. Odtąd dowódca sił powietrznych (P.S.P.) podlegał bezpośrednio Naczelnemu Wodzowi i należał do jego bezpośrednich współpracowników.

Wkrótce jednak niezadowolenie odżyło wśród lotników, a to z dwóch powodów: nie nastąpiła zmiana na stanowisku dowódcy, którym pozostał gen. Zajac; awanse paryskie, wbrew zapewnieniom Naczelnego Wodza, objęły oficerów którzy nie brali czynnego udziału w kampanii, a pominięci zostali nawet dowódcy eskadr i dywizjonów mający większe starszeństwo, nie mówiąc o zasługach.

W związku z wysłaniem części lotnictwa (2000 ludzi) z Francji do Anglii w okresie grudzień 1939 — kwiecień 1940, gen. Sikorski nie chciał się zgodzić na proponowane przez Brytyjczyków warunki umowy lotniczej; podpisał umowę dopiero w kwietniu 1940, po uzyskaniu pewnych ustępstw od strony brytyjskiej.

Gdy po upadku Francji większość lotnictwa znalazła się na terenie W. Brytanii, zawarto nową umowę lotniczą, w myśl której P.S.P. działały w ramach R.A.F., podlegając władzom i przepisom brytyjskim w zakresie działań bojowych, organizacji, zaopatrzenia, dyscypliny i prawa lotniczego. Umowa była daleka od ideału, ale warunki wojenne w jakich była zawierana nie pozwalały na dłuższe targi, toteż trzeba było zaufać dobrej woli sprzymierzeńca i odłożyć załatwienie szeregu istotnych spraw na później.

18 lipca 1940 nastąpiła zmiana na stanowisku dowódcy P.S.P., którym został gen. Ujejski; miał on stały i nieskrepowany dostęp do Naczelnego Wodza, który też żywo interesował się sprawami sił powietrznych. W czasie bitwy o W. Brytanię,

jak i później w latach 1941/42, gen. Sikorski codziennie poświęcał czas na zaznajomienie się z działaniami dywizjonów i wszelkimi wydarzeniami w siłach powietrznych. Redagował osobiście rozkazy szczególne, depesze gratulacyjne do poszczególnych dywizjonów, odwiedzał lotników w szpitalach, jeździł po stacjach lotniczych na inspekcje i dekorowanie lotników odznaczeniami, nie szczędził awansów i odznaczeń, jednym z adiutantów gen. Sikorskiego był zawsze lotnik.

Umowa z 5 sierpnia 1940 przewidywała utworzenia czterech dywizjonów bombowych, dwóch myśliwskich i jednego współpracy, oraz, w miarę większych zasobów ludzkich, trzech lub więcej dywizjonów. W rzeczywistości jednak już w kwietniu 1941 roku mieliśmy osiem dywizjonów myśliwskich i cztery bombowe, razem dwanaście, czyli o dwa więcej aniżeli przewidywała umowa; w końcu 1940 r. powstał jeszcze dywizjon współpracy, tak że razem było 13 dywizjonów w niecały rok po zawarciu umowy. Z tym szybkim wzrostem siły bojowej P.S.P. nie szedł, niestety, w parze rozwój jednostek służb i przydział uzupełnień, a były to podstawowe czynniki rozwoju lotnictwa w ogóle, szczególnie jednak z uwagi na pomoc lotniczą dla kraju i na przewidywany powrót do kraju.

Gen. Sikorski chciał rozbudować lotnictwo tak, aby było ono liczbą co najmniej równe temu które mieliśmy w kampanii wrześniowej, a technicznie znacznie wyżej stojące. Strona techniczna w rzeczywistości nie nastroczała zupełnie trudności, gdyż załatwiał ją sojusznik mający bogaty i dobry przemysł lotniczy, natomiast liczebność zależała od uzupełnień które lotnictwo musiało otrzymać od wojska, gdyż własne jego stany wynosiły w jesieni 1940 roku około 50% stanów z początku wojny, mianowicie osiem tysięcy ludzi. Przy tych stanach osobowych posiadaliśmy 13 dywizjonów — albo 208 samolotów w linii, a w szkołach około 100 samolotów. Dla osiągnięcia więc liczby 400 samolotów bojowych (jak w kampanii polskiej) należało sformować jeszcze dwanaście dywizjonów, a dla sformowania ich oraz potrzebnych służb — siły powietrzne powinny były otrzymać uzupełnienia w liczbie co najmniej dziesięciu tysięcy ludzi.

Sprawa uzupełnień dla lotnictwa była przez cały czas pobytu naszego na obczyźnie palącą potrzebą, której znaczenia nie doceniali naczelnicy wodzowie, a przede wszystkim ich sztaby, toteż była ona stałym powodem zadrażnień i nieporozumień między sztabem lotniczym i sztabem głównym, a ogólnie biorąc, między lotnictwem i wojskiem.

We Francji lotnictwo nie otrzymało żadnych uzupełnień; ponieważ formowanie jednostek bojowych i pomocniczych szło

bardzo opieszale ze względów niezależnych od władz polskich, a wojna we Francji skończyła się szybko, nie przydzielenie lotnictwu uzupełnień nie miało żadnych skutków. Zupełnie inaczej przedstawiała się sprawa w Anglii.

Stan wyjściowy P.S.P. w jesieni 1940 r. wynosił dokładnie 1526 oficerów i 6628 szeregowych, razem 8154 żołnierzy. Niemal do końca 1941 roku ubytek ludzi z lotnictwa przewyższał uzupełnienia, tak że pod koniec 1941 roku stan P.S.P. był mniejszy od stanu wyjściowego. Z wojska miało być wcielonych 300 ochotników do szkół personelu latającego, w rzeczywistości przydzielono 120, z których część odpadła w szkoleniu. Nie starczyło to na pokrycie strat bojowych, które w 1941 roku wyniosły 389 członków załóg.

W 1942 roku straty bojowe lotnictwa były bardzo ciężkie, wyniosły bowiem (razem z zaginionymi i zmarłymi śmiercią naturalną) 655 żołnierzy, a ponadto kilkudziesięciu było urlopowanych i przeniesionych do wojska względnie w stan nieczynny. Przybyło w tym roku prawie półtora tysiąca lotników i przedpoborowych z dawnego P. W. lotniczego ewakuowanych z Rosji, oraz ochotnicy z Ameryki i z wojska, razem około dwóch tysięcy. W czasie pobytu swego w Rosji, gen. Sikorski dał delegatowi dowódcy sił powietrznych, ppłk. dypl. O. Tuskiewiczowi, zapewnienie pisemne, że przeznacza na uzupełnienie dla sił powietrznych osiem tysięcy ludzi spośród ewakuowanych z Rosji. Była to najniższa skalkulowana liczba potrzebna do stworzenia służb lotniczych, wypełnienia etatów istniejących dywizjonów i stworzenia zapasu do przeszkolenia na personel latający. Już w 1941 roku zaistniała groźba likwidacji dwóch dywizjonów z powodu braku uzupełnień. Naczelnny Wódz dał się jednak później przekonać argumentami gen. Andersa i wróciwszy do Londynu potwierdził zmianę decyzji: lotnictwo nie dostało żadnych uzupełnień prócz własnych ludzi lotnictwa ewakuowanych z Rosji; co więcej, część lotników została zatrzymana w Brygadzie Karpackiej, a tylko personel latający został oddany lotnictwu.

Gen. Sikorski próbował już we Francji zorganizować łączność lotniczą z krajem, ale okazało się to niemożliwe. Dowiedziawszy się w Anglii, że R.A.F. miał kilka dywizjonów do zadań specjalnych, do których właśnie należały loty do krajów okupowanych, gen. Sikorski wystąpił w lutym 1941 r. do władz brytyjskich z wnioskiem o przydzielenie do jednego z brytyjskich dywizjonów polskich załóg celem współpracy z krajem; miał to być początek dywizjonu N.W. do zadań specjalnych. Zgoda ministerstwa lotnictwa nadeszła dopiero we wrześniu i ograniczała ilość polskich załóg do trzech. Załogi wymagały przeszkolenia do

tych zadań, mianowicie w lotach nocnych na małych wysokościach i bez posługiwania się pomocami nawigacyjnymi używanymi w lotnictwie bombowym; załogi miały się zgłaszać ochotniczo do tej pracy i po wykonaniu pierwszej tury lotów operacyjnych.

Zamiar zorganizowania własnego dywizjonu do zadań specjalnych był oczywiście ze wszech miar słuszny, ale jego urzeczywistnienie napotykało na poważne trudności; początkowo Brytyjczycy byli niechętni, gdyż loty do Polski wymagały samolotów o dużym zasięgu, których sami nie posiadali, a ponadto pomoc na większą skalę dla Polski nie leżała w ich planach na najbliższe dwa lata; trudności własne P.S.P. wynikały z braku uzupełnień — stworzenie dywizjonu było możliwe tylko przy jednoczesnej likwidacji dwóch lub w każdym razie jednego dywizjonu bombowego, a ponieważ straty w lotnictwie bombowym stale wzrastały, brak uzupełnień na personel latający groził likwidacją dalszych dywizjonów i ośrodka wyszkolenia bojowego dla załóg bombowych. Gdy Brytyjczycy w marcu 1943 roku zgodzili się na zorganizowanie eskadry polskiej w brytyjskim dywizjonie specjalnym, rozwiązano 301 dywizjon Ziemi Pomorskiej; wobec dalszego kryzysu załóg bombowych, mieliśmy w 1944 roku w dwóch dywizjonach (300 i 305) przejściowo po jednej eskadrze brytyjskich załóg latających. Oto były dowody niezrozumienia zagadnień lotniczych przez naczelnych wodzów (gen. Sikorskiego i gen. Sosnkowskiego) oraz sztab główny, oto były owoce pięknych zamiarów i braku konsekwencji w ich urzeczywistnianiu.

Od jesieni 1940 do grudnia 1942 uzupełnienia lotnictwa wyniosły 3295 żołnierzy, ale w tym było około 2550 lotników, czyli z ochotników amerykańskich i z wojska przydzielono do lotnictwa zaledwie około 750 ludzi, podczas gdy straty bojowe w tym czasie wyniosły 994 ludzi, oraz inne ubytki około 250 ludzi. Jak więc można było mówić i planować rozbudowę sił powietrznych, gdy nie starczało na pokrycie strat?

W 1943 roku, w związku z reorganizacją R.A.F. do przewidywanej inwazji kontynentu, dowództwo P.S.P. rozważało zamiar stworzenia polskiej grupy lotniczej; ministerstwo lotnictwa było skłonne dać zgodę, ale pod warunkiem, że grupa będzie się składała z jednego rodzaju dywizjonów i że P.S.P. otrzymają niezbędne uzupełnienia. Ponieważ Sztab N.W. planował już przerzucenie lotnictwa do kraju, grupa polska miała się składać z dywizjonów myśliwskich i myśliwsko-rozpoznawczego; warunki wojny ruchomej wymagały stworzenia służb lotniczych, tak że w sumie P.S.P. musiałyby otrzymać 10.000 ludzi. Sztab

N.W. odrzucił żądania lotnictwa (już za gen. Sosnkowskiego) i zgodził się na oddanie lotnictwu 3200 żołnierzy. W rzeczywistości przydzielono 2456, co zaledwie wystarczyło na utrzymanie ciągłości kursów w szkołach i na wypełnienie pewnych braków w jednostkach.

Tak więc ambitny plan gen. Sikorskiego był zaledwie w połowie urzeczywistniony; na skutek braku konsekwencji w przeprowadzaniu zamiarów N.W., lotnictwo nie otrzymało koniecznych uzupełnień i nie było przygotowane do udzielenia pomocy krajowi w 1943 roku i nawet częściowo w następnym roku. Ogólna sytuacja wojenna wskazywała jednak na to, że był jeszcze czas poczynić przygotowania na lata 1944/45.

Generał Sosnkowski

Lotnictwo przyjęło nominację gen. Sosnkowskiego z mieszanymi uczuciami: buntująca się młodzież (przeciętny wiek — 30 lat) z dużym entuzjazmem, gdyż była pewna zmiany dowódcy P.S.P. i jego sztabu; część, głównie starsi lotnicy, z pewnymi obawami i niepewnością, gdyż gen. Sosnkowski był uważany za przedstawiciela dawnego reżymu, a więc autokratycznego dowodzenia i braku zrozumienia dla zagadnień lotniczych; wreszcie pewna część przyjęła nominację z obojętnością wpływającą z przekonania, że i tak lotnictwem rządzą Brytyjczycy, więc osoba Naczelnego Wodza nie miała istotnego znaczenia. Rzeczywistość przyniosła spełnienie nadziei pierwszych i obaw drugich, oraz potwierdziła sceptyczm trzecich. Wypadek wyjątkowy, ale niemniej prawdziwy.

Gen. Sosnkowski wyrobił sobie pogląd na stosunki w lotnictwie na długo przed śmiercią gen. Sikorskiego; zapewne nie małą rolę odegrali w tym przedstawiciele Młodoturków lotnictwa, którzy boleli nad polityką gen. Sikorskiego w stosunku do Rosji i dążyli do usunięcia gen. Ujejskiego.

Jednym z pierwszych zarządzeń nowego Naczelnego Wodza było zwolnienie z „wyspy węzów” czterech oficerów lotnictwa znajdujących się tam w związku z przyznaniem się do podpisania (razem ze stu innymi) listu do Prezydenta R.P. w sprawie obecności gen. Ujejskiego na przyjęciu w ambasadzie sowieckiej. Byli to: mjr. dypl. Poziomek, kpt. obs. Bujalski, kpt. pil. Kurzempa i ppor. strz. sam. Sęp-Szarzyński.

17 sierpnia 1943 gen. Ujejski złożył prośbę o zwolnienie go ze stanowiska dowódcy P.S.P.; tymczasowo obowiązki jego objął płk. pil. S. Karpiński, a już na 23 sierpnia gen. Sosnkowski

zwołał odprawę dowódców jednostek lotniczych, ówczesnych i byłych, w celu zasięgnięcia opinii o kandydatach na dowódcę P.S.P.

W przemówieniu swoim gen. Sosnkowski powołał się na trudności jakie miał z lotnictwem marszałek Piłsudski oraz na fakt, że lotnictwem dowodzili w przeszłości generał kawalerii i generał piechoty, przy czym zapowiedział, iż w razie braku jednomyślności wyznaczy na dowódcę lotnictwa znowu jakiegoś generała z wojska. Argument ten, czy — jeśli ktoś woli — groźba, był pierwszym dowodem nieorientowania się gen. Sosnkowskiego w sytuacji, lub, przeceniania swej władzy. Brytyjskie siły powietrzne były od 1918 roku całkowicie samodzielne i nikt spoza lotnictwa nie mógł się mieszać do wewnętrznych spraw lotnictwa; w myśl umowy polsko-brytyjskiej nasze lotnictwo działało w ramach R.A.F. i podlegało władzom brytyjskim pod każdym względem, z wyjątkiem polskich awansów i polskich odznaczeń; jasne było dla każdego lotnika, że Brytyjczycy nigdy nie zgodziliby się na rozmawianie w sprawach lotnictwa polskiego z generałem wojska; przecież ministerstwo lotnictwa wyznaczało w rezultacie dowódcę lotnictwa, tak jak i innych dowódców, na wniosek władz polskich, dawało im stopnie odpowiadające ustalonym etatom. Kandydatury nie-lotnika ministerstwo nie przyjęłoby w żadnym wypadku i polski Naczelny Wódz musiałby zrezygnować ze swego kandydata. Toteż tę część przemówienia gen. Sosnkowskiego przyjęli zebrani ze szczyptą soli...

14 września dowódcą P.S.P. został płk. dypl. M. Iżycki, na szefa sztabu wyznaczył Naczelny Wódz ppłk. pil. S. Brzezina, a na zastępcę szefa sztabu — mjr. dypl. S. Poziomka.

Naczelny Wódz ograniczył samodzielność dowódcy lotnictwa, zastrzegając dla siebie wyznaczanie na stanowiska od dowódcy dywizjonu wzwyż, a więc praktycznie na wszystkie, oraz załatwianie wszystkich ważnych spraw z ministerstwem lotnictwa tylko za swoją zgodą. Gen. Iżycki nie był traktowany jako należący do ścisłego sztabu Naczelnego Wodza, a w przeciwieństwie do gen. Ujejskiego, nie miał wolnego dostępu do N.W., na audiencję u którego musiał nieraz czekać dość długo; nie był również wtajemniczany w zamiary Naczelnego Wodza, w szczególności w plany użycia lotnictwa na rzecz kraju. Pomimo kilkakrotnych meldunków gen. Iżyckiego, sprawa uzupełnień dla lotnictwa nie była załatwiana.

Oto co pisze w sprawie uzupełnień komisja historyczna P.S.P. w swym opracowaniu na str. 8:

„Z początkiem 1944 roku, w związku z żądaniami Dowódcy Armii

Krajowej, sprawa uzupełnień dla lotnictwa stała się palącą. Najmniejsza ilość, która umożliwiałaby ewentualne ruszenie dywizjonów z Wielkiej Brytanii, wynosiła 3900 żołnierzy. Na poczet tego lotnictwo dostało z wojska około 1200 żołnierzy — przeważnie ze starszych roczników z kategorią zdrowia 'D' i junaków. Żołnierze z kategorią zdrowia 'D' jedynie wyjątkowo nadawali się do służby pomocniczej w lotnictwie. Junacy mieli być przeznaczeni do szkół personelu latającego, lecz większość z nich na to się nie nadawała ze względu na wiek, słaby rozwój fizyczny lub niski poziom wykształcenia. Ze strony wojska istniały poważne sprzeciwy oddania do lotnictwa wymaganej ilości personelu, który odpowiadałby warunkom wieku i zdrowia. Nasze władze naczelne wyraziły zgodę na czerpanie uzupełnień spośród jeńców Polaków, byłych żołnierzy niemieckich sił zbrojnych. Początkowo jednak sprzeciwiało się temu ministerstwo lotnictwa ze względów tajemnicy służbowej. Później jednak ustąpiło, zakazując jedynie szkolenia byłych jeńców w dziale łączności i jako personel latający. W tych warunkach wcielono tylko 525 jeńców Polaków. Gdy w drugiej połowie 1944 roku Sztab Główny wyraził zgodę na przyznanie lotnictwu niezbędnych uzupełnień, z kolei ministerstwo lotnictwa już nie zgodziło się na ich wcielenie, gdyż w owym czasie rozbudowa brytyjskich sił powietrznych była zakończona, a od jesieni 1944 r. likwidowano szkolnictwo.

Zatem pomimo zabiegów dowództwa P.S.P. w ciągu trzech lat lotnictwo nie otrzymywało uzupełnień i rzecz jasna nie mogło przygotować się na powrót do kraju. W drugiej połowie 1944 roku, już po katastrofie Powstania Warszawskiego, wreszcie Naczelny Wódz i sztab główny zdecydowali się dać lotnictwu uzupełnienia — wtedy, gdy było już za późno. Ale pomimo tych niezaprzeczalnych faktów, gen. Sosnkowski oraz przedstawiciel Armii Krajowej w Londynie gen. Tatar, zarzucali dowódcom P.S.P., w szczególności gen. Iżyckiemu, zaniedbanie przygotowań dla pomocy Powstaniu Warszawskiemu, o którego możliwości wybuchu władze brytyjskie nie były zupełnie poinformowane.

Nie tylko jednak Naczelny Wódz i sztab główny odnosili się niechętnie do sprawy uzupełnień dla lotnictwa; cały szereg dowódców, od dowódców batalionów w górę, stawiało przeszkody. Na rozkaz Naczelnego Wodza o zgłaszaniu się ochotniczym do służby w personelu latającym, ponad tysiąc młodych oficerów, podchorążych i szeregowych złożyło podania. Wielka część tych podań poszła do kosza w jednostkach i dowództwach, a z tych które dotarły do Londynu wybrano małą ilość; część kandydatów poszła na szkolenie za późno i nie zdążyła na wojnę.

Nie ulega wątpliwości, że naczelní wodzowie i sztab główny mieli trudne zadanie z rozbudową sił zbrojnych na skutek braku uzupełnień z poboru i dość szczupłych zasobów ludzkich jakie były w dyspozycji. Chcieli stworzyć dwa pełne korpusy na powrót do kraju, a zrozumiałe było, że większość oddziałów musiała wziąć udział w walkach przewidywanych w związku z inwazją kontynentu i we Włoszech (II Korpus). Jeśli jednak

sprawa pomocy lotniczej dla kraju i udziału lotnictwa w planowanym powstaniu była tak ważna, to przy należytym zrozumieniu zagadnień lotniczych była możliwa tylko jedna decyzja: zrezygnowanie z jednej wielkiej jednostki piechoty i oddanie lotnictwu dziesięciu tysięcy ludzi. Ponadto, kryzys personelu latającego w lotnictwie bombowym mógł być zażegnany, gdyby zamiast 120 kandydatów, pozwolono 500 kandydatom odejść do lotnictwa w latach 1942/43.

18 sierpnia 1943 r. gen. Sosnkowski wystąpił do ministerstwa lotnictwa o przeformowanie eskadry szczególnego przeznaczenia na dywizjon. Odpowiedź odmowna Brytyjczyków była umotywowana brakiem sprzętu; rozbudowywano wtedy lotnictwo bombowe w związku z ogólnym planem wojny (wytyczne z Casablanki) i na loty specjalne do krajów okupowanych poświęcano minimum wysiłku.

We wrześniu tegoż roku Dowódca Armii Krajowej nadał nowe żądania odnośnie użycia lotnictwa na wypadek powstania, przy czym zaznaczył, że jego zdaniem na wysiłek lotnictwa na rzecz powstania powinno składać się całe wojsko na emigracji, gdyż będzie to prawdopodobnie jedyny możliwy czynny udział wojska w okresie powstania. Dowódca P.S.P. w projekcie odpowiedzi do kraju stwierdził, że lotnictwo mogło być gotowe do wsparcia kraju najwcześniej z początkiem 1945 roku, ale pod warunkiem uzyskania z wojska potrzebnych rezerw i pomocy sprzymierzonych w zakresie lotnictwa transportowego. Gen. Sosnkowski skreślił w projekcie odpowiedzi sprawę przesunięcia rezerw z wojska do lotnictwa i zdanie stwierdzające, iż brak było jeszcze decyzji sprzymierzonych co do terminu działań w Polsce.

W lutym 1944 r. gen. Iżycki ponownie w komunikacie dla dowództwa Armii Krajowej stwierdził nieotrzymanie przez lotnictwo uzupełnień. Gen. Sosnkowski skreślił raz jeszcze tę sprawę z komunikatu.

W czasie od lutego do maja 1944 r. gen. Iżycki cztery razy przedstawiał Naczelnemu Wodzowi konieczność uzgodnienia ze sprzymierzonymi planów wsparcia powstania przez lotnictwo oraz uzyskania ich zgody i pomocy. Odpowiedzi na te przedstawienia nie było.

W kwietniu 1944 r., gen. Iżycki wysłał do kraju starszego oficera celem szczegółowego naświetlenia położenia i możliwości naszego lotnictwa. Oficer ten nie został powołany do prac w sztabie Armii Krajowej; kazano mu zająć się przygotowaniem mechaników na wypadek lądowania naszych jednostek w Polsce.

W połowie lipca 1944 r. sztab N.W. zapytał dowództwo

P.S.P. jakie jednostki lotnicze wraz ze służbami mogłyby być przerzucone do działania z obszarów Polski zajętych przez wojska sowieckie. Dowództwo P.S.P. było zdania, że dałoby się wysłać jedno skrzydło myśliwskie w składzie 4 dywizjonów (64 samoloty łącznie z zapasowymi) na samolotach Mustang III. Propozycje te odrzuciły zarówno władze sowieckie, jak i brytyjskie.

W związku z intensywnym lataniem w lecie 1944 r., większość załóg eskadry specjalnej (nazywanej stale dywizjonem 301 przez nasze władze) wykonała normę lotów bojowych przed sierpniem. Gdy Powstanie Warszawskie wybuchło 1 sierpnia, eskadra miała zaledwie pięć załóg i osiem samolotów gotowych do działań.

Gen. Sosnkowski zażądał od gen. Iżyckiego na odprawie 7 czerwca podniesienia stanu załóg eskadry do 18 w końcu lipca, a następnie do 21. Było to żądanie niezgodne z obowiązującym stanem rzeczy: etat przewidywał 10 załóg, a eskadra miała i tak w czerwcu sześć załóg ponad etat, za cichą zgodą ministerstwa. Dla zadośćuczynienia rozkazowi Naczelnego Wodza, gen. Iżycki wystąpił do władz R.A.F. o przeniesienie 7 załóg z 304 dywizjonu obrony wybrzeża do eskadry 1586, o zabranie 4 załóg z bazy Nr 11 przeznaczonych dla 300 dywizjonu i o podniesienie ilości szkolonych polskich załóg w ośrodku doskonalenia bojowego. Władze brytyjskie odniosły się niechętnie do tych propozycji, uważając je za niecelowe, gdyż i tak już dywizjony 300 i 305 nie miały wystarczającej ilości polskich załóg i jedna eskadra w każdym dywizjonie miała brytyjski personel latający. Gen. Iżycki zameldował o tym Naczelnemu Wodzowi w dniu 6 lipca, zaznaczając, że w październiku 1943 r. przedstawił potrzeby lotnictwa niezbędne do zaspokojenia żądań kraju, ale uzupełnień żadnych nie otrzymał, pomimo przyznania ich przez Naczelnego Wodza.

Dopiero w czasie powstania władze brytyjskie ustąpiły pod naciskiem stałych żądań polskich i zgodziły się na wycofanie polskich załóg z lotnictwa bombowego. Załogi przybywały do eskadry w sierpniu, ale nie mając żadnego przeszkolenia, a częściowo w ogóle żadnego doświadczenia bojowego, ginęły jedna za drugą. W ciągu 1944 roku eskadra straciła 17 załóg, ale z tych 15 zginęło w okresie powstania i w lotach do Polski wyłącznie.

Gen. Sosnkowski w czasie powstania interweniował nie tylko u władz brytyjskich, co również robił rząd w Londynie, lecz Naczelnny Wódz, nie uznając postanowień umowy i zwykłych zasad dowodzenia, domagał się pomocy dla Warszawy bezpośrednio od dowódcy R.A.F. Śródziemnomorza i wydawał sam rozkazy dowódcy eskadry.

Charakterystyczne są depesze gen. Sosnkowskiego z Włoch; widać w nich wyraźnie, że Naczelny Wódz był zdania iż eskadrą specjalną dysponuje w jego imieniu komendant bazy przerzutowej we Włoszech, a nie dowództwo brytyjskie jak to zastrzegła umowa i jak to było faktycznie przez całe lata.

W depeszy z 23 lipca 1944 r. czytamy:

„Podpułkownik Hańcza melduje mi, że Kraj ponownie żąda szybkiego i wydatnego zwiększenia zrzutów systemem dotychczasowym oraz masowych zrzutów dziennych. Kraj obecnie może wchłonąć tyle zrzutu ile damy.

Podpułkownik Hańcza rozporządzać będzie od 28.VII. zaledwie pięcioma załogami. Anglicy dadzą za każdym lotem tyle samolotów ile my sami damy. Przy maksimum dziesięciu samolotów baza zdolna jest zaspokoić żądania kraju zaledwie w drobnej części.

Wymagam stanowczo natychmiastowego zwiększenia ilości załóg do stanu 16, co zresztą zgadza się z przyjętym przez Pana Generała zobowiązaniem podniesienia ilości załóg do tej liczby w terminie do końca lipca. Znana jest Panu sytuacja Kraju i jego potrzeby wynikające z akcji bojowej jaką tam prowadzi armia krajowa. Zwracałem niejednokrotnie uwagę na groźbę odcięcia dowozu do kraju oraz na takiego stanu rzeczy skutki. Sądzę, że Pan Generał rozumiejąc iż w tej mierze odpowiedzialność w pierwszym rzędzie obciąża Pana, dołoży wszelkich starań, by poprawić sytuację przerzutową na bazie II.

Proszę odwrotnie meldować wydane zarządzenia.

Naczelny Wódz”.

Widać z tej depeszy, że gen. Sosnkowski umiał żądać wykonania swoich rozkazów i zapominać jednocześnie iż sam nie spełnił warunków umożliwiających wykonanie rozkazów, że umiał obciążać odpowiedzialnością dowódcę lotnictwa za braki i opóźnienia spowodowane nie oddaniem lotnictwu uzupełnień, co leżało wyłącznie w jego mocy i kompetencjach sztabu głównego.

W odpowiedzi na tę depeszę, gen. Iżycki meldował między innymi:

„Według naświetlenia S.O.E. i Air Ministry, Marszałek dowódca M.A.A.F. prowadzi operacje na Polskę i on decyduje jaki ma być wysiłek i ile dać załóg.

Air Ministry zgodziło się na utrzymanie stanu dyonu na 18 załóg.

Rozumiem położenie kraju i dokładam wszelkich starań, ale melduję, że nie mogę ponosić odpowiedzialności za prace dywizjonu, którym rozporządza ppłk. Hańcza (vide depesza), który pracuje z przepustowością o wiele większą niż to było przewidziane i planowane, poza moją wiadomością, przez Oddział Specjalny.

Zużycie się polskich załóg na pracę nie na Polskę powinno wywołać niewspółmiernie większy wysiłek załóg angielskich dla nas obecnie.

Przy takim tempie pracy zasoby załóg naszych wystarczą na bardzo krótko i będą dochodzić do dywizjonu z opóźnieniem, nawet przy największych moich wysiłkach i dobrej woli Air Ministry”.

Brytyjczycy udzielili Warszawie pomocy z dobrą wolą i

w największych rozmiarach na jakie ich było stać. Straty brytyjskie były nawet większe od naszych — zginęło 19 załóg. Wszystko to nie wystarczało gen. Sosnkowskiemu; nie znając się widocznie zupełnie na sprawie sprzętu lotniczego i nie wierząc w stan tego sprzętu meldowany mu i podawany do wiadomości ze strony brytyjskiej, oskarżał sprzymierzonych o złą wolę, o nieudolność organizacji. Wysiłki lotnictwa były duże i niezwykle krwawe, ale korzyści dla Warszawy były bardzo małe, o czym daremnie starano się gen. Sosnkowskiego przekonywać. Nie rozumiejąc warunków pracy załóg, żądał niemożliwości — bo improwizacji, której lotnictwo — szczególnie w ówczesnych warunkach — w zasadzie nie znosi. Powstanie nie było planowane i pomoc dla powstania nie była przygotowana, ale nie było w tym winy lotnictwa, ani władz brytyjskich.

Zachodzi pytanie, czy w rzeczywistym stanie rzeczy wiosną 1944 roku, gen. Sosnkowski mógł inaczej rozwiązać sprawę zrzutów dla kraju, jeśli wzmoczenie zapotrzebowania było przewidywane? Wydaje mi się, że tak.

Ponieważ oddanie lotnictwu uzupełnień wiosną 1944 r. było już spóźnione, a zatem niecelowe, można było opracować plan wsparcia lotniczego — realny, a nie tak fantastyczny jaki był, przekraczający w ogóle możliwości techniczne lotnictwa — i przedstawić go władzom brytyjskim z następującym wnioskiem: jesteśmy pewni, że jeszcze w tym roku kraj będzie wymagał dużo zrzutów i chcemy by polskie załogi do tych zrzutów były przygotowane; w tym celu prosimy o wycofanie 300 dywizjonu z lotnictwa bombowego i połączenie go z eskadrą 1586 w polski dywizjon, trzyskadrowy, do specjalnych zadań. Rozumiemy, że wysiłek lotnictwa bombowego jest obecnie wzmoczony i ważny dla Sprzymierzonych, ale dla nas ważniejsza jest sprawa pomocy dla kraju; jeden dywizjon nie wpłynie wydatnio na siłę uderzeniową Bomber Command, natomiast Polsce odda duże usługi. Pozostałe załogi w ośrodku wyszkolenia Bramcote prosimy odsyłać po kursie do 300 dywizjonu, co pozwoli na utrzymanie trzech eskadr w tym dywizjonie i pewną ilość załóg rezerwowych. Prosimy nie używać polskiego dywizjonu od maja do innych zadań, jak tylko do Polski. Sądzymy, że wobec usług jakie Polskie Siły Powietrzne oddały W. Brytanii, zarówno w *Battle of Britain*, jak w późniejszych działaniach i obecnych naszego lotnictwa myśliwskiego, bombowego i dywizjonu obrony wybrzeży, mamy prawo domagać się tego ustępstwa na rzecz sprawy polskiej.

Takie jasne i wczesne przedstawienie sprawy władzom brytyjskim spotkałoby się zapewne z przychylnym przyjęciem.

W rezultacie, eskadra 1586 nie zużyłaby swego sprzętu i załóg w ciągu maja, czerwca i lipca, trzyeskadrowy dywizjon miałby na Powstanie Warszawskie około 30 załóg, które w międzyczasie przeszłyby odpowiednie przeszkolenie; ponadto, Brytyjczycy, będąc uprzedzeni o możliwości powstania, mieliby możliwość wszcząć rozmowy o pomoc Polsce z Amerykanami i Rosją w maju czy czerwcu, co również dałoby jakieś konkretne wyniki.

Takie rozwiązanie byłoby możliwe, gdyby Naczelnny Wódz, rozumiejąc odrębność i złożoność zagadnień lotniczych, uznawał w dowódcy P.S.P. swego najbliższego pomocnika w planowaniu i powierzył sprawę wsparcia lotniczego sztabowi lotniczemu. Ponieważ tak nie było, lotnictwo nasze i Sprzymierzeni zostali całkowicie zaskoczeni wypadkami. Rozpaczliwe, nieraz gwałtowne i nieprzemyślane *démarche* w sierpniu naszego rządu, ambasadorów i Naczelnego Wodza, mogły w rezultacie dać tylko namiastkę improwizowanych posunięć. Przykładem jest pomoc lotnictwa amerykańskiego. Pomimo najlepszych chęci Amerykanów, sprawa lotów ich lotnictwa bombowego była z natury rzeczy przewlekła, trzeba bowiem było uzyskać zgodę Waszyngtonu, uzgodnić z Rosją lądowanie na lotniskach sowieckich, przygotować wyprawy — a to wszystko wymagało czasu. Polski zapał i kawaleryjska improwizacja w ostatniej chwili należały do 1920 roku, toteż w 1944 roku robiły wrażenie chaotycznych, rozpaczliwych i bezplanowych posunięć.

Zakończenie

Zapewne każdy Czytelnik wysnuje własne wnioski z tego studium. Rozważania moje opierają się na interpretacji faktów i dokumentów oraz na własnych obserwacjach. Mogę się mylić w szczegółach, ale sądzę, że nie popełniam zasadniczego błędu i nie daję krzywdzących naświetleń. Mój wniosek końcowy zawiera się w zdaniu wypowiedzianym w czasie wojny przez płk. dypl. O. Tuszkiewicza: Lotnictwo nie miało szczęścia do naczelnnych wodzów.

W obronie naczelnnych wodzów można moim zdaniem podkreślić jako okoliczność łagodzącą, że lotnictwo nie miało starszego oficera o dużym autorytecie i silnym charakterze, który potrafiłby jasnym i stanowczym przedstawieniem zagadnień lotniczych naprowadzić Naczelnego Wodza na właściwą drogę. Odrodzone po stuletniej przerwie wojsko polskie nie miało nowoczesnych doświadczeń i tradycji, a na wysokich stanowis-

kach znaleźli się z konieczności ludzie niedostatecznie przygotowani do swoich zadań. W tych warunkach było rzeczą naturalną, że najmłodsza broń — lotnictwo — musiała uciepć najwięcej.

Kluczem do stosunku naczelných wodzów i sztabu głównego do lotnictwa jest sprawa uzupełnień. Od początku do końca nie rozumiano, że straty lotnictwa są tego rzędu iż należy dawać lotnictwu roczne uzupełnienia w ilości *stuprocentowej obsady liniowej personelu latającego*; mówiąc inaczej, trzeba posiadać w rezerwie 100% personelu latającego i 100% w szkoleniu. Twierdzenie to było znane od dawna, opierało się bowiem na doświadczeniach pierwszej wojny światowej: mieliśmy je w Polsce niestety tylko w podręcznikach lotniczych, natomiast Niemcy i Brytyjczycy, a później Amerykanie, wcielili je w życie. Błąd popełnionego w kraju nie można było już naprawić, ale na obczyźnie trzeba było się zdecydować wyraźnie: jeśli chciano mieć duże lotnictwo, to należało z góry przewidzieć dla lotnictwa uzupełnienia i dopilnować, by lotnictwo je dostało; jeśli natomiast inne względy nie pozwalały przewidywać oddania lotnictwu potrzebnych uzupełnień, to należało ograniczyć ambitne plany i zamiast 14 dywizjonów — poprzestać w Anglii na 8 dywizjonach.

Druga wojna światowa potwierdziła tezę dotyczącą strat i konieczności uzupełnień lotnictwa. W latach 1941-1945 mieliśmy w linii przeciętnie 700 członków personelu latającego; straty ogólne za okres pobytu w W. Brytanii wynoszą 2258 członków personelu latającego, co stanowi ponad 300% etatowego personelu.

Marynarka wojenna i lotnictwo walczyły bez przerwy od września 1939 do kwietnia 1945, natomiast wojsko miało prawie cztery lata przerwy w działaniach bojowych po kampanii francuskiej, z wyjątkiem Brygady Karpackiej. Stąd też porównanie lotnictwa z marynarką wojenną pod względem strat i uzupełnień otrzymanych w czasie wojny jest właściwe i bardzo charakterystyczne.

W stosunku do wyjściowych stanów w lipcu 1940 r., straty marynarki wojennej wynoszą 50% stanu (404 marynarzy), a lotnictwa 28%, natomiast w stosunku do końcowych stanów z maja 1945 r., straty marynarki wojennej stanowią około 11%, a lotnictwa około 18%. Przyczyną tego jest to, że marynarka wojenna otrzymała w latach 1940-1945 ponad 400% uzupełnień w stosunku do swych stanów wyjściowych, natomiast lotnictwo tylko około 65%. Uzyskanie przez marynarkę wojenną dużych uzupełnień było zapewne zasługą admirała Świrskiego, który potrafił argumentować i żądać. Ciekawe są liczby bezwzględne:

oto marynarka wojenna której stany wyjściowe były dokładnie dziesięć razy mniejsze od stanów wyjściowych lotnictwa (800 i 8150) otrzymała około 3500 ludzi jako uzupełnienia, a lotnictwo około 5250.

Straty wojska w stosunku do ogólnych jego stanów były mniej więcej trzy razy mniejsze od strat marynarki wojennej, a sześć razy mniejsze od strat lotnictwa.

Sądzę, że na tle strat — które były przez lotnictwo przewidywane i powinny były być znane sztabowi Naczelnego Wodza — brak zrozumienia zagadnień lotniczych przejawiający się najjaskrawiej w stałym odmawianiu lotnictwu uzupełnień jest jasno widoczny i niezaprzeczalny. Na tym też tle zamiary naczelnych wodzów rozbudowy lotnictwa wydają się zamkami budowanymi na lodzie, a pretensje do lotnictwa i do sprzymierzonych w związku z Powstaniem Warszawskim, różnych czynników wojskowych i cywilnych naszej emigracji, są jeszcze jednym dowodem nierozumienia istoty lotnictwa, a częściowo — być może — chęcią znalezienia kozła ofiarnego za brak dobrego planowania i uzgodnienia ze sprzymierzonymi działań w kraju.

Franciszek KALINOWSKI

CZY MOGLIŚMY UNIKNĄĆ KLĘSKI WRZEŚNIOWEJ

Od początku II wojny światowej minęło blisko ćwierćwiecze. W świetle materiałów ogłoszonych i wciąż ogłaszanych, wiele ubiegłych wypadków wygląda inaczej, wiele opinii uległo zmianie. Słuszne więc będzie zrewidowanie naszego stosunku do sprawy napaści Niemiec na Czechosłowację w 1938 r. Twierdzę, mianowicie, na podstawie dostępnych obecnie materiałów, że gdybyśmy wtedy stanęli w obronie Czechosłowacji, mieliśmy wszelkie szanse wyjścia zwycięsko z zatargu, czy nawet wojny z Niemcami.

W niniejszym szkicu pragnę zająć się, wyłącznie stroną woj-skową zagadnienia. Jednak, dobrze będzie wyliczyć po krótku, decyzje i trudności natury politycznej z takim stanowiskiem związane.

Niewątpliwie, najtrudniejszą byłaby decyzja wrogiego wystąpienia przeciw Rzeszy. Pamiętajmy, że w 1938 roku, Niemcy nie wysuwały jeszcze konkretnych żądań w stosunku do Polski. Pogorszenie, czy zerwanie stosunków obciążałoby nas.

Nawiązanie sojuszu zależałoby nie tylko od nas, ale i od Czechosłowacji. Trudne byłoby przekonanie drugiej strony, że siły Polski i Czechosłowacji wystarczą do stawienia oporu Rzeszy.

W świetle ówczesnych wypadków zakończonych Monachium, występowało ryzyko wycofania się Francji z zobowiązań sojuszniczych.

Istniało ryzyko wkroczenia Rosji na teren Polski, pod pozorem marszu na pomoc Czechosłowacji. To ryzyko wydaje się mniejsze. Byłoby to gwałcenie terytorium sojusznika czeskiego —

sytuacja niewygodna dla Rosji na rynku międzynarodowym. Trzeba, również, pamiętać: pakt Ribbentrop-Mołotow jeszcze nie istniał.

Widzę te trudności jasno. Zdaję sobie sprawę dokładnie jak trudną by była decyzja opowiedzenia się po stronie Czech. Polska stała na rozdrożu swojej historii.

Za powzięciem takiej decyzji przemawiał jeden jedyny ale przesądzający sprawę fakt: bez oparcia o niepodległą Czechosłowację, Polska stawiała się bezbronną.

Do czasu dojścia Hitlera do władzy, potencjały wojenne Polski i Niemiec były, z grubsza mówiąc, równe. Armia polska była silniejsza ilościowo. Reichswehra była wsparta 100.000-ną zmilitaryzowaną policją i licznymi paramilitarnymi związkami. Obie były słabo wyposażone technicznie. Od 1933 roku stosunek ten zaczyna zmieniać się gwałtownie na korzyść Niemiec. Według obliczeń naszego Sztabu Głównego (z 1936 roku), miały niemieckie siły zbrojne osiągnąć w 1939 roku siłę ilościowo równą połączonym siłom, Francji i Polski. Ich możliwości materiałowe przyjęto za nieograniczone¹. Nie mieliśmy szans w tym wyścigu zbrojeń. Biedna Polska, z jej ubogim przemysłem, musiała pozostać w tyle. Jeśli mieliśmy się oprzeć Rzeszy, musieliśmy szukać rozwiązania przed 1939 rokiem i w specjalnie dogodnych okolicznościach. Takie okoliczności stwarzał nam konflikt czesko-niemiecki.

Armia polska przedstawiała niską wartość bojową. Wiemy o tym teraz, wiedzieli o tym wtedy rzeczoznawcy wojskowi zagranicą². Zastrzegam się, że nie mówię o wartości bojowej polskiego żołnierza, ale o całości sił zbrojnych jako maszynie wojennej. Posiadane zapasy materiału wojennego, pozwalały na bardzo krótki okres działań³. Przemysł nie był zdolny do pokrycia nawet bieżących potrzeb. Nasi sprzymierzeńcy musieli więc nie tylko dać nam pomoc zbrojną, ale i zaopatrywać nas w sprzęt i materiał wojenny. Do tego zadania nie była zdolna Francja w wypadku wojny z Niemcami. Przeszkadzało w tym jej geograficzne położenie — „po tamtej stronie wzgórz”. Droga przez Bałtyk stawiała się zamknięta. Droga przez Rumunię kończyła się ciąsniną jedynej linii kolejowej.

1. Patrz. Mjr, dypl. rez. Władysław Steblik — „Studium Niemcy”, *Wojskowy Przegląd Historyczny*, Warszawa 1960 r. Nr 3 (16). Str. 334-359.

2. Patrz uwagi o armii polskiej u: B.H. Liddell Hart, *Defence of Britain*, Faber & Faber Ltd. London, July 1939.

Max Werner *The Military Strength of the Powers*, Victor Gollancz Ltd. London, March 1939.

3. *Polskie Siły Zbrojne w drugiej Wojnie Światowej*. Komisja Historyczna Sztabu Głównego, Londyn, 1951, t.I., cz. I., str. 221-228.

W zakresie zaopatrzenia wojennego, musieliśmy więc szukać sojusznika silnego przemysłowo, a sąsiadującego z nami. Skoro nie mogliśmy korzystać z pomocy Rosji, pozostawała już tylko Czechosłowacja. Wyboru nie było.

Również, z operacyjnego punktu widzenia, był to dla nas wymarzony sojusznik. Siły niemieckie uderzające na Polskę podstawiały swe skrzydło pod uderzenie czeskie i odwrotnie. Czechosłowacja we władaniu niemieckim odsłaniała całe nasze południowe skrzydło, umożliwiając podwójne oskrzydlenie.

Czy czas i okoliczności były dogodne dla naszego wystąpienia?

Stanowczo: Tak. Uprzedzając niemiecką napaść o jeden rok, wykorzystalibyśmy specjalne, niepowtarzalne okoliczności. Wyjątkową, chwilową koniunkturę.

Rozpoczynaliśmy zatarg mając sojusznika, który:

- osłaniał nasze skrzydło, zagrażając skrzydłu przeciwnika;
- wspierał nas silną ilościowo i technicznie armią;
- stanowił dla nas bazę niezbędnego nam do prowadzenia wojny zaopatrzenia, położoną w praktycznym zasięgu.

Występowaliśmy wobec przeciwnika, który nie był do wojny przygotowany.

Bowiem, Rzesza nie była zdolna do prowadzenia wojny⁴.

Pamiętamy, że w owym czasie minęło zaledwie trzy lata od zerwania przez Hitlera ograniczeń traktatu wersalskiego. Dzieściodywizyjna Reichswehra przestała istnieć. Jako kadra instruktorska rozplynęła się w masie tworzącej się, nowej, zakrojonej na wielką skalę armii.

W 1938 roku, armia niemiecka liczyła już około 80 dywizji, czynnych, rezerwowych i obrony krajowej. W większości swej, jednak, były to, jeszcze ciągle, bardziej obozy ćwiczeń, niż formacje bojowe. Feldmarszałek Keitel zeznał na procesie norymberskim, że faktyczne siły armii sprowadzały się w okresie „Mo-

4. Omawiając siły zbrojne Niemiec i ich planowane użycie, korzystam głównie, z następujących źródeł;

— *Polskie Siły Zbrojne* — jak wyżej; Mjr. Steblik — *Studium Niemcy* — jak wyżej;

— František Ryzner — *Obrona Republiki Czechosłowackiej w okresie monachijskim* — *Historie a vojensty*, 4/56. Czytelnik znajdzie obszernie streszczenie w nr. 4/57. „Wojskowego Przeglądu Historycznego” Warszawa.

— Telford Taylor — *Sword & Swastika*, Victor Gollancz, Ltd., London 1953;

— Andrew Rothstein — *Spisek Monachijski* — tłum, z ang., Książka i Wiedza, 1961.

nachium” do 27 dywizji czynnych i 7-8 dywizji rezerwowych. Reszta istniała tylko na papierze, lub „szkieletowo”.

W tym czasie, wprowadzano nowy sprzęt tak w piechocie, jak i w broni pancernej. Wymagało to dodatkowego czasu szkolenia⁵. Wreszcie, armia nie posiadała artylerii ciężkiej. Broń ta, konieczna przy forsowaniu umocnień, sprowadzała się do 23 haubic 21 cm.

Równie źle wyglądała gotowość lotnictwa. Załogi w jednostkach, przeciętnie, dopiero przed paru miesiącami opuściły szkoły personelu latającego. To samo dotyczyło personelu naziemnego. Eskadry były w trakcie przezbierania się ze sprzętu przestarzałego, na nowoczesny.

Siły zbrojne Niemiec z tego okresu nie mogą być porównywane z ich potencjałem z „Września”. A daleko im do ich punktu szczytowego z lipca 1944 roku.

Dlatego, generał F. Halder, ówczesny szef niemieckiego sztabu generalnego, oświadczył na procesie norymberskim: „...dla tych, którzy znali istotne położenie, nasze plany strategiczne w odniesieniu do Czechosłowacji, nie były niczym innym jak zwykłą błągą (*bluff*)”.

W swojej obronie Czechosłowacja była zdolną do wystawienia słabszej ilościowo armii. Ściśle, teoretycznie słabszej. Plan mobilizacyjny przewidywały 45 dywizji. Trzy z nich były dywizjami „szybkimi” (z brygadą czołgów), a co najmniej jedna zmotoryzowanej piechoty⁶. Armia ta, w przeciwieństwie do niemieckiej, rozwijała się, organizowała i szkoliła w normalnym pokojowym tempie. Przedstawiała jedną z najlepiej zorganizowanych i wyposażonych sił zbrojnych Europy. Posiadała silną artylerię ciężką i lepsze, silniej uzbrojone od niemieckich, czołgi⁷. Czołgów na wyposażeniu armii było około 500.

Armię wspierało lotnictwo o sile około 500 maszyn pierwszej linii, oraz silna artyleria przeciwlotnicza (ponad 500 dział).

Cały sprzęt sił zbrojnych był pierwszej jakości i nowoczesny. Nagromadzone zapasy amunicji bardzo duże⁸. Wywakuowane do Słowacji zakłady Skoda, stanowiły obfite źródło dalszego uzupełniania sprzętu i amunicji.

5. Sprzęt pancerny stanowiły, niemal wyłącznie, czołgi Pz. Kpfw. I. — wagi 5.3 ton, uzbrojenie 2 km.: sprzęt typu rozpoznawczego.

6. Dane o armii czechosłowackiej jak (4).

7. Patrz R.M. Ogórkiewicz — *Armia*, F.A. Praeger, New York 1960; oraz A. Rothstein — jak wyżej.

8. Niemcy kampanię wrześniową (a więc w rok później) kończyli na resztkach amunicji. To samo miało miejsce w 40 roku, w kampanii francuskiej.

Armia czechosłowacka ustępowała niemieckiej pod względem motoryzacji. Na ówczesne stosunki, kraj, jako całość, był dobrze zmotoryzowany posiadając 24.000 samochodów ciężarowych.

Wzdłuż granic z Niemcami, Austrią i Polską ciągnęły się umocnienia zbudowane na podstawie doświadczeń i przy pomocy inżynierów francuskich, twórców linii Maginot. O ich rozmiarach niech świadczy fakt, że koszt ich budowy wyniósł 7 miliardów koron czeskich.

W zależności od potrzeb i terenu, system fortyfikacji składał się z jednego, dwu lub trzech pasów. Każdy pas tworzyła jedna do trzech pozycji złożonych z fortów. Forty były wyposażone w wieże i kopuły pancerne, ruchome wieże artyleryjskie, przeszkody przeciwko piechocie i zapory przeciwczołgowe. Forty były żelbetonowe i posiadały specjalne działa i karabiny maszynowe. Gęstość ich, zależnie od terenu, wynosiła 1 — 9 na kilometr frontu. Forty lekkie i średnie były odporne na trafienia pocisków do 105 mm., ciężkie — do 210 mm. Były i takie, które wytrzymywały wszelkie, ówczesnie możliwe, kalibry. W przerwach między fortami były gniazda karabinów maszynowych, niektóre z żelbetonu.

Podkreślam, całość miała głębokie ugrupowanie.

Kraj był przygotowany do wojny. Armia zmobilizowana, tereny przyszłych walk ewakuowane, przemysł wojenny (Skoda) przesunięty na tereny słowackie. Zdaniem prezydenta Benesza, państwo było całkowicie przygotowane do wojny, z wyjątkiem dwu czynników: niepełnego wykończenia południowych, od strony Austrii, umocnień i cywilnej biernej obrony przeciwlotniczej⁹.

Plan obronny czeskiego sztabu polegał na utworzeniu czterech armii. Jedna z nich w sile 8 dywizji miała osłaniać od kierunku Polski i Węgier. Trzy pozostałe w sile ogólnej 29 dywizji przeznaczone były do obrony przed napaścią niemiecką. W ręku naczelnego wodza był odwód, położony centralnie, o sile 8 dywizji piechoty.

Ugrupowanie było bardzo silne. Na przykład, były korpusy, które ze swoich dwu dywizji, jedną miały w linii, a drugą w odwodzie. Charakterystyczne: miejsce postoju naczelnego dowództwa było nie w stolicy, ale w miejscowości Vyškov. Zdaje się to świadczyć o głębokim przetrawieniu problemów nowoczesnej wojny.

9. Dr E. Beneš *Memoirs*, George Allan & Unwin, London 1954.

Projektowane uderzenie na Czechosłowację ujęte zostało przez niemiecki sztab generalny w planie „Zielonym” (*Fall Gruen*). (W rok potem, kampania polska przebiegała według planu „Białego” — *Weiss*).

Plan ten przewidywał wystawienie osłony od strony Francji i Polski. Pierwsza tworzyła grupę armii złożoną z trzech armii. Druga z dwu osobnych armii położonych we Wschodnich, względnie Zachodnich Prusach. Na osłony te składały się, prawie wyłącznie, dywizje rezerwowe i obrony krajowej. Nie posiadały związków pancernych lub zmotoryzowanych.

Do uderzenia na Czechosłowację przeznaczano 39 dywizji (jak mówiliśmy poprzednio, mniej lub więcej istniejących i mniej lub więcej gotowych do działań).

Dywizje te tworzyły pięć armii otaczających Czechy półkolem.

Początkowy plan niemieckiego sztabu przewidywał wiązanie armii czechosłowackiej na całej linii, ze skierowaniem głównego wysiłku na odcięcie Czech i Moraw (ze znajdującym się tam gros armii czeskiej) od Słowacji.

W tym celu przewidywano dwa główne uderzenia: z kierunku (ogólnie mówiąc) Wrocławia na Ołomuniec i z Wiednia na Brno.

Hitler, osobiście, zmienił ten plan, dodając trzeci główny wysiłek, a mianowicie, z zachodu na Pragę. Na jego rozkaz, kierunek praski otrzymywał większość dywizji szybkich.

Tym sposobem, zatracał się w planie tak zwany „punkt ciężkości” uderzenia. Wszystkie kierunki natarcia stawały się jednako ważne. Psychologicznie mogło to mieć znaczenie, paraliżując wolę przeciwnika atakowanego nagle ze wszystkich kierunków. Wynik mógł być podobny, do osiągniętego w rok potem w Polsce.

Muszę dodać, że wszystkie 39 dywizji przewidzianych do głównego działania były dywizjami czynnymi i w ich skład wchodziły wszystkie dywizje pancerne, lekkie i zmotoryzowane w ilości dziesięciu.

Sumując, 39 dywizji z nieukończoną organizacją, i wyszkoleniem, z częściowo przestarzałym, a częściowo świeżo otrzymanym sprzętem, ma atakować 37 dobrze wyszkolonych i wyposażonych dywizji, które bronią silnych umocnień.

Atakujący nie posiada ciężkiej artylerii. Jego broń pancerna jest typu lekkiego. Jego zapasy amunicji — bardzo ograniczone.

Jedyną przewagę posiada on w lotnictwie. (około 2.000 do 2.500 maszyn). Ale ta przewaga jest ograniczoną przez małe

doświadczenie personelu i przez sprzęt, częściowo przestarzały, częściowo właśnie otrzymany.

Nie należy ukrywać trudności drugiej strony. Poza niedociągnięciami natury wojskowej, wymienionymi wyżej (które państwo przystępuje do wojny całkowicie gotowe?), Czechosłowacja miała trudności wewnętrzno-polityczne. Jak mówi A.J.P. Taylor¹⁰: jedynie Czesi byli Czechosłowakami a i ci pod warunkiem, że będzie to czeski czechosłowacyzm. W tym naprawdę demokratycznym państwie, wszystkie pozostałe narodowości były, mimo wszystko — mniejszościami. Miały zapewnioną wolność i swobodę, ale nie równość. Stan ten powodował stałe niezadowolenie mniejszości. Trudno przypuścić, by bez rozbicia państwowości czeskiej z zewnątrz, Słowacy, lub Rusini dążyli do wyodrębnienia się w samodzielne państwa, ale stan niezadowolenia nie przyczyniał się do jednolitości państwa.

W obliczu konfliktu z Rzeszą, poważnym problemem stała się „mniejszość” trzech milionów Niemców sudeckich. Ich przywódca, Henlein, prowadzący rzekomo samodzielną politykę, był w rzeczywistości kukłą w rękach Hitlera, wykonującą ślepo jego rozkazy. Ci Niemcy sprawiali główne trudności, ale i oni nie potrafili rozsadzić państwa od wewnątrz. Gdy 13 września spróbowali rozpocząć rewoltę, w dwadzieścia cztery godziny spokój i porządek zostały przywrócone. Co więcej, wielu Niemców sudeckich, do tej chwili biernych, pośpieszyło z zapewnieniem swej lojalności i swojej chęci pozostania w ramach dotychczasowego państwa.

Problem, więc, mniejszościowy, nie był nie do pokonania.

Brzmi to paradoksalnie, ale, bodaj największą przeszkodą w obronie państwa, stanowiła osoba jego prezydenta dr. Edwarda Benesza. Zaufany Masaryka, jeden z twórców republiki, nie miał odwagi narazić ludności na cierpienia i straty wojny. Zgodziłby się na udział w wojnie powszechnej. Nie chciał podejmować walki w pojedynkę. W rozgrywce z Hitlerem, gotów był ryzykować wysokie stawki, nie był zdolny zagrać o najwyższą. W ostateczności, należy schylić kornie głowę i mieć nadzieję, że Czesi przeżyją katastrofę. Jego stanowisko najlepiej charakteryzują słowa, które miał wypowiedzieć, gdy po zakończeniu wojny, powrócił do Pragi. Patrząc z okien Hradczyny na roztaczający się przed nim widok Pragi, powiedział: „Jaka ona piękna! Jedyne niezniszczone miasto środkowej Europy. I to moja zasłu-

10. A.J.P. Taylor — *The Origins of the Second World War*, Hamish Hamilton, London 1961.

ga". Nawet wtedy, po okupacji niemieckiej, po Jałtach i Poczdamach — Benesz nie rozumiał...

Stanowisko swego prezydenta podzielali Agrariusze, najliczniejsza partia rządowej koalicji. I tak powstała sytuacja, że mimo gotowości społeczeństwa, mimo gotowości do wojny całej ma-
chiny państwowej, Czechosłowacji potrzebny był bodziec zewnętrzny, który by ją popchnął w kierunku obrony własnej niepodległości. Tym bodźcem miały być Francja i Wielka Brytania. Takim bodźcem mogła być Polska.

Zgodnie z naszym planem mobilizacyjnym „W” (wprowadzonym w życie w maju 1938 roku), na stan polskiej armii składały się:

- 30 dywizji piechoty czynnych;
- 7 dywizji piechoty rezerwowych;
- 11 brygad kawalerii;
- 1 brygada pancerno-motorowa.

Armia dysponowała lotnictwem w sile około 400 samolotów I. linii (w 1938 roku o jeden rok mniej przestarzałych i z większym zapasem niż w 39 roku).

Prócz wyżej wymienionych sił: kilkadziesiąt batalionów „Obrony Narodowej”, częściowo łączonych w brygady. O.N. była zdolna do spełniania zadań powierzanych w innych armiach pospolitemu ruszeniu lub obronie krajowej.

Nie wchodząc w szczegóły, armia nasza była źle wyposażona. Rezultatem była mała, w stosunku do niemieckiej, siła ogniowa i mała ruchliwość.

Jednak, była to siła dostatecznie duża, by mogła zaważyć na szali wypadków. Zwłaszcza, w sprzyjających warunkach. A właśnie takie w omawianym okresie zaistniały. Była to krótka, chwilowa koniunktura. Szansa, która się nie powtarza.

Spróbujmy ustalić militarne położenie Polski, w jakim by się ona znalazła w wypadku stanięcia w obronie Czechosłowacji.

W sytuacji narzuconej niemieckim planem „Gruen”, musiałoby polskie dowództwo wydzielić pewne siły do osłony kierunków zagrożenia od niemieckich armii Prus Wschodnich i dolnej Odry.

Jakieś siły musiałyby być użyte do utrzymania styku z armią czeską na Śląsku.

Po wydzieleniu tych sił, pozostawałoby jeszcze w rękach naczelnego dowództwa jakieś dwadzieścia, a może dwadzieścia kilka dywizji, względnie ich równowartość.

I jaki los spotkałby ów plan „zielony” i niemieckie możliwości zaatakowania Czechosłowacji, gdyby te dwadzieścia dywizji pojawiło się gdzieś na kierunku środkowej Odry? Odpo-

wieść na to pytanie dał, już w lipcu 1939 roku, kapitan Liddell Hart. Napisał on, mianowicie:

„Dużo by zależało od tego, czy Niemcy ośmieliłyby się... uderzyć wzdłuż linii Odry... Przyjmując ten kierunek uderzenia, siły niemieckie podstawiałyby swe linie zaopatrzenia pod potencjalnie zgubne uderzenie Polski. Wydaje się wątpliwe, czy podjęliby oni podobne ryzyko, nie będąc pewni pomocy Polski, lub, przynajmniej, jej życzliwej neutralności”¹¹.

Rozwińmy myśl Liddell Harta. Jak starałem się wykazać powyżej, siły niemieckie nie były gotowe do wojny. Były też zbyt szczupłe w stosunku do ewentualnych zadań, jeśli, nawet, przyjmimy za ściśle, oficjalne, „papierowe” stany. Wypłynęła z tego konieczność planu „zielonego” wygospodarowania wszystkich, możliwych sił. Do spotkania polskiego zagrożenia nie było rozporządzalnych sił. Trzeba by je było wyciągać spośród przeznaczonych przeciwko Czechosłowacji. Cyfra 39 dywizji spadała w dół. Obrona czeska, 37 dywizji, wzrastała o dywizję strzegące polskiej granicy.

W podanej sytuacji, *bluff* niemieckiego zagrożenia, okazywał się w całej pełni.

Wynikiem najprawdopodobniejszym, byłoby wycofanie się Niemiec z żądań stawianych Czechosłowacji.

Czy zahamowałyby to, raz na zawsze, zamiary agresywne Hitlera?

Czy nie byłoby to końcem jego politycznej kariery?

Możliwe. Istniały, wtedy, bardzo silne, anty-nazistowskie prądy w Rzeszy. Że wspomnę, przekreślony przez Monachium, spisek generałów, tak zwany spisek Haldera.

Takie i podobne przypuszczenia można snuć w nieskończoność. Nie mają one, jednak, oparcia w rzeczywistości historycznej.

Osobiście, jestem pewny że: jakkolwiek potoczyłyby się wypadki, nie mogłoby nas spotkać nic gorszego jak wojna o rok wcześniej. Ale wojna w roku 1938 byłaby dla nas wojną, a nie pogromem.

Mogę się spotkać z zarzutem, że jeśli nawet sytuacja militarna była dla nas ówczesnie pomyślna, to opowiedzenie się po stronie Czechosłowacji byłoby zbyt gwałtowną woltą polityczną, pozbawioną realnej możliwości.

Odpowiem: historia notuje gwałtowniejsze wolty w poli-

11. B.H. Liddell Hart — *Defence of Britain*, Faber & Faber Ltd. London, July 1939, str. 56.

tyce. By nie odbiegać zbyt daleko w czasie od omawianych wypadków:

— czy porozumienie Rosji komunistycznej z Rzeszą hitlerowską, której naczelnym hasłem była walka z komunizmem, w pakcie Ribbentrop — Mołotow, nie było bardziej rewolucyjne?

— czy w czerwcu 1941 roku, uznanie Rosji sowieckiej za „drogiego sojusznika” przez jej najzaciętszego wroga — Winstona Churchilla — nie było zwrotem, o którym nikomu się przed wojną nie śniło?

Kierunki polityki wytyczają potrzeby państwa. A do kierowania losami kraju trzeba mieć wytknięty cel i zdolność widzenia w przyszłość.

Tadeusz NOWACKI

Z OKAZJI NIEDAWNEJ ROCZNICY

Rok: 1906. Miejsce: Częstochowa. Wiosna. Kilka białych obłoczków płynie — wolno — wolno. Tylko dla ożywienia, pogłębienia błękitu.

Obszerłą łąkę na Dębiu osłoniły od drogi domki, chałupy, parkany, ogródki. Spoza wybujałych drzew nie widać huty Rakowa. Po przeciwnej stronie, w dali, ku miastu, rudawe cegły bloku przedzalni Częstochowianki. *La Czestochovienne*. Należy do Francuzów. Jej basową syrenę na każdą zmianę wyprzedza dźwięczny głos Rakowa, rozpoczynającego swój przyzew przedziwnie czystym akordem.

Na łące ruch. Gromadki ludzi stoją bezładnie, przechadzają się. Tam kilka osób leży na trawie — palą papierosy. Ludzie poważnie młodzi. Wyglądają krzepko. Spacerują — zadowoleni. Ubrania odświętne. Tylko z rzadka widać spodnie wpuszczone w buty. U większości zaprasowane na kant. Krawaty wiązane z fantazją — motylki i szale i obfite kokardy, albo zgoła „mickiewiczowskie”, osłaniające cały trójkąt wcięcia kamizelki. Ubrania te przez cały tydzień wiszą na ramiączkach w szafie, więc są świeże, wyglądają jak z igły. Są i barwne koszule. Bielizna czysta, wyjęta dziś rano z komody. Dyrektor Stanisław Surzycki wraz z całym zespołem inżynierów dużo tu włożyli wysiłku, by odpowiednio postawić organizację pracy i odpowiednio podnieść zarobki. Lekarz fabryczny, dr Mieczysław Michałowicz nie mało czasu poświęcił dla podniesienia kultury życia codziennego. Wciągał do tej roboty wszystkich — nawet partyjników. Robotnik Rakowa wygląda też dziś zupełnie inaczej niż przed dwoma laty. Nie trudno poznać go w Częstochowie.

Schodzą się ludzie i z innych dzielnic — z Ostatniego Grosza, z Warszawskiej, spod Jasnej Góry. Czekają na widowisko.

Zetrą się tu w dyskusji publicznej wybrani mówcy z PPS i SDKPiL. Warunki spotkania ułożono już z góry. Z każdej strony po trzech. Każdy mówi dwadzieścia minut. Partie przemawiają na przemian. Która rozpoczyna — rozstrzygnie los. Kolejność własnych mówców zostawiono do uznania stron. Do pilnowania warunków i porządku każda partia wyznaczyła po dwóch gospodarzy. Będą oni udzielać głosu i nadzorować zgromadzenie.

Mówcy już są gotowi. Ze strony PPS wystąpi Julia (Horwitzówna) — średniego wzrostu, szczupła, ciemna, nieco surowa. Dotrzymuje jej towarzystwa Edward (Marian Dąbrowski) — nieco zaokrąglony, różowy. Jasny zarost sroży się w strzyżonych wąsach i małej brodzie. Edward zabawia dwornie Julię, śmieje się, gada. Więc i po jej twarzy przebiega chwilami uśmiech — nawet nie ironiczny. Rada jest z uprzejmości Edwarda — choć nie bardzo mu ufa, bo to ten, ze „starych”. Obok nich Maciej — podpisany, do usług.

Opodal grupa esdeków. Jest oczywiście luminarz lokalny Henryk (Henryk Wyrzykowski). Chudawy, pochylony nieco, niestrzyżony zarost, okulary. Z nim jego adiutant, drukarz, krępy Bölke, o okrągłej twarzy. Jest i przyjezdny, na gościnnym występie, Feliks (Feinstein). Nie widziałem go dotąd. Julia powiada, że groźny w polemice — bezwzględny. Z nimi ktoś jeszcze. Ładnie zbudowany, skórzana kurta. Wąsy w szpice, ciasno skrócone. Jest ruchliwy. Żywo o czymś rozprawia to z jednym to z drugim. Myślimy, że to arcygwiazdor. Ale pozorny mylą. Na mównicy się nie ukazał.

Z naszej strony gospodarzami są: Karol (Algajer, późniejszy senator), niewysoki, mocno związany, bardzo kształtny o czarnych, błyszczących oczach, monter z Rakowa, siedzi w rozdzielni walcowni. Obok Jurand (Baron) — blondyn o jasnym zaroście. Walcownik. Stoi nieco przyciężko na mocnych nogach, jakby gotów był chwycić olbrzymimi cęgami rozpalony blok i skierować go w tryby. Jasne oczy spoglądają wokoło przyjaźnie. Gospodarzy esdeckich nie znam. Ułożyli się już, podzielili czynności i wyruszyli po stół na mównicę. Ktoś tam z Dębna obiecał pożyczyc.

Zgromadzonym nie śpieszy się. Przed oczekiwanym przedstawieniem przechadzają się, oglądają innych, pokazują siebie. Julia patrzy zadowolona, że tak licznie ścignęli. Ale ten nastrój świąteczny, ta elegancja... to za mało proletariackie. Może i słusznie. Bo tych „placowych”, tych co ze wsi na robotę przychodzą prawie nie ma. Julia sama ubiera się czarno. Kapelus — nawet z piórkiem. Ot — Rzemienny pasek. Buciki wysokie — sznurowane; schodzone.

Spośród drzew wyszła gromadka dziewcząt. Przodem Janka Chmielewska z Andzią. Jedna okrągłutka, druga smukła. Rozejrzały się pilnie — zoczyły mówców — więc nieznacznie, kołując nieco, kierują się ku nim. Ale zajęte są sobą wyłącznie. Janka śmieje się. Duże oczy wykonały jakiś piruecik, spoczęły na obłoczku w górze, zawadziły o komin Częstochowianki i zupełnie przypadkowo spadły na nas. Kłaniamy się z Edwardem. Janka poważnie, z godnością skłania główkę i pochyla ją nieco głębiej w kierunku Julii. Ta odpowiada suchym skinieniem. Może nie podobał się jej barwny szal, który Janka przerzuca na lewe ramię. A może kamea Andzi? Janka wyczuwa dezaprobatę. Zagadła więc coś zabawnego do postępującego za nią Emjota (Edmund Jabłoński) mocnego blondyna. Bary rozrośnięte, w biodrach wąski. To pierwszy kolarz Częstochowy, oficer straży pożarnej na Rakowie. Drasnąłem go wczoraj niebacznie w próbie na szable. Więc śmieje się i pokazuje lekko zabandażowaną rękę.

Kozak (Stasiurka), wyższy od niego, o czarnych, wyrazistych oczach! Dopiero za parę miesięcy wyruszy na szkołę bojową do Krakowa. Teraz idzie z pucułowatym Plusem. Ten przewala się z nogi na nogę i zawsze gotów palnąć jakiś kawał. Odwraca oczy i gryzie wargi, by ktoś z nas nie zgadnął, że jemu właśnie przyczepił łatkę szeptem do Kozaka. Kłania się uroczyście Julii — dla nas z Edwardem ma tylko łyśnięcie okiem.

Dalej grupa robotnic z przędzalni. Wśród nich Mela — niestrudzona kolporterka pism — smukła. Włożyła barwną lekką sukienkę. Cera niemal przejrzysta. Głębokie cienie pod szarymi oczami. Może gruzlica? Przepyszne włosy, w których złocie grają miedziane płomyki — jak u Tiepola albo u Tycjana. I ogromny kapelusz. Na nim ciężko leżą grona czereśni czy wiśni (oczywiście ze szkła). Melę cieszy ten strój. Widziałem ją dotąd tylko w fabryce — tam była szara, zakurzona. Teraz chce ładnie wyglądać.

Stanęła. Wyciąga rękę uradowana.

— Co? Mówicie dzisiaj, towarzyszu? Myśmy wszystkie myślały, że będziecie przemawiać.

— Cieszę się, że was widzę. Nie wiedziałem, czy przyjdziecie na naszą dyskusję. Tak, będę gadał.

Mela pochyla się i szepce:

— Trzymajcie się! Musicie tak urządzić esdeków, żeby zapomnieli języka w gębie!

Tak się właśnie człek czuje, jak koń, na którego gracie stawiają. A tu — Fortuna, koło i różne obawy. Witam inne

dziewczęta i wycofują się do naszej grupy — na cenzurowane. Julia spogląda z ironią.

— Cóż za konfidenca? I któż to?

— Towarzyszka z komitetu fabrycznego Warty.

— Towarzyszka! Wystrojona! I ten kapelusz!

— Kapelusz nieudany...

— Nieudany? Krzyczący! — Brzmi już w tym nagana — zaiste moralnej natury.

Julia chciałaby mi dać do zrozumienia, że taka „konfidenca” niekoniecznie przystoi konspiracyjnemu działaczowi. Jest właściwie karygodna. Nie chce mówić wyraźnie. Szuka jakiegoś słóweczka niewinnie jadowitego. Algajer, spoza jej pleców śmieje się. Mruga — abym się odciął. Ale — słońce świeci — zielono — ciepło. Tam, sam szczyt srebrzystej topoli pochylił się lekko i posłał dalej kołyszącą falę. A Julia — tak myślę — chyba już jest po trzydziestce... Cóż jej zostało? Niech sobie.

Gospodarze przynieśli stół, umocowali go na deskach. Wypróbowali. Stoi dobrze. Gotowe. Zapraszają bliżej. Spacerujące grupy nadciągają. Któryś bierze pudełko zapalek i wyjmuje dwie. Ten pierwszy przemawia, kto wyciągnie z główką. Edward i Henryk ciągną. Chwila napięcia — esdek pierwszy. Delegują Feliksa.

Gospodarze podsadzili go — wygramolił się na stół. Zręczny nie jest. Obciągnął wytartą marynarkę. Przytupnął parę razy, by nogawice opadły. Czarny kręcony włos. Ogolony — prawdopodobnie przedwczoraj albo i dawniej. Jest pewny siebie. Zaczął.

Mocny baryton cokolwiek gardłowy — ostry. Ale mówca doświadczony — panuje dobrze nad głosem. Rzuca szkic sytuacji w jakiej żyjemy. Carat się wali — zagrożony ze wszystkich stron. W tej chwili trzeba uderzyć weń wszystkimi siłami — a rozsypie się w gruzy. I od razu przechodzi do ataku. Któż to w tej chwili stoi na przeszkodzie zjednoczeniu sił proletariatu? — To PPS! To socjapatrioci! To mąciciele świadomości robotniczej! Wciskają się w szeregi robotnicze, by przy pomocy utopijnych haseł niepodległościowych wprowadzić tam nacjonalizm, by wywołać zadrażnienia narodowościowe, by zniszczyć solidarność klasy pracującej w cesarstwie rosyjskim. Więc Feliks demaskuje ich, jako sprzymierzeńców burżuazji, fabrykantów i kapitalistów.

Mówca przytacza cytaty z „Przedświtu” i „Robotnika”. Ze zjadliwą ironią nicuje artykuły Mazura (Stanisława Grabskiego) o możliwości przemycania ciężkiej broni przez granicę. Wyszczudza argumentację Ossarza (Leon Wasilewski) o znaczeniu narodowych tendencji wśród ujarzmionych przez Rosję ludów.

Uderza w Luśnię (Michał Kelles-Kraus) piętnuje przeciwstrajkowe stanowisko Daszyńskiego. Ale kiedy dochodzi do Wrońskiego (Witold Jodko-Narkiewicz) ogarnia go istotna pasja.

— Towarzysz Wroński! Nie, Wroński nie jest towarzyszem. Nie jest on nie tylko socjalistą — nie jest nawet demokratą burżuazyjnym! To reakcjonista szlachecki! Nie towarzysz, ale pan Wroński! To zamaskowany oszukańczo wróg klasy robotniczej!

Naprawdę nie pamiętam dziś, co wtedy właśnie ściągnęło na głowę Jodki takie pioruny. Ale taki gniew był czymś niezwykłym i — nie bardzo zrozumiałym. Wroński ukazywał się w postaci złowrogiego upiora, który czyhał na duszę robotniczą, pastwił się nad proletariatem i wprzęgał go w rydwan burżuazji. To wróg, którego trzeba unicestwić!

Zasady uczciwej gry zakazywały nam bezwzględnie przerywania. Słuchaliśmy w milczeniu. Od czasu do czasu tu i tam padał głos protestu — natychmiast tłumiony. Słuchacze bynajmniej nie byli skłonni „pomagać” swoim. Nie! Czekali, co ci „swoi” pokażą. Może było w tym coś z zaufania. Ale — przede wszystkim — dla nich to były zawody! No — i wolność słowa, o której tyle się mówi. Niech grają argumenty — zobaczymy, kto kogo weźmie.

Pierwsza odpowiadała Julia. Mówiła spokojnie, rzeczowo. Donośny kontralt rozbrzmiewał równo — szeroko. Julia umiała posyłać głos. Rozwijala program — odpierała zarzuty. Wykazywała, że robotnik nie może obojętnie znosić ucisku narodowego. Dowodziła, że nie tylko sam carat, ale jego centralizm musi być rozbity. Leży to w interesie demokracji. Wolności. Zwolennicy oklaskiwali ją chwilami cokolwiek za gorąco, usiłując dodać ognia temu doskonale zbudowanemu referatowi.

Występowali inni mówcy z większym lub mniejszym powodzeniem. Na ogół mówili dobrze. Przewaga nieznaczna była po naszej stronie. Ale istotne napięcie zapanowało dopiero wtedy, gdy skoczył na trybunę Edward. Skoczył sprężysto. Sam sobie wybrał ostatnie miejsce. Głos wyteżył tak, że aż wysiłek w nim zabrzmiał. Zdawało się, że nie wytrzyma tak długo. Gwałtowną gestykulacją znaczył każde zdanie. A trafił od razu w samo sedno. Za jednym zamachem uczynił ze słuchaczy nie widzów, lecz uczestników walki.

— Pilnie słuchajcie, towarzysze, tego co mówią przedstawiciele Socjaldemokracji. Pilnie czytajcie ich pisma! Od nich samych dowiedziecie się wtedy, z kim oni walczą! Czy słyszeliście z jaką nienawiścią, z jaką wściekłością mówił tu ich przedstawiciel o naszym towarzyszku Wrońskim? A ja pytam — za co

ta nienawiść? Czy za to, że towarzysz Wroński jest jednym z założycieli partii robotniczej, partii naprawdę rewolucyjnej? Czy za to, że jest jednym z najwybitniejszych pisarzy broniących sprawy robotniczej? Któż tu ośmieli się zaprzeczyć, że PPS prowadzi najzacieklejszą walkę z caratem, że prowadzimy ją nie tylko słowem, ale czynem, z bronią w rękę? I kto może zaprzeczyć, że towarzysz Wroński należy do tych, co organizują tę walkę? Ale dla was, dla SDKPiL jest on gorszy nawet od zwykłego obywatela burżuazyjnego. I ja wam powiem dlaczego tyle nienawiści nań rzucacie. Bo zużywacie swe siły na walkę z nami! Dla was nie carat, nie kapitalizm nawet jest największym wrogiem — lecz PPS. Nie carski stupajka, ale ten pepesowiec, który własnymi siłami pragnie we własnym kraju stworzyć socjalizm!

Grzmot oklasków — rzecz rzadka podówczas w czasie mowy — przerwał Edwardowi. A on wydobywał z kieszeni przygotowane kartki papieru i sypał cytatami z esdeckiej prasy.



Edwardowi nie trudno było dobrać przykładów zaiste kwiecistej mowy używanej przeciw nam przez esdeków. Nie mam w tej chwili pod ręką ówczesnych wydawnictw tego stronnictwa, do których odwoływał się Edward. Przykładów jednak tej elokwencji sporo znajdziemy w wydawnictwie krajowym „SDKPiL Materiały i dokumenty”. Jako redaktorzy tego zbioru występują H. Buczek i F. Tychy. (Nakład Książki i Wiedzy, rok 1957). Z tej książki właśnie zaczerpnięto kilka zdań. Źródło niepodważane. A więc weźmy początek artykułu, w którym Róża Luksemburg podejmuje polemikę z „Przedświtem”:

„Obiecaliśmy... włożyć tęgawiczki i dotknąć tej gazetki. (Mowa o miesięczniku, organie teoretycznym PPS., wychodzącym w Londynie). Czytelnik zrozumie, że najbardziej nieprzemakalne rękawiczki nie mogą usunąć wstrętu, jeżeli zachodzi potrzeba dotknąć tego przedmiotu... Zuchwałstwo tej gazetki zaczyna przechodzić granice dozwolone (?) nawet dla (sic) prasy gadzinowej. „Przedświt”... wykąpawszy się we własnej ślinie, zwrócił swój syk i swoje żądło...” „Gadzina londyńska ma jedynie współbraci po orężu w całym bagnie burżuazyjnej prasy”.

Za chwilę znajdziemy zwrot o całym „gnieździe wstrętnych gadzin” w Londynie. Wreszcie autorka dochodzi do wniosku, że „Przedświtu” i „Robotnika” nie wolno stawiać na jednym poziomie z gadzinowymi wydawnictwami burżuazji, bo to są „gazetki” kryminalistów, którym należy się więzienie. „Robot-

nik” zresztą nazywany jest stale „jednodniówką”, gdyż SDKPiL utrzymuje iż PPS w ogóle nie istnieje jako partia robotnicza, że jest to gromada inteligenckich oszustów.

Robotnicy należący do różnych partii, wymieniali wówczas między sobą wydawnictwa. Że wymyślano tam sobie — to raczej było dla nich nieprzyjemne. Woleli dyskusję rzeczową. Ale niech tam! Robotnik był dumny, że organizacje rewolucyjne potrafią wydawać pisma, potrafią je przemycać i dostarczać czytelnikom. I władze nic na to poradzić nie mogą. Róża Luksemburg, jakkolwiek pochodziła z rodziny warszawskich bankierów, przecież oderwana od Polski, związana coraz bardziej z życiem zagranicznym (przede wszystkim niemieckim, z pismami niemieckimi), po prostu zatraciła poczucie, gdzie kończy się strawność pisanego słowa. Nie rozumiała, że nazywanie „jednodniówką” podziemnego „Robotnika” po prostu obrażało robotnika — nawet nie pepeesowca.

Ale dajmy spokój formie: O co chodziło w gruncie rzeczy? Skąd takie pioruny i gromy? Jakie były różnice programowe między dwiema partiami?

SDKPiL miała demokratyczny program socjalistyczny, ułożony według wzoru programu erfurckiego (niemieckiej socjalnej demokracji) — program tak zwany minimalny. Domagała się w nim parlamentarnych rządów; niezawisłych sądów; powszechnego, równego, tajnego, bezpośredniego i proporcjonalnego prawa głosowania; wolności prasy, słowa, zgromadzeń i stowarzyszeń. Oczywiście wolności pracy, jej ochrony, strajków. Czyli tego wszystkiego, czego nie chcą dziś przyznać swym poddanym tak zwane demokracje ludowe (wraz z polskimi „spadkobiercami tej partii”). Dodajmy od razu, że Róża Luksemburg sama została do końca wierna tym zasadom i jak najbardziej stanowczo przeciwstawiła się samowładczym poczynaniom Lenina. Ani Adolf Warski — Warszawski, ani Julian Marchlewski nie posiadali jej umysłu i jej charakteru. Z demokracji zrezygnowali bardzo szybko. Tragiczna ironia losu chciała, że Warski zdołał przetrwać i carat i „faszyzm polski”, z którym walczył zacięcie i zlikwidowany został przez aparat, zorganizowany przez innego swego towarzysza — Feliksa Dzierżyńskiego. Zlikwidowany i potępiony. (Obecnie — „zrehabilitowany”).

Te same minimalne postulaty były i w programie PPS. Ale była w nim również i — niepodległość Polski. Postulat, swoją drogą, którego monopolistycznymi właścicielami uznają się dzisiejsi „spadkobiercy” SDKPiL. A on to był dla niej największym kamieniem obrazy!

SDKPiL twierdziła, że rozwój kapitalizmu doprowadził poszczególne części rozebranej Polski do całkowitego, organicznego wcielenia w organizmy gospodarcze Rosji, Austrii, Niemiec. (Zdumiewająca wiara w trwałość, nienaruszalność, zwartość tych organizmów!). Przynależność do nich zaborów stała się koniecznością historyczną. Walka z nią — to w najlepszym razie donkichoteria. Co więcej — w Polsce brak tendencji niepodległościowych. Zginęły one wraz z szlachtą. Próba wznowienia ich to nawrót do czasów przedkapitalistycznych. Klasa robotnicza nie może być rzeczniką tych tendencji.

Wertując wydawnictwa SDKPiL znajdujemy tam co chwila dowody zupełnego braku najelementarniejszych wiadomości o sprawach narodowościowych w cesarstwie rosyjskim. Oto na przykład „Sprawa Robotnicza” wywodzi:

„Widzimy, że (rząd carski) tak samo (jak Polaków) albo i jeszcze gorzej ruszczy gwałtem Niemców w Rydze i Dynaburgu, w Dorpacie Finlandczyków...”.

Dość. Po prostu trudno zrozumieć zupełną ignorancję notorycznie znanych faktów, Róża Luksemburg, Adolf Warszawski, Julian Marchlewski, którzy we trójkę redagowali wtedy to pismo, nie wiedzieli, że w Dorpacie był wtedy niemiecki uniwersytet, w Rydze — niemiecka politechnika. Nie wiedzieli, że wokół tych miast bynajmniej nie Finlandczycy żyją. Nie słyszeli nic o Estach i Łotyszach. Zastanawiając się nad tego rodzaju zdaniem, w którym jest więcej błędów niż wyrazów dochodzimy do wniosku, że to nie naukowe przesłanki, nie gruntowne zapoznanie się z zagadnieniem, nie sumienne studia stanowiły podstawę do teorii organicznego wcielenia. Wyrosła ona z czynników emocjonalnych, kształconych przez podręczniki polakożercze Iłłowajskiego i innych. (Przypominam „Syzyfowe prace” i potępienie przez bohatera protestu przeciw lżeniu polskości). Pozorna postępowość tych podręczników była zaraźliwa.

Partia przyjęła nazwę socjaldemokracji, wyrzucając polską końcówkę, by upodobnić się do nazw rosyjskiej i niemieckiej. Określiła w tej nazwie terytorium „Królestwa Polskiego i Litwy”, by odrzucić wszelką myśl o jakiegokolwiek wspólnocie z Poznańskim, Śląskiem, Pomorzem, Galicją. To obszar działania — nie mający nic wspólnego z narodowością. Nie jest to domysł. Marchlewski na zjeździe w Zurichu nie próbuje łączyć się z delegacją socjalistyczną polską, bo:

„Przed wszystkim za bezsensowne uważam jednakowe głosowanie nad różnymi kwestiami, kiedy delegacja ta składała się z przedstawicieli trzech

różnych zaborów z (?) zupełnie różnymi politycznymi warunkami i odrębnym w każdym zaborze ruchem socjalistycznym jak Poznań, Galicja i nasze Królestwo Polskie... Wreszcie uważałem, że nasza socjaldemokracja... powinna osobno figurować (?) w swojej własnej, niesfalszowanej fizjonomii (?)!"

„Fizjonomię” tę muszą spodkobiercy SDKPiL mocno podsminkować, by dziś nie raziła.

SDKPiL prowadziła polemikę o niepodległość z PPS nie tylko na gruncie polskim. A nie wahała się wtedy poruszać nawet mniej lub więcej utajonych nacjonalizmów obcych. I — imperializmów. Zwalczając projekt rezolucji PPS w sprawie niepodległości na kongres Drugiej Międzynarodówki w roku 1896-ym ta sama Róża Luksemburg, po wyczerpaniu (dość naiwnych zresztą) argumentów społeczno-gospodarczych, pisze:

„Przyjęcie socjapatriotycznej rezolucji stworzyłoby doniosły precedens dla ruchu socjalistycznego w innych krajach. Co dla jednych dobre to i dla drugich. Jeżeli państwowo-narodowe wyzwolenie Polski będzie podniesione do zadania politycznego międzynarodowego proletariatu, czemuż już nie państwowe wyzwolenie Czech, Irlandii, Alzacji, Lotaryngii?

Brzmi tutaj zupełnie wyraźnie ostrzeżenie dla socjalistów Anglii, Austrii, Niemiec, że popierając dążenia polskie zawarte w rezolucji PPS mogą narazić się we własnym kraju, jako dybiący na jego całość. Mogą narazić legalność własnych pozycji. R. Luksemburg idzie jeszcze dalej:

„Rezolucja socjapatriotyczna jest bardzo chytrze (!) sformułowana: pod formą protestu przeciw caratowi kryje ona w sobie protest przeciw zaborowi, żądanie bowiem niepodległości Polski skierowane jest zarówno przeciw Austrii i Prusom jak przeciw Rosji; pod formą narodowych interesów sankcjonuje ona tendencje nacjonalistyczne; pod formą mniej więcej moralnej manifestacji dąży do zdobycia gwarancji praktycznego programu”.

Rzeczą psychologa jest zbadać ile w tym jest drobno-mieszczańskiego poczucia „wiktoriańskiej” stałości istniejących warunków. Ale zwrócić musimy uwagę, że rzecz ta pisana była po niemiecku. I jako taka wkraczała w dziedzinę oczywistej denuncjacji. Socjalista niemiecki czy austriacki został powiadomiony, że jeśli będzie głosować za niepodległością Polski — to popadnie w konflikt z cesarskimi władzami Austrii i Niemiec. Wielu też uczestników zrozumiało to ostrzeżenie. Rezolucja przyjęta nie wymieniała już Polski, zadowolniła się ogólnikowym prawem do niepodległości narodom ujarzmionym.

Stanowisko SDKPiL zostało przez życie po prostu wymazane. Ale agitacja jej odegrała ponurą rolę w dziejach myśli politycznej w ogóle — a myśli socjalistycznej w szczególności. Dawała ona w ręce czynnikom zarażonym nacjonalizmem i impe-

rializmem w socjalizmie niemieckim, austriackim, rosyjskim, angielskim broń w rękę. Dawała im poparcie ze strony najbardziej zainteresowanych. Dawała argument do wykreślenia sprawy polskiej na żądanie samych Polaków. Usprawiedliwiła w przyszłości ich protesty przeciw przyłączeniu do Polski Poznańskiego, Śląska, Pomorza. Te teoryjki o organicznym wcieleniu odzywają się i dziś w stosunku do bardziej egzotycznych krajów niż Polska. Organiczne wcielenie Ukrainy i Białorusi, krajów bałtyckich i Szwecji to pogłosy owego luksemburgizmu — potępięnego wprowadzić, ale żywego i wciąż jęczącego.

Powiedziałem, że tendencje antypolskie przetrwały SDKPiL. Przeniknęły do Komunistycznej Partii Polski (Polski — określenie tylko terytorialne!) Odezwy jej nie tylko wzywały do przyłączenia „zachodniej Ukrainy” i Białorusi do Sowietów, (nie niepodległości dla tych narodów), ale domagały się zwrotu „korytarza” i Śląska Niemcom — a przynajmniej ponownego przeprowadzenia tam plebiscytu. Traktat wersalski nazywały językiem Hitlera — zbrojeckim. (Tych materiałów jeszcze w Polsce nie wydano — czerpię je z pamięci, na szczęście potwierdzonej przez pracę Pobóg-Malinowskiego, by nie wspominać innych). I znowu prawdopodobnie Adolf Warszawski nie postarał się zapoznać należycie z etnografią Pomorza i Śląska.



Wróćmy jeszcze na chwilę na łękę za Dębem. Już jest po zgromadzeniu. Mówcy wypowiedzieli swoje. W poszczególnych grupach jednak trwają spory zażarte. Komentują wygłoszone przemówienia. Pod adresem mówców padają słowa uznania i szyderstwa. Ów młody, w skórzanej kurcie, dopadł Kozaka-Stasiurkę. Trzyma go za klapę:

— Zrozumcie, towarzyszu, że niepodległość to szlachecka utopia. Organiczne wcielenie — to konieczność historyczna! Konieczność na którą nikt nic nie poradzi. To zbadane i stwierdzone!

Kozak szarpnął się gwałtownie:

— Do cholery mi wasza konieczność historyczna! Rozumiecie? Ja nie chcę tu ani skieła, ani policmajstra, ani gubernatora! Nie chcę, aby Moskal tu rządził! I nie chcę żeby tu jakiś inny Moskal ład wprowadzał. My chcemy sami rządzić. Rozumiecie? A nie — to weźmiemy spluwy czy karabiny i zrobimy swoją konieczność robociarską!

Stasiurka nie długo potem poszedł do katorgi. Wsypali go Albin (Tarantowicz) i Emil (Sukiennik). W śledztwie był twardy. Gdy skonfrontowano go ze zdrajcą Albinem — plunął

mu w twarz. Po Stasiurce została tradycja na Rakowie. Opowiadano o nim szeroko w całej Częstochowie. Tę tradycję ludzi, którzy umieli dać istotny wyraz dążeń polskiego proletariatu, którzy nieśli wysoko godność tego proletariatu — usiłuje się dziś przysłonić.

Wynosi się pamięć Luksemburg, Marchlewskiego — ze spuścizny po których nic nie zostało. Wynosi się i tego trzeciego — Feliksa Dzierżyńskiego.

Fałsz jest w tej narzuconej tradycji. Fałsz w jej teorii i praktyce. Są nazwiska — poza które zajrzeć bywa — niebezpiecznie. Co gorzej — wiedzą o tym wszyscy.

Ale pomimo to stoją kukły pomników, wiszą szyldy na rogach ulic, na fabrykach, na szkołach. Szyldy z nazwiskami ludzi obcych Polsce i obcych socjalizmowi.

To gorzej niż nieporozumienie. To wrzód.

Adam UZIEMBŁO

RELACJE I WSPOMNIENIA

(OKRES NIEPODLEGŁOŚCI)

JAK PROF. WŁADYSŁAW SMOLEŃSKI O MAŁO NIE ZOSTAŁ PREMIEREM

To, co opowiem nie będzie moją własną relacją, lecz opowiadaniem, jakie słyszałem w maju roku 1937 z ust Artura Śliwińskiego. Spotkaliśmy się wtedy w Warszawie we trójkę z nim i z panią Haliną Sujkowską, by skonfrontować nasze wspomnienia i notatki o dniu 10-go listopada i o pierwszej konferencji między Komendantem Piłsudskim, który rankiem owego dnia powrócił z Magdeburga, a Komisją Porozumiewawczą Stronictw Niepodległościowych.

Gdyśmy wyczerpali wspomnienia o tym dniu, rozmowa zeszła na inne tematy. I tu pan Artur opowiedział nam epizod, który może jest do dzisiaj nieznany. Wprawdzie jeden z moich przyjaciół, któremu przed kilkunastu laty opowiedziałem tę relację, miał wrażenie, że ją już kiedyś czytał we wspomnieniach Pana Artura drukowanych w „Niepodległości”, ale kiedy przejrzałem dostępne mi numery „Niepodległości”, tego epizodu w nich nie znalazłem.



Było to w końcu grudnia 1918 roku, w ostatnich dniach przed Bożym Narodzeniem. Pan Artur otrzymał wiadomość, że Naczelnik Piłsudski chce się z nim widzieć w pilnej sprawie. Stelefonował się więc z adiutanturą i następnego dnia, w południe, zgłosił się do gmachu Sztabu Głównego na Saskim placu, gdzie Komendant wtedy urzędował niemal codziennie w sprawach wojska. Komendant przyjął go od razu chodząc tam i z powrotem po swym gabinecie zaczął mówić o sytuacji politycznej w kraju:

— Moraczewski się kończy. Przyszedł wczoraj do mnie i powiedział, że dłużej już ciągnąć nie może. Że on i jego koledzy, którzy od całych tygodni pracują po 18 godzin na dobę, nie wytrzymują już tej orki. Przyznał się przy tym, że nie może ściągnąć podatków i że nie ma w kasach rządowych pieniędzy na organizację wojska. Zapowiedział, że chce zgłosić dymisję i prosił o wyznaczenie mu następcy. Ja — mówił Piłsudski — za długo byłem nieobecny w kraju. Pan tu był cały czas na miejscu, Pan wszystkich zna, więc Pan teraz musi mi znaleźć nowego premiera. Jeden warunek: — To nie może być PPS, ale musi być do przyjęcia dla socjalistów. To nie może być endek, ale musi być do przyjęcia dla endeków!

Pan Artur się zasumował:

— Komendant każe mi rozwiązywać kwadraturę koła! Gdzież ja znajdę takiego rarytasa?

— To już Pańska w tym głowa! Każę zaraz podać panu herbaty, masz pan tu papierosy; — zostawiam pana samego na pół godziny, bo mam tu co innego do roboty z moimi oficerami. Za pół godziny wrócę i liczę na to, że dasz mi pan nazwisko choć jednego możliwego kandydata.

Pan Artur popijał herbatę, palił papierosa jednego za drugim, myślał, myślał i nikogo nie mógł wymyśleć. Zatrzymał się na chwilę na nazwisku prof. Smoleńskiego. Bo właśnie, gdy szedł do sztabu, spotkał go po drodze na Krakowskim Przedmieściu. Profesor był podniecony i próbował z miejsca wciągnąć p. Artura w gorącą dyskusję polityczną. Wszystkie wywody profesora wydały się jednak panu Arturowi tak naiwne, tak podobne do sloganów pańienek od Świętej Zyty, które przeciągały właśnie obok nich pochodem i wiwatowały na cześć Korfanteo, że pan Artur nie mógł się zdecydować na wysunięcie jego kandydatury.

Pół godziny minęło. Komendant wrócił do gabinetu i od razu zapytał:

— No, masz pan premiera?

— Nie mam Komendancie! Naprawdę nie widzę nikogo, kto by odpowiadał warunkom Komendanta i nadawał się na to stanowisko.

— Bo pan pewno szukasz jakiegoś Premiera idealnego. Takiego nie ma i nie będzie. Żadne nazwisko nie przeszło panu przez myśl?

— Prawdę mówiąc, przyszło mi na myśl nazwisko profesora Smoleńskiego, ale spotkałem go właśnie dzisiaj i to, co mi wygadywał o polityce, dowodzi że nie nadaje się zupełnie.

— A dlaczego Smoleński?

— Bo Smoleński był tym, który na początku roku 1915 na zebraniu Towarzystwa Historycznego w Kamienicy Książąt Mazowieckich pierwszy w Warszawie wystąpił publicznie w obronie Legionów, nawiązując je do tradycji Legionów Dąbrowskiego. PPS uważa przecież Legiony za swoje dziecko. Tego wystąpienia socjaliści nie zapomnieli Smoleńskiemu, więc prawie na pewno z jego nazwiskiem się pogodzą. Dla endeków, będzie on na pewno do przyjęcia. Poza tym: znakomity historyk, starszy pan, długa siwa broda, głos tubalny, profesor uwielbiany przez studentów. Jest tylko jedno fatalne „ale”: jego poglądy na najważniejsze dziś zagadnienia są na poziomie wyrobienia politycznego panienek Świętej Zyty.

— Ale nikogo innego pan nie widzisz?

— Naprawdę nikogo.

— To poproś pan Smoleńskiego aby był u pana jutro o godzinie 5-tej popołudniu. Nie uprzedzaj go, że to będzie spotkanie ze mną. Ja przyjdę do pana i porozmawiam z nim.

Na tym Naczelnik rozmowę urwał.

Wracając ze Sztabu, pan Artur zaszedł do profesora Smoleńskiego i zostawił mu karteczkę, prosząc, aby w sprawach publicznych najwyższej wagi przyszedł do niego nazajutrz na godzinę 5-tą popołudniu.

Nazajutrz, przed godziną 5-tą, profesor Smoleński zaintrygowany był już na ulicy Pięknej u pana Artura.

Pan Artur usadził profesora Smoleńskiego na kanapie i powiedział mu:

— Za chwilę, przyjdzie tu Naczelnik Państwa, któremu opowiadałem o naszym wczorajszym spotkaniu. Chce on porozmawiać z Panem Profesorem.

Smoleński aż się uniół na kanapie:

— Pan Naczelnik chce ze mną porozmawiać? A, to doskonale! To ja mu powiem... — I tu profesor zaczął swe gwałtowne oskarżenia przeciw rządowi Moraczewskiego..

Jego diatrybę przerwał dzwonek. Pan Artur wyszedł do przedpokoju, by otworzyć Komendantowi Piłsudskiemu.

— Komendancie, Smoleński jest, ale boję się, że gdy Komendant usłyszy jego wywody polityczne, to się przekona od razu, że trudno robić go premierem.

— Zobaczymy — odpowiedział Piłsudski.

Trzej panowie zasiedli w fotelach i na kanapie dokoła stołu, na którym Pan Artur postawił buteleczkę wina węgierskiego, ocalałą jeszcze z czasów wojny. Bardzo szybko rozmowa stała się dłuższym monologiem profesora Smoleńskiego.

— Te rządy Moraczewskiego, panie Naczelniku, to są jakieś rządy czerwonej międzynarodówki! To nie jest rząd, który by umiał nawiązywać do polskich tradycji narodowych. W kraju jest zamęt. Na wszystkich odcinkach źle się dzieje.

I tak dalej i dalej w tym samym tonie. Aż wreszcie, w pewnym momencie, profesor Smoleński, zapalając się coraz bardziej, wykrzyknął niemal:

— Bo pan, panie Naczelniku, powinien ogłosić swoją dyktaturę!

Naczelnik, który cały czas palił papierosa i słuchał uważnie, w tym miejscu zareagował gwałtownie. Przerwał Smoleńskiemu, uderzył ręką w stół i zawołał do niego:

— Dyktaturę? — Po to może, abyście potem wy, panowie historycy, robili sobie ze mnie w przyszłości pośmiewisko, tak jak to robicie z Mierosławskim? Bo gdzie są instrumenty tej dyktatury? Ale pan, panie Profesorze, pan wie, jak nie należy rządzić Polską, a więc zapewne też, jak należałoby rządzić?! Kiedy tak, to zostaniesz pan Prezesem Rady Ministrów. Robię panu propozycję!

Profesor Smoleński zaskoczony, jak gdyby zapadł się w sobie. Głos mu się załamał, i zaczął się jękać:

— Jakto, ja? Skąd — ja, panie Naczelniku? Ja jestem stary człowiek... ja już nie mam tych sił... ja jestem chory na pęcherz...

— Robię panu propozycję — powtórzył Piłsudski. Czekam na pańską odpowiedź jutro do godziny 5-tej. Do widzenia! Panie Profesorze!

Piłsudski wstał, uściśnął mocno dłoń oniemiałemu profesorowi i wyszedł. Artur Śliwiński odprowadzając go do przedpokoju powiedział Komendantowi półgłosem:

— Słyszał Komendant jak on rozumuje o polityce. Czy te jego poglądy nie są zbyt symplicystyczne jak na premiera?

— Nic nie szkodzi — odpowiedział Piłsudski — widać, że to jest bardzo porządny człowiek. Na sprawach politycznych nie za bardzo się rozumie, ale do tych spraw przystawi mu się do boku Mecha¹, i może być z niego bardzo przyzwoity premier. Namawiaj go pan, aby się zgodził. — I wyszedł.

Widocznie namowom pana Artura brak było głębszego przekonania, dość że profesor Smoleński oświadczył kategorycznie, że nie może się podjąć obowiązków premiera.

1. Władysław Mech, dawny działacz socjalistyczny, później wojewoda poleski.

Pan Artur następnego dnia zaniósł tę odpowiedź Smoleńskiego Naczelnikowi Państwa. Powtórzyła się znowu scena poprzednia. Piłsudski zostawił pana Artura samego w gabinecie, oświadczając mu pół żartem i pół serio, że nie wyjdzie on z tego pokoju, dopóki nie wymyśli nowego premiera.

Gdy Piłsudski wrócił po pół godzinie, pan Artur miał już pomysł rozpaczliwy.

— Komendancie, doprawdy nie widzę nikogo. Przyszło mi co prawda jedno nazwisko na myśl, ale obawiam się, że Komendant może to uznać za jakieś kpiny z mojej strony.

— No, — mów pan!

— Ksiądz Biskup Bandurski!

— Oszalałeś pan? Klecha na premiera?!

— Komendancie, może to jednak nie jest taki absurd!

Przecież sukienka duchowna — to dla endeków — tabu. A dla PPS, biskup połowy Legionów, o którym się mówi jako o czerwonym biskupie, — może przecież będzie do przyjęcia. Poza tym: gorący patriota, mówca złotousty... Może więc jednak...

Piłsudski chodził po pokoju nic nie mówiąc. Po chwili zatrzymał się i zapytał:

— Hm, — może to rzeczywiście nie byłby taki nonsens...

— Gdzie on jest?

— Zdaje się, że obecnie przebywa w Wiedniu.

— Zatelegrafujcie po niego, niech przyjedzie. Spróbuję z nim porozmawiać.



Pan Artur nie powiedział nam, czy ksiądz biskup Bandurski przyjechał wtedy z Wiednia i czy Naczelnik Piłsudski odbył z nim jakąś rozmowę. Zdaje się, że pan Artur sam już tego nie wiedział.

W każdym razie, w kilka dni później, 3-go stycznia, przyjechał do Warszawy Ignacy Paderewski, witany wieczorem na dworcu przez wielotysięczne tłumy.

Pan Artur nie otrzymał już żadnego nowego wezwania do Naczelnika Państwa i nie potrzebował mu wyszukiwać takiego kandydata, który byłby do przyjęcia zarówno dla prawicy, jak i dla lewicy. W dniu 16 stycznia Ignacy Paderewski objął po Moraczewskim urząd premiera.



Jest rzeczą oczywistą, że o powołaniu wielkiego artysty i patrioty na szefa rządu zadecydowały nie tylko te momenty, o których opowiadał pan Artur Śliwiński w swej relacji. Otoczona bowiem aureolą legendy postać Paderewskiego na czele rządu w Warszawie otwierała drogę do rozwiązania tak trudnych wtedy spraw, jak stosunki z Komitetem Narodowym w Paryżu i nawet stosunek Zwycięskich Aliantów do Polski. Tym niemniej, relacja Artura Śliwińskiego, którą bezpośrednio od niego słyszałem, może będzie interesującym przyczynkiem historycznym.

Tadeusz ŚWIĘCICKI

„MADEMOISELLE” PIŁSUDSKIEGO

Osoby, którą pani Helena Paderewska w liście do Naczelnika Państwa nazwała jego *Mademoiselle*, nie tylko osobiście nie znałem, lecz nigdy jej nie widziałem i, do niedawna, gotów byłem zapewniać, że nic o niej nie słyszałem. Byłoby to jednak nieprawdą, gdyż wzmiankowały o niej książki, które kiedyś czytałem. Z jednej z tych książek, nawet zrobiłem notatki, o których następnie zupełnie zapomniałem. W każdym bądź razie, jadąc na jesieni 1961 roku z Londynu do Ameryki, bynajmniej o tej osobie nie myślałem i nią się nie interesowałem. Na statku czytałem m.in. niedawno wydaną w kraju książkę Adama Grzymały Siedleckiego o niepospolitych ludziach w ich dniu powszednim¹ i dzięki niej zapamiętałem znane mi już skąd inąd nazwisko. Początkowo jednak wiązałem je z zupełnie kimś innym.

Gdy po drugiej stronie Oceanu, w Nowym Yorku i Bostonie, rozmowy z rodakami zaczęły raz po raz zaczepiać o tę, już mi nieobcą, osobę, tłumaczyłem to początkowo wpływem poczytnej książki Siedleckiego. Potem, szukając w nowojorskim Instytucie Józefa Piłsudskiego materiałów do *Prologu Naszego Dramatu*, natknąłem się na interesujące dokumenty. Następnie osoba nazwana przez panią Paderewską „Mademoiselle Piłsudskiego” zaczęła mnie wręcz prześladować.

Jadąc przez kilka tygodni — rzemiennym dyszlem — od Atlantyku do Pacyfiku, po drodze spotykałem wielu rodaków, bądź do świeżo poznawanych, bądź od lat niewidzianych. I niemal każdy z nich z rozmowie prędzej czy później wspominał

1. Adam Grzymała-Siedlecki. *Niepospolici ludzie w swoim dniu powszednim*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1961, str. 354. Cena 38 zł.

o tej właśnie osobie. Wszyscy ją znali, lecz każdy pod innym kątem; spotykali się z nią bowiem w różnych okolicznościach i zupełnie odmiennych okresach. Niestety, początkowo nie robiłem notatek i nie wszystko, co usłyszałem, utkwilo dokładnie w mojej pamięci.

Po ustaleniu się na Dalekim Zachodzie, odnalazłem swoje zapomniane notatki. Robione były z jednej z książek Władimira Konstantinowitscha Korostowetza². W zaraniu naszej niepodległości, pan ten przez pewien czas przebywał w Warszawie w przedstawicielstwie „dyplomatycznym” białych Rosjan, następnie został z niej wysiedlony i wówczas zaczął się poniekąd specjalizować w pisaniu paszkwili na Polskę i Polaków. Wydawane w językach zachodnich były one dość poczytne i mogłyby zrobić nam pewne szkody, gdyby nie zawierały mnóstwa nieprawdopodobnych plotek i wiadomości notorycznie nieprawdziwych. Niektóre z nich sobie wynotowałem. Między innymi ubawiła mnie historyjka o pewnym Iwanie, który, po 35 latach służby jako rosyjski *stojkowy* przed Belwederem, nie mógł, ponoć, zrozumieć, dlaczego przebywający wciąż w Warszawie Jego Ekscelencja Dmitryj Nikołajewicz Liubimow, warszawski Wice-Generał-Gubernator, pozwala „bandycie” Piłsudskiemu spokojnie mieszkać w Belwederze i nie każe go aresztować. Autor książki w zasadzie solidaryzował się z owym Iwanem: uważał Piłsudskiego nie tylko za „bandytę”, lecz i za despotę stokroć gorszego od rosyjskich carów. Tamci mieli święcie przestrzegać zasady własności prywatnej, Piłsudski zaś zupełnie się z nią nie liczył: zabierał od osób sobie niemiłych i rozdawał przyjaciółom. Poza *a magnificent house* w Alei Róż w Warszawie, który sprezentował Petlurze, swemu *personal friend Prince Swirski* dał *a fine estate with all it contained... taken away from its German owners*. Dalsze przytoczone w książce szczegóły o owym *personal friend* Piłsudskiego wydały mi się tak nieprawdopodobnie naiwne, że je wynotowałem.

Ów *Prince Swirski* miał ponoć być „przyjacielem domu” petersburskiego prokuratora do spraw politycznych, Fabriciusa, gdzie wielce się interesował przynoszonymi z biura aktami śledztw przeciwko rewolucjonistom. Jednocześnie — wynotowałem dosłownie — „on (*Prince*) i Dzierżyński byli wówczas *the chief leaders* wszystkich rewolucyjnych poczynąń przeciwko carskiej policji i administracji”. Niedługo jednak *Prince* został zdemaskowany, oddany pod sąd i skazany na powieszenie. Wówczas,

2. *The Re-Birth of Poland* by W.K. Korostowetz, Geoffrey Bles, London, First published September 1928, str. 317.

cytuję znowu dosłownie, „polscy rewolucjoniści poruszyli niebo i ziemię, by nie dopuścić do stracenia Świrskiego w warszawskiej Cytadeli. Wszelkiego rodzaju łoże masonskie, a w szczególności łoża portugalska, zajęły się tą sprawą i, ostatecznie, zamiast Świrskiego został powieszony ktoś inny, wówczas gdy uznany za powieszonego Świrski energicznie kontynuował rewolucyjną karierę, zetknął się z Piłsudskim i został jego *intimate friend*, bliskim przyjacielem i członkiem POW, która, jak inne podobne organizacje, podlegała bezwzględnie rozkazom jej Komendanta, Piłsudskiego...”. Takie „informacje” można, dla uciechy, wynotować, ale trudno o nich pamiętać.

Ponieważ osoba księcia-rewolucjonisty mnie wówczas zupełnie nie interesowała, robiąc notatkę z paszkwila rosyjskiego publicysty, nie pamiętałem, że dużo bardziej wiarygodny jego życiorys czytałem kiedyś w opracowaniu polskiego historyka³. Czesław Świrski, *kniaź*, autentyczny i przez rosyjski urząd heraldyczny uznany odegrał niepoślednią rolę w akcji bezdańskiej, będąc dowódcą jednej z grup operacyjnych zarówno podczas prac przygotowawczych w Warszawie jak i w samych Bezdanych. Pobóg-Malinowski podaje sporo o nim szczegółów, z wyjątkiem jednego, przechowanego w ustnej tradycji i wyróżniającego Świrskiego spośród innych uczestników akcji: młody książę-rewolucjonista miał w pewnym momencie w Bezdanych, na pełnym ludzi peronie kolejowym, stanąć przed Piłsudskim w *wojskowej* postawie zasadniczej „na baczność”, zaszalutować i *służbowo zameldować* o wykonaniu zadania. Przez tę pozorną drobnostkę pozostał w pamięci Piłsudskiego i zyskał w tradycji tytuł „pierwszego żołnierza” polskiego od roku 1864⁴.

Dalsze losy Świrskiego po operacji bezdańskiej, według książki Malinowskiego, przedstawiały się następująco. Wówczas gdy większość uczestników akcji natychmiast rozjechała się w różne strony, Świrski następny dzień spędził w Wilnie, skąd wieczorem pojechał do Warszawy w celu porozumienia się z adwokatem Patkiem, obrońcą niedawno skazanego na karę śmierci Montwiłła-Mireckiego. Dowiedziawszy się, że Montwiłła uratować może tylko ułaskawienie, Świrski pojechał do Petersburga, gdzie przez tydzień zabiegał u różnych wpływowych osób, powołując się na swój tytuł książęcy i nazywając Mireckiego swoim ukochanym korepetytorem. Dostał jakieś listy do warszawskiego Generał-Gubernatora, niestety nie od najbar-

3. Wł. Pobóg-Malinowski. *Akcja bojowa pod Bezdanami*, 26 września 1908 r. Warszawa 1933.

4. Informację tę zawdzięczam panu płk. Adamowi Kocowi z nowojorskiego Instytutu Józefa Piłsudskiego.

dziej właściwych osób. Wróciwszy do Warszawy czekał, wraz z żoną Mireckiego, na rezultaty swoich zabiegów. Gdy, w końcu, nie odniosły one skutku i, dokładnie w dwa tygodnie po Bezdanych, Montwiłł został powieszony, Świrski zdecydował się na wyjazd do Galicji, lecz w Sosnowcu popełnił zasadniczy błąd, jadąc z cudzą przepustką graniczną *w nocy*. Pociąg był pusty i pech zechciał, że strażnik znał osobiście osobę, na którą przepustka Świrskiego była wystawiona, i w związku z tym zainteresował się nim i zatrzymał. Na próżno Świrski się tłumaczył, że jest studentem Uniwersytetu Jagiellońskiego i jechał do Krakowa dla kontynuowania studiów. Zaalarmowana po Bezdanych policja nie dała temu wiary, gdy zaś w wykrytej w tym właśnie czasie redakcji *Robotnika* na Foksalu zostały znalezione pisane ręką Świrskiego notatki z obserwacji transportów pieniężnych z Urzędu Cł w Warszawie oraz gdy został on rozpoznany przez innych, równie przypadkowo zatrzymanych, uczestników bezdańskiej akcji, sprawa jego przedstawiała się bardzo źle. Pomimo, że od chwili aresztowania Świrski udawał chorego na melancholię i przez lekarzy sądowych został oficjalnie uznany za umyślowo chorego, sąd wojskowy w Wilnie 28 września 1909 roku, czyli niemal dokładnie w rok po bezdańskiej akcji, uznał go za winnego w niej udziału i skazał na karę śmierci. Wiadomość, że w Rosji mają powiesić człowieka obłąkanego, wywołała pewne poruszenie na Zachodzie i spowodowała między innymi interwencję francuskiej Ligi Obrony Praw Człowieka. Ostatecznie wyrok śmierci wykonany nie został, gdyż sąd kasacyjny zamienił go na dożywotnią katorgę. Malinowski zamieszcza w swojej książce fotografię Świrskiego, zrobioną w 1914 roku w katordze w Jarosławiu nad Wołgą. Gdy ostatnio fotografię tę raz jeszcze oglądałem, wydała mi się dość niesamowita.

Odmienne i bardziej romantyczną wersję okoliczności ułaskawienia Świrskiego słyszałem ostatnio od kogoś w Waszyngtonie. Podobno miał je zawdzięczać Stołypinowi, czy raczej jego żonie. W okresie, gdy po wyroku śmierci decydowały się losy Świrskiego, wypadły imieniny czy urodziny pani Stołypinowej. Wśród osób, które o tym pamiętały, był między innymi jeden z członków rosyjskiej Rady Państwa, z pochodzenia Polak. Przyniósł jakiś kosztowny prezent i, będąc z solenizantką na dość zażyłej stopie, spytał w toku rozmowy, jaki prezent otrzymała od męża. Odpowiedziała z żalem, że mąż jest bardzo zajęty, stale poza domem i, kto wie, czy w ogóle pamięta o jej dzisiejszym święcie. Ponieważ uprzednio w rozmowie była poruszana aktualna wówczas sprawa wykonania wyroku na Świrskim, Polak miał powiedzieć, że Premier Rosyjskiego Imperium zawsze

może swej żonie zrobić prezent bezcenny, podarowując jej na przykład... życie ludzkie. Gdy, późnym wieczorem tego dnia. Stopylin wrócił do domu, okazało się, że istotnie nie pamiętał o prezencie i był tym szczerze zmartwiony. Wówczas, by go pocieszyć, żona powtórzyła mu ową rozmowę. W rezultacie Świrski nie został stracony.

Tak czy inaczej, Świrski istotnie w ostatniej dopiero chwili urwał się carskiej szubienicy. Spędził natomiast prawie lat dziewięć w więzieniu i na katordze, przez cały ten czas udając melancholika i powstrzymując się od mówienia. Trudno uważać to za „energiczne kontynuowanie rewolucyjnej kariery”, czy nawet za właściwą do jakiegokolwiek „kariery” zaprawę.

Zwolniony przez Rewolucję Marcową, Świrski rychło przedostał się do Warszawy, gdzie zastał sytuację odmienną, niż przed dziesięć laty. Szukając kontaktów z dawnymi „towarzyszami”, trafił do Komendy Głównej POW, lecz odmówił z nią współpracy, uznając jedynie Organizację Bojową PPS. Odpowiednio skierowany, brał udział w akcjach przeciwko niemieckim okupantom. Dopiero w listopadzie 1918 r. zameldował się u swego dawnego Komendanta z Bezdan i, jako „pierwszy żołnierz polski”, został mianowany podporucznikiem oraz przydzielony do Adiutantury.

O ile dla Świrskiego dziewięć lat spędzonych w zamkniętym świecie jego własnych przeżyć i myśli mogły, czy nawet musiały, niezwykle wysublimować postać bezdańskiego Komendanta, dla Piłsudskiego był on, czy może dopiero został, jednym z „jego ludzi”, niewątpliwie mniej bliskim niż ci, z którymi po Organizacji Bojowej przeszedł Strzelca i Legiony. Gdy jednak, na początku kwietnia 1919 r., „Prezydent Ministrów” Paderewski udawał się na Konferencję Pokojową do Paryża, Naczelnik Państwa, czy też jego Adiutantura przydzieliła doń Świrskiego. Widocznie język francuski odgrywał pewną rolę w książęcej *Kinderstube*.

W Paryżu Świrski odniósł sukcesy natury raczej towarzyskiej, natomiast pod względem politycznym wyraźnie nie dorósł do roli, jaką w przyszłości miał odegrywać Zaćwilichowski przy Bartlu. Toteż, po powrocie w styczniu czy lutym 1920 r. do Warszawy, odszedł w cień. „Pierwszy żołnierz polski”, zaszczycony przez Pobóg-Malinowskiego umieszczeniem jego fotografii na jednej stronie obok Walerego Sławka, nie zrobił w niepodległej Polsce kariery ani wojskowej ani politycznej. Za dawne zasługi, oraz więzienie i katorgę, otrzymał dość popłatną synekurę — rejenturę w Warszawie, co mu zresztą nieraz wytykano z powodu braku zakońzonego wykształcenia prawniczego. Miał

jakiś długotrwały proces o nieruchomości po-niemiecką, jaką kupić i objąć w posiadanie od Niemca, który był ją uprzednio formalnie sprzedał innej osobie. Jak mi mówił adwokat tej ostatniej, Świrski ów proces w pewnej chwili zakończył zupełnie po dżentelmeńsku. Być może ta właśnie nieruchomość i proces o nią były podstawą oszczerczej plotki Korostowetza.

Gdzieś w połowie lat trzydziestych, Świrski Polskę opuścił z powodów i w okolicznościach dla mnie niejasnych. Podobno miał jakieś wizje i przepowiadał w Polsce straszliwe przejścia. Namawiał, ponoć, wybitnych przedstawicieli „obozu piłsudczykowski” do poczynienia inwestycji w Brazylii, dokąd sam się udał.

Powyższe strzępy przypadkowo i poniekąd wbrew mej woli i intencji zebranych informacji biograficznych stanowią tylko wstęp. Istotną bowiem intencją jest sprostowanie pewnych nieścisłych i nieprawdziwych twierdzeń Adama Grzymały Siedleckiego o stosunkach pomiędzy Piłsudskim a Paderewskim w roku 1919. W misternie napisanym szkicu o *Fundatorze Pomnika Grunwaldzkiego* Siedlecki twierdzi, że „dla tych, co go (Paderewskiego) znali, nie ma wątpliwości”, że, wspominając w swoim przedostatnim testamencie z 1930 roku o „pysznych i nikczemnych, co myśląc jedynie o korzyściach osobistych i o wywyższeniu własnym, prowadzili i prowadzą Ojczyznę do zguby, a naród do upodlenia”, Paderewski miał na myśli Piłsudskiego.

Twierdzenie takie Siedlecki uzasadnia tym, że:

1. Piłsudski czasu premierowstwa Paderewskiego niewątpliwie nieraz go krzywdził;
2. potrafił okazać się niewdzięcznym wobec niego i uprzykrzał mu życie;
3. rozchodzili się też w pojęciach o tym, co zbawi, a co przybliży zgubę Polski.

Tymi trzema punktami chciałbym się tu zająć i, w oparciu o niedawno oglądane w Nowym Yorku, a dotąd, o ile wiem, nieogłoszone, oryginalne dokumenty z roku 1919, wykazać, że w odniesieniu do owego okresu są one zupełnie nieprawdziwe. Ograniczenie w czasie wyraźnie podkreślam, gdyż pragnę pozostawać w płaszczyźnie empirycznych faktów, a nie przypuszczeń o tym, co ktoś myślał i jak przeżywał minione zdarzenia, a także co o nich następnie mówiono. Innymi słowy, z dyskusji czy polemiki chcę całkowicie wyeliminować argument sformułowany przez Siedleckiego jak następuje: „Może się mylę, ale żyje we mnie przekonanie, że zawzięta jego (Paderewskiego) antypatia do Piłsudskiego z tego się głównie rodziła, że, jak się mu zdawało, Piłsudski uniemożliwił mu spełnienie snów”, a mianowi-

cie zrealizowanie „najwyższego upragnienia” zostania Prezydentem Rzeczypospolitej. Ograniczając się do tego tylko co miało miejsce w roku 1919, kiedy Paderewski był „Prezydentem Ministrów”, a Piłsudski Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem, chcę sprawdzić, czy Piłsudski Paderewskiego wówczas „niewątpliwie nieraz krzywdził”, potrafił okazać się wobec niego niewdzięcznym i uprzykrzał mu życie, oraz czy istotnie Premier i Głowa Państwa rozchodzili się wówczas w poglądach na to, co dla Polski było dobre, a co złe.

Jak to z dalszego ciągu niezbyt systematycznie napisanego szkicu wynika, wszystkie powyższe punkty wiążą się przede wszystkim z tzw. „Odezwą Wileńską” Piłsudskiego, „bez wiedzy Rządu wydaną, z Sejmem nieuzgodnioną”. Gdy odezwa ta wywołała w Sejmie „wzburzenie”, „Wściekły Ryzykant”, w ujęciu Siedleckiego nie grzeszący zbytnią odwagą cywilną, miał zaprosić Paderewskiego do Belwederu i tam go prosić, by wziął przed Sejmem odpowiedzialność za odezwę na siebie. „Pana Sejm przecie za to nie obali, Pan przecie jest ich *herzpinklem*” (str. 331). W przeciwieństwie do Piłsudskiego, dobry i odważny Paderewski, choć „co do 'deklaracji wileńskiej' Piłsudskiego podzielał zapatrywania Sejmu, a więc nie solidaryzował się z Marszałkiem (? — W.S.) — wychodząc atoli z założenia, że jawny zatarg sejmu z głową państwa może zaszkodzić ustrojowi..., postanowił 'z ciężkim sercem' przyjąć wezwanie”.

Przy takim przedstawieniu przebiegu wypadków istotnie dopatrzeć się można elementów nie tylko wyraźnej rozbieżności w zapatrywaniach na to, co dobre, a co szkodliwe dla Polski, lecz także „krzywdzenia” Paderewskiego przez Piłsudskiego i „uprzykrzania mu życia”, jak również „niewdzięczności”, gdyż Piłsudski Paderewskiemu niczym się nie odwdzieczył za rzekomo mu oddaną tak wielką usługę. Pewnych dodatkowych zresztą dowodów „krzywdzenia” Paderewskiego i „uprzykrzania mu życia”, jeśli nie niewdzięczności, miał Siedleckiemu dostarczyć nikt inny, jak „por. Świrski, do pokojowej delegacji polskiej przydzielony adiutant Piłsudskiego”, dzieląc się z nim przy winie w Paryżu następującym, rzekomo bardzo niesłusznym i krzywdzącym, sądem wypowiedzianym przez Piłsudskiego o Paderewskim: „Naprawdę wielka to szkoda, że tak kryształowa dusza zamknęła się w głowie dziecka”. Zresztą, kto wie, czy, w subiektywnym odczuciu Siedleckiego, nie zrobił mu „krzywdy” i sam Świrski, należycie nie dopomagając w wykonaniu tego, co Siedlecki uważał wówczas za swoje historycznej wagi zadanie, a mianowicie w podjęciu próby pogodzenia polskiej Wielkiej Trójki: Piłsudskiego, Dmowskiego i Paderewskiego. Wprawdzie już

Dmowski odpowiadając na postawione mu pytanie, co należałoby zrobić dla wyrównania jego stosunków z Paderewskim: „Otruć panią Paderewską”, zadanie to poważnie utrudnił, ale ostatecznie uniemożliwił jego spełnienie dopiero Świrski. Dał mu wprawdzie list polecający do Belwederu, ale w końcu audiencji nie wyrobił i Siedlecki z Piłsudskim rozmówić się nie zdołał. Zresztą Paderewski również nie chciał słuchać jego dobrych rad i w rezultacie odszedł „na szaro”, zamiast przez „triumfalną bramę” (str. 336).

Przejdźmy jednak od tych surrealistycznych historii do faktów rzeczywistych. Malinowski w *Najnowszej Historii Politycznej Polski*⁵ stwierdza, że Piłsudski nie zawsze działał bez porozumienia z „Prezydentem Ministrów” i w szczególności „wtajemniczył w swe zamiary (co do Wilna) Paderewskiego, który właśnie wyjeżdżał z Warszawy do Paryża”. Dokumenty nowojorskie całkowicie to potwierdzają, aczkolwiek przeczą w pewnym stopniu dalszym wywodom Poboga o różnicy w poglądach na sprawę taktyki politycznej pomiędzy Naczelnikiem Państwa a Premierem, wywodom popartym zresztą nie tyle jakim autorytetem, bo świadectwem samego Piłsudskiego z roku 1923. Te jednak, późniejsze w czasie, opinie czy oceny nie całkowicie się pokrywają z treścią dokumentów z roku 1919.

Podkreślić należy, że plany wileńskie stanowiły w owym czasie tajemnicę tak wielką, iż nawet w korespondencji pomiędzy Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem a Premierem nie pisało się o nich wyraźnie, lecz używało pewnych, dziś zresztą dostatecznie przejrzystych, niedomówień. Toteż Piłsudski 8 kwietnia 1919 r. w liście do Paderewskiego, który przyjechał do Paryża 5 kwietnia, pisał:

„Teraz w sprawie litewskiej: nie otrzymałem dotychczas z Paryża żadnej depezy powstrzymującej mnie w moich decyzjach, znanych Panu, wobec czego w chwili, gdy list mój będzie u Pana, operacje będą już rozpoczęte. Będą one jednak jeszcze w tym stadium, że muszą być osłonięte co do swego celu najzupełniejszą tajemnicą...”⁶.

Na ten list Piłsudskiego Paderewski odpowiedział z Paryża dwukrotnie. W pierwszej depezy, otrzymanej w Warszawie 14 kwietnia, pisał:

„...Z tego, com mógł wyczuć, zdaje się, że zamiar uwieńczony powodzeniem da nam ogromną przewagę i siłę. Muszę dodać, że

5. Tom II, część 1, Londyn 1956, str. 147.

6. Zbiory Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Yorku. Teczka 55 „Narodowy Komitet Paryski”, dokument 611/T.

największa w tym względzie powaga doradza, ażeby wszelkie tego rodzaju zamiary powstrzymane zostały aż do przybycia Hallera. Chwilowo wszystko zależy od utrzymania spokoju i ładu. Zdaje się, że ostateczne wyniki układów nie rychło nastąpią...’’⁷.

Tę właśnie odpowiedź Paderewskiego z Paryża miał Piłsudski na myśli w ostatnim zdaniu zacytowanej przez Poboga wypowiedzi z 1923 roku. Istotnie nie była ona zbyt wyraźna. Paderewski przekazywał w niej zdanie marszałka Focha, nie wypowiadając własnego i raczej uchylając się od przyjęcia na siebie jakiegokolwiek odpowiedzialności za ostateczną decyzję. Jeśli zamiar zostanie „uwieńczony powodzeniem”, to bardzo dobrze, a jeżeli nie..

W końcu jednak, po dalszych kilku dniach orientowania się w stosunkach i nastrojach paryskich, Paderewski decyzję podjął i przekazał ją Piłsudskiemu, o czym ten w 1923 roku mówił w cytowanym przez Malinowskiego zdaniu przedostatnim. Tym razem była to decyzja jasna i kategoryczna, bez jakiegokolwiek oglądania się na Focha czy Hallera. W drugiej depeszy, przy zbytnim może wyolbrzymianiu swojej i swego rządu roli w owym, istotnie pod każdym względem kryzysowym, okresie, Paderewski plany i zamiary Piłsudskiego całkowicie i bez zastrzeżeń akceptował, pisząc:

„....Wszystko dziś zależy od spokoju w kraju i sejmie. Upadek rządu byłby upadkiem sprawy polskiej na Konferencji i Kongresie. O władzę mi nie chodzi, bo pracę mam nieludzką, ale przegrać nie możemy. Proszę o poparcie do końca Kongresu. Pobyt mój musi się przedłużyć. Po zawarciu pokoju ustąpię z radością. Haller wczoraj wyjechał. O wiadomym zamiarze mogę dziś stanowczo powiedzieć: 'Szczęść Boże!' Szczerze oddany: Paderewski’’⁸.

Ta druga depesza Paderewskiego została wysłana z Paryża 19 kwietnia, czyli, obiektywnie, istotnie trochę za późno, i to właśnie wymawiał Piłsudski w roku 1923. Ponieważ jednak operacja wileńska osłonięta była „najzupełniejszą tajemnicą” i Paderewski w Paryżu nie mógł znać jej szczegółów, subiektywnie z jego strony była to decyzja o zdarzeniu, które dopiero miało ewentualnie nastąpić, a nie już nastąpiło. Toteż, gdy Bóg poszczęścił i zamiar tak rychło został uwieńczony powodzeniem, Paderewski, subiektywnie, mógł uważać, że i jego była w tym pewna zasługa, oraz nie posiadać się z radości i dumy. Dał im wyraz przy pierwszej możliwości skomunikowania się z Piłsudskim, w

7. *Ibidem*, dok. 636/T.

8. *Ibidem*, Teczka 56 „Komitet Narodowy Polski — Francja” dok. 717/T.

słowach następujących, niewątpliwie z kryształowego serca i duszy płynących:

„Ja i żona moja szlemy wyrazy wielkiej serdecznej radości, a wojskom polskim z Naczelnikiem na czele do starej litewskiej stolicy 'Szczęść Boże!' w dalszej pracy. Chcemy z Paryża wysłać depeszę z odezwą do narodu litewskiego. Proszę więc zatelegrafować mi treść odezwy wydanej zapewne przez Naczelnika, byśmy z treścią jej mogli uzgodnić odezwę naszą. Foch i Wilson są zdania, żeby nie używać wojsk Hallera przeciwko Niemcom, zanim nie przyjdzie cała armia Hallera. Depesze Naczelnika odebrałem. Wpłynąć na Niemców jest trudno. Naczelniku, myślami i sercem jestem z Nim. Niech Bóg Go dalej prowadzi ku szczęściu i chwale Ojczyzny! Proszę Naczelnika, jeśli można, zostawić jeszcze w Paryżu por. Świrskiego; jest mi bardzo użytecznym...

Użyteczność Świrskiego przejawiała się między innymi także i w tym, że to on właśnie w skomplikowanych wojennych czy powojennych warunkach technicznie umożliwił tak szybkie porozumienie się polskiego Premiera z Paryża z polskim Naczelnikiem Państwa w Wilnie. Okoliczność tę zresztą niezwłocznie wykorzystał, sam się wtrącając do rozmowy najwyższych dostojników. Dalszy bowiem ciąg przytoczonej wyżej depeszy był następujący:

„...Mówi Świrski. Cześć mojemu Komendantowi! Z Paderewskimi mieszkam i stale obcuje, mam wielki na nich wpływ. Mogę wiele inspirować. Jeśli mam zostać, to proszę o wskazówki co do ambasad⁹. Wrażenie o Wilnie kolosalne, tak na Entente, jak i na kolonię¹⁰. Akcje, autorytet, powaga Komendanta niesłuchanie się podniosły. Jutro wysyłam list. Szyfrem rozporządzam”¹¹.

„Nieludzko” zapracowany Paderewski komunikował się z Paryża z Piłsudskim tylko telegraficznie; nie miał czasu na pisanie listów. Wypadek jednak był tak niezwykle wrażenie tak wielkie, że Pani Helena w zastępstwie męża wzięła się za pióro, a notoryczne było, że w tym stadle miała ona niemało do powiedzenia. Wszak Prezydent Ministrów w widocznym podnieceniu nie tylko wraz z żoną winszował Wojsku i jego Naczelnemu Wodzowi sukcesu, ale, bodaj, z żoną także chciał wydawać z Paryża odezwę do Narodu Litewskiego. Tak czy inaczej, nie można mieć wątpliwości, że Pani Helena jak najbardziej dokładnie i

9. Chodzi o aktualną wówczas sprawę obsadzenia nowotworzonych polskich przedstawicielstw dyplomatycznych w państwach zachodnich — ob. niżej.

10. Chodzi niewątpliwie o cudzoziemskie i polskie koła w Paryżu.

11. *Ibidem*, dok. 701/T.

wiernie wyrażała w swoim liście mężowskie uczucia i myśli. A pisała co następuje:

Paryż, 23 kwietnia 1919 r.

Panie Naczelniku!

Mąż mój codziennie pragnął napisać do Pana Komendanta — ale zajęty bez wytchnienia przez 18 godzin dziennie, dotąd skutecznie tego nie mógł. Niechże więc mi będzie wolno, w imieniu nas obojga, wyrazić Mu całą naszą wielką serdeczną radość i wdzięczność za ten czyn wspinały, za to uratowanie drogiego nam wszystkim Wilna, którego straszna niedola, jak olów na duszach naszych ciążyła.

Tutaj zwycięstwo wojska polskiego wielkie wywarło wrażenie — oczy każdego dziwnie sympatycznym ogarniają każdego naszego żołnierza spojrzeniem — prasa z entuzjazmem przyjęła tę nowinę — oddając słuszny hołd Panu Naczelnikowi — a my Bogu dziękujemy, iż nie tylko ten wielki stał się czyn, ale że i Panu drogiemu Bóg wykonanie jego powierzył.

Bo Pan Naczelnik, ani się tego nawet i nie domyśla, że my zaczynamy Go bardzo kochać i że serca nasze biją dla Naczelnika oddaniem i najserdeczniejszym uczuciem.

Proszę się nie dziwić iż piszę o naszych dla Niego „sentymenciech” — ale mam w tej oto chwili, duszę moją, wezbraną gorącym serdecznym dla Naczelnika uczuciem i pragnę by Komendant o tem coś wiedział.

Co się tu dzieje — jak mąż mój pracuje, musi Naczelnik wiedzieć z listów p. Świrskiego — ja tylko powiem, iż przyjechał on tutaj, nieledwie w ostatniej chwili — i że przypadło mu w udziale nad wyraz ciężkie i trudne zadanie. Horyzont jednak wyjaśnił się już wiele i da Bóg — Ojczyzna nasza wyjdzie z tej walki jeżeli nie zupełnie taką, jak ją widzieć pragniemy — to jednakże zjednoczoną, silną — z rozpostartymi skrzydłami — do wielkiej świetnej przyszłości.

Pan Świrski jest ulubieńcem nas wszystkich i my oboje kochamy go (*skreślone: bardzo*) serdecznie. Śliczna to dusza — a jego bezgraniczne do Komendanta przywiązanie — wszystkie mu serca otwiera. Można śmiało powinszować Panu Komendantowi Jego „Madoiselle”.

A teraz Panie Naczelniku — niech Bóg go strzeże i prowadzi na dalsze zwycięstwa — na wielkie dalsze czyny, niech Mu pozwoli dokonać tego czego pragnie każde polskie serce, do czego się wyrwa każda polska dusza.

My tu choć z tak daleka, z bijącym sercem śledzimy każdy zwycięski krok Jego — dumni i szczęśliwi, iż to wielkie dzieło Panu Panie Naczelniku, (*skreślone: przy*) los powierzyć zechciał.

Myśli nasze są z Komendantem, a serca także — proszę w to wierzyć i przyjąć wyrazy podziwu, oddania i bardzo serdecznych uczuć.

Helena PADEREWSKA¹².

12. *Ibidem*, dok. 769/T. Oryginał pisany odręcznie na dwóch kartkach białego papieru listowego z monogramem „H P” w górnym lewym rogu. Ortografia oryginału wraz ze skreśleniami w dwóch miejscach.

Już przytoczenie tego listu właściwie wystarczyłoby dla udowodnienia, że wbrew twierdzeniu Siedleckiego, w 1919 roku Paderewski, czy też państwo Paderewscy, nie tylko Piłsudskiego nie nienawidzili ani nie uważali go za swego „krzywdziciela”, który im „uprzykrzał życie”, lecz „serca ich biły” dla niego „oddaniem i najserdecznijszym uczuciem”. Nie rozchodzili się też Prezydent Ministrów z Naczelnikiem Państwa w „pojęciach o tym, co zbawi, a co przybliży zgliszcza Polski”, gdyż zarówno państwo Paderewscy, jak i na pewno Piłsudski, widzieć Polskę pragnęli „zjednoczoną, silną — z rozpostartymi skrzydłami — do wielkiej świetnej przyszłości”, przy czym państwo Paderewscy byli „dumni i szczęśliwi” z tego, że oni również mają pewien udział w „wielkim dziele”, które *przypadek* czy też „los powierzyć zechciał” Piłsudskiemu, oraz prosili Boga, by go strzegł i pozwolił „dokonać tego, czego pragnie każde polskie serce, wyrывая się każda polska dusza”. Ale może to był tylko nastrój chwili, który spowodował ten wylew „sentymentów” z dusz „wzbranych gorącym, serdecznym uczuciem” i może ten nastrój wkrótce przeminął?

Późniejsze dokumenty, redagowane już przez samego Paderewskiego stylem mniej kwiecistym od pani Heleny, stwierdzają, że tak nie było i że, w każdym razie w Paryżu, Paderewski nie miał do Piłsudskiego żadnych pretensji, ani politycznych, ani osobistych. Tak, np. w depeszy, otrzymanej w Warszawie 2 maja 1919 roku, Paderewski pisał:

„Ponawiam najserdeczniejsze powinszowania z powodu zwycięstw pod dowództwem Naczelnika. Sprawily one tutaj ogromne wrażenie i dla nas mają znaczenie polityczne wielkiej wagi. Raz jeszcze usilnie proszę o przysłanie mi tekstu odezwy wydanej przez Naczelnika w Wilnie, gdyż z treścią jej chcemy uzgodnić treść komunikatu, który muszę jak najprędzej ogłosić...”¹³.

Widocznie niezbyt szczęśliwa redakcja pierwszej depeszy Paderewskiego, o jego intencji wysłania (wraz z żoną!?) z Paryża depeszy z odezwą do Narodu Litewskiego, wprowadziła Warszawę w zakłopotanie i nie spieszo tam z ułatwieniem takiego poczynania. Gdy jednak druga depesza Paderewskiego, oraz list Świrskiego, o którym poniżej, wyjaśniły, że chodziło właściwie o komunikat Polskiej Delegacji na Konferencję Pokojową, o wydanie którego nalegali Dmowski i Stanisław Grabski, a Paderewski się sprzeciwiał bez jego uprzedniego uzgodnienia z *Odezwą Wileńską*, tekst jej niezwłocznie przekazano do Paryża, gdzie,

13. *Ibidem*, dok. 722/T.

przynajmniej u Paderewskiego, nie wywołał on żadnych zastrzeżeń. Świadczy o tym szyfrowana depesza iskrowa, nadana przez Paderewskiego z Paryża 6 maja 1919 r., o treści następującej:

„Naczelnik Państwa Naczelny Wódz Piłsudski, Warszawa, Belweder. Taryba wniosła skargę do Prezydium Konferencji Pokojowej, traktując oswobodzenie Wilna jako najazd. Zapowiada walkę zbrojną, która rzekomo już się rozpoczęła. Czy wiadomość ta prawdziwa? Odezwa Naczelnika sprawiła bardzo dodatnie wrażenie, natomiast wiadomość o opozycji i mającej nastąpić uchwale Sejmu w duchu aneksji zatrwożyła poważnych przyjaciół i może wyrządzić nieobliczalne szkody. Czy nie można odłożyć rozprawy aż do mego powrotu. Jak tylko dowiem się o ostatecznych warunkach Gdańska, przyjadę dla wyjaśnień. Tymczasem proszę o natychmiastowe przysłanie pełnomocnictw Naczelnika dla delegatów na Kongres Pokojowy, to jest dla Paderewskiego, Dmowskiego, Dłuskiego jako mego zastępcy oraz Grabskiego.

Paderewski”¹⁴.

W natychmiastowej, również przesłanej szyfrem, odpowiedzi Piłsudski pisał:

„Prezydent Paderewski, Paryż.

Dotąd żadnych starć zbrojnych z Litwinami nie ma. Poszczególne części wojska ich stoją obok naszych drobnych oddziałów na południo-zachód i północo-zachód od Wilna w oddaleniu około 40 km. Na północ od Wilna, po odparciu bolszewików na Wilkomierz, ukazały się w okolicach Szyrwintd oddziały niemieckie. W Sejmie rozpraw o sprawie litewskiej dotąd nie ma. Prosbę Pana o odłożenie ich zakomunikuję jutro marszałkowi. Pełnomocnictwa żądane wysyłam jutro kurjerem.

Piłsudski”¹⁵.

Ze wszystkich tych dokumentów wynika, że Piłsudski Paderewskiemu bynajmniej życia nie uprzykrzał, ani go nie krzywdził, oraz że Paderewski nie tylko całkowicie solidaryzował się z *Odezwą Wileńską*, która, jego zdaniem, „sprawiła bardzo dodatnie wrażenie”, lecz także sam z własnej inicjatywy jeszcze w Paryżu zdecydował bronić *Odezwy* przed Sejmem, uważając, że akcja Sejmu „zatrwożyła poważnych przyjaciół” i mogła Polsce wyrządzić „nieobliczalne szkody”.

Opinia Paderewskiego o bardzo „dodatnim wrażeniu”, jakie *Odezwa Wileńska* wywołała w Paryżu w kołach, które w ówczesnych warunkach mogły wywierać poważny wpływ na „zbawienie” względnie „zgubę” Polski, była całkowicie potwierdzana przez inne współczesne dokumenty. Oto parę z nich wyjątków:

Michał Sokolnicki w raporcie politycznym z Paryża z 6 maja

14. *Ibidem*, dok. 738/T.

15. *Ibidem*, dok. 739/T.

1919 r., po omówieniu skierowanej przeciwko Polsce skoordynowanej akcji kół żydowskich i litewskich, pisał:

„W tych warunkach odezwa wileńska Komendanta była ciosem dla wszystkich naszych wrogów, tryumfem moralnym w stosunku do całego świata anglosaskiego, decydującym na Konferencji. Okazało się bajką głoszenie o imperializmie polskim, o złych stosunkach z sąsiadami, zaimponowała sprawność wojskowa i pojawiło się przekonanie o zdolności i możliwości organizowania tych krajów przez Polskę. Panu Paderewskiemu ze strony angielskiej i amerykańskiej wyrażano największe uznanie dla Naczelnika Państwa. W tym momencie wieści o konflikcie Sejmu z Naczelnikiem Państwa, tendencje przejawione we wnioskach wywarły najgorsze wrażenie i gotowe są przywrócić znaczenie działalności naszych wrogów...”¹⁶.

Podobnie donosił Władysław Baranowski w *Notatkach Politycznych*, datowanych w Paryżu 6 maja 1919 r. Po wzmiankowaniu o znacznym pogorszeniu się stosunków pomiędzy Paderewskim a Dmowskim (Czy to nie list pani Heleny do Piłsudskiego był powodem przytoczonej przez Siedleckiego wypowiedzi Dmowskiego o celowości „otrucia pani Paderewskiej”?), pisał:

„...III. Wileńska odezwa Komendanta wywołała w kołach dyplomatycznych jak najlepsze wrażenie, natomiast stanowisko większości Sejmu przyjęto bardzo krytycznie...”

IV. Prezydent Paderewski podziela w zupełności stanowisko Komendanta, nie tylko z powodu swych przekonań federalistycznych, ale zarówno z punktu widzenia polityki zagranicznej i terenu dyplomatycznego, na którym wszelkie projekty imperialistyczne polskie napotykać się z bezwzględną opozycją...”¹⁷.

Natomiast nastroje i opinie ówczesnej Warszawy różniły się zasadniczo od nastrojów i opinii paryskich. Na gorąco z „syreniego grodu” donosił o nich „Kochanemu Komendantowi” do Wilna jeden z jego najbliższych współpracowników w dopiskach do listu, datowanych 20 i 21 kwietnia 1919 r.

„Kontrminy przeciw wileńskiej *gloire* zakładane są w sposób następujący:

1. Jakież to nietakt brać Wilno wbrew woli Koalicji, jakież to nietakt wyjeżdżać z Warszawy, gdy przyjechali Sprzymierzeńcy z Henrysem etc.;

2. Tylko zawiść do Hallera podyktowała Piłsudskiemu wileńską eskapadę;

3. Bo, czy to ładnie? Szeptycki trudził się, przygotowywał cały plan — Przyjechał Piłsudski i zbiera owoce jego pracy.

Tak się mówi 'w szerokich sferach syreniego grodu'. Warszawa 20.IV.19”.

16. *Ibidem*, dok. 770/T.

17. *Ibidem*, dok. 791/T.

„21.4.19. Wróciłem właśnie z dworca wiedeńskiego. Haller przyjechał. Jeszcze raz to samo, cośmy już niejednokrotnie widzieli: tłumy, cechy, strażacy, orkiestry, chorągwie, specyficzny entuzjizm warszawskiej ulicy spod którego zionie pustka i bezmyślność. Znów mowy bez końca, frazesy niezliczone, jeszcze jeden 'zbawiciel świata', który go ma uwolnić od anarchii, nieporządku, bolszewików i od 'niepowołanych i fałszywych proroków' (wyjątek z mowy powitalnej Dymowskiego (!) — tego od zamachu stanu). Cała *mise-en-scène* wybitnie endecka, mówcy (za wyjątkiem Wojciechowskiego) sami endecy”¹⁸.

Jakżeż do tego obrazu, naszkicowanego w 1919 roku, doskonale pasuje historyjka powtarzana przez Siedleckiego w roku 1961 o rzekomej „wielkiej usłudze”, jaką specjalnie zaproszony do Belwederu Paderewski „z ciężkim sercem” i wbrew swemu przekonaniu zgodził się wyświadczyć Piłsudskiemu? Na pewno w swoim czasie coś w tym rodzaju w Warszawie opowiadano, zakładając jeszcze jedną „kontrminę” przeciwko wciąż wzrastającej *gloire*. Siedlecki niewątpliwie odznacza się dobrą pamięcią oraz stałością przekonań. Chociaż w Polsce i świecie tyle się zmieniło, on ich nie zmienił od roku 1919.

Czy Paderewski, którego Piłsudski miał, rzekomo, określić jako „kryształową duszę w głowie dziecka”, swoje przekonania i pogląd na Piłsudskiego zmienił, i kiedy? W każdym razie nie w roku 1919, kiedy był Prezydentem Ministrów. Stosownie do zapowiedzi depeszy z 6 maja, wkrótce potem „dla wyjaśnień” przyjechał do Warszawy. Nie uległ jednak jej nastrojowi, ani niewątpliwie obficie „zakładanym” „kontrminom”: jak umiał i potrafił, bronił swej wspólnej z Naczelnikiem Państwa polityki przed Sejmem i ostatecznie pod koniec maja, formalnie przynajmniej, batalię wygrał. Wówczas ponownie pospieszył do Paryża, gdzie akcja czynników antypolskich istotnie się wzmogła¹⁹ i nastroje w stosunku do Polski uległy znacznemu pogorszeniu, w szczególności w związku z wiadomościami o udziale dywizji Hallera w walkach z Ukraińcami. Po zorientowaniu się w zmienionej sytuacji, Paderewski 2 czerwca telegraficznie informował Piłsudskiego, że „położenie znacznie pogorszone” i że „natychmiastowe uznanie przez wszystkie wojska nasze autorytetu Focha, jak to zresztą uczyniły Włochy, Amerykanie, Anglia, a obecnie Rumunia i Czechy, może jedynie zbawić sytuację”²⁰.

18. *Ibidem*, dok. 788/T. Oryginał pisany odręcznie.

19. Dłuski w liście do Piłsudskiego z 29 maja 1919 r. załączał „od braci Litwinów do całego świata” komunikat litewskiego Biura Prasowego w Berlinie z 20 maja o rzekomych pogromach żydowskich w Wilnie „sans précédent dans l'histoire” — *Ibid.*, dok., 905/T.

20. *Ibidem*, dok. 904/T.

Ponieważ, jak to dość nieobiektywnie i przesadnie podkreśla Siedlecki (str. 332-3), Foch z Piłsudskim istotnie nie czuli do siebie nawzajem zbyt wielkiej sympatii, telegraficzny wniosek Prezydenta Ministrów nie musiał wywołać w Belwederze zbytniego entuzjazmu. Pomimo to Piłsudski nie skarżył się, że Paderewski „uprzykrza mu życie”, i do wniosku Premiera natychmiast się zastosował: 14 czerwca 1919 r. Rząd Polski podpisał specjalną konwencję z rządami mocarstw sprzymierzonych i stowarzyszonych, przyznając marszałkowi Fochowi zwierzchnie dowództwo nad całością armii polskiej.

Całkowitą harmonię panującą pomiędzy Naczelnikiem Państwa i Prezydentem Ministrów, oraz tożsamość ich zapatrywań na to „co zbawi, a co przybliży zglubę Polski”, potwierdza jeszcze jeden współczesny dokument, a mianowicie szyfrowana depesza Paderewskiego wysłana z Paryża 27 czerwca, czyli dokładnie w przeddzień podpisania Wersalskiego Traktatu. Depesza ta dotyczyła sprawy prowadzonych wówczas w Paryżu rokowań o rozejm z Ukraińcami i kończyła się w sposób następujący:

„...Cieszę się niezmiernie, że odpowiedź Naczelnika i zarządzenia naprawiły błędy naszego delegata. Z radością oświadczam, że w poglądach naszych na te sprawy niema żadnej różnicy. Przeciwnicy mięknią, coraz żądają rozmów. Znak niezły. Szczerze oddany Paderewski”²¹.

Tak w świetle współczesnych dokumentów wyglądają stosunki pomiędzy Paderewskim a Piłsudskim, jako Premierem i Naczelnikiem Państwa. Zupełnie inaczej, niż je przedstawia Siedlecki, który być może mniej lub więcej świadomie, rzutuje na tamten okres czasy znacznie późniejsze. Czasy, gdy Paderewski już nie brał bezpośredniego czynnego udziału w polskim życiu politycznym, na Piłsudskiego zaś „kontrminy”, tak uporczywie „zakładane” przez jego przeciwników politycznych, wywarły wpływ zgoła nieprzewidywany w 1919 roku.

Na zakończenie, jeszcze jeden dokument z owego okresu. List Świrskiego do Piłsudskiego, nie tylko rzucający pewne światło na ówczesną sytuację w Paryżu (oraz na osobę autora i jego rolę w stosunkach pomiędzy Naczelnikiem Państwa a Prezydentem Ministrów), lecz również wyjaśniający w pewnym stopniu skąd pod piórem pani Paderewskiej wzięło się określenie, użyte jako tytuł niniejszego szkicu.

21. *Ibidem*, Teczka 57. dokument 1038/T.

Paris 29 kwietnia 1919
80 Avenue des Champs-Élysées.

Komendancie! Nadarza się sposobność wysłania listu, o czym dowiedziałem się przed kwadranssem, mam do napisania czasu 1/2 godziny, przepraszam więc, że piszę tylko parę słów. Paderewski ogromnie jest zaniepokojony brakiem wiadomości od Komendanta, że odpowiedzi nie ma na ostatnie dwie depesze, które wysłałem szyfrowane przez Komitet Narodowy. Przedostatnia o nominacjach na ambasady (Rzym-Kwirynał — Kowalski, Watykan — Skirmunt; Londyn — Józef Potocki; Paryż — Maurycy Zamoyski; Praga — Patek; Skrzyński — likwidator Komitetu Paryskiego; Piltz — pierwszy attaché ambasady polskiej we Francji). W Komitecie niesłychany bałagan, proszą wszyscy, Komendancie: Paderewski, zrażony dziś ostatecznie do Komitetu, prosi, oraz nasza delegacja — o corychlejsze zatwierdzenie nominacji Skrzyńskiego, by objął nareszcie Komitet do zlikwidowania, gdyż dzieją się tam niemożliwe rzeczy — zatrzymują depesze wysyłane lub otrzymywane przez Paderewskiego; naprz. na całą dobę zatrzymali depeszę pierwszą od Komendanta, którą prawie awanturą mogłem zdobyć od Komitetu, gdyż o nadejściu jej dowiedziałem się drogą zupełnie prywatną. Na Skrzyńskiego godzą się tu wszyscy; Paderewski jest z nim dobrze, lewica i *Lauristan* 74, tj. delegacja Komendanta też jest zadowolona. Poznałem go osobiście bliżej, mam zupełnie pewne wrażenie, że jest to człowiek prawy i zacny, sprawie oddany, a rzetelny zwolennik Komendanta, najzupełniej szczerzy. *Komendancie, zależy tu bardzo wszystkim, by zatwierdzenie przez Niego nominacji Skrzyńskiego na likwidatora Komitetu nadeszło jak najprędzej.* Co do Piltza, lewica dęba staje, gotuje się demonstracja robotników polskich przeciwko niemu i Zamoyskiemu, w prasie artykuły protestujące z powodu Piltza już były. Będąc już dziś w zupełnie bliskich i serdecznych stosunkach z Paderewskimi, obcując z nimi ciągle, gdyż mieszkamy razem w jednym hotelu, mam możność inspirowania ich, ale po rozwiązaniu Komitetu dalszych od Komendanta wskazówek, niestety, nie mam. A zrobić tu dziś mógłbym bardzo wiele. Wiedząc, że Piltz zawsze zwalczał Komendanta i Jego linię polityczną, udało mi się przekonać Paderewskiego (i panią P.), że to jest nominacja fatalna. Jednak Paderewski aczkolwiek przekonany, twierdzi, że Francja chce mieć Piltza (tj. Pichon), ale że po jakimś czasie można będzie go usunąć. Sprawa zresztą Piltza jeszcze nie jest przez Paderewskiego definitywnie rozstrzygnięta.

Druka depesza Paderewskiego, którą wysłałem, zawiera prośbę przysłania mu treści odezwy, wydanej, prawdopodobnie, przez Komendanta w Wilnie do Narodu Litewskiego. Paderewski, Dmowski i Grabski chcą wystosować komunikat, ale Paderewski bez treści odezwy Komendanta, z którą chce uzgodnić odezwę swoją, nie pozwala wydawać żadnego komunikatu. Mam wrażenie, że zachwycony sukcesami zwycięskimi Komendanta na Litwie, jest szczerze dziś lojalny.

Na Paderewskiego dziś tu nikt wpływu nie wywiera, takie mam wrażenie. Z Dmowskim jest w b. złych stosunkach, wyraża się o nim z oburzeniem, że Skrzyńskim jest bodaj najlepiej i najczęściej się

widuje. Człowiek ten, jak i cała organizacja około niego — jest naprawdę bez kręgosłupa i dlatego, przekonany jestem, trzyma mnie, nie puszcza od siebie, że jestem cieniem Komendanta, na którego coraz więcej się ogląda i oprzeć się chce na nim. Kończę już, Komendancie, bo zaraz list oddaję, już późno, śpiesząc się pisać, przepraszam więc, że list mój chaotyczny z przyczyny pośpiechu.

Tęsknię bardzo i chory jestem z zazdrości i żalu, Komendancie.
Cześć!

Cz. Świrski, ppor.”²².

Z zestawienia tego listu z listem pani Paderewskiej widać, że w pewnym okresie w Paryżu Świrski musiał odegrywać rolę nieprzytomnie zakochanej w Piłsudskim pensjonarki. Pomimo to, stwierdzić należy, że się specjalnie do swego „Ideału” nie spieszył. W Paryżu było mu widocznie dobrze, skoro go opuścił znacznie później niż państwo Paderewscy: dopiero 17 stycznia 1920 roku, nowy Minister Spraw Zagranicznych Patek, w raporcie do Naczelnika Państwa wspominał między innymi, że „Świrski także powróci wkrótce”²³. Wrócił, lecz, jak pisałem na początku, w Polsce już żadnej roli politycznej nie odegrał i żadnej „kariery” nie zrobił.

Wiktor SUKIENNICKI

Kwiecień 1962 r.
Stanford, Kalifornia.

22. *Ibidem*, dok. 730/T. Oryginał pisany odręcznie na dwóch kartkach z nadrukiem *Cercle Français de la Presse Étrangère* i adresem. Skreślenie w oryginale.

23. *Ibidem*, Teczka 58, dokument 2301/T.

DWA NIEDOSZŁE ZAMACHY

(Przyczynek do biografii o gen. Sikorskim)

O istnieniu pułkownika Sikorskiego dowiedziałem się na początku 1919 roku, gdy zaczęto coś przebąkiwać o obronie Lwowa i o tym jaką rolę w niej odegrała jego osoba. Wiedziałem wtedy tylko tyle, że był legionistą z II brygady, byłym oficerem austriackim i że nie cierpiał go Piłsudski i cała tzw. „Pierwsza Brygada”. To było wszystko i zarazem bardzo niewiele...

Toteż gdy w lipcu 1919 roku na miejsce odchodzącego z dowództwa 9 D.P. na dowódcę II Armii gen. Listowskiego wyznaczony został pułkownik Władysław Sikorski, ja i cały sztab 9.D.P. tzw. „Podlaskiej”, której byłem szefem sztabu, zrobiliśmy wielkie oczy i zawrzało wśród nas jak w ulu. Sprawa wydała się nam bardzo podejrzana. 9.D.P. miała w pewnych sferach wojskowych i politycznych opinię „białej”, antysocjalistycznej i była w ich oczach winna dwóch grzechów pierwotnych. Po pierwsze rozbroiliśmy przysłany nam „jako wzmocnienie” z Warszawy batalion Milicji Ludowej, który nie chciał się bić z bolszewikami, a po drugie w naszym O.D.B. figurowała tak niepopularna w tych sferach jednostka jaką był „Pińsko-Wołyński” batalion, czyli Legia Officerska, składający się przeważnie z białych Rosjan, urodzonych w „obecnym” (wówczas) granicach Polski. O przeniesieniu generała Listowskiego na dcę II Armii słyszeliśmy, że miał on to do zawdzięczenia nie tyle swoim zdolnościom wojskowym, ile swojej „niebłagonadiożności” w stosunku do pewnych rządzących wówczas kierunków i partii. Był bardzo „biały”, narodowo nastawiony i nabożny, a zatem jego następcą (według naszych obliczeń) musiał mieć wszelkie cechy „na wywrót”, tj. być bardzo radykalny, czerwony i ateista. Nie znając

pułkownika Sikorskiego, na odległość wyobrażaliśmy go sobie jako tego diabła i antychrysta, przysłanego do nas z ognistą miotłą celem zrobienia porządku.

Faktycznie sprawa przedstawiała się tak. Sfery lewicowe nie mogły przeboleć rozwiązania Milicji Ludowej i strawić batalionu Legii Oficerskiej, formacji wyraźnie reakcyjnej, a zatem tak długo obrabiano Piłsudskiego, aż ten zdecydował się położyć koniec tym wszystkim intrygom i wysławszy gen. Listowskiego na inne, wyższe stanowisko, na dowódcę 9.D.P. wyznaczył Sikorskiego, z którym niedawno „pogodził się” politycznie z racji jego zwycięstw pod Lwowem. Ponieważ jednak sztab dywizji, a szczególnie jej szef sztabu „niejaki” rotmistrz szt. gen. Grobicki cieszył się w tychże sferach jak najgorszą opinią polityczną i uważany był za instygatora i winowajcę wszystkiego złego co się działo w dywizji z punktu widzenia politycznego, a zatem Sikorski miał przede wszystkim tutaj zrobić porządek, tj. rozpedzić sztab dywizji na cztery wiatry. Jednak obawiano się, że sprawa może nie pójść tak gładko i że zarówno ze strony sztabu 9.D.P., jak ze strony skazanego na rozbrojenie batalionu Legii Oficerskiej¹ mogą być opory. A zatem Sikorski miał przywieźć z sobą odpowiednie, wierne mu „Lwowskie” oddziały, które by mu w tym rozpedzeniu dopomogły, a raczej je ułatwiły.

O tym wszystkim dochodziły do nas głuche słuchy poprzez „naszą” dwójkę, która miała swoje chody wszędzie, jak to zwykle dwójka. Dziwiło nas trochę tego rodzaju załatwienie sprawy przez sfery warszawskie. Nie mieliśmy zamiaru stawiania jakiegos oporu, czy też robienia buntu, zaś Legia Oficerska nic o zamierzonym jej rozbrojeniu jeszcze nie wiedziała. Toteż wzruszając ramionami czekaliśmy ze spartańskim spokojem na przyjazd nowego dowódcy. Oddziały na froncie ma się rozumieć nic o tym nie wiedziały i w zasadzie mało się przejmowały szczupłymi wiadomościami, które do nich ze sztabu przenikały.

Sikorski lakoniczną depeszą zapowiedział iż przybędzie „w poniedziałek” (daty już nie pamiętam), toteż po wyjeździe gen. Listowskiego do Łucka, gdzie stał sztab II Armii niemal przez tydzień panowało w dywizji pewnego rodzaju bezkrólewie ze mną, jako nieprawnym regentem na czele. W sobotę przed zapowiedzianym poniedziałkiem były imieniny komisarza (starosty) na powiat piński, gdzie nie żałowano sobie alkoholu, gdy nagle wpadł na salę por. Żymowski, adiutant dowództwa dywizji z hiobową wieścią, że... Sikorski przyjechał.

1. Rozbrojenie to zostało nakazane z powodu wykrycia w tym baonie knowań łączących go politycznie z gen. Denikinem i dążących do oderwania od Polski Polesia, jako „Samodzielnej Republiki Pińskiej”.

— Niemożliwe — zawołałem — przecież to sobota, a nie poniedziałek...

— Sobota, sobota panie rotmistrzu, ale nic na to nie poradzimy... Sikorski jest w Pińsku z całym swoim wojskiem i już urządzuje w dowództwie. Pytał się o pana... — dodał znacząco.

— To lej mi wiadro wody na łeb... — zawołałem z determinacją, bo mi się mocno z głowy kurzyło.

Po chwili trzeźwy już i odświeżony ruszyłem z Żymowskim do sztabu, po drodze odbywszy dość ostrą rozmowę z „nowym szefem sztabu” majorem Jakliczem, który już z mojego szefowskiego samochodu urządował na rynku, przed kolegiatą. To mi się bardzo nie podobało... Kto to był w ogóle major Jaklicz?

W sztabie dywizji podoficer służbowy zapytany, gdzie jest nowy dowódca dywizji, nie potrafił udzielić mi żadnej bliższej informacji. Zły i w ogóle w zaczepnym nastroju po zejściu z majorem Jakliczem, zacząłem po ciemnych schodach wchodzić na pierwsze piętro, gdzie mieścił się ścisły sztab dywizji, wołając na oficera inspekcyjnego: — Gdzie do cholery ciężkiej jest ten pułkownik Sikorski? — Nagle na skrócie schodów ukazała się w ciemności jakaś sylwetka. Za nią ujrzałem oficera inspekcyjnego czyniącego ręką i twarzą jakieś rozpaczliwe znaki, ale nim zdążyłem zorientować się w sytuacji usłyszałem ostry głos:

— Pozwoli pan że się przedstawię. Jestem „ów” pułkownik Sikorski. Przypuszczam, sądząc z głosu i zachowania się, że mam do czynienia z rotmistrzem Grobickim? Proszę pana ze mną na górę do oddziału operacyjnego...

W pokoju operacyjnym stanął ze mną przed dużą mapą, wiszącą na ścianie i kazał sobie wyliczyć niemal każdego człowieka i CKM w dywizji i pokazać na mapie gdzie się obecnie znajdują. Trzymał mnie tak chyba dłużej niż godzinę informując się dokładnie o wszelkich szczegółach, z czego szczęśliwie wybrnąłem spocony, ale z honorem i już całkiem otrzeźwiały. Później, kiedyś śmiejąc się, Sikorski powiedział mi że o mało sam się wtedy nie upił, tak ode mnie wiało alkoholem. Po dłuższej jeszcze rozmowie, w której musiałem go zorientować pobieżnie o wszystkich sprawach dywizji kazał się zaprowadzić na swoją kwaterę. Żegnając się sztywno zapytałem: — Kiedy pan pułkownik każe przekazać moją funkcję majorowi Jakliczowi? — Sikorski popatrzył się na mnie zdziwiony i odparł: — A niby dlaczego?

— Jako nowemu szefowi sztabu...

— Major Jaklicz nie jest szefem sztabu... Przyjechał tutaj w charakterze zupełnie prywatnym... Pan urządzuje dalej jako szef sztabu, aż do dalszych moich rozkazów.

— Czy ma pan pułkownik jakieś rozkazy w stosunku do organizacji sztabu lub operacji na froncie?

— Nie, wszystko tymczasem pozostanie bez zmiany... — i pożegnał mnie „łaskawym” uściskiem dłoni.

Wracalem na moją kwaterę trochę bardziej pewny siebie. Jednakże Sikorski nie był taki straszny... Widocznie chwilowo nie myślał o rozpadnięciu sztabu, co mi najwięcej leżało na sercu, gdyż z 9.D.P. a szczególnie z jej sztabem byliśmy jedną zwartą rodziną.

Parę dni minęło spokojnie, bez żadnych zająć, na zwykłej robocie. Sikorski kazał sztab dywizji przenieść do Łunińca, pomimo, że pomieszczenie tam było mniej wygodne niż w Pińsku i może zbyt wywystawione na niespodziewane wypadki bolszewickie w tej wciąż płynnej sytuacji na froncie Poleskim. Cały sztab dywizji koncentrował się w okolicy stacji kolejowej, skąd wysiedlono urzędników do innych budynków. Pierwsze dni swego urzędowania Sikorski spędził na lustracji frontu i rozwiązywaniu Legii Oficerskiej, co szczęśliwie odbyło się bez żadnych przykrych incydentów. Natomiast narastała gwałtownie inna sprawa.

Jak już poprzednio wspominałem, Sikorski przywiózł ze sobą „na wszelki wypadek” nie tylko poszczególnych oficerów sztabu, lecz również swoje oddziały bojowe, celem ewentualnego uśmierzenia buntu 9.D.P. jak o tym mylnie Warszawa informowała. Te jego wojska składały się z batalionu szturmowego, batalionu CKM i pociągu pancernego. Oddziały te początkowo stały w Pińsku, potem zaś wraz ze sztabem dywizji przeszły do Łunińca gdzie kwaterowały w wagonach na stacji kolejowej. Były to jednostki o wysokiej wartości bojowej, zaprawione w rzemiośle wojennym w walkach z Ukraińcami w Małopolsce Wschodniej, a oddane duszą i sercem swojemu dowódcy. Miały one pełne stany bojowe, a pociąg pancerny był mały, ale za to „prawdziwy”, nie zaś improwizowany z blachy i worków z piaskiem, jak nasze trzy poleskie. Otóż (jak się potem o tym dowiedziałem) Sikorski osobiście przed odjazdem ze Lwowa obiecywał tym oddziałom różne korzyści natury służbowej z racji ich przeniesienia do 9.D.P. i ewentualnej likwidacji „buntu” takowej. Gdy jednak po kilkunastu dniach nic z tego jakoś nie wychodziło, zaczęły się między nimi okazywać kwasy i niezadowolone z racji zawodu jakiego ich spotkał. Chwilowo jeszcze nie było poważniejszych zająć pomiędzy „starymi” i „nowymi” oficerami, ale ci ostatni przy bufecie na stacji w Łunińcu kilkakrotnie dawali poznać starym oficerom, że wkrótce „zrobią tutaj porządek i że oni będą tutaj rządzić, a nie katolicy i białogwardiejsy”.

Jak dotąd nikt czynnie z naszej strony na te pogróżki nie reago-
wał, ale czuć było w powietrzu iż wkrótce musi nastąpić krótkie
spicie, lub też jakieś zasadnicze rozwiązanie tej sprawy ze strony
dowódcy dywizji. Czemu zwlekał z tym rozwiązaniem — nie
wiem. Możliwe iż badał ogólną sytuację i ważył wszelkie pro
i contra przed ostateczną decyzją, nie mając całkowitej pewności
czy gdzieś się nie czai ów „bunt”, który zapowiadała War-
szawa.

Ostatecznie pewnego dnia bomba pękła...

Graliśmy właśnie po kolacji na mojej kwaterze w bridge'a,
gdy nagle wpadła zadyszana nasza kurierka z II oddziału, p. Ela
Romerowa i w podnieconym nastroju podała nam do wiadomości
co następuje: Mieszkając w hoteliku koło stacji, poprzez cienką
ścianę swojego pokoju usłyszała głośną rozmowę, jaka się toczyła
obok pomiędzy oficerami owej „gwardii” Sikorskiego. Wynikało
z niej, iż teje nocy miał być przeprowadzony na płk Sikor-
skiego prowokacyjny zamach-napad, którego wykonanie miało być
potem zrzucone na nasz „stary” sztab, celem pogrążenia go w
opinii dowódcy dywizji, na którego „ratunek” miały przybyć
wierne mu oddziały z wagonów kolejowych. Przy tej sposob-
ności miano zlikwidować moją osobę i paru innych oficerów,
celem dodania wagi postawionym nam zarzutom.

Od razu zrozumieliśmy niebezpieczeństwo całego położenia.
Zapanowało przygnębienie i niepewność co czynić? Po chwili
namysłu wydałem następujące instrukcje: Wszyscy oficerowie
będący na mojej kwaterze mieli pozostać na miejscu i dalej grać,
albo udawać że grają w bridge'a, tak aby pod żadnym pozorem
nie dać podstawy do twierdzenia, iż w czasie „zamachu” znaj-
dowaliśmy się poza domem, gdzie mieściły się nasze kwatery.
Wszyscy mieli być bez broni, tak aby w czasie nagłej rewizji nic
przy nich nie znaleziono. Por. Wehr, dowódca żandarmerii polo-
wej dywizji miał natychmiast zająć się spisaniem protokołu z p.
Romerową i nakazać ostre pogotowie swojego, nader licznego
oddziału. Ja osobiście nałożyłem pełny rynsztunek bojowy i ruszy-
łem na kwaterę płk Sikorskiego, położoną niedaleko. Miałem swój
bezcenny plan, który jedynie w oczach dowódcy dywizji mógł
nas oczyścić i wskazać mu, kim byli rzeczywiści „zamachowcy”.

Gdy podchodziłem do kwatery Sikorskiego, zostałem nagle
zatrzymany przez żandarma polowego z naszego plutonu, który
choć przecież znał mnie i wiedział kim jestem, z rozkazu oso-
bistego dowódcy dywizji miał nakazane absolutnie nikogo nie
dopuścić do jego kwatery. Dopiero na moje dość głośne naleganie
zjawił się dowódca warty (która tam nigdy przedtem nie stała).
Tenże oświadczył mi to samo co jego podkomendny, iż ma

wyraźny, osobisty, rozkaz dowódcy dywizji aby pod żadnym pozorem nikogo na jego kwaterę nie wpuścić, aż do dalszego odwołania rozkazu. Po pewnych pertraktacjach, ze względu na moją osobę i na moje kateryczne twierdzenie, iż przychodzę z bardzo ważnym meldunkiem, zgodził się wreszcie zawołać służbowego adiutanta, którym dnia tego był mój dawny subaltern z 13 p. ułanów austr.-węg. porucznik Mieczysław Lisiewicz. Gdy ten się zjawił i dowiedział się o tym, że chcę rozmawiać z dowódcą dywizji, oświadczył mi katerycznie, że pułkownik nie może mnie przyjąć obecnie, w nocy, przy czym bardzo podejrzliwie patrzył na moje pełne uzbrojenie z zatkniętymi za pasem granatami ręcznymi. Wreszcie ze względu na nasze dawne koleżeńskie stosunki i na fakt że o ile wiem do sprzysiężenia nie należał i o nim nic nie wiedział, zgodził się zameldować mnie u Sikorskiego. Po dłuższym oczekiwaniu wprowadził mnie do sypialni pułkownika, a czując iż święci się coś nadzwyczajnego z racji wydanych zarządzeń, prosił po cichu abym czasem nie zrobił „jakięś głupstwa”.

Sikorski leżał w łóżku, udając że czyta. Jedną rękę miał pod kocem, trzymając w niej pistolet skierowany wyraźnie w moją stronę. Wiedziałem podświadomie że stojący za mną Lisiewicz ma też w ręku pistolet skierowany w moją stronę i że za oknem stojący żandarm ma mnie równie na muszce.

Sikorski obrzucił mnie zimnym wzrokiem i suchym tonem zapytał ironicznie: „Cóż to za jakiś tak ważny meldunek panie rotmistrzu?... Czy może bolszewicy znięcka wkroczyli do Łunińca.

— Nie panie pułkowniku. Mam bardzo ważny meldunek, który mogę złożyć panu pułkownikowi tylko w cztery oczy.

— Dlaczego aż taka tajemnica?

— Widocznie jest to potrzebne...

— A czemu pan jest tak uzbrojony, jak by pan szedł do szturm?

— To też jest potrzebne i wyjaśnię powód panu pułkownikowi gdy będziemy sami.

— Nie chce pan mówić w obecności por. Lisiewicza?

— Nie to żęby nie miał do niego zaufania, tylko że chcę mówić z panem pułkownikiem sam na sam...

Wiedziałem jak Sikorski namyślał się głęboko nad powstałą sytuacją. Z jednej strony nie wiedział jakie są moje zamiary, z drugiej strony intrygował go widocznie cały problem zamachowy, o którym już był poinformowany. Zauważyłem jak wyraźnym ruchem skierował pod kocem pistolet w moją stronę i zwrócił się do Lisiewicza: — Niech nas pan zostawi samych...

— Panie pułkowniku — meldowałem spokojnie. — Melduję że pewna grupa ludzi z oddziałów pana pułkownika wykona na pana fingowany zamach, o którego wykonanie ja i moi oficerowie sztabu zostaniemy oskarżeni...

— To znaczy że przyszedł pan tutaj dlatego aby ten zamach wykonać?

— Nie, panie pułkowniku, przyszedłem ażeby pana bronić, jeżeli tego będzie potrzeba i równocześnie moją obecnością udowodnić naszą lojalność wobec pana i fałsz oskarżenia...

Sikorski zmarszczył czoło i przez chwilę patrzył się na mnie krytycznie. — Czy może mi pan ten meldunek złożyć na piśmie? — zapytał.

— Tak jest panie pułkowniku.

Siadłem przy biurku stojącym opodal jego łóżka i w krótkich słowach złożyłem meldunek o całej sprawie. Podczas gdy pisałem Sikorski przyglądał mi się bacznie spod oka, mając wciąż pistolet skierowany w moją stronę. Gdy skończyłem pisać przeczytał mój meldunek i wówczas dopiero wyciągając rękę spod koca zapytał się niejako z uśmiechem ulgi:

— A skąd pan się o tym wszystkim dowiedział?

— Jako szef sztabu dywizji, mam moje chody, moją żandarmerię i mój oddział wywiadowczy — odparłem i ja z pewną ulgą, widząc że partia została dla mnie korzystnie rozegrana.

— No, to mogę panu powinszować ich działalności, gdyż ja sam osobiście niewiele co wcześniej od pana dowiedziałem się o całej tej sprawie...

— Od kogo panie pułkowniku?

— Pozwoli pan — odciął się uśmiechając — że i ja mam również mój wywiad... Gdzie są oficerowie pańskiego sztabu?

— O ile wiem, grają w bridge'a w kwaterze sztabowej...

— I nic o tym wszystkim nie wiedzieli?... — zapytał zdziwiony.

— Nie, panie pułkowniku — skłamałem.

— To pan sobie tak samotnie po Łunińcu w pełnym uzbrojeniu spaceruje? — uśmiechnął się przymykając jedno oko.

— Ano, jeżeli tego potrzeba to strażuję w Łunińcu bez niepokojenia innych ludzi. Zaszedłem tu po drodze do pana pułkownika widząc jakiegoś nowego wartownika... — odparłem również z uśmiechem.

— No, to może pan spokojnie iść grać w bridge'a. Żadnego zamachu dzisiaj w każdym razie nie będzie... Sytuacja mogła być trudna, gdybym był sam o całej planowanej akcji nie dowiedział się przed pańskim przyjściem. A przyznam się że pojawienie się pana w pełnym uzbrojeniu wywołało u mnie uczu-

cie nielada sensacji... Przyznaję, że przez chwilę miałem pewne wahania... Pan się chyba orientuje, że to było dość ryzykowne?

— Tak, panie pułkowniku... Wiem że w czasie całej naszej rozmowy były skierowane na mnie co najmniej trzy pistolety.

Sikorski odzyskał nagle dobry humor i klepiąc mnie po ramieniu rzekł: — No, dobrze... Niech pan idzie spać, czy grać w karty — jak pan chce... Jutro porozmawiamy ze sobą w sztabie — i podał mi rękę na pożegnanie.

Na jakiej podstawie mógł twierdzić, że żadnego zamachu nie będzie — nie wiem. Widocznie jeszcze przed moim przyjściem musiał mieć jakąś rozmowę z przedstawicielami Lwowskich Oddziałów i odpowiednio z nimi się obejść i ich pouczyć, po czym nie całkiem pewny czekał na reakcję z naszej strony, lub też traktował całą aferę jako bluff swoich zwolenników, równocześnie nie znając zamiarów drugiej strony.

Na drugi dzień Sikorski wezwał mnie do swojego gabinetu i w milczeniu podał do przeczytania arkusz papieru, zapisanego jego ręką. Był to rozkaz nakazujący natychmiastowe rozwiązanie „lwowskich” oddziałów, z przydziałem luźnych kompanii do poszczególnych pułków dywizji. Rozkaz ten równocześnie oddawał do dyspozycji sztabu głównego majora Jaklicza, który jeszcze parę dni przedtem wyjeżdżał do Warszawy. — Jest pan zadowolony? — zapytał. — Tak jest, w zupełności — odparłem i obaj uśmiechnęliśmy się do siebie.

Incydent ten, który mógł wywołać daleko idące konsekwencje i mieć krwawy przebieg w razie jakiegoś nieprzemyślanego posunięcia, zakończył się nie pozostawiając po sobie żadnego śladu, poza przykrym zawodem dla paru nadmiernie ambitnych młodszych oficerów, a nasze stosunki z Sikorskim tak służbowe, jak i prywatne ułożyły się nadal jak najlepiej.

Tak było do maja 1926 roku.

W czasie przewrotu Piłsudskiego, będąc na kursie dowódców pułków w Grudziądzu nie brałem w walkach czynnego udziału, jednakże różnymi pociągnięciami byłem mocno zaangażowany po stronie prawowitego rządu. Toteż po zwycięstwie Piłsudskiego odpokutowałem to półroczną niełaską w stanie „dyspozycji”, czyli jak to wówczas nazywano, byłem „zmajowany”. Po różnych perypetiach zostałem wreszcie w grudniu 1926 r. mianowany dowódcą 22 p. uł. w Brodach, a zatem na terytorium korpusu Lwowskiego, którego dowódcą był Sikorski. W ten sposób nasze drogi służbowe znowu się zetknęły, z czego byłem całkiem zadowolony, choć wiedziałem iż on również był w niełasce i nasz wzajemny serdeczny stosunek mógł mi raczej wówczas zaszkodzić służbowo niżeli dopomóc.

Jadąc do Brodów zameldowałem się po drodze w dowództwie korpusu, gdzie Sikorski przyjął mnie bardzo serdecznie i rozmawiał czas dłuższy o sprawach natury ogólnej i służbowej. Uśmiechał się ironicznie, mówiąc iż przysłano mu, jak się wyraził na „komisarza politycznego”, płka Adama Koca, ażeby go pilnował i donosił do Belwederu o wszelkich jego posunięciach, które by mogły być uważane przez nowych władców za „niebłagonadiożne”. Płk. Koc podobno zupełnie się z tym nie krył, toteż stosunki w sztabie korpusu miały być naprężone, a oficerowie unikali wszelkich politycznych rozmów między sobą. Sikorski, jak mówił, nic sobie z tego nie robił, ale ostrzegając mnie zaznaczył równocześnie, iż jeżeli będę miał jaką ważną sprawę, to mogę się zgłaszać wprost do niego, z pominięciem osoby szefa sztabu, żebym to jednak robił oględnie i nie nadużywał tego przywileju, tak aby nas obu nie posądzono o jakąś konspirację. Płk. Koc, ma się rozumieć, miał odpowiednie relacje co do mojej osoby i bacznie zwracał uwagę na mój stosunek do dowódcy korpusu. Odnosił się do mnie z wielką rezerwą i rozmawiał zawsze tak, jak by mówił do jakiejś trzeciej osoby.

Sikorski wiedział że zajmowałem się historią wojskowości i miałem pewne uzdolnienia w opracowaniu szkiców sytuacyjnych toteż zwrócił się do mnie z prośbą abym mu pomógł w opracowaniu dosyć skomplikowanych szkiców do jego książki „Nad Wisłą i Wkrą”. Co sobotę przyjeżdżał ze Lwowa podoficer ze szkicami, które ja przez następny tydzień opracowywałem i wyglądałem, a potem gotowe odsyłałem Sikorskiemu przez tegoż podoficera, wracającego do Lwowa. Pewnej soboty, daty już niestety nie pamiętam, podoficer z niewiadomych mi powodów nie zgłosił się, a Sikorski zatelefonował abym gotowe szkice odesłał w najbliższych dniach przez kogoś jadącego do Lwowa. Tak się zdarzyło, że jadącym był rtm. Rekucki, dowódca 2 szwadronu i jemu te szkice oddałem, celem osobistego doręczenia ich dowódcy korpusu. Następnego dnia rtm. Rekucki zameldował mi, iż miał pewne trudności z doręczeniem szkiców Sikorskiemu, gdyż szef sztabu chciał je odebrać od niego, podczas gdy on miał wyraźny rozkaz ode mnie aby szkice doręczyć „osobiście” dowódcy korpusu. Po chwili z pewnym wahaniem zameldował mi co następuje: Tegoż dnia rtm. Rekucki, jako były podoficer 2 p. ułanów Legionowych uczestniczył w zebraniu b. oficerów legionowych, gdzie z pewnej rozmowy stwierdził, że w najbliższym czasie ma być wykonany zamach na życie gen. Sikorskiego. Jako wykonawca przewidziany miał być podobno jakiś podoficer z plutonu żandarmerii dowództwa korpusu. Rekucki, choć sam legionista, jednakże z II brygady, nie był

sympatykiem piłsudczyków i nie zgadzając się z tego rodzaju metodami pomajowymi uważał za swój obowiązek zameldować mi o tym i prosił aby ostrzec dowódcę korpusu na wszelki wypadek. Nie wiedziałem jak potraktować ten jego meldunek, gdyż za mało go znałem i bałem się czy nie jest to czasem jakaś prowokacja. Na wszelki wypadek jednak zaraz następnym pociągami pojechałem do Lwowa. Po zwykłych trudnościach z płkiem Kocem, dostałem się wreszcie do Sikorskiego i zameldowałem mu o wszystkim, tak jak sam to usłyszałem. Sikorski zamyślił się chwilę, a potem ze zwykłym sobie ironicznym uśmiechem zawyrokował: — To już drugi raz uprzedza pan mnie o zamachu, który ma być na mnie wykonany... Miejmy nadzieję, że i ten też nie dojdzie do skutku...

Jakie były kulisy całej tej tajemniczej sprawy i ile w niej było prawdy, a ile plotki — tego nie wiem. Tak jak o poprzedniej sprawie tak i o tej nigdy więcej z Sikorskim nie rozmawiałem. Zamach faktycznie chyba nie miał miejsca, ale doszły mnie prywatne wiadomości, o których było głośno we Lwowie, iż rzeczywiście aresztowany został jakiś żandarm z oddziału ochrony Dowództwa Korpusu, za jakoby planowany zamach na gen. Sikorskiego.

Jerzy GROBICKI, płk. dypl.

WSPOMNIENIE Z „WYPADKÓW MAJOWYCH”

Każdego roku, odkąd wprowadzono pokojową organizację i program wyszkolenia, Szkoła Podchorążych — po wzięciu udziału w paradzie 3-cio majowej — przenosiła się w dniu 5 maja z Warszawy do Rembertowa na obóz letni. Tak też było i w roku 1926 z tą różnicą, że zarówno na paradę (na Polu Mokotowskim), jak i na przemarsz do Rembertowa, wydano nam amunicję ostrą. Przyczyny nie podano: „ostre pogotowie” — to wszystko.

Batalion Szkolny składał się z trzech kompanij; dowodziłem kompanią 1-szą.

W dniu 12 maja wcześniej rano, przed wyjściem na ćwiczenia, na zwołanej niespodziewanie odprawie oficerskiej, Komendant Szkoły, płk. dypl. Gustaw Paszkiewicz oświadczył nam że między Marszałkiem Piłsudskim a Rządem zaistniał zatarg; zanosì się na jakąś demonstrację zbrojną ze strony Marszałka. My — z rozkazu gen. Malczewskiego, Ministra Spraw Wojskowych — mamy pozostawać w pogotowiu aż do dalszego rozkazu; ćwiczenia, przewidziane na ten dzień, nie odbędą się.

W dwie, a może więcej godzin później — nie jestem pewny — otrzymaliśmy rozkaz marszu do Warszawy. Mamy iść marszem ubezpieczonym; moja kompania w straży przedniej; „siły główne” pod dowództwem kpt. Piotra Orłowskiego (dowódca Batalionu Szkolnego). Możliwe niebezpieczeństwo ze strony Batalionu Manewrowego, który wraz z Dywizjonem Manewrowym Artylerii (obydwie jednostki przynależne do Centrum Wyszkolenia Piechoty w Rembertowie) podobno oddał się do dyspozycji Marszałka i albo już wyruszył, albo lada chwila wyruszy też do Warszawy. Mamy maszerować szosą radzywińską na Most Kierbedzia.

Pobraliśmy amunicję ostrą, objaśniłem podchorążych, o co chodzi i — marsz.

W drodze, w czasie jednego z krótkich wypoczynków, podjechali do mnie — konno — płk. Paszkiewicz i kpt. Orłowski. Rozmawialiśmy o sytuacji; byliśmy zgodni w nadziei że nie dojdzie do rozlewu krwi i że demonstracja zbrojna ze strony Marszałka — jeżeli rzeczywiście będzie miała miejsce — wystarczy, by Rząd Witosza ustąpił.

Gdzieś niedaleko Targówka wyprzedził mnie kłusem mjr. Jerzy Lewakowski (wykładowca terenoznawstwa i kartografii): „Jadę naprzód” — krzyknął — „zobaczyć, co z mostem”. Dochodziliśmy już prawie do Dworca Wileńskiego, gdy wracał: „Most obsadzony przez 36 p.p.” — powiada — i pogalopował do „sił głównych”.

To mi oczywiście jeszcze niczego nie mówiło — wiadomo że 36 p.p. należy do garnizonu warszawskiego. Maszerowałem dalej ul. Zygmuntowską. Wkrótce dopędził mnie Lewakowski: z rozkazu płk. Paszkiewicza mam iść na Most Poniatowskiego. Skręciłem w lewo — na Jagiellońską, a Lewakowski znów pokłusował na „rozpoznanie”.

Na Jagiellońskiej trochę emocji: naprzeciw maszerowała kolumna piechoty. Rozminęliśmy się, salutując i patrząc na siebie podejrzliwie. Był to 22 p.p. z Siedlec. Wyładowali się widocznie na Dworcu Wschodnim i idą chyba na Most Kierbedzia — domyślałem się.

Byliśmy już blisko Parku Paderewskiego (czy też jeszcze wtedy Skaryszewskiego), gdy wrócił Lewakowski z wiadomością że i ten most obsadzony — przez Szwoleżerów; na wieżach widać c.k.m.’y. To mi już coś mówiło: 1 Pułk Szwoleżerów — Wieniawa — wiadomo. „Jedź do pułkownika i zamelduj że zatrzymuję kompanię i czekam na niego” — poprosiłem Lewakowskiego.

Nadjechał płk. Paszkiewicz:

„Co pan myśli zrobić” — pyta.

„Jakie jest moje zadanie? Czy mam atakować Szwoleżerów, czy przedostać się do Szkoły?”.

„Na razie chodzi o to, by pan przeszedł przez most — dalsze rozkazy wydam panu później”.

„W takim razie proponuję nie prowokować Szwoleżerów marszem ubezpieczonym i bagnetami na karabinach. Pójdę zwartą kompanią — ze śpiewem. Po prostu nie wiem nic o demonstracji zbrojnej, lecz maszeruję do koszar, jak po ćwiczeniach”.

Przez chwilę zastanawiał się — wreszcie:

„Niech pan próbuje” — powiada.

Ruszyliśmy Zieleniecką wzdłuż parku: „Hej strzelcy wraz...” — potem inne piosenki. Za nami — o jakieś 300 metrów” — „siły główne”. Kiedy skręcaliśmy na Aleję Waszyngtona, by walić już wprost na most, pomyślałem: to — jeśli nie otworzą ognia teraz — to przejdę.

Nie otwarli. Zobaczyłem coś w rodzaju barykady: tuż u wejścia na most, w poprzek jezdni jakieś chołpskie wozy, koszarowe ławki i inne rupiecie. Na chodnikach, pod wieżami — grupki szwoleżerów. Kazałem przestać śpiewać: „baczność” — „kompania stój” — „do nogi broń” — „spocznij”. Rozglądałem się za dowódcą. Jest: wysoki, przystojny major, na lewym chodniku. Podszedłem, zasalutowałem:

„Proszę pana majora kazać usunąć tę przeszkodę — musimy przejść — za nami maszeruje cała Szkoła Podchorążych” — poprosiłem.

Chwila wahania, więc ja:

„Pierwsza i druga czwórka — biegiem — usunąć tę przeszkodę” — rozkazałem.

Podchorążowie poskoczyli, szwoleżerowie zaczęli pomagać i nie upłynęło 2-3 minuty, kiedy ruszyliśmy dalej. Zasalutowałem uprzejmie majorowi na pożegnanie. Ja na jego miejscu też nie kazałbym strzelać.

Tym razem na „rozpoznanie” wyruszył nie mjr. Lewakowski, lecz nasz szkolny kundel — Makomba. Pobiegł naprzód truchcikiem, prychając wesoło, już widać nie miał wątpliwości, dokąd idziemy.

Na środku mostu znów barykada, nie lepsza od poprzedniej; chodniki puste, żadnej obsady nie widać. Ale kiedy Makomba podbiegł bliżej barykady, ukazały się głowy w hełmach i usłyszałem skandowane wołanie: „Ma-kom-ba” — „Ma-kom-ba!” Okażało się że barykady i drugiej — warszawskiej — strony mostu strzegła Kompania Oficerskiej Szkoły Piechoty. (Obydwie szkoły: jednoroczna, unitarna „Podchorążówka” i dwuletnia O.S.P. mieściły się w tym samym gmachu w Alejach Ujazdowskich, komendantem obu był płk. Paszkiewicz, a ulubieńcem Makomba. O.S.P. nie była w tym czasie na obozie letnim, lecz w Warszawie pod dowództwem mjr. dypl. Mariana Porwita). Makomba ułatwił im znakomicie rozpoznanie kto maszeruje, a i mnie wcześniej upewnił że nie wchodzę w pułapkę.

Nie dochodząc do końca Alei 3 Maja, zatrzymałem kompanię, by poczekać na płk. Paszkiewicza i zapowiedziane dalsze rozkazy. Na rogu — przed „Gastronomią” — stało dwu oficerów. Podeszli do mnie: mjr. dypl. Stefan Rowecki (tak jest — „Grot” — kilka lat przedtem też oficer „Podchorążówki”) i mjr. Szla-

szewski pytając, co się dzieje, skąd i dokąd idziemy. Mogłem im tylko powiedzieć, skąd idziemy. Od nich zaś dowiedziałem się, że była strzelanina na Placu Zamkowym. Kto — z kim — nie wiedzieli.

Nadjechał płk. Paszkiewicz. Rozkaz: mam wydzielić jeden pluton dla ochrony gmachu Sztabu Generalnego na Placu Saskim, a z resztą maszerować do koszar. Wyzaczyłem III pluton — dowódca por. Adam Stiller. (Zastał on tam już pluton 36 p.p. pod dowództwem chorążego i jako starszy stopniem podporządkował go sobie; obydwaj uważali to za rzecz zupełnie zrozumiałą). „Siły główne” pozostały gdzieś koło mostu.

Przyszliśmy do Szkoły — „rozejść się”. Porozumiałem się z Kwatermistrzostwem co do posiłków dla kompanii, odsapnąłem trochę w mej kancelarii i zamierzałem wpaść na chwilę do mego mieszkania (a właśnie miesiąc przedtem — 12 kwietnia urodził mi się syn), gdy wpadł goniec od oficera służbowego: mam się stawić w „dyżurce”, dokąd wzywa mię jakiś generał. Zmęczony i zły — poszedłem. Zobaczyłem nieznanego mi generała. Zamelodowałem się.

Generał:

„Za chwilę przybędą tu samochody ciężarowe; załaduje pan swą kompanię i uda się do Komendy Miasta. Tam otrzyma pan rozkazy”.

Ja:

„Przepraszam pana generała — nie wiem kto pan jest i z jakiego tytułu wydaje mi pan rozkazy — wolałbym je otrzymać od Komendanta Szkoły”.

Generał (skwapliwie):

„Tak, tak, tak, — ma pan rację — w takiej chwili — otóż ja jestem generał Żymierski, Wiceminister Spraw Wojskowych, ale żeby pana uspokoić zaraz połączę się z płk. Paszkiewiczem”.

Zatelefonował — jak zrozumiałem — do Komendy Miasta, złapał Paszkiewicza, wyjaśnił mu o co chodzi, pochwalił mię za ostrożność i oddał mi słuchawkę. Płk. Paszkiewicz — jak wyczułem z jego tonu, ubawiony tym incydentem — polecił mi rozkaz gen. Żymierskiego wykonać.

Nie było rady — pojechaliśmy: dwa plutony strzeleckie i 2 l.k.m.’y (Maxim). Przed Komendą Miasta oczekiwał nas kpt. Orłowski. Zadanie: zamknąć Krakowskie Przedmieście tak, by zapewnić spokój i bezpieczeństwo Rządowi, obradującemu w Prezydium Rady Ministrów. Nie wolno przepuszczać żadnych oddziałów wojskowych, ani zwartego tłumu.

Rozstawiłem: II pluton — dowódca por. Jan Światłowski — w jednym szeregu, od ściany Mennicy Państwowej do przeciw-

ległej — bagnet na broń — broni nie łądować. O 10 kroków w tyle obydwu l.k.m.'y z obsługą, o dalsze 10 kroków I pluton — dowódca kpt. K. Wiliński — w dwuszerogu na środku jezdni — broń u nogi — nie łądowana.

Ruch uliczny był mały, tramwaje nie kursowały. Widziałem Krakowskie Przedmieście prawie aż do Zamku. Nieliczne osoby cywilne i oficerów przepuszczaliśmy w obie strony lewym chodnikiem bez pytania, dokąd i po co.

Może w pół godziny później od strony Zamku ukazał się tłum, maszerujący ze śpiewem „My Pierwsza Brygada”. Wtedy zdałem sobie sprawę, że wykonanie powierzonego mi zadania może być nieco — skomplikowane. Jeżeli na moje wezwanie tłum się nie zatrzyma to, albo każę strzelać — a nawet trębacza nie miałem — będzie masakra i — słusznie — pójdę pod sąd, albo tłum nas zaleje, może nawet rozbroi, nie wykonam zadania i — słusznie — też pójdę pod sąd. „Tertium non datur”. Przypomniał mi się rok 1923 w Krakowie, nieszczęsna szarża ułanów, rozbrojenie batalionu p.p. przez robotników, sąd nad biednym jego dowódcą. Nieprzyjemnie.

Tłum zbliżał się. Zauważyłem że wśród masy cywilów są też wojskowi: wyraźnie odbijały otoki żandarmów. Na widok kordonu czoło maszerujących zatrzymało się; ci z dalszych szeregów podeszli i wypełnili całą szerokość ulicy. Między nimi, a szeregiem podchorążych powstała pusta przestrzeń na jakieś 15-20 kroków głęboka. Niektórzy z demonstrantów nadal śpiewali, inni krzyczeli „Niech żyje Marszałek Piłsudski”! lub „puszczajcie nas — idziemy do Belwederu”! W pewnej chwili jakiś cywil, podniesiony na ramionach towarzyszy, zaczął wykrzykiwać w moją stronę i grozić mi pięścią, ale z jego słów zrozumiałem tylko że „ciężko za to będę odpowiadał”. Był z pewnością pijany — nie on jeden zresztą. (Później kiedyś dowiedziałem się że miał to być niejaki Kaufer-Wisznicki, podobno zdegradowany kapitan z II, czy III brygady).

Na skutek stałego nacisku z tyłu czoło tłumowi zaczęło, mimo oporu pierwszych szeregów, falować i powoli posuwać się ku nam. Mogłem już odróżniać znanych mi — osobiście, lub z widzenia — oficerów. Kiedy rozpoznałem mjr. Bohdana Szeligowskiego i kiedy nasze spojrzenia się skrzyżowały, podniosłem rękę i gestem zaprosiłem go, by do mnie podszedł. Przeszedł przez kordon — odeszliśmy na bok. Oświadczyłem mu: widzę że on i inni oficerowie przywodzą tłumowi; jeżeli dojdzie do starcia, on i jego towarzysze oficerowie będą współodpowiedzialni za to, co może się stać; ja mam rozkaz nie przepuszczać tłumowi i rozkaz wykonam, a i to niech weźmie pod uwagę, że dowodzę przyszły-

mi oficerami. Pomyślał przez chwilę, wreszcie skinąwszy głową na znak zrozumienia, odszedł. Zaraz też zaczął wywoływać z tłumu wszystkich wojskowych i formować z nich szereg; wszyscy ujęli się pod ręce, zaparli się w nogach plecami do tłumu. Odechnąłem.

W pewnym momencie zobaczyłem zbliżającego się od strony Zamku jeźdźca, a za nim las bagnetów: maszerowała piechota. W jeźdźcu rozpoznałem wkrótce kapitana X (w POW i dla przyjaciół „Beniek”) z Batalionu Manewrowego. Gdy zobaczył kordon i mnie, krzyknął:

„Mam rozkaz maszerować do Komendy Miasta — czy mogę?”.

„Nie tędy” — odkrzyknąłem.

„Czy mogę Trębacką?”.

„Nie wiem” — odpowiedziałem.

Zawrócił — poszli na Trębacką.

Niedługo potem pojawił się od strony Zamku nowy oddział — tym razem kawaleria — poruczyki 1 Pułku Strzelców Konnych. Na czele jechał gruby, przysadzisty major; twarz okrągła, nalana, wąsiska typu mongolskiego. I on również, zobaczywszy kordon, zatrzymał się. Stał tak — a za nim jego oddział — przez kilkanaście minut. Wreszcie powoli zawrócił — pojechali też na Trębacką. Jednak za kilka minut pojawili się znowu i zatrzymali u wylotu tej ulicy, frontem na Krakowskie Przedmieście. Kordon Szeligowskiego trzymał mocno, ale tłum stale naciskał, zdobywając kilka kroków.

Było już prawie ciemno, gdy usłyszałem warkot motoru; od strony Zamku przepychał się samochód. Dojechał powoli do czoła tłumu, zatrzymał się na kilka minut, wreszcie ruszył ku nam. Wyszedłem naprzeciw; wewnątrz samochodu zapłonęła lampka; poznałem generała Orlicz-Dreszera. Zatrzymał samochód:

„Pan tu dowodzi?” — zapytał.

„Tak jest panie generale”.

„Jaki pan ma rozkaz?”

„Nie przepuszczać oddziałów wojskowych i zwartego tłumu”.

„Czy mnie pan przepuści?”.

„Tak jest panie generale”.

„Dziękuję” — powiada. Szereg podchorążych rozstąpił się, kierowca powoli ominął l.k.m.'y i I pluton, dodał gazu i pojechał — prawdopodobnie — na Nowy Świat.

Wreszcie — była już chyba 9-ta godzina — zjawił się kpt. Orłowski. Zadanie wykonane — Rząd wyjechał do Belwederu — maszerować do koszar.

Wezwałem dowódców plutonów: na mój gwizdek wszyscy w tył zwrot — maszerować — po drodze bagnety zdjąć (II pluton) — na ramię broń — formować czwórki; pouczyć podchorążych — podnieść rękę na znak „gotowe”. Wszystko poszło gładko i zanim tłum się zorientował już kompania maszerowała równym krokiem, jak na paradzie. Tylko z chodnika, od strony Komendy Miasta, doleciał mię oburzony głos: „Mercik! Dokąd ty idziesz — tu będziesz potrzebny!”. To biedny „Beniek”, który już widać zajął Komendę Miasta, ciągle jeszcze nie orientował się że podlegamy dwom różnym ośrodkom dyspozycyjnym.

Potem nastały dwie koszarne doby. Właściwie przestałem dowodzić kompanią. Płk. Paszkiewicz zadysponował mymi plutonami — jeden na Wierzbno, drugi na Rakowiec. Zadania dla nich nie określone ściśle; kto jest „nieprzyjacielem” — nie wiadomo. Że „przyjacielem” są oddziały 14 dyw. piech. domyśliłem się nad ranem 13, gdy zobaczyłem bodajże 57 p.p., wchodzący do Łazienek. Nie wiedziałem nawet, gdzie są i co robią inne kompanie szkolne. Ustaliłem z dowódcami plutonów — przy okazji najbliższej ich wizytacji — że nigdy nie będą otwierać ognia pierwsi, że odpowiedzą strzałami na strzały dopiero jeśli na nich pójdzie zorganizowane natarcie — w tyralierce. Gdy III pluton wrócił późno w nocy (odwołany telefonicznie, odmaszerował bez przeszkód), utargowałem u płk. Paszkiewicza że będę go używał — po odpoczynku — do luzowania tamtych, nie wiadomo było przecież, jak długo ta tragedia potrwa. W ciągu dnia 13 przesunąłem — na rozkaz — oba plutony: z Rakowca na Fort Mokotowski, z Wierzbna na Królikarnię. Wreszcie 14 rano i ten luźny pluton musiałem wysłać na Pole Mokotowskie, u wylotu Rakowieckiej. Odwiedzałem ich często, poza tym miałem przy sobie łączników z każdego plutonu.

Kiedy dnia 14 — gdzieś koło godziny 3 po południu — w drodze na taką wizytację — przechodziłem koło wartowni belwiderskiej, stwierdziłem że wartownicy nie pełnią służby, lecz przygotowują się do odmarszu. Na Pułaskiej — w miejscu, gdzie odgałęzia się Rakowiecka zobaczyłem ze zdumieniem III pluton, okupujący się na dwa fronty i przemawiającego płk. Paszkiewicza w sensie: tu — do ostatniej kropli krwi — obrona! Zameldowałem się i zapytałem, czy może i inne moje plutony też przesunął na inne stanowiska. Wziął mnie na bok: Pan Prezydent — powiada — i Rząd udają się do Wilanowa. Za pół godziny mam przyjść pod Belweder i jeśli tam już nie ma nikogo, mam ściągnąć kompanię i też maszerować do Wilanowa. Wsiadł w jakiś — widocznie pożyczony mu — samochód i pojechał.

Przyszedłem pod Belweder, gdy właśnie nasza kompania

gospodarcza znikąca w bramie do Łazienek. W pałacu żadnego śladu życia; wartownia pusta; żadnego ruchu od strony Koszykowej; kilka strażów gdzieś na Polu Mokotowskim. Wysłałem łączników: I i II plutony maszerować samodzielnie przez Sielce i Czerniaków do Wilanowa — na III pluton czekam.

Kiedy przechodziliśmy koło Pałacu Łazienkowskiego, posypały się na nas — nie szkodliwe zresztą — karabinowe strzały gdzieś od górnej Agrykoli. Biegiem dopadliśmy bramy wyjściowej i dobrnęliśmy do Czerniakowskiej. Tu włączyliśmy się w kolumnę różnych, pomieszanych oddziałów. Na błoniach siekierkowskich widać było tyralierkę, nie wiadomo, nacierającą, czy cofającą się w kierunku Wilanowa.

W Wilanowie odnalazłem inne kompanie „Podchorążówki” i O.S.P. Na kwatery zajęliśmy stodoły: mycie pod studniami, czyszczenie broni i mundurów, posiłek i nareszcie — spać. Odprężenie nerwowe, połączone ze świadomością przegranej, bez pocucia klęski.

Na drugi dzień rano — w sobotę 15 maja — zebrały się obie szkoły na biwak w sadach chłopskich tuż obok parku pałacowego. Pogoda — podobnie, jak w poprzednich dniach — była piękna. Odprawa oficerska o treści: Rząd Witosy podał się do dymisji — Prezydent R.P. dymisję przyjął i rzekł się swego urzędu; Głową Państwa — zgodnie z konstytucją — jest w tej chwili Marszałek Sejmu Rataj; zarządził on zawieszenie broni; jest już nowy Rząd, w którym Marszałek Piłsudski objął tekę Ministra Spraw Wojskowych; oczekujemy jego rozkazów. Wszystko było jasne. Poinformowaliśmy podchorążych o nowej sytuacji.

Wczesnym popołudniem nowa odprawa. „Proszę wyjąć mapy” — zaczął płk. Paszkiewicz. A dalej: grupa generała Ładosia przybyła na odsiecz Rządowi Witosy; znajduje się ona w rejonie kolejowego „posterunku zachodniego” (odszukaliśmy na mapach); do tej grupy my — z rozkazu gen. Rozwadowskiego — mamy dołączyć, by podjąć dalszą walkę; zostaniemy przeprowadzeni przez łąkę wiślaną (wskazał na mapie) nocą; przeprawę przygotowują pionierzy 14 dywizji; dalsze rozkazy nastąpią. „Dziękuję panom” — zaszutował, w tył zwrot i odchodzi w kierunku pałacu.

Poskoczyłem do majora Porwita: „słuchaj” — mówię — tu coś nie w porządku — to mi wygląda na prywatną wojnę pana generała Rozwadowskiego — chodź ze mną do pułkownika!”. Bez słowa pobiegł ze mną; dopędziliśmy Paszkiewicza. „Panie pułkowniku” — zaczął Porwit — „bo tu właśnie kapitan...”. Przerwałem mu, mówiąc: „Dziś rano, po odprawie, wyjaśniłem jeszcze raz podchorążym nasze stanowisko; że nie mamy nic

wspólnego z polityką, ani stronnictwami politycznymi; że postąpiliśmy zgodnie z regulaminem, wykonując rozkazy naszych legalnych przełożonych; że mamy obecnie nowe, legalne władze i że jest zawieszenie broni. Czym mam teraz uzasadnić dalszą walkę?”.

Paszkiewicz stał przez chwilę, jak osłupiały. Wreszcie ze szczerą, czy udaną radością wybuchnął: „Dziękuję panom! Tego się właśnie po was spodziewałem! Natychmiast zamelduję gen. Rozwadowskiemu o naszym stanowisku! Rozkaz odwołuję! Dziękuję — dziękuję!”. Poszedł.

Wrócił do nas pod wieczór, by się pożegnać. Został zwolniony ze stanowiska, czy i jaki nowy przydział otrzyma — nie wie. Żegnaliśmy go my — oficerowie — z różnymi uczuciami. Podchorążowie raczej z żalem; umiał pozyskać sobie popularność wśród nich.

W nocy przeprawili nas saperzy z Modlina — barkami — na drugi brzeg Wisły. Wróciliśmy do Rembertowa. W poniedziałek rano przybył do nas nowy Komendant: ppłk. art. Hertel (imienia nie pamiętam). Zarządził zbiórkę; nam, oficerom, kazał odejść; do podchorążych miał długą mowę, która polegała na wymyślaniu ich za to, co zrobili! Pojechał do Warszawy i — więcej go nie zobaczyliśmy. Miał kiepski węch — nie przewidział że dostaniemy pochwałę od Marszałka. Nowym Komendantem został płk. Marian Chylewski.

Od środy — dnia 19 maja — kontynuowaliśmy program wyszkolenia, przerwany w dniu 12 maja. Nasze przygody trwały równy tydzień.

Jesienią tego samego 1926 r. na I-szym roczniku Wyższej Szkoły Wojennej, spotkaliśmy się wszyscy czterej: obaj majorowie kawalerzyści, „Baniek” i ja. Nigdy nie rozmawialiśmy o naszych wspólnych przygodach. Raz tylko... W marcu 1927 r. — w czasie przerwy między wykładami — przyniesiono nam „Dziennik Personalny M.S. Wojsk” z awansami. Odczytywał go głośno „Beniek”, stanawszy na krześle. Obaj majorowie zostali podpułkownikami. Kiedy „Beniek” skończył czytać listę nowych majorów, grzmotnął „Dziennikiem Pers.” o ziemię i krzyknął w moją stronę: „Mercik! Ani ja nie awansowałem, ani ty! G... się będziemy bić na drugi raz!”.

Walerian MERCIK

PIERWSZE WIADOMOŚCI O WOJNIE

Na początku maja 1939 zostałem wezwany przez ministra Becka do Warszawy. W Krakowie na lotnisku spotkałem generała Sosnkowskiego, z którym poleciliśmy do Warszawy. Na zapytanie generała powiedziałem, że według mych wiadomości z Budapesztu, Hitler obstaje przy odzyskaniu Gdańska, wobec zaś naszego stanowiska w tej sprawie, wojna wydaje się nieuniknioną. Nadmieniałem że słyszę od Węgrów o ogromnych przygotowaniach wojskowych Niemiec z czego wynikałoby, iż zostaniemy napadnięci, zapewne jeszcze przed 1 września. Generał przyjął me wywody z widocznym zaniepokojeniem i powiedział: „Panie, ależ oni są pięciokrotnie silniejsi od nas”. Tylko jeszcze jeden wojskowy wyraźnie mówił mi (co prawda parę lat wcześniej), że w razie konfliktu z Niemcami zostaniemy pobici na głowę. Był nim Witold Morawski, ówczesny nasz attaché wojskowy w Berlinie. Powiedział mi to podczas święta 17 pułku ułanów w Lecznie. Obaj byliśmy oficerami tego pułku, ja co prawda tylko porucznikiem w rezerwie, on zaś, zdaje się, już podpułkownikiem. Po przylocie do Warszawy sprawę groźby niemieckiej wyczerpująco dyskutowałem przez długie dwa wieczory z przyjacielem moim Stanisławem Łepkowskim, ówczesnym Szefem Kancelarii Cywilnej Prezydenta Mościckiego, obstając przy mej opinii, że Hitler nie zawaha się nas zaatakować przed 1 września. Nie wiem czy przypomina sobie tę rozmowę generał, lecz wiem że mi ją przypomniał niedawno Łepkowski.

Porozumienie niemiecko-rosyjskie na naszej skórze, już choćby z uwagi na historyczne precedensy, było zawsze możliwe, lecz jeszcze na początku 1939 roku wydawało się nieprawdopodobne. Byłem więc wielce zaskoczony wiadomością o tajnych pertraktacjach niemiecko-rosyjskich co do podziału Polski.

W kilka dni po moim powrocie z Warszawy do Budapesztu, w połowie maja, zgłosił się do mnie niejaki p. Steiner, adwokat i przez pewien czas, za pośrednictwem p. Jana Szembeka, radcy prawnego poselstwa R.P. Z tej racji utrzymywał on w dalszym ciągu stosunki z poselstwem, przychodząc od czasu do czasu do biura na pogawędkę o stosunkach polsko-węgierskich, co do których był dobrze poinformowany. (Steiner podczas ostatniej wojny zmienił nazwisko na węgierskie). Z miną wielce zafrasowaną, zastrzegając się że sprawa ma poufny charakter, ni mniej ni więcej jak tylko oświadczył mi, że „do Budapesztu doszły wiadomości o pertraktacjach między Niemcami a Sowiecami co do nowego rozbioru Polski”. Wskazałem Steinerowi w dosyć ostrym tonie, na nieprawdopodobność podobnej wiadomości, zaznaczając w końcu, że jej wiarygodność zależy od źródła. Steiner odrzekł bardzo stanowczo, że w żadnym wypadku nie może go wyjawiać, obstawał jednak, iż jest ono bardzo poważne. Powiedziałem mu więc, że w takim razie muszę tak sensacyjną i nieprawdopodobną wiadomość, uważać za plotkę. Po wyjściu Steinera natychmiast poprosiłem do siebie sekretarza poselstwa p. Kazimierza Mycielskiego, człowieka zrównoważonego i rozsądnego i opowiedziałem mu przebieg wizyty. Wychodząc z założenia, że nie ma dymu bez ognia, doszliśmy do przekonania, że nie jest zupełnie wykluczona prawdziwość tej niezwyklej wiadomości, niestety, przyniesionej przez człowieka, któremu wprawdzie nic nie można było zarzucić i nam przychylnego, lecz nie zajmującego stanowiska, które umożliwiałoby mu dotarcie do źródeł mających dostęp do tego rodzaju pilnie strzeżonych tajemnic politycznych. Obaj byliśmy jednego zdania że jest niemożliwe wysłanie do ministra Becka szyfru, w którym nie mógłbym podać jeżeli nie źródła wiadomości, to przynajmniej użyć dyskretnej i często praktykowanej formuły „dowiaduję się z poważnego źródła że...”. Tym niemniej obaj zgodziliśmy się nie można sprawy zlekceważyć i dlatego wybraliśmy drogę ogólną i nie oficjalną. Postanowiliśmy, że Mycielski napisze poufny list o tej wizycie do bardzo wpływowego wówczas Naczelnika Wydziału Wschodniego M.S.Z. p. Kobyłańskiego. List ten został wysłany pierwszym kurierem dyplomatycznym. Ani ja ani Mycielski nie mieliśmy żadnej reakcji ani p. Kobyłańskiego, ani M.S.Z. w ogóle.

Kiedy wybuchła wojna, a następnie 17 września wojska sowieckie wkroczyły na terytorium Polski, wezwałem p. Steinera i zapytałem czy teraz, już post factum nie mógłby mi wyjawiać źródła swej wiadomości, która okazała się tak prawdziwą. Steiner oświadczył mi, że w swoim czasie nie mógł mi go zdradzić, gdyż został zaprzysiężony, iż dochowa całkowicie tajemnicy, w koń-

cu jednak powiedział mi, że wiadomość miał od ks. prałata Ernsta, wybitnego polityka, prezesa partii Chrześcijańsko-socjalnej, członka parlamentu i komisji spraw zagranicznych. Była to osobistość poważna i wielce wpływowa. Nadto wiadome mi było, że prałat Ernst był kolegą z ławy szkolnej, przyjacielem i doradcą politycznym ówczesnego premiera węgierskiego hr. Telekiego. Stało się jasne dla mnie, że Teleki, mając wiadomość zapewne ze znakomicie poinformowanej o polityce niemieckiej „dwójki” węgierskiej, tą drogą chciał nas ostrzec. Był to nasz wielki przyjaciel i zany człowiek, który rozumiał też interes Węgier na dłuższą metę. Niestety obrał zbyt okólną drogę, pragnąc zapewne zapewnić sobie wykluczenie niedyskrecji, która byłaby dla rządu węgierskiego wielce kompromitująca. Przez ostrożność obrano więc człowieka tak daleko stojącego od rządu i polityki. Trzeba bowiem pamiętać, że Węgry w ich polityce rewizjonistycznej polegały na Niemczech. Gdyby Steiner wyjawiał mi pochodzenie swej wiadomości od prałata Ernsta, to jej źródło nie podlegałoby dla mnie żadnej wątpliwości.

Parę lat później okazało się, że podobną wiadomość miał ambasador Łukasiewicz w czerwcu 1939 r. za pośrednictwem p. Maurycego Mohla i brata jego Aleksandra, sekretarza ambasady naszej w Paryżu. Pan Maurycy Mohl opowiadał mi w New Yorku, (zdaje się w 1943 r.), że w czerwcu 1939 pojechał był z Paryża na kilka dni z wizytą do p. Fritza Mandla, do jego posiadłości w Antibes na Riwierze. Mandl był przed „Anschluss-em” właścicielem wielkiej fabryki amunicji w Dolnej Austrii, znanej, jeżeli się nie mylę, pod nazwą „Niederoesterreichische Munitions Werke”. Będąc pochodzenia żydowskiego musiał opuścić Austrię po przyłączeniu jej do Rzeszy przez Hitlera i osiadł we Francji. Podczas tej wizyty którejś nocy Mandl obudził Mohla, mówiąc mu że ma bardzo ważną wiadomość, jego jako Polaka szczególnie obchodzącą. Zakomunikował mu że właśnie w Kasyńcu w Monte Carlo spotkał wypadkowo znanego mu dobrze pułkownika Sztabu Generalnego niemieckiego, który zawiadywał sekcją sprzedaży, wybrakowanej broni i amunicji. Znali się dobrze gdyż Mandl był fabrykantem amunicji, a fabrykę jego objęło wojsko niemieckie. Podczas rozmowy Mandl zaczął mówić o niebezpieczeństwie wojny, na co ów pułkownik z uradowaną miną oświadczył: „Nie będzie żadnej wojny, gdyż Niemcy doszły do porozumienia z Rosją na podstawie rozbioru Polski”. Nazajutrz rano Mohl pojechał do Paryża i powtórzył to co słyszał swemu bratu Aleksandrowi. Uradzili, że wiadomość mająca tak poważne źródło należy zakomunikować ambasadorowi Łukasiewiczowi.

Ten wysłuchawszy ich opowiadania wpadł w gniew i zbesz-

tał ich, że mogą tak nieprawdopodobną bzdurę traktować na serio. Czy ambasador zawiadomił o sprawie M.S.Z. nie wiem. Mandl był jednak w odróżnieniu od Steinera osobistością o międzynarodowym imieniu i stanowisku, powoływał się też nie na byle kogo, ale na pułkownika Sztabu Generalnego.

Najważniejszym jednak dla nas memento była złowróżbna polityka Anglii, dążąca do skierowania zapędów Hitlera na Wschód, zamiast na Zachód. Zaplątanie Hitlera w wojnę z Rosją odsuwało niebezpieczeństwo od Zachodu w ogóle a od Anglii w szczególności. Wyprawa po „Lebensraum” do Rosji, nawet początkowo zwycięska, musiałaby skończyć się fatalnie dla Hitlera, Słuszność tego rodzaju polityki z punktu widzenia angielskiego jest tak oczywista że nie ma potrzeby nad tym dłużej się rozwodzić. Jest jednak zastanawiające że w ogłoszonych obecnie dokumentach nigdzie nie ma bezpośrednich dowodów, wyraźnie ją potwierdzających. Wprawdzie można robić dedukcję w tym kierunku, ale nie można znaleźć dowodów czarno na białym. Zostały one niewątpliwie usunięte zapobiegliwą ręką. Podobnie na przykład stało się z korespondencją Mussoliniego, który uciekając do Szwajcarii miał z sobą teczkę, z którą nigdy się nie rozstawał, zawierającą jego osobistą korespondencję z Churchilllem. Po zamordowaniu Mussoliniego teczka ta znikła bez śladu. Należy jedynie być z podziwem dla sprawności angielskiej Intelligence Service. Tym niemniej przedstawiciele Rosji Sowieckiej, broniąc się od zarzutu spiskowania z Hitlerem przeciwko niepodległości Polski, ustawicznie powtarzają, że Sowiety zostały zmuszone do tej „obronnej” polityki, właśnie polityką Anglii, która cynicznie pragnęła skierować Hitlera na Rosję.

Moim zdaniem teza rosyjska jest słuszna i mam na to dowód. Dnia 19 listopada 1937 roku, lord Halifax, który wtedy nie był jeszcze ministrem spraw zagranicznych, lecz był członkiem gabinetu jako „Lord-President of the Council” odwiedził Hitlera w Berchtesgaden. Otóż w końcu listopada czy też na początku grudnia wezwał mnie do siebie minister spraw zagranicznych Węgier, Koloman Kanya. Był to bardzo inteligentny i ostrożny dyplomata, wychowany w tradycjach Ballhausplatzu. Nie pamiętam już o co mu chodziło, ale właśnie dlatego jestem dzisiaj przekonany że pierwsza część naszej rozmowy była po prostu pretekstem do jej zakończenia. Kiedy bowiem już wychodziłem Kanya zapytał mnie czy nie mam jakich wiadomości o przebiegu wizyty lorda Halifaxa w Berchtesgaden. Odpowiedziałem, że nic nie wiem poza tym co wydrukowała prasa. Na to Kanya: „A ja słyszę z Berlina że Halifax miał ostrzegać Hitlera przed dalszymi posunięciami na Zachód, zaznaczając bez ogródek, że będą one

musiały spotkać się ze zdecydowanym oporem Anglii, natomiast dał Hitlerowi *carte blanche* na Wschodzie". Doskonale pamiętam, że użył wyrażenia *carte blanche* przy czym patrzył na mnie przeciągle jak gdyby pytając oczyma: Rozumie pan co to znaczy, Hitler przecie może dostać się do Rosji jedynie przez Polskę lub przez Węgry i Rumunię. Z dokumentów ogłoszonych wynika jedynie, że w rozmowie z Halifaxem, Hitler wysunął sprawę Austrii, Czechosłowacji (Niemców w Sudetach) i Gdańska. Halifax miał odpowiedzieć, że wcale nie jest konieczne, by status quo zawsze pozostawał w sile, że okoliczności z czasem ulegną zmianie, pod warunkiem jednak, że zmiany nastąpią na drodze ewolucji pokojowej. Z ogłoszonego sprawozdania wynika że rozmowa miała przebieg spokojny. Tymczasem Churchill w swych Pamiętnikach pisze, że rozmowa ta „była bezceremonialna i nie miała łatwego przebiegu”. Jest charakterystyczne, że w ogóle z masy narzucających się wypadków Churchill uważał za stosowne ją wspomnieć, zarówno jak to, że przemilczał dlaczego była ona bezceremonialna i trudna w przebiegu. Gdyby Halifax wygłaszał podczas niej jedynie owe komunały o nietrwałości status quo to z pewnością nie uważałby jej za dość ważną, by o niej w ogóle wspomnieć. Czyni to jednak, lecz przemilcza na czym polegała trudność. Nie jest bowiem w interesie Anglii przyznać się dzisiaj, że pchała Hitlera na Rosję.

Tendencja do skierowania zainteresowań Niemiec hitlerowskich w stronę Sowietów nie uszła uwagi naszej ambasady w Londynie. W 1938 r. ambasador Raczyński raportuje, że wojna pomiędzy Rosją a Niemcami jest uważana w Londynie na najmniejsze zło, które może uchronić Anglię od wielkiego niebezpieczeństwa. Od 1937, a może i wcześniej, trwa zatem zmaganie się dwu polityk: państwa zachodnie z Anglią na czele pragną skierować burzę na Wschód, zaś Sowiety na Zachód.

Jeżeli o takiej tendencji polityki angielskiej mógł wiedzieć Kanya i Raczyński, to nie może ulegać najmniejszej wątpliwości, że wiedziały o niej Sowiety. To też tłumaczy „enigmatyczną” politykę Rosji poczynawszy od 1938 r., a szczególnie w roku 1939. Od początku tego roku Sowiety zachowują stanowisko lodowate w stosunku do wszelkich inicjatyw pokojowych Anglii i Francji. Polityka „pobożnego” lisa lorda Halifaxa spotkała się ze sprzeciwem „chytrego” lisa, Stalina. Jak wiemy Stalin odniósł początkowo zwycięstwo przy pomocy tymczasowego porozumienia się z Niemcami, kosztem Polski.

Powstaje pytanie kto w tej sprawie „zaczął” — czy Niemcy pierwsi wysunęli myśl zbliżenia się do Rosji, czy też Sowiety? Zdaniem moim — Sowiety.

Przed wszystkim klasyczne pytanie w dyplomacji — *Cui bono*. Sowiety były najbardziej zagrożone, a więc najwięcej zainteresowane w odsunięciu niebezpieczeństwa. Następnie, dzisiaj wiemy już, że 17 kwietnia 1939 ambasador sowiecki w Berlinie, Merekałow, oświadcza sekretarzowi stanu Weiszaeckerowi, że Rosja „pragnie znormalizować swe stosunki z Niemcami”. Także Ribbentrop podczas procesu norymberskiego twierdził, że pierwsze kroki w kierunku porozumienia się kosztem Polski zrobiła Rosja. Już w 10 dni po *démarche* Merekałowa, Hitler w swej wielkiej mowie powstrzymuje się od wszelkich napaści na Sowiety i komunizm. Propozycja jest więc przyjęta. Sowiety też, a nie Niemcy, 19 sierpnia przedstawiły projekt paktu o nieagresji tajemniczo zastrzegając się, że będzie on ważny dopiero po „podpisaniu specjalnego protokołu, zawierającego punkty, którymi interesują się wysokie strony umawiające w sferze polityki zagranicznej”. Dzisiaj wiemy co to był za protokół i jakie były owe sprawy polityki zagranicznej interesujące wtedy „wysokie strony”.

Już w 1940 r. ówczesny minister spraw zagranicznych Węgier, hr. Csaky powiedział mi, że pośrednikiem w zawiązaniu kontaktu między Niemcami a Sowietami był czeski generał Sirowy. Csaky miał tendencję mówienia mi rzeczy różniących nas z Czechami, ale w tym wypadku nie jest wykluczone, że powiedział coś o czym wiedział od Niemców, którzy uważali go prawie za swego człowieka. Miałem dowody, że mu dużo mówili, szczególnie pragnący zabłysnąć dyletant Ribbentrop, o którym stary wyga Kanya zawsze mówił z ironią. Jakże miał rację.

Leon ORŁOWSKI

RELACJE I WSPOMNIENIA
(OKRES WOJNY)

„INŻYNIEROWIE DUSZ”

W tłumie uchodźców

Nie ma, jeżeli się nie mylę, odrębnej książki polskiej na temat pierwszej okupacji sowieckiej we Lwowie, która miała miejsce między dwoma inwazjami: od jesieni 1939, gdy na mocy paktu z hitlerowskimi Niemcami Związek Sowiecki zajął wymienione miasto razem z całą wschodnią częścią Polski, do połowy roku 1941, to jest do daty napadu Niemiec na Rosję. Na ten temat można znaleźć tylko przygodne rozdziały lub ustępy w niektórych pamiętnikach, poświęconych latom wojny w ogóle.

Przejrzałem je teraz na nowo i uzmysłowiłem sobie, że mówią one zgodnie, najczęściej sumarycznie i niemal wyłącznie, o masowych aresztowaniach i o masowych zsyłkach. Tu i ówdzie, co najwyżej, przysłowiowa już anegdota o *krasnoarmiejcach*, którzy na pytania, dotyczące sowieckiej gospodarki i sowieckiego życia, odpowiadali z nieodmiennym entuzjazmem, w superlatywach, ale na ślepo, nie starając się nawet zrozumieć treści pytań: — *A Amsterdamy* (lub *fabryki kurzu*, itd) *u was są?* — *Mnogo! Mnogo!*

Nie dziwię się odnośnym autorom. Są to z jednej strony ludzie, którzy przebywali wtedy i nawiązywali działalność konspiracyjną na ziemiach zajmowanych przez Niemców. Teren okupacji sowieckiej znali więc tylko na podstawie krótkiej tam wyprawy albo krótkiej przezeń przeprawy; względnie dzięki wiadomościom dostarczanym przez emisariuszy. Z drugiej strony — są to ludzie aresztowani niemal na samym początku pobytu w strefie okupacji sowieckiej; ci wyruszyli niebawem, pod konwojem, na dramatyczną pielgrzymkę do sowieckich więzień i na sowieckie zesłanie. W jednym i drugim wypadku nie było ani przyczyn, ani popędu do malowania „folkloru cywilnego”.

Czyżby jednak na tym wyczerpywały się godne utrwalenia wypadki i doświadczenia tamtego okresu?

Te niespełna dwa lata stanowiły przecież jedyny w swoim rodzaju „wyższy kurs”, zarówno historii, jak wielu innych nauk, z programem studiów synchronicznie zagęszczonym i wbijanym do głowy w tempie — jak na ówczesną pojemność umysłów — zawrotnym.

Na domiar, co za świeżość reakcyj! Pod tym względem, późniejsze o całe cztery lata, zetknięcie się dwóch światów, sowieckiego z zachodnim, nie może się z tamtym ani równać. W roku 1945 kraje okupowane przeżyły już wszystkie kanibalstwa hitleryzmu. Układy i konwencje społeczne leżały od dawna w gruzach; ludzie utracili w gruncie rzeczy zdolność dziwienia się czemukolwiek. W tym drugim spotkaniu, Armia Czerwona nie dyktowała zresztą z dnia na dzień ujednolicenia bez żadnych zastrzeżeń z systemem sowieckim, lecz ustrój tzw. demokracji ludowej, z góry pomyślany i przygotowany na eksport.

Na jesieni 1939 nic z tej późniejszej zaprawy jeszcze nie istniało. Od przedwojennych pojęć i wdrożeń dzielił zaledwie krwawy wrzesień *Blitzkrieg*’u. Dwa porządki i dwie mentalności zderzyły się z całym dobrodziejstwem inwentarzu.

Garść wspomnień, które tutaj notuję, dotyczą głównie literatury, literatów oraz ich Związku. Temat ten zawisłby jednak w próżni, gdyby go bodaj krótko nie podmalować. Nie chodzi przy tym o żadne rewelacje, na jakie mogliby się może zdobyć dawni — prawdziwi czy udani — komuniści, uczestnicy komórek, komitetów lub bardziej wstydliwych trybów działającego aparatu. Czym więcej o tym myślę, tym bardziej przychodzi jednak do przekonania, że owe rewelacje już dawno przestały być tajemnicą, natomiast sprawy ludzkie coraz gruntowniej parują w zwykłej niepamięci. To tłumaczy rodzaj i po trosze również styl tych przypomnień.



Lwowian okupacja sowiecka zastała przynajmniej na miejscu, w ich własnych mieszkaniach, z ich dobytkiem i rodzinami, dokumentami, papierami oraz z całą garścią innych elementów tzw. ciągłości. My, *bieżeńcy* (uchodźcy), jak nas z rosyjska ochrzczono, byliśmy żywiołem napływowym, przybłędami:

„Miasto” — pisze o tym Adolf Rudnicki — „przypominało jarmark wschodni; na każdym kroku spotykało się *bieżeńców* fantastycznie ubranych, lecz te ich fantastyczne ubiory nie przyciągały niczyjego oka (...). Odziani w chłopskie kozuchy, czy w miejskie deszczowce, obuci w wysokie

buty lub w płócienne tenisówki — zależnie od pieniędzy, zaradności lub kredytu działającego poprzez granice — przycupnięci na kawałku krzesła w zadymionej (kawiarni) *Romie* czy u *George'a*, pytali jedni drugich: — *Co nowego? I co dalej?*”.

Mimo, że wygląda to na paradoks, były to w pewnym sensie wielkie dni tego miasta. Chyba nigdy przedtem nie gościło ono na raz aż takiej liczby różnych sław, wmieszanych w gęsty uliczny tłum, zdegradowanych do roli gruntownie zdeorientowanych i bezbronnych szarych ludzi. W prowizorycznej stołówce dla dziennikarzy, zaimprowizowanej w owych pierwszych tygodniach, głośne nazwiska czekały pokornie, w ogonku, na swoją kolej. Ciężką harówkę podawania do stołów spełniały w tej ciżbie damy z najlepszego towarzystwa... na uchodźstwie. Pensjonariusze nie omieszkiwali, z melancholijnym uśmiechem stwierdzać: — „W naszych najszcześniejszych czasach nie mieliśmy tak wytwornej obsługi, jaką — zdeklasowane łaziki — mamy obecnie”. W następnych latach wojny ten typ rekrutacji na kelnerki w stołówkach, restauracjach i kawiarniach, bardzo się upopolił. Zarówno w kraju, jak na wszystkich emigracjach, stał się on prozaicznym wymogiem prowizorium, które trwało zbyt długo. Wtedy, we Lwowie, miał on na razie jeszcze coś z przygody. Był improwizacją, niepozbowioną werwy i nawet — przez bliskość porównań — niejakiego uroku. To samo dotyczy zresztą wielu innych próbowanych wtedy zawodów.

We wszystkich grupach i grupkach mówiono naturalnie o procedurze i drogach tajemnej przeprawy poza sowiecki kordon: na Węgry, do Rumunii lub na Litwę. Kto wypracował sobie ku temu sposobność, opuszczał miasto bez żegnania się, „po angielsku”. Zjawisko należało do codziennych, toteż nikt się nie dziwił, nie spotkawszy więcej w odnośnej grupie tego lub innego z jej dotychczasowych bywalców.

Na ulicy Legionów, jednej z głównych arterii Lwowa, prze-walał się o każdej porze i bez przerwy gęsty tłum. Z tego tłumy wyłaniały się raz po raz znajome twarze. Znajomych było tam tylu, że mimo cudownego, jak się wtedy wydawało, odnalezienia się po istnym trzęsieniu ziemi, spotkanie redukowało się często do kiwnięcia głową i do przesłanego z daleka uśmiechu. Dopadało się za to bliskich przyjaciół.

Pewnego dnia wyławiam w tym tłumie dr. Romulda Szumskiego. Adwokat, dziennikarz i do niedawna przewodniczący grupy socjalistycznej w Radzie Miasta Krakowa, Szumski był pełnym temperamentu mówcą. Miał jednak nieposkromioną sła-bość do efektownych formuł i „powiedzonek”. Równocześnie był notorycznym kawalarzem. Już przed wojną, zwłaszcza w dobie

walki przeciw „rządom pułkowników”, obie te cechy kosztowały go od czasu do czasu po kilka miesięcy więzienia za „obrazę władz”. Zdarzyło się na przykład, że w jakimś miasteczku Szumski jak zwykle piorunował z ludowej trybuny przeciw któremuś z ministrów. Przedstawiciel miejscowej administracji, asystujący urzędowo na zgromadzeniu, podniósł się wtedy z swego krzesła by zmytygować oratora:

— Pan starosta zabronił o tym...!

Na co Szumski z emfazą:

— Proszę donieść panu staroście, że do odważnych świat należy, a do idiotów tylko jeden powiat.

W Krakowie Szumski zjawił się pewnego dnia, tym razem jako adwokat, w gabinecie prokuratora Sz., czołowego specjalisty w oskarżeniach politycznych. Pan prokurator ofiaruje grzecznie krzesło panu mecenasowi.

— Tylko nie to!, wzbrania się adwokat. Gdy ostatnim razem poprosił mnie pan, bym usiadł, siedziałem całe pół roku.

Nie odmawiał sobie kawałów również w więzieniu, do którego wybierał się regularnie, jak dobry gracz, który po pasjonującej rozgrywce — zabiera się z rezygnacją do płacenia długów. Ilekroć zagościł tam na te swoje rekolekcje, z miejsca proponowano mu współpracę w gazecie więziennej „Hejnał”. Szumski pisał do niej artykuły, rozwijające z całą powagą historyczne nonsensy w typie znanej piosenki: „Gdy Sobieski był sułtanem, stary Bismarck z konia spadł”, albo: „Kara Mustafa, wielki mistrz Krzyżaków, siedł z armią Filistynów przez Alpy na Kraków”. Artykuł z okazji krakowskiego obchodu „Lajkonika” (odwołującego się, jak wiadomo, do napadu Tatarów) zaczynał na przykład od stwierdzenia, że: „Już za czasów pogańskiej słowiańszczyzny, gdy Popiel, Piast i Rzepicha...”. I tak dalej, metodycznie, wiek za wiekiem. Bawił się potem, gdy dygnitarze więzienni podziwiali na tej podstawie jego historyczną erudycję.

Teraz, spotkany w charakterze *bieżeńca* na tym lwowskim bruku, oświadczył mi z miejsca, że chwilowo nie jest już radnym ale bez-radnym miejskim. Bardziej zdumiewający był szczegół, że paradował w płaszczu straży celnej: zielonym, ze złotymi guzikami. Płaszcz był porządny, ale skandalicznie *niebлагonadіożny*, trącający wręcz policją. I to tutaj, gdzie każdy robił wysiłki, by zatrzeć ślady jakiegokolwiek przynależności do „państwowego aparatu” sprzed wojny.

— Romek, skąd ty wzięłeś ten płaszcz?

— Zdobyczny!

Okazało się, że w momencie inwazji niemieckiej, Szumski odsiadywał jakiś z swoich dawniejszych wyroków. Zaświadczenie,

które otrzymał przy zwolnieniu, stwierdzało, że był więźniem politycznym. Płaszcz zamienił, kupił czy dostał w podarunku już w drodze, od jakiegoś rzeczywistego funkcjonariusza, który pragnął się pozbyć niebezpiecznego szynelu.

— Odpruj co najmniej te złote, państwowe guziki! Inaczej zaaresztują cię przy pierwszej lepszej obławie.

— Nie mnie! — powiedział mi z szyderczą dumą i rozwinął swoją *poświwkę*.

Ta ostatnia nie precyzowała jego partyjnej przynależności, a dla byłych politycznych więźniów „pańskiej Polski” nowe władze afiszowały z rozmysłem duży szacunek. Romek oddawał się zatem pasjonującej dla niego zabawie, która polegała na kolejnym wygrywaniu tych dwóch elementów nowego ekwipunku: zatrzymywany groźnie przez każdy przechodzący patrol z powodu płaszcza, wyjmował zaświadczenie i rozkoszował się nagłą zmianą postawy żandarma. Gdy ten ostatni radził mu, by jednak nie prowokował ludzi nieszczęsnym przyodziewkiem, Romek bardzo rozsądnie mu przytakiwał:

— W Związku byłych Więźniów Politycznych — mówił, akcentując tę nazwę — przyrzekli w istocie ofiarować mi już niebawem inny płaszcz.

Później aresztowano i deportowano Szumskiego w ramach masowej wywózki uchodźców. Godność b. więźnia politycznego dawała bowiem pierwszeństwo w „ogonkach”, lecz nie broniła od zesłania.

Z dalekiej Azji, nie pamiętam już z jakiego obozu czy *posiołka*, nadszedł od niego list. Romek powtórzył w nim kawał, wypróbowany niegdyś w gazetce krakowskiego więzienia, lecz tym razem na odwrót: w warunkach gdzie inni pseudonimowali nawet najmniejszą aluzję na ten temat, on przysłał realistyczne i wierne, pisane w trzeciej osobie, sprawozdanie o sytuacji zesłańców. Zaczynało się ono od słów: „Romka obudziły o świcie dzikie krzyki barbarzyńskich strażników”. W samym liście wyjaśniał z dużą powagą, że reportaż ten zainteresuje bez wątpienia czytelników wychodzącego we Lwowie... „Czerwonego Sztandaru”. Prosił więc by go przekazać redakcji tego pisma i podawał urzędową drogę, jaką będzie można mu wysłać potem honorarium za ten cenny artykuł.

Uwolniony dużo później w związku z amnestią po układzie Majskiego z Sikorskim, Szumski dotarł do Ameryki i redagował tam w ciągu kilku lat „Robotnika Polskiego”. Widziałem się z nim dopiero w roku 1948, w Nowym Yorku. Romek miał zawsze swoją pasję do dowcipu, ale nasączony był uzbieraną goryczą.

W Ameryce czuł się obco. Po „Październiku 1956” zdecydował wrócić do Polski. Nie wątpię, że robotnicy krakowscy przyjęli go serdecznie. Wierzę również, że zachował swoje poczucie humoru.

Pozwoliłem sobie celowo na tę nieco przydługą dygresję. Bo takich sylwetek można by kreślić wiele. Może dopiero w sumie dałyby one niejakię pojęcie o mrowisku przeznaczeń, zagęszczonych wtedy na tych lwowskich ulicach. Równocześnie, do samego obrazu wszystkie te późniejsze więzienia, zesłania i... kariery dorzucają samochcąc jeszcze jeden wymiar. Także tym razem anegdota o osobach zamienia się po trosze w przyczynek do zrozumienia dziejów pokolenia.



Ludzie, obarczeni balastem politycznej przeszłości, usiłowali obliczyć stopień osobistego zagrożenia. Jedni przemykali się chyłkiem, z nazbyt widocznym przerażeniem w oczach. Inni, chociaż mieli więcej powodów do lęku, wybierali wisielczy humor.

Ogrom tej ludzkiej powodzi kazał przypuszczać, że nowe władze nie szybko potrafią ją „rozpracować”. Afisze wzywały jednak do rejestrowania się. Co gorsze zatem: zapisać się i zwrócić tym samym uwagę policji na swoje nazwisko, figurujące może na istniejącej już lub na przygotowywanej czarnej liście, czy też uchylić się od nakazanej rejestracji i narazić się na zbrodnię przeciw bieżącemu rozporządzeniom?

Nie bacząc na rzekomy brak złudzeń w stosunku do nowego ustroju, zasada, że „prawo nie działa wstecz” stanowiła jeszcze jedną z sugestywnych iluzji. Proklamacje i obwieszczenia podkreślały zresztą w istocie, i to bardzo natarczywie, równość wszystkich obywateli, „bez względu na ich przeszłą działalność, ich polityczną przynależność” itd.

Przed wyznaczonymi do tego urzędami wystawiały już wielotysięczne tłumy; dotarcie do biur wymagało co najmniej kilku dni kołędowania. Przywódca P.P.S., były poseł na sejm i były więzień brzeski, Adam Ciołkosz, należący bez wątplenia do najbardziej zagrożonych, wymyślił wobec tego następujący proceder: ustawiał się ze mną to w tym, to w innym ogonku i pozwalał dziesiątkom okolicznościowych sąsiadów nasycić się naszym widokiem. Potem odchodziliśmy z wyrazami fatygi i ubolewania, że „mimo najlepszej woli nie podobna doczekać się kolejki”. Chroniąc nas w ten sposób od faktycznej rejestracji ten naiwny proceder miał, w mniemaniu Ciołkosza, przygotować

autentycznych świadków do udowodnienia w razie potrzeby naszych dobrych zamiarów. Jeszcze w czasie trwania rejestracji, Adamowi Ciołkoszowi udało się przebieć szczęśliwie do Rumunii, a jego żonie do Wilna; spotkali się niebawem w Paryżu. Dzięki temu zaoszczędził on sobie sprawdzania smutnej prawdy, że skuteczność strategii zależy nie tylko od jej logiki, ale również i przede wszystkim od metod, które stosuje przeciwnik.

Z „dawnego” do „nowego” Związku Literatów

Już w pierwszych tygodniach po wejściu Czerwonej Armii do Lwowa, władze sowieckie zwoływały zebrania informacyjne, m.in. według zawodów. Pamiętam dwa takie, odbyte w dużej sali magistratu: pierwsze dla dziennikarzy, drugie dla literatów.

Z zebrania dla dziennikarzy utkwiło mi głównie w pamięci nagłe, i zupełnie dla nas nowe, zdyscyplinowanie audytorium. Przemówienia, wygłaszane przeważnie w językach ukraińskim i rosyjskim, były tanio wiecowe. Za to publiczność (złożona co najmniej w osiemdziesięciu procentach z przeciwników komunizmu, przy tym ludzi przywykłych do lepszego poziomu) zrywała się co kilka minut, jak jeden mąż i biła huczne brawa ilekroć tylko padło nazwisko Stalina. Chociaż nikomu nikt o tym nie powiedział, wszyscy wyczuwali na sobie wzrok donosicieli, nie wiadomo jak i nie wiadomo gdzie zaczajonych. Któryś z sowieckich mówców (pamiętam dotąd na jego twarzy zadowolony z siebie uśmiech zdobywcy) postawił kropkę nad *i*. Mówił o N.K.W.D. (tajnej policji) i, tytułem konkluzji obwieścił: „Naród kocha swój N.K.W.D.”. Spojrzałem bez słowa na stojącego ze mną Adama Ciołkosza, potem na całe audytorium: tłum trupio bladych twarzy i hucznie oklaskujących rąk.

Zebranie pisarzy odbyło się już pod odmiennymi auspicjami: bez gróźb, przeciwnie, w tonie uwodzenia. Za stołem prezydialnym, obok sowieckich gości, zasiedli (z wolą czy po niewoli) przedstawiciele działającego jeszcze wówczas „starego” Związku Literatów: prezes Ostap Ortwin i sekretarz Teodor Parnicki. Na zadawane pytania, pisarz sowiecki Pawlenko gwarantował pełną wolność pracy twórczej i zapewniał, że nie tylko można, ale nawet należy, i to koniecznie, zachować organiczną łączność oraz kontynuować tradycyjne w polskiej literaturze tematy i style. Tyle jedynie, że w dziedzinie idei społecznych w ogóle, a marksizmu w szczególności, goście wydawali się traktować „tubyłców” jako skończonych ignorantów. Zapowiadali też dobrotliwie wypeł-

nienie tej luki dzięki rychłemu dostępowi do odnośnych dzieł¹.

Teodor Parnicki, władający świetnie językiem rosyjskim, wygłosił przemówienie, w którym postawił gościom kilka pytań. Goście odpowiedzieli na nie twierdząco i z pochwałami dla mówcy. Gdy kilka tygodni później Parnicki został aresztowany, panowało zdanie, że został „zauważony” przez nowe władze i wpisany „na listę” dzięki tej tak bardzo życzliwie przez sowieckich gości ocenionej interwencji.

Wspominam te dwa wstępne zebrania, ponieważ sumują one tendencje, które kierowały odtąd literackim życiem: u podstawy terror i widmo wszechobecnego N.K.W.D., w zewnętrznej praktyce — ton uwodzenia i udanego zachwyty, ale pod warunkiem, że wiedza i docieklivość społeczna polegają na ślepym stosowaniu instrukcyj.

Z kolei zjechał do Lwowa dramaturg ukraiński Korniejczuk i (zakochawszy się, przy okazji w Wandzie Wasilewskiej, z którą miał się później ożenić) doprowadził do założenia „nowego” Związku oraz Klubu literatów.



Literaci nie są na ogół ludźmi nawykłymi do darowania wspomnieniom. Nieraz już zatem, gdy wypadło o tym pomyśleć, wydawało mi się sprawą przeciw naturze w ogóle, a przeciw naturze literatów w szczególności, że żaden z nich dotąd tego klubu nie upamiętnił.

Wina w tym trochę karygodnego precedensu. Już w 1941, krótko po wdarciu się armii hitlerowskiej do tego miasta, tzn. w dniach pogromów, masowych aresztowań i egzekucji, w „Gazecie Lwowskiej”, czyli w gadzinówce, wydawanej przez niemieckiego okupanta, ukazał się felieton o rzeczonym klubie, przypisywany powszechnie Stanisławowi Wasylewskiemu. W tamtych warunkach miał on charakter donosu, tym brzydszego, że wymieniając po nazwisku i obdzielając złośliwymi komentarzami m.in. kolegów pozostałych na miejscu — w zasięgu Gestapo — autor przedstawiał samego siebie w roli rycerza bez skazy i — co za tym niby poszło — w roli męczennika. W rzeczywistości nie był ani jednym, ani drugim.

1. Poniesiony młodą nierozwagą, zabrałem wtedy głos, by poinformować „naszych gości”, że „odkrywają Amerykę”, ponieważ w Polsce istniało zawsze dziesiątki dzieł z tej dziedziny itd. Moje wystąpienie zaskarbiło mi przyjaźń Ortwina, za to — zdaniem innych — kwalifikowało mnie wprost na zesłanie. Jako szczególnie karygodne oceniono określenie sowieckich uczestników jako „naszych gości”. Według nowych granic, to my byliśmy ich gośćmi, nie oni naszymi.

Od owych dni sporo wody upłynęło pod wszystkimi mostami na świecie. Dlaczego nie poświęcił temu klubowi obszerniejszego wspomnienia żaden z jego byłych uczestników? Spośród tych bodaj, którzy żyją obecnie w Polsce, którzy tam drukują, redagują i nawet prym wodzą? Wtedy, pamiętam, aż ręce zacierali na samą myśl, że w przyszłości będzie można o tym napisać. Bywało, że ten i ów rezerwował dla siebie, na gorąco, jakiś nowy „kwiatek” czy pokrzywę. Dowcipne sprzeczki z tego tytułu kończyły się nieodmiennie stwierdzeniem, że wyborowych „kwiatków” i okazałych pokrzyw wystarczy dla każdego. Nawet z grubą nadwyżką.

Jedną z przyczyn tego upartego milczenia, jest umowne tabu. Ponieważ od 1944 Lwów nie tylko znalazł się na nowo w granicach Związku Sowieckiego, lecz został również pasowany na miasto odwieczne i najgruntowniej ukraińskie, nie trzeba nawet zwykłymi wspomnieniami — tego tabu naruszać! Niech się tamtą przeszłością zajmują, po swojemu, pisarze miejscowi.

Działają również opory bardziej osobiste. Spośród polskich pisarzy najaktywniejsi byli, w rzeczonym klubie, zapaleni komuści sprzed wojny. Niejednego z nich zapał ten, wprost z owego klubu, zaprowadził jednak do sowieckich więzień, na sowieckie zesłanie, i — w rezultacie — do gruntownego ostudzenia dawnej wiary. Ci nie odczuwają wewnętrznego entuzjazmu do przypominania się, nawet samym sobie, w ich ówczesnej roli. Inni znowuż odbyli ewolucję odwrotną: ze sceptyków i przeciwników komunizmu zaawansowali — po wojnie — na czołowych bardów panującego w Polsce systemu. Jeszcze inni, nie zarzucając pisania, poszli w ambasadory lub przywdziali ministerskie fraki. Ten oficjalny uniform diabelnie krępuje im pamięć, a jeszcze więcej — pióro.

Tematu dotknął okolicznościowo jeden bodaj Adolf Rudnicki, w noweli o „Wielkim Stefanie Koneckim”: tytułem ramki dla rysunku tytułowej postaci utworu. W sumie nie więcej niż kilkadziesiąt wierszy o przeprowadzce literatów z dawnego Związku do „nowego”. Przypomnijmy ten ustęp:

Młody pisarz (narrator i rzecznik autora) opowiada, że — znalazłszy się jako „bieżeniec” na lwowskim bruku — poszedł do („przedwojennego”, bo na razie ten tylko istniał) Związku Literatów:

„Wszedłszy do dwóch niedużych pokoików przy ulicy Ossolińskich, stwierdziłem, że nie ja pierwszy wpadłem na tę myśl. W skromnym oddziale lwowskim roilo się o pisarzy głośnych, mniej głośnych i nieznanych”. (...) „Władza radziecka w pierwszym okresie nie miała nic przeciw temu, aby Stefan Konecki, dożywotni, jak sądzili wszyscy, prezes miejscowego oddziału — we własnym zakresie organizował pomoc dla kolegów. Z

czasem jednak władze same zajęły się bliżej losem pisarzy. Komitetowi organizacyjnemu, w skróceniu zwanemu Komorgiem, przydzielono pałacyk hrabiego B. przy ulicy Kopernika. Hrabia na swych wysokich nogach jeszcze jakiś czas spacerował pomiędzy nami. Pewnego razu złapał Boya:

— Jestem niezmiernie zadowolony — rzekł z zadyszką — że goszczę pisarzy. Bo mówiono, że jak przyjdą bolszewicy, to mi konie wstawią do pałacu.

Pisarze przeszli do Komorgu; w pałacu zrobił się tłok, na ulicy Ossolińskich — pustka. Do Stefana Koneckiego nie przychodził już nikt. Nie przychodzili ludzie z lewicy, bo Komorg był ich placówką. Nie przychodzili również nie-lewicowcy, bo i oni woleli opalony, ładny pałacyk w tę tragiczną i bez węgla zimę. Wysiadywali tu całymi dniami i grając w szachy, a nie pisząc *oczekiwali na rozwój wypadków...* Z okien pałacu na Kopernika członkowie Komorgu codziennie około dziesiątej przed południem mogli widzieć przechodzącego samotnie Koneckiego... Nigdy nie spojrzał na nasz dom, który uczynił zbędnym jego związek i jego osobę. Stary prezes został zupełnie sam”.

Wszystkie te szczegóły odpowiadają rzeczywistym faktom. Hrabia Bielski, któremu zrazu pozostawiono do dyspozycji drugie piętro jego pałacyku, w istocie spacerował między literatami, ale w istocie tylko „jakiś czas”. Pewnego dnia znikł, on i jego cała rodzina: aresztowano ich nocą i zesłano.

Za model do postaci Koneckiego posłużył Rudnickiemu Ostap Ortwin. Wspomagany przez młodego sekretarza Związku, powieściopisarza Parnickiego, rzeczywiście rozwinął on imponującą akcję pomocy na rzecz pisarzy-uchodźców.

Później w istocie został sam. Czyżby jednak dlatego, że nowy dom pisarzy „uczynił zbędnym jego związek i jego osobę?”. Gdyby tylko zechciał, mógłby — sędzę — zająć w tym nowym klubie miejsce co najmniej reprezentacyjne. Byłby otoczony wszystkimi żłudnymi honorami. Zważywszy iż był wieloletnim i powszechnie uznanym prezesem dawnego Związku i zważywszy autorytet jakim się cieszył we Lwowie, władze sowieckie przeszłyby do porządku nad jego poglądami, byle tylko dysponować jego nazwiskiem i byle tylko móc pokazywać go za przyzwoitym stołem.

Ale on, właśnie dlatego że dobrze zdawał sobie z tego sprawę, odmówił. W tym jego osamotnieniu i nawet w tych jego samotnych przechadzkach, była milcząca lecz dobrze przez wszystkich zrozumiana demonstracja.

Rudnicki nie był ani jedynym, ani najczęstszym gościem w jego dumnej samotni. Zachodzili tam również inni, bywałem i ja. Raz poszedłem do niego z Jankiem Kottem. Spędziliśmy dobrych kilka godzin na rozmowie. Z właściwą mu rzeczowością, Ortwin dopytywał się i rozważał techniczne innowacje wniesione do pracy literatów. Jego niewzruszona opozycja dotyczyła

okupanta Polski, nie samego Klubu. Nade wszystko utkwiał mi jednak w pamięci jego wygląd: Ortwin miał na sobie wyszarzały smoking, z bardzo szeroko podartymi łokciami. Ten dziwaczny przyodziewek tłumaczył się w gruncie całkiem prozaicznie. By oszczędzić resztę posiadanej garderoby, gospodarz wybrał go chyba jako najmniej w nowych warunkach przydatny i donaszał w domu zamiast bonżurki. Ponieważ przyszliśmy niezapowiedzeni, przyjął nas tak jak był.

Osobliwy jego strój ani nie wydał się wszakże groteskowy, ani nie kojarzył się zabiedzeniem „upadłej wielkości”. Wielki, z srebrną grzywą i tubalnym głosem, Ortwin robił ciągle wrażenie człowieka, spełniającego czynnie i z całą świadomością przypadłą mu misję: to osamotnienie było jego dumną redutą.

Jeszcze potem przyszła inwazja hitlerowska. Jako Żyd z pochodzenia, Ortwin narażony był oczywiście na wszystkie dyskryminacje. Nie widziałem go w tym okresie, ale wiem, że nie zastosował się do żadnego z odnośnych rozporządzeń: nie włożył opaski „żydowskiej” i nie poszedł do getta. Jednej rzeczy dotąd nie potrafię zrozumieć: jak się to stało, że w tym Lwowie, w którym miał on tyle uznania oraz tylu czcicieli, i to właśnie w kołach, które mogły sobie pozwolić by mu pomóc, nie znalazł się nikt, żeby go u siebie ukryć, lub żeby — pod fałszywym nazwiskiem — „zorganizować” go na prowincji?

Jakiś żydowski milicjant (zbyt prymitywny i ignorant, by znał wcześniej jego nazwisko oraz zbyt głupi, by mógł to wymyślić) opowiadał mi o aresztowaniu Ortwina. Opuszczając swoje mieszkanie, Ortwin wskazał własne książki, potem brał do ręki i obrzucał wzrokiem każdą z osobna, jakby się z nimi żegnał. W drodze na Gestapo, mówił spokojnie o książkach, nazywając je jedynymi dziećmi, które zostawia. Z gmachu policji już nie wyszedł. Zastrzelono go prawdopodobnie na miejscu. Zginął tak jak żył w tych ostatnich latach: samotny, z głową podniesioną.

„Nas poezja uczyła bić się”

Podobnego „Klubu Pisarzy” nie było, sędzę, ani wcześniej ani później, i to nigdzie na świecie. Na czym wszakże ta jego jedyność polegała? Nie na jego regulaminie i *liturgii*, ponieważ pierwszy i drugi stanowiły wierną kopię kliszy sowieckiej: każde duże miasto w Związku Sowieckim posiadało i posiada instytucję bliźniaczo do tamtej podobną. I nie na tzw. fizjognomii uczestników, którzy działali, pisali i ogłaszali już swoje utwory

w Polsce przed wojną. Posępny melodramat owej *Comedii dell'Arte* (gdzie sceny tragiczne rozgrywały się za kulisami, a najzabawniejsze repliki padały poufnie, na marginesie oficjalnej wersji) wynikał natomiast ze sklejenia na siłę tych dwóch różnych materii. Niefortunny rezultat robił wrażenie antycznych potworów, z ludzką głową osadzoną na tułowiu konia, lwa lub byka. Coś w rodzaju egipskich sfinksów, greckich centaurów lub babilońskich dziwadłał. Chodziło przy tym nie o kombinację już zbliznioną i okrzepłą, lecz o melanz zaledwie w stadium próbowania się i przymusowej adaptacji. Mała główeczka chybotala się z przerażeniem na obcym jej kadłubie. Mimo chronicznych dreszczy, łypała jednak grzecznie oczyma, co — zamiast żadanego od niej czaru i uśmiechu — dawało w efekcie przykry i sztuczny grymas.

Olbrzym, ze swej strony, również się niecierpliwił. Świadomy, że irytujących niedowiarków i przemądrzalców może się pozbyć jednym uderzeniem łapy, grał mimo to rolę protektora, ale pod hasłem: „ja śledzę, ja czekam, ja wymagam”. Konwencjonalną dobroduszość i perswazję przerywało brutalne opadanie maczugi. Takim wstępnym „zaproszeniem do opamiętania się” było aresztowanie polskich pisarzy w styczniu 1940 r.



Czy, jako komunista, mógł Broniewski nie marzyć o zwycięskim pochodzie Armii Czerwonej? I to właśnie w boju przeciw Hitlerowi? Nie jego w tym wina, że w przede dniu, a jeszcze okrutniej w samym ogniu wrześniowej kampanii, wszystko sromotnie się przemieszało i że Armia Czerwona ruszyła do Polski nie przeciw Hitlerowi, ale jako współniczka *Werbmacht'u*. Autor „Pieśni i Troski” nie mógł ani przewidzieć ani przeczuć, że wśród bitewnego szczęku, jemu — komuniście, żołnierzowi i poecie — wypadnie powitać tę Czerwoną Armię nie hymnem płomiennym, lecz gorzką butadą (którą cytuję tutaj z pamięci, gdyż ze zrozumiałych przyczyn nigdy nie ukazała się drukiem):

„I byłby nowy Grunwald,
byłyby nowe Płowce,
gdyby nie te bombowce
i gdyby nie te czołgi
znad Wołgi”.

Kości i dywizje były już jednak rzucone. Nową rzeczywistość określała już linia demarkacyjna, wytyczona w serdecznym porozumieniu, między hitlerowskimi Niemcami i Związ-

kiem Sowieckim. Wschodnie ziemie Polski, zajęte przez „czołgi znad Wołgi” zmieniły się w Zachodnią Ukrainę, Lwów w jej stolicę.

Znalazłszy się w tym „sowieckim” Lwowie, Broniewski miał wszystkie tytuły, by na nowym Parnasie zająć miejsce czołowe. Nikogo też nie dziwiło, że „Czerwony Sztandar”, który zaczął drukować artykuły o polskich pisarzach — komunistach, jemu poświęcił najwięcej miejsca i pochwał.

Obsypany drukowanymi honorami, Broniewski gryzł się i — gdy się dało — pił. Jego wiersz o „Żołnierzu polskim”, który *„ze spuszczoną głową, (...) idzie z niemieckiej niewoli, — przez ruiny, przez zgliszcza”*, nie tylko nie mógł ukazać się w druku, ale autor dostał jeszcze za niego ostry *wygovor*.

W tych także tygodniach napisał Broniewski utwór, zaczynający się od słów:

*„Syn podbitego narodu, syn niepodległej pieśni,
o czym i jak mam śpiewać, gdy dom mój ruiny i zgliszcza...?”*

Z komunistycznego punktu widzenia, wiersz ten nie powinien był, logicznie biorąc, wywołać najmniejszych zastrzeżeń. Przeciwnie: wyrażał tragizm ale też niewzruszenie komunistyczne wyznanie wiary autora:

*„Chcę, żeby z gruzów Warszawy rósł żelbetonem socjalizm,
chcę, żeby hejnał mariacki szumił czerwonym sztandarem”.*

Był nawet ukłon w stronę Ukrainy i Białorusi, implikujący zabór wschodnich ziem polskich przez Czerwoną Armię jako ich wyzwolenie:

*„Piękna i dumna Warszawo, chwała twoim ruinom!
chcę zliczyć i ucałować twoje męczeńskie cegły.
Podaj mi dłoń Białorusi, podaj mi dłoń Ukraino,
wy mi dacie na drogę wasz sierp i młot niepodległy”.*

Ubolewanie z powodu triumfu Hitlera okazało się jednak stanowiskiem reakcyjnym. Broniewskiemu nie tylko nie wydrukowano wiersza, ale ostrzeżono go po raz ostatni. Mimo zakazu, Broniewski przeczytał ten wiersz na publicznym zebraniu. Tym samym podpisał wyrok na siebie.

Piszę o Broniewskim, ponieważ w jego utworach tragizm, o którym mowa, wyraził się w formie klasycznej. Dzisiaj wiersze te mają już za sobą historię wręcz fantastyczną. Cóż może wie-

dzień o niej czytelnik w Polsce, zwłaszcza czytelnik młodsze pokolenia, znajdujący je w wydaniach nie tylko oficjalnych, ale uwieńczonych już nawet całą serią nagród państwowych i innych?

Na tle opisywanych tutaj wypadków, Broniewski był w pewnym sensie symbolem. O ile bowiem podskakiewiczze rzucili się na łeb na szyję do spadłych razem z sowieckimi tankami karier i zaszczytów, literaci-komuniści, odpowiedzialni za pisane słowo, przeżywali w duchu tragiczny *Katzenjammer*. Nie przeczuwali, że ten ich brak wewnętrznego entuzjazmu jest już gdzieś dokładnie notowany.

Dnia 23 stycznia 1940 roku artysta malarz D. zaprosił szereg lewicowych pisarzy do restauracji i długo nalegał, by zaproszenie przyjęli. W restauracji, przy oddzielnym stoliku, znalazł się „przypadkiem” również jakiś wyższy oficer N.K.W.D. w towarzystwie miejscowej aktoreczki. W pewnym momencie rzucił on w kierunku polskich pisarzy uwagę prowokacyjnie obelżywą. Gdy Broniewski odpowiedział, typ o którym mowa, podskoczył do stołu literatów, szarpnął za obrus, wywracając i zrzucając całą zastawę. Brzęk tłuczonego naczynia stanowił sygnał. Do sali, niby na dźwięk scenicznego gongu, wpadła garść N.K.W.D.-ystów. Nie by przeszkodzić (nieistniejącej jeszcze!) bójce, lecz żeby ją rozpętać! Z wprawą zawodowych gangsterów, rzucili się na literatów. Uderzony pięścią w szczękę, Aleksander Wat stracił przytomność. Kilku innych poczęło się bronić! Przed budynkiem czekały już policyjne auta.

Między aresztowanymi znaleźli się Władysław Broniewski, Aleksander Wat, Tadeusz Peiper, Juliusz Balicki, Wojciech Skuza i Anatol Stern.

Tej samej nocy aresztowano szereg pisarzy-niekomunistów w ich mieszkaniach: powieściopisarza i sekretarza „dawnego” Związku Literatów, Teodora Parnickiego; komediopisarza Wacława Grubińskiego (chyba za jego dawną sztukę o Leninie); tłumaczkę i b. sekretarkę „Robotnika”, Halinę Pilichowską.

Ta precyzyjna równoczesność aresztowań dowodziła, że również w wypadku Broniewskiego, Wata i towarzyszy nie mogło chodzić o żaden incydent. Spisy kandydatów na aresztowanie były najoczywistej przygotowane już z góry. Pisarzy zbliżonych do komunizmu aresztowano nie dlatego, że byli we wspomnianej wyżej restauracji, ale przeciwnie — zaproszono ich tam i wywołano „pijacką” awanturę tylko i wyłącznie w tym celu, by ich zaaresztować! Cały przebieg „awantury” wskazywał zresztą, że policja nie zadała sobie nawet trudu zainscenizowania choćby jako tako wiarygodnego „widowiska”.

Dlaczego nie aresztowano ich wobec tego zwykłym trybem, jak tylu innych, tzn. cicho, po domach? Zrazu szło chyba o uniknięcie wstrząsu, jakim aresztowanie to musiało się odbić, zwłaszcza na literatach. Skoro bowiem aresztuje się sympatyków komunizmu, na domiar ludzi co dopiero wychwalanych w oficjalnych gazetach i obsypanych honorami, cóż czeka innych? Z tego punktu widzenia, karczemny pozór miał na celu wmówić, że powodem aresztowania nie były takie lub inne przekonania ofiar, ale ich chuliganizm.

Tłumaczony w ten sposób wypadek byłby ponadto dowodem, że sprawiedliwość sowiecka nie liczy się z partyjną przeszłością winowajców: podczas gdy pisarze lewicy są karani, z całą surowością prawa, za ekscesy „cywilne”, niekomuniści — byle tylko stateczni — mogą liczyć na wszystkie dobrodziejstwa ustroju.

Piorunujące wrażenie, jakie wywołał ten wypadek, przekonało jednak szybko jego autorów, że uszyli go nazbyt grubą nicią. Po kilku dniach milczenia, w tym samym „Czerwonym Sztandarze”, gdzie jeszcze tak niedawno wychwalano obecnych „zbrodniarzy”, ukazał się o nich artykuł, podpisany nazwiskiem Kolskiego. Liczył on w druku nie więcej niż jaką setkę wierszy, może nawet mniej, stanowił za to pokazową lekcję cynizmu. Autor pamfletu nie myślał nawet z czymkolwiek polemizować, albo cokolwiek tłumaczyć. Nie przeszkadzało mu, że każdy z aresztowanych miał za sobą znaną czytelnikowi i określoną przeszłość oraz utwory, a niejeden z nich także więzienia za komunizm. Któż by takie drobiazgi brał pod uwagę? Przedstawiał ich więc krótko, stylem policyjnego donosu: o Władysławie Broniewskim, że reakcjonista i piłsudczyk, który w warszawskich kawiarniach pijał z pułkownikami. O Aleksandrze Wacie, że „trockistowska” kanalia. O Tadeuszu Peiperze (twórcy poetyckiej awangardy), że rzecznik zdegenerowanej poezji dla burżujów. O chłopskim poecie Wojciechu Skuzie, że chuligan spod znaku Witosa i pijak. Tylko że pijak, o Juliuszu Balickim. Słowem — elaborat w typie znanej dzisiaj już bardzo powszechnie metody stalinowskiej, która każdej ofierze doczepiała z miejsca „straszliwą” przeszłość. Tyle jedynie, że tym razem — na intencję czytelników, którzy nie mieli jeszcze ani czasu ani okazji poznać owej metody, a tym mniej — przyzwyczaić się do niej i traktować ją jako proceder już uświęcony.



Jakoś nazajutrz po ukazaniu się w „Czerwonym Sztanda-

rze” wspomnianego wyżej pamfletu, odwiedziło mnie po południu dwóch kolegów ze Związku Pisarzy: Bolesław Piach i Jerzy Putrament. Obydwaj zdeklarowani komuniści, lecz obaj osobiście ze mną zaprzyjaźnieni. Ponieważ obaj, chociaż każdy na inny sposób, zachowali w prywatnych stosunkach dużą lojalność, nigdy — w rozmowach z nimi — nie tałem zanadto moich przekonań. Na domiar z Jerzym Putramentem widziałem się już był kilka godzin przedtem, tzn. tego samego dnia, wczesnym ranem, i to również w związku z aferą świeżych aresztowań. Tłumaczył mi wtedy, mocno zdenerwowany, że „oni” zamierzają niewątpliwie zlikwidować całą polską sekcję i że dlatego trzeba *nawiewać*.

Nie podzielałem tej diagnozy:

— Wygląda raczej na to, powiedziałem mu, że w tej chwili biorą się ryczałem tylko do komunistów i do bliskich komunizmowi. Wobec tego ty powinienes może w istocie „nawiać”, przynajmniej do czasu wyjaśnienia się sytuacji. Ja mogę chyba jeszcze poczekać.

Okazało się, że teraz, po południu, wymienieni dwaj koledzy mieli za zadanie „zainicjować” i zebrać podpisy pod deklarację potępiającą ofiary aresztowania.

Zdumiony, że zwracają się z tym także do mnie, zaczynam zrazu mówić o jaskrawym kłamstwie całego oskarżenia. Obaj reagują na to w sposób dosyć dla mnie (w tym pierwszym okresie!) nieoczekiwany. Żaden z nich nie usiłuje mnie przekonać o wiarygodności zarzutów i żaden nawet nie myśli udawać jakoby był inicjatorem lub współinicjatorem potępiającej deklaracji. Przeciwnie: obaj mają miny pogrzebowe. Putrament, który z rana mówił o „nawianiu”, teraz, na moje tłumaczenia, odpowiada gestem irytacji, jak odpowiada się komuś, kto nie zdaje sobie sprawy gdzie, kiedy i dzięki czemu jeszcze żyje. Piach (do wojny — uczestnik warszawskiej grupy literackiej „Przedmieście” i człowiek niepozbawiony poczucia humoru) mówi mi melancholijnie, z uśmiechem masochisty:

— Taki jest już tutaj *façon d'être. Couleur locale*. Po prostu: formalność bez znaczenia.

Patrzę na niego i uświadamiam sobie jego sytuację: Choć żonaty już od kilku lat, tutaj dopiero, na uchodźstwie we Lwowie, uwierzył, że będzie mógł utrzymać rodzinę; żona jego jest w ciąży i czeka z dnia na dzień rozwiązania.

Nie trzeba dużej przenikliwości, by odgadnąć, że między ranną moją rozmową z Putramentem i ich obecnym zadaniem, obydwoj zostali wezwani *dokąd trzeba*. Jeżeli zwrócili się o podpis również do mnie, czynią to nie przez żadną złośliwość, ale

przeciwnie: z czystej życzliwości dla mnie. Sądząc miarami *ich* poinformowania, podpis taki jest w danym momencie jedyną deską ratunku.

Po moim oświadczeniu, że nie ma mowy, bym podpisał rzeczoną deklarację, obaj mają miny przygnębione. Nie chodzi przy tym wcale o ten jeden podpis, i to tak mało znaczący: obejść się łatwo bez niego. Smutek ich wywołany jest szczerym, przyjacielskim współczuciem dla mnie: Jakby widzieli mnie już pod konwojem.

Widać opornych było jeszcze zbyt dużo. Na zwołanym do-
raźnie zebraniu, nie kto inny, ale Wanda Wasilewska wystąpiła przeciw i storpedowała do reszty wierno-poddającą „inicjatywę”. W swoim przemówieniu uczepiła się podobno (i chyba nie bez kozery!) motywu „pijaństwa”: — „Dałabym za nie, powiedziała, kilka kijów każdemu z nich. Lecz oskarżać ich z tego powodu o reakcyjność, o zdradę... Nie przesadzajmy!”

Gdy powtórzono mi jej wystąpienie, zaopatrzyłem je mimo woli tym samym: „Nie przesadzajmy!” Od czasu gdy została sowieckim dygnitarzem, Wasilewska może i rzeczywiście nie piła. Nie wiem. Ale że do wojny potrafiła nie wylewać za kołnierz, mogę uczciwie zaświadczyć. I o tym także, że miała mocną głowę. Jej interwencja była za to dowodem, że czasem przypomina sobie jeszcze dawną zadzierzystość. Takich chwilowych nawiedzeń cywilnej odwagi będzie miała więcej. Szkoda, że tylko w *entre-acte*’ach.

Niewiele dni po opisanym wypadku, Putrament powiedział mi:

— Radzę ci zapisać się dobrowolnie na wyjazd do którejś z dalekich Republik w Azji. Ja, na twoim miejscu, wyjechałbym do Taszkientu.

— Do Taszkientu? Cóż tam mam do szukania?

— W Związku Sowieckim zawód pisarza jest bardzo ceniony. Zwłaszcza w krajach młodych, pole działania jest olbrzymie. Przy tym, zważywszy organizację tłumaczeń, kwestia języka nie stanowi przeszkody. Natomiast tutaj...

Zawahał się na chwilę, jak gdyby szukał sposobu w jaki, nie zdradzając powierzonej mu tajemnicy, uświadomić mi powagę sytuacji. Widać, przyjaźń dla mnie i chęć zaoszczędzenia mi czarnego losu zwyciężyły:

— Natomiast tutaj, zakończył powoli, akcentując każde słowo, będziesz zawsze niepożądanym cudzoziemcem.

Dialektyka, według której obywatel polski stawiał się „niepożądanym cudzoziemcem” we Lwowie, a czułby się „u siebie” aż w Taszkencie, była — trzeba przyznać — osobliwa. Po tym

co zaszło, nie wymagała jednak komentarzy. Nie umiałem natomiast zaoszczędzić mu innego pytania, chociaż w gruncie i ono było już tylko retoryczne:

— A ty? Ty nie będziesz tutaj „niepożądanym cudzoziemcem?”.

— Ze mną osobiście, to inna sprawa, odpowiedział mi, akcentując również to zdanie i wyczekując dalszej reakcji.

Moje milczenie przekonało go, że zrozumiałem: Dzięki „hartowi”, jaki wykazał po aresztowaniu pisarzy, awansował — widać — *za kulisami* — do roli „wtajemniczonego”. Jako taki wiedział już nie o szczegółach, ale w każdym razie o głównych wytycznych odnośnie zmian projektowanych na tutejszym terenie. Równocześnie, i to z tego samego tytułu, posiadał jednak świadomość, że jemu one nie grożą. Późniejsza jego kariera miała zresztą potwierdzić ową wstępną nominację.

W tej nagłej metamorfozie i w tym nagłym „przekroczeniu progu”, nie było żadnego zaprzędania się, zdrady albo innego rodzaju kapitulacji. Psychologicznie rzecz biorąc, było to raczej — jak sądzę — *przetłamanie* się w kierunku *pijaństwa trzeźwości*: zimna euforia zrozumienia „wielkiej historii”, gotowość poświęcenia — w jej imię — reszty „mieszczańskich przesądów” oraz gotowość uznania, *in blanco*, wszystkich ofiar jakich ona wymaga.

To tak „hartowała się stal”.



Aresztowani pisarze² rozpoczęli wędrówkę po więzieniach: ze Lwowa do Kijowa, z Kijowa na Łubiankę w Moskwie; później zostali zesłani do okrutnych obozów w Azji. Na zesłaniu zmarł Wojciech Skuza i Juliusz Balicki. Inni odzyskali wolność po układzie Majski — Sikorski.

Władysław Broniewski wyjechał, jako oficer, z armią gen. Andersa na Bliski Wschód. I znowu jemu właśnie dane było wyśpiewać, tym razem bojową odyseję polskiego żołnierza.

Po wojnie Broniewski wrócił do Polski³. Uwieńczony był tam już całym szeregiem literackich nagród. Jego wiersze ukazywały się w wielu wydaniach.



2. Z wyjątkiem Anatola Sterna, którego zwolniono po kilku miesiącach więzienia go we Lwowie.

2. Wrócili również inni aresztowani; ci co przeżyli.

Słowo o Kolskim, autorze oszczerczego artykułu w „Czerwonym Sztandarze”.

Nie znałem go osobiście i, podobnie jak większość kolegów, sądziłem go wyłącznie na podstawie owego pamfletu. Szereg lat po wojnie, wróciłem do tego tematu w przyjacielskiej rozmowie z jedną z ofiar opisaney afery, poetą, mającym za sobą lata sowieckich więzień i zesłania, obsypanym wtedy przez Kolskiego podłymi epitetami. Teraz, ku memu zdziwieniu, starał się on go raczej usprawiedliwić! Wynikało z jego słów, że Kolski był szczerym entuzjastą Broniewskiego, że bardzo cenił i że żywił gorącą przyjaźń dla Aleksandra Wata. Jeśli abstrahować od wspomnianego pamfletu, był podobno człowiekiem uczciwym.

— Może więc *właśnie dlatego* akurat jemu kazano ten artykuł napisać czy podpisać!

A oto okoliczności, w jakich zginął: Po inwazji hitlerowskiej do Lwowa, Kolski znalazł się w Rosji. Wstąpił do polskiej armii. Zrzucony — jako spadochroniarz — na teren Polski, wylądował (wskutek tragicznej pomyłki pilota w rozeznaniu?) wprost na terenie hitlerowskiego obozu koncentracyjnego w Majdanku.

Pisarze — postowie do Najwyższej Rady Z.S.S.R.

Krótko przed opisanym aresztowaniem pisarzy odbyły się, na świeżo okupowanych terenach, tzw. wybory do Zgromadzenia Ludowego Zachodniej Ukrainy.

Ogłoszono je z wielkim hukiem, ale także i tę zapowiedź ludność przyjęła z mieszaniną niechęci, odrętwienia i fatalizmu. Nikt nie miał ani przez chwilę złudzenia, żeby stanowisko wyborców mogło zaważyć na rezultatach „wolnych i nieskrępowanych wyborów”.

Jedni przewidywali ucho igielne w formie kolegów, które nie dopuszczą żadnego kandydata z „podejrzaną” przeszłością. Inni wyobrażali sobie kilka list narodowościowych lub zawodowych, lecz złożonych nieodmiennie z prawomyślnych komunistów.

Praktyka okazała się bez porównania prostsza. Lista była tylko jedna, za to nazywała się „Błokiem”, mianowicie „Błokiem bolszewików z bezpartyjnymi”, a nawet ściślej i wyraźniej bo „Błokiem bolszewików i bezpartyjnych... komunistów”. Nie mogąc dopatrzeć się różnicy między bolszewikami i komunistami „bezpartyjnymi”, niektórzy wzięli zrazu ów tytuł za wynik sabotażu, czyli za znakomity kawał, na jaki zdobył się prawdopodob-

nie jakiś drukarz. W rezultacie spodziewano się, że lada chwila wybiegnie na miasto specjalna ekipa z misją zrywania, darcia lub zaklejania złośliwych afiszów..

Dynamika propagandy za tą *jedyną* listą przeszła wszystkie oczekiwania. Afisze, ulotki i artykuły, zebrania w szkołach, fabrykach, biurach i we wszystkich innych zakładach, mityngi dzielnicowe i orkiestry, mobilizacja „mężów zaufania” i dozorców, nawet chwilowy napływ towarów we wszystkich państwowych sklepach.

Ludzie „historycznie spóźnieni” (a taki był ogół miejscowego społeczeństwa!) najpierw znowu przestali rozumieć cokolwiek, potem tę próżnię w rozumieniu zapełniali dowcipami: — „Kiedy się słucha mowy takiego jednego z drugim kandydata, człowiek może pomyśleć, że on naprawdę boi się jeszcze rezultatu!” Albo: — „Po co oni tak agituja, skoro przecież wszystko z góry wiadomo?”.

Odpowiedź na to dał mi wreszcie, jak zwykle, mój dozorca: — „To nie jest żadna komedia, powiedział mi w tajemnicy. To są obrzędy. W procesji na Boże Ciało także z góry wiadomo, jak się ona odbędzie i zakończy, ale procesja jest procesją, nabożeństwo nabożeństwem”.

Tytułem propagandy przeciw dawnemu, a na chwałę nowego ustroju, pisma zamieściły artykuły o fałszowaniu wyborów przed wojną, w Polsce sanacyjnej. Opis ten był dość prawdziwy. Mój znajomy, b. członek P.P.S., robotnik, którego „sanacyjne” wybory kosztowały kiedyś kilka miesięcy więzienia, zadawał mi jednak retoryczne pytanie: „Jakim prawem oni mogą się na to złościć?”. I konkludował, że „człowiek, mówię wam, żyje tu w istnym domu wariatów”.

Wśród ludzi desygnowanych na przyszłych „ustawodawców”, figurowała pewna ilość pisarzy, w tym dwóch polskich: Wanda Wasilewska i Adam Polewka. Obydwoje wygłosili z tej okazji całą furę przemówień. Na tle hucznej nudy i ospałego „entuzjazmu”, które cechowały tłumne (z musu) zebrania przedwyborcze, na tle męczeńsko nieodmiennego żargonu ujednoliconych oratorów, byli oni chyba jednymi z bardzo niewielu mówców, umiejących nawiązać niejaki kontakt z ponuro zrezygnowaną masą ich „wyborców”. Jakby nie było, znali psychikę tych słuchaczy, posiadali wiecowe doświadczenie, a przede wszystkim ludzki, zwykły i rozumiały słownik. Natrętne i powszechnie znienawidzone slogany o „pańskiej Polsce” usiłowali wskutek tego zastąpić przykładami czerpanymi z żywego życia. Czy bardzo oświecili tym swoich słuchaczy?

Oto przykład, który Wasilewska opowiadała na gorąco, z rezygnacją: po przemówieniu, które wygłosiła na wielkim zgromadzeniu dla kobiet, słuchaczki otoczyły ją zwartym kołem. Jedna z nich ścisła ze wzruszeniem dłoń Wasilewskiej i mówi:

— Paniusia bardzo nam się podoba i my wszystkie będziemy na paniusię głosować. O jedno tylko paniusię bardzo błagamy: niech nas paniusia broni przed tymi bolszewikami!

Dużo boleśniejszą drogę odbył Adam Polewka. Dla nikogo z nas, jego bliskich przyjaciół, nie było tajemnicą, że wrześniejąca tragedię Polski przeżywa on bardzo głęboko. Mimo konsekwentnie lewicowej przeszłości, nie rwał się obecnie ani do posad, ani do zaszczytów. W jaki zatem sposób znalazł się raptem na liście kandydatów aż do „Najwyższej Rady” Z.S.S.R.?

Pewnego dnia, i to bez mała o świcie, zjawiono się w jego mieszkaniu dwóch czy trzech umundurowanych „sowietów”. Adam był przekonany, że są z policji i że przyszli go aresztować. Goście rozłożyli papiery i zaczęli rygorystyczne przesłuchanie. Cytowali mu po kolei jego imię, nazwisko, stan cywilny. Po każdym pytaniu (a raczej twierdzeniu) żądali groźnie odpowiedzi. Ponieważ dane były ścisłe, odpowiedzi podsądnego redukowały się nieodmiennie do krótkich i przerażonych potwierdzeń:

— *Pisatiel?*

— Tak.

— Wasz ojciec był murarz?

— Tak.

Ukończywszy przesłuchanie, domniemany sędzia śledczy wstaje, żegna się z Polewką i, podając mu rękę, mówi z satysfakcją:

— Tak wy będziecie deputat do *Wierchownej Rady*.

Chociaż wszystkie dane z przeszłości Polewki pasowały go w istocie na literata lewicy, głównym jego atutem było prawdopodobnie to jego przykładne soc-pochodzenie, ten ojciec murarz. W przeciwieństwie do Wasilewskiej, córki wybitnego działacza niepodległościowego i historyka oraz chrześniaczki samego marszałka Piłsudskiego. Sprawa z tym soc-pochodzeniem była bowiem dosyć złożona. Cenione było albo bardzo proletariackie *selon l'image d'Epinal*, albo przeciwnie — świadczące (w podobnie obrazowy sposób) o zerwaniu ze swoją warstwą a równocześnie mogące imponować łykom. Symbolem burżuazyjnego pochodzenia bywał za to syn biednego rzemieślnika, który zatrudniał czeladnika, czyli syn „wyzyskiwacza”.

Ubrany znienacka w tę godność, Adam nie zmienił ani stylu życia, ani nastroju. Unikał odświętności, przesuwiał się dalej jak

cień: zamyślony, zaniedbany, ponury. Nie bywałem na jego zebraniach „przedwyborczych”, ale pamiętam jego przemówienie w Klubie Pisarzy. Po okólnym wstępie, w którym uczynił zadość wymogom panującego ustroju oraz „marksizmu-leninizmu-stalinizmu”, przeszedł do dramatu, jaki wstrząsa, jaki winien, jaki musi wstrząsać każdym pisarzem polskim.

Logicznie biorąc, wszystko co mówił mieściło się w ramach sowieckiej prawomyślności. Było za to najoczywściej sprzeczne z panującą tutaj praktyką i z panującym tutaj stylem. Polewka, jakim go znałem, sam może wierzył, że jest w zgodzie ze wszystkimi zasadami ustroju i że w ramach najgruntowniej marksistowsko-leninowsko-stalinowskiego, więc według niego najgruntowniej dopuszczalnego pojmowania dziejów, zwraca tylko uwagę tym, którzy — upici łatwością — coś zapomnieli. Co do mnie, może zresztą tylko dlatego, że się nigdy w „leninizmie-stalinizmie” nie nurzałem, inaczej mówiąc — dzięki rodzajowi mego umysłowego ograniczenia, nie miałem wątpliwości, że ktoś to jego przemówienie już dokładnie zapisał, że doniósł o nim „gdzie należy” i że wcześniej lub później Polewce przyjdzie za nie odpokutować.

Szczęśliwie nie doszło do tego. Adam pojechał do Moskwy na kilkudniową sesję „Najwyższej Rady”, która bardzo jednomyślnie i jednogłośnie — jak wszystko — „uchwaliła przyłączenie zachodniej Ukrainy do macierzy”. Krótco po jego powrocie do Lwowa, nastąpiły tutaj opisane już aresztowania polskich literatów. Polewki, deputata do Najwyższej Rady, nie dotknęły, ale on na swoją kolej wołał nie czekać. Z „Zachodniej Ukrainy przyłączonej do macierzy” postanowił się ulotnić. Przekradł się przez nową granicę i uciekł pod okupację niemiecką, do rodzinnego Krakowa, do przebywającej tam żony z dziećmi.

W Krakowie zgłosił się do jednego z naszych wspólnych przyjaciół, działacza P.P.S., czynnego w konspiracji. W dramatycznej rozmowie powierzył mu rezultaty swoich doświadczeń. Na żądanie wspomnianego przyjaciela, spisał nawet odpowiedni protokół, dodając w nim, z własnej i nieprzymuszonej woli, że w wolnej Polsce sam zażąda sądu, przed którym zechce odpowiadać za swoją lwowską działalność. Protokół zdeponowano w podziemnych archiwach P.P.S.

Dalsze lata hitlerowskiej okupacji przeżył, zakamuflowany, na wsi. Po wojnie „demokracja ludowa” przeszła dyskretnie do porządku nad jego lwowskim epizodem. Nasz wspólny przyjaciel, przed którym składał wzmiankowaną wyżej deklarację, przeszedł tymczasem przez hitlerowskie więzienia i Oświęcim. Wróciwszy z deportacji, wybrał drogę współpracy z nowym systemem,

awansował w nim na bardzo wysoko postawionego dygnitarza. Nie uważał za potrzebne, by taki protokół ujawnić.

Polewka został znowu posłem, tym razem z Krakowa, do sejmu w Warszawie, ale również tym razem z ramienia partii komunistycznej (P.P.R.). Obłuda? Dwulicowość? Nie sądzę. Podobnie jak u wielu innych, monumentalne zbrodnie okupacji hitlerowskiej zdawały się i u niego redukować zasadniczy problem do wyboru między dwoma systemami: komunistycznym i faszystowskim. Zgodnie z poglądami, które zawsze wyznawał, wybrał komunistyczny. Dokonane przestępstwa kładł na karb pomyłek, nadużyć i czasowych deformacji. Z tego punktu widzenia, system „demokracji ludowej” zdawał się, w tych miodowych miesiącach, wróżyć ewolucję.

W roku 1958 doszła nas z kraju wiadomość o jego śmierci.

Sekcje pracy i wielkie igrzyska

Pierwszym przewodniczącym Związku Pisarzy, o którym mowa, był przysłany z Kijowa ukraiński poeta i orderonosiec⁴, z szlachetnie szpakowatą fryzurą, Petro Pancz. Gesty miał powolne i dystygnowane, obliczone na arystokratyzm: celebrujące. Ważyk żartował, że — zwracając się do niego — z trudem tylko powstrzymuje się od zwrotu: *Wasze błagorodie*. Za to w gabinecie Pancza aż mieniło się od wszelkiego rodzaju złocien. Prawdopodobnie uważał je za szczyt dobrego smaku.

Później zluźował Pancza, przysłany z Kijowa, ukraiński prozaik i „orderonosiec” Desniak. Wielki i barczysty, także i on, chociaż na inny sposób, starał się być powolny w ruchach, ostrożny i uroczysty w tym co mówił. Również i on przede wszystkim *celebrował*.

Jakie było jednak istotne zadanie tych prezesów? Czy instrukcje otrzymywali oni tylko z kijowskiego Związku Literatów, czy też od władz zgoła innych?

Jeden z kolegów machnął raz i puścił w obieg następującą fraszkę:

*Niechaj każdy dzisiaj się dowie,
że prezesa Desniaka opiewać mam chęć.*

4. To był tytuł oficjalny, dodawany do nazwiska, jak tytuł „doktora” czy „mecenasa”. Od czasu masowych wywózek, od których większość kolegów uchroniła się dzięki w ostatniej chwili uzyskanym paszportom, niejeden parafrazował ów tytuł, przedstawiając się z humorem: *Jestem pisarz paszporto-nośca*.

*To największy pisarz we Lwowie:
metr osiemdziesiąt pięć.*

Desniak bardzo długo i bardzo ciężko zastanawiał się, czy winien udać, że przyjmuje tę fraszkę jako żart, czy obrazić się i zarządzić sankcję. O humorze mówiło się bowiem często, lecz poczucie humoru było rzadkie. Może dlatego, że nie szło ono w parze z pozą ustawicznego *celebrowania*. Moda była na dREWNIANY patetyzm.

Związek, i to było prawdziwą nowością, skupiał pisarzy trzech języków: polskich, ukraińskich i żydowskich. Dziejowy moment oraz związane z nim gorycze i zawiści, złowieszcze pomruki narodowościowej polityki władz oraz zakulisowe manewry, to wszystko podtrzymywało i karmiło wzajemną nieufność. Sam fakt skupienia pod jednym dachem mógłby jednak w istocie działać pobudzająco i — w sumie — każdą z tych trzech literatur tylko wzbogacić!

Inną nowością była organizacja tłumaczeń. To prawda, że także w tym wypadku działały zamówienia nie tyle społeczne co oficjalne. — „Ani się nie spostrzeżesz, ani się nie poznasz, a już jesteś przetłumaczony”, powiedziała mi raz żartem Ginczanka, robiąc aluzję do gradu przekładów, robionych z okazji obchodzonego uroczystie siedemdziesięciolecia Paryskiej Komuny. Co nie przeszkadza, że bezpośrednie kontakty autorów z tłumaczami były zjawiskiem pozytywnym.

To samo można powiedzieć o posiedzeniach pracy, ujętych w trzy grupy, mianowicie prozaików, poetów i tłumaczy. Autorzy odczytywali swoje utwory „na pniu”, po czym następowała dyskusja. Saperzy i pacykarze „socjalistycznego realizmu” potrafili i tutaj obrócić analizę w *banalizę*. Kilka zabawnych przykładów takiego wymądrzania się znajdzie się w dalszym rozdziale. Było jednak również dużo uwag rzeczowych, celnych i mogących służyć autorom, zwłaszcza z dziedziny *métier*, więc stylu, konstrukcji, zażeń, obrazów itd. Toteż sędzę, że podobne ułatwienie w *konsultowaniu* kolegów przed oddaniem utworu do druku, może posiadać dużą wagę. Iluż pisarzy szuka takiej porady instynktownie, z własnej inicjatywy? W praktyce skazani bywają na przed-czytelników przypadkowych, albo na widzi-mi-się redaktora, wydawcy, lub *je go re-writer’ów*.



Wielkimi igrzyskami bywało jednak przyjmowanie członków do Związku Zawodowego, czyli do tak zwanej, w skrócie —

z ukraińska — *Prof-spiłki*. Familiarnie nazywano te wieczory „sekcją kajakową”, jako że ludzie się tam... kajali.

Procedura była przy tym identyczna z tą, jaka obowiązywała we wszystkich sowieckich syndykatach: Kandydat składał wcześniej na piśmie swój życiorys, inaczej mówiąc ową sławetną „awto-biografię”. Przewodniczący zebrania odczytywał ją wszystkim zgromadzonym, po czym każdy z obecnych, i to nie tylko członek organizacji, ale również każdy obecny na zebraniu, miał prawo stawiać kandydatowi pytania i zarzuty. Wynikały z tego dramatyczne i burzliwe widowiska, w których słuchaczom i interpelantom chodziło często o igraszkę, a kandydatowi o życie.

„Partyjnicy” wyliczali ich staż i zasługi w komunistycznej konspiracji przed wojną. Często, zamiast uznania, prowokowali tym zawzięte ataki. Ogromna większość uczestników przyjmowała w takich wypadkach pozycję biernych widzów.

Ile przy tym zazębień i pomieszkań! Niedawno jeszcze pełen poświęcenia konspirator, mający za sobą wyroki i więzienia, ale kiepski literat, nie umiał często pogodzić się z myślą, że dobry pisarz ale kiepski aktywista cieszy się tutaj większą popularnością niż on, tak zasłużony (w tajemnicy). Przeniesienie rozrachunku na teren pracy partyjnej dawało mu bodaj chwilowe wyrównanie.

— Pamiętacie towarzyszu, spotkanie wyznaczone w Warszawie, na rogu ulic... Dlaczego nie stawiliście się wtedy?

Kandydat blednie, zaczyna się tłumaczyć. Każda jego odpowiedź potęguje jednak obstrzał. Po upływie kwadransa, rzecz staje się groźna.

Innym razem: — Towarzyszu Szudrich, oskarżam was o trockizm! (To trąciło co najmniej zesłaniem!).

Poeta polski, Lucjan Szenwald, nawet w prywatnych rozmowach manifestował swój komunistyczny entuzjazm. Gdy przyszła kolej przyjmowania go do „Prof-spiłki”, jego towarzysze wzięli go jednak w obroty. Przyparty do murów pokajania, Szenwald musiał w końcu (i to tytułem okoliczności dla siebie łagodzącej) przyznać, że w odnośnych latach odbył nawet kurację w domu wariatów, czyli że nie był całkowicie za siebie odpowiedzialny.

Nie zabrakło ilustracji na osławioną już dzisiaj penetrację rewolucyjnej prawomyślności do życia małżeńskiego. Zaprodukowali ten „numer” — mąż i żona Ch...scy. Obydwoje komuniści sprzed wojny i obydwójce piszący. Teraz, gdy Ch...skiego przyjmowano do „prof-spiłki”, jego własna małżonka wywlekła mu minione odchylenia od „generalnej linii”: — „Przypomina sobie towarzysz Ch...ski (!), co mi powiedział...”.

Zmusiła go, żeby to co jej wtedy powiedział, teraz sobie publicznie przypomniał i potępił. Nas ciekawiło pytanie: gdzie i w jakich okolicznościach on jej to powiedział? W czasie małżeńskiej kolacji? A może w łóżku? Kochającej żonie nie chodziło zresztą o pogrążenie małżonka. Pragnęła tylko, jak twierdziła, „pomóc mu, by uświadomił sobie i przezwyciężył błąd”. Czy nie mogła w tym kierunku pomóc mu jednak w domu?

Dla nie-komunistów (jeżeli przed wojną nie byli politycznymi działaczami), matadorzy związkowi miewali dużo więcej wyrozumienia. I tutaj nie brakło groźnych niespodzianek, lecz rozpętywali je głównie podrzędni zawistnicy. Między wielu innymi, ich zaczajonego żądła doznał na sobie Henryk Zbierzchowski, autor zawrotnej liczby wierszy o łatwiutkim liryzmie, publikowanych od kilku dziesiątków lat nie tylko w tomikach ale również i głównie w licznych gazetach, jako typowe jętki-jednodniówki na „Dzień dobry”. Jeden z kolegów mówił mi raz z rozrzewnieniem, że — ilekroć z nim rozmawia — myśli nie o treści tych jego wierszy (które były przecież na to, by je od razu po przeczytaniu zapomnieć!) ale o sobie samym, bo, będąc jeszcze dzieckiem, widywał już ciągle nazwisko Zbierzchowskiego w dziennikach. Gdy przewodniczący skończył odczytywanie autobiografii kandydata, publiczność była przekonana, że „numer” przejdzie bez żadnego oporu i dyskusji. Lecz oto prosi o głos nie pamiętam już który zawistnik. „Z dowodami rzeczowymi w ręku” odczytuje wiersz Zbierzchowskiego przeciw bolszewikom, z lat dwudziestych. Potem wiersz na chwałę jakichś polskich państwowych osobistości, z okazji — zdaje się — ich imienin. — „Jakże więc było z tą jego apolitycznością?”.

Ponieważ audytorium składa się z literatów, wszyscy rozumieją, że w powodzi innych jętek jednodniówek tego samego autora, o treści najwyłącznie osobistej, inkryminowane wierszyki (których nikt już zresztą nie pamiętał) mogą świadczyć raczej o wszystkim innym niż o politycznych zainteresowaniach kandydata. Cóż dopiero, jeśli zważyć ich datę: lata dwudzieste, czyli tuż po wojnie polsko-bolszewickiej. Nawet członkowie prezydium są więc zniecierpliwieni wystąpieniem gorliwca. Ale „dowody są, czy ich nie ma?”. Na domiar, akurat wyznawcy dialektyki historycznej mają w takich wypadkach najmniej odwagi plasować tekst w historycznej chwili i warunkach.

„Zasady gry” miały logikę dość osobliwą. Wielkodusznie przechodzono do porządku nad „dawnymi” przekonaniem kandydata, ale czepiano się z zajądlnością każdej jego dawnej wzmianki przeciw cemukolwiek co sowieckie. W rezultacie nikomu nie wypomniano ani sympatii faszystowskich ani nawet drukowanych

ukłonów na cześć hitleryzmu, za to byle jaki dawny artykuł przeciw procesom moskiewskim był dowodem reakcyjnego przestępstwa. Skoro jednak odnośny autor komunistą nigdy nie był i wyraźnie to podkreśla, to jakże inaczej miał o tych procesach napisać? „Grę” komplikowały również tendencje, o których się głośno nie mówiło: były anty-komunista, zwłaszcza o znanym nazwisku, rewoltował gorliwców, lecz jego nazwisko było bardziej niż innych pożądane do dekorowania przyszłych deklaracji, adresów pochwalnych czy potępień. W sumie wszystko zależało od chwilowego ostrowidztwa lub od świadomego niedowidztwa członków komitetu i od interwencji zawistników.

Poezie żydowskiemu B. Sznaperowi, któryś z członków żydowskiej grupy zarzucił, że jego liryki są pesymistyczne. Nie znając języka żydowskiego, ani komitet (z wyjątkiem zasiadającego w nim przedstawiciela sekcji żydowskiej), ani audytorium (z wyjątkiem garstki pisarzy żydowskich) nigdy inkryminowanych wierszy nie czytali. Mimo to zarzut pesymizmu bardzo poruszył ważną szyszkę, Ukraińca. Zwłaszcza gdy ustalił, że Sznaper był synem biednego krawca, czyli, że „soc(jalne)-pochodzenie” miał nienaganne: — „Skąd więc do syna proletariusza bierze się pesymizm?”. Sznaper nie umiał się jasno usprawiedliwić. Powtarzał tylko, że jest jakoś taki smutny. Na pytanie — dlaczego, bąkał — zdezorientowany — że z natury, że z usposobienia. Tak w kółko. I w istocie: zawsze markotny, teraz, po tym wieczorze, Sznaper sposępniał jeszcze gwałtowniej. Za to Zuzanna Ginczanka, robiąc w rozmowach aluzję do owej „dyskusji”, przybierała dowcipną minę i pytała: — Czego oni właściwie chcieli od tego smutnego Żyda?

Zawistnicy grozili zwłaszcza lwowianom, czyli — miejscowym. Grały teraz od lat narastające urazy, a miano tu do dyspozycji wszystko, co kto kiedyś wydrukował.

Józef Nacht, wtedy jeden z najmłodszych w Związku, miał za sobą dwa tomiki lirycznych poezji, ale do wojny pisywał również w jakimś miejscowym tygodniczku, kroniki i wiersze satyryczne. W Klubie Pisarzy lubiono go za jego zabawne fraszki o kolegach, za to że grał w piłkę i za to że robił głupstwa. Uprzedzony, iż osobiści jego wrogowie planują na niego „atak z dowodami w ręku”, Nacht postanowił, zdaje się, odegrać mały skecz. Zawsze programowo niepoważny, tym razem (gdy jako kandydat podniósł się z miejsca) przybrał minę najgruntowniej ponurą i głosem tak grobowym jak tylko potrafił, oświadczył:

— Ja jestem zrozpaczony.

Znając Nachta z jego wyskoków, ale na wesoło, Hawryluk, który przewodniczył zebraniu, uśmiechnął się ze zdziwieniem:

— Co też mówicie?!

Jednak Nacht, z bolejącym wyrazem twarzy i głosem równie jak przedtem pogrzebowym, powtarza:

— Tak, zrozpaczony!

Hawryluk znowu przyjaźnie podnosi kandydata na duchu i pyta łagodnie o przyczynę tej nagłej i niespodziewanej rozpacz. Na co Nacht:

— Bo wszyscy inni byli zawsze jak należy, a tylko ja jeden pisałem przeciw towarzyszowi Stalinowi.

Auto-oskarżenie było niby bardzo groźne, lecz cała reszta zdania zawierała może mimo woli wisielcze szyderstwo. W sumie znaczyło to: wszyscy niemal pisali rzeczy „karygodne”, lecz tylko ja jeden z góry się przyznaję, ponieważ widzę na sali moich przeciwników.

Hawryluk, z przyjaznym uśmiechem, postawił sprawę na płaszczyźnie oficjalnej: wybacza się kandydatowi dawne grzechy, skoro szczerze je wyznał.

Rozczarowani wrogowie nie chcieli zrazu dać za wygraną. Któryś z nich domagał się, by kandydat głośno i dosłownie powtórzył to co „przeciw towarzyszowi Stalinowi pisał”. Nacht uparł się, że tego nie zrobi. Wiedział, że co innego przyznać się ryczałtem, a co innego znowuż ożywiać akurat tutaj owe satyry w całej okazałości ich dowcipu. Tak samo rozstrzygnął dobrodusznie młody przewodniczący zebrania. Nacht „przeszedł”.

Wspominam tutaj Hawryluka z dużą sympatią. Ten miewsowy komunista ukraiński i były więzień obozu w Berezie Kartuskiej, miał chyba więcej niż inni psychicznych przyczyn do kompleksu „odegrania się”. Ale właśnie u niego nie zauważyłem tej brzydkiej skłonności. Przyjazny, z chłopską, przyjemnie pucółowatą i przyjemnie uśmiechniętą twarzą, zachował prostotę i naturalność, a razem z nimi inteligentne rozeznanie. Nie wyglądało na to, by „woda sodowa uderzyła mu do głowy”. Pewnego wieczoru przewodniczył zebraniu, na którym miano dyskutować przyjęcie do związku — Boy’a Żeleńskiego. Hawryluk trzymał w ręku życiorys autora „Brązowników” z bibliografią dziesiątków jego utworów oraz setek tomów jego tłumaczeń z literatury francuskiej. W momencie gdy prosił „kandydata” o powstanie, sam podniósł się z miejsca i powiedział:

— W obecności pisarza, który stworzył więcej dzieł niż niejeden przeczytał, nie on, ale ja winienem powstać.

Sala spontanicznie odpowiedziała hucznymi oklaskami. Pod adresem Boy’a? Zapewne. Ale również dla Hawryluka: za to,

że tym jednym i tak bardzo w gruncie rzeczy zwyczajnym zdaniem umiał bodaj na chwilę przywrócić hierarchię rzeczy.

„Soc-realizm” i utwory

— „Pisarze są inżynierami dusz!”. Ponieważ odkrycia tego, z właściwą mu genialnością dokonał i z właściwą mu wspaniałością obwieścił „sam towarzysz Stalin”, slogan powyższy recytowano przy każdej okazji i we wszystkich kontekstach, na prawo, na lewo i na oślep.

Znajomy wesołek witał mnie jakiś czas formułką: — „Moje uszanowanie panu inżynierowi”. Potem dodawał: „Szkoda tylko, że teraz, gdy tak dobra w tym dusznym budownictwie koniunktura, pan upodobał sobie akurat bezrobocie”.

By ułatwić pisarzom poznawanie życia, ludzi, produkcyjnych procesów i bieżących przemian, Związek organizował zbiorowe eskapady literatów do fabryk i do kołchozów, do koszar Czerwonej Armii oraz do wielu innych instytucji.

Z jeszcze większą sprawnością organizowano dostęp utworów do czytelnika. Pisarze nie tylko drukowali swoje produkty, ale wygłaszali je także przed załogami robotników po fabrykach, przed chłopami w kołchozach, czy przed żołnierzami w ich świetlicach. Ponieważ każde przedsiębiorstwo i każdy zespół pracy posiadały swój komitet dla działalności kulturalnej i swój fundusz na cele oświatowe, wystąpienia te były z reguły i uczciwie płacone.

Kontaktowi z literackim konsumentem miały wreszcie służyć spotkania z różnymi kategoriami faktycznych i potencjalnych czytelników. Związek raz zapraszał ich do siebie, kiedy indziej wysyłał swoich członków na przyjęcia urządzone w tym celu przez grupy pracownicze.

Inicjatywy powyższe, a zwłaszcza szeroki ich zasięg, zasługiwałyby nie tylko na uznanie ale nawet na szczerzy entuzjazm, gdyby — wskutek wykrzywienia u podstaw — nie *musiały* one mijać się ze swoim celem.

Rozpoznania w „terenie” sumowały się do objaśnień dawanych z urzędu przez miejscowego „przedstawiciela”, ten recytował przygotowaną lekcję. Ponieważ tę samą lekcję znali już na pamięć wszyscy uczestnicy zespołu, wynik ankiety pokrywał się, aż do ostatniego frazesu, z komunikatem oficjalnym. Można go było co najwyżej „ubarwić” opisem miejsca pracy oraz jego załogi, wyreżyserowanych z tej okazji „na odświeżenie”. Do po-

dobnego „oddawania piłki” sprowadzały się również „wymiany poglądów” na temat samych utworów.

Co zaś dotyczy ich oddziaływania? Poeta Adam Ważyk, wówczas bojowy komunista, już w pierwszych tygodniach napisał ładny wiersz „Do robotnicy”, ogłosił go w miejscowej gazecie i recytował osobiście w wielu fabrykach. Utwór pisany w formie apostrofy, zbudowany był na motywie kontrastu między „faszystowską” przeszłością a bieżącym szczęściem. Tłumacząc na prozę: Jeszcze wczoraj, robotnico, byłeś wyzyskiwaną niewolnicą fabrykanta, a oto dziś jesteś współwłaścicielką fabryki. Jeszcze wczoraj drżałeś bez przerwy przed faszystowską policją, a oto dziś jesteś wolna, żyjesz w szczęściu i bezpieczeństwie.

Wiersz, powtarzam, był dobrze napisany. Jakże jednak miała na niego reagować robotnica, do której się zwracał? Robotnica właśnie teraz przykuta niewolniczo — jak nigdy przedtem — do swojej maszyny; robotnica zmuszona do nieludzkiego wysiłku, za płacę dosłownie głodową; robotnica, która (jak wszyscy) drżała przed najazdem teraźniejszej policji; robotnica, która — choćby zresztą tylko wskutek tego właśnie kontrastu — myślała z przesadą o „faszystowskim wczoraj” niby o utraconym raj?

Za każdym razem wiersz nagradzany był hucznymi oklaskami, ale tylko dlatego, ponieważ — w tym nowym ustroju — „wolna” robotnica lękała się nie oklaskiwać.



Warunkowana bieżącymi wypadkami, ta doraźna „akustyka” płała również grubsze niespodzianki. W okresie uroczystości mickiewiczowskich, żadna z rocznicowych imprez nie obešla się bez deklamacji wiersza „Do przyjaciół Moskali”. Jakże mogło być zresztą inaczej? Występując przeciw tyranom i caratowi, Mickiewicz deklaruje w nim swoją przyjaźń dla Rosjan w ogóle i braterską solidarność z rosyjskimi rewolucjonistami w szczególności. Ponieważ carat od dwudziestu lat z górą leżał już w gruzach a rosyjscy rewolucjoniści byli u władzy, rzeczony utwór został pasowany na rodzaj hymnu ku czci polsko-sowieckiej przyjaźni. Oklaski, którymi go zawsze nagradzano i nawet przerywano, były tym razem bardziej niż zwykle burzliwe i żywiołowe. Każde ze zdań poety brzmiało w istocie niby bezpośrednia apostrofa do dnia bieżącego. Czy jednak w kierunku przez rzeczników nowego ładu pożądanym?

*„...Ja, ilekroć marzę,
O mych przyjaciół śmierciach, wygnaniach, męczeństwach,*

I o was myślę”.

*„...Ta ręka, którą do mnie Bestużew wyciągnął,
(...) dziś w minach ryje, skuta obok polskiej dłoni”.*

*„Innych może dotknęła sroższa niebios kara;
Może kto z was (...) płatnym językiem triumf (cara) stawia,
I cieszy się ze swoich przyjaciół męczeństwa.
Może w ojczyźnie mojej moją krwią się krwawi...”*

...Mojej gorycz mowy, (...)

Niech żre i pali, nie was, lecz wasze okowy”.

Aż do akordu końcowego:

*„Kto z was podniesie skargę, dla mnie jego skarga
Będzie jak psa szczekanie, który tak się wdroży
Do cierpliwie i długo noszonej obroży,
Że w końcu gotów kasać rękę, co ją targa”.*

*I awansujcie tu, po tym wszystkim, Mickiewicza do godności
politruka! Nie nada!*

Wymowne były perypetie wniosku, z jakim — w pierwszych miesiącach nowego *régime’u* — wystąpili co bardziej przedsiębiorczy poeci — *partyjniacy*. Za czasów „pańskiej Polski” każdy z nich ogłosił był jeden czy nawet kilka zbiorów swoich wierszy, inspirowanych i nasyconych komunizmem programowym. Wydawało się im zatem rzeczą nie tylko słuszną ale samo przez się zrozumiałą, że teraz, gdy ustrój, o który walczyli, chociaż bez żadnego związku z tą ich walką, ale przecież nagle zatriumfował, rzeczne tomiki winny ukazać się na nowo, z należną im pompą, zarówno ku chwale zwycięskiego ustroju, jak ku chwale minionych w jego imieniu bojów. „*Nac-Men-Derż-Wydaw* (tj. Państwowe Wydawnictwo Mniejszości Narodowych) zaaprobował zrazu ten projekt *in blanco*. Po bliższej lekturze odnośnych tekstów rzecz przyjęła jednak obrót nieprzewidziany. O co poszło? Zważywszy, że ruch komunistyczny działał w Polsce w podziemiu, najczęstszym tematem owych poezji bywały przeżycia więzienne, nawoływanie do walki z przemocą, tyrady namiętne przeciw cenzurze, przeciw szpicłom i przeciw policji. Lecz oto, w nowych warunkach, wszystkie te wiersze nie tylko zachowały ale nawet jeszcze podwoiły aktualność. W rezultacie były także i teraz zdecydowanie „antypaństwowe” i, w dodatku, „antyrewolucyjne”.

By ratować projekt, jeden z zainteresowanych poetów tłumaczył, że przecież pod każdym z tych utworów można umieścić datę jego powstania i nawet datę jego pierwszego wydania. Dopiski takie winny — jego zdaniem — uprzedzić i przekonać czytelnika,

że chodziło jedynie i wyłącznie o więzienia i o przemoc, o szpicli i o policję... faszystowską. Przedstawiciel wydawnictwa mimo to odmówił, kwitując propozycję autora pobłażliwie wymownym uśmieszkami. Nie ufając perswazji dat, wołał się liczyć ze szkodliwą wymową samych utworów.

Większość polskich uczestników Związku zrazu w ogóle unikała pisania. Później ten i ów wynajdywał sposób przedłużenia sobie choćby biernego kredytu i niejakich źródeł dochodu za pomocą prac „neutralnych”: jakieś tłumaczenia, jakaś radiowa audycja z okazji sto-pięćdziesiątej, setnej, siedemdziesiątej piątej, pięćdziesiątej czy dwudziestej piątej rocznicy zmarłego już nazwiska.

Inni szukali natchnienia w tematach co prawda historycznych, lecz znajdujących się na linii panujących tendencji. Celował w tym Stanisław Wasylewski, wynajdując i kreśląc, z właściwym mu talentem, sylwety rewolucyjnych a zapomnianych pisarzy czy działaczy polskich sprzed wieku. On także skomponował bardzo udane widowisko z okazji uroczystości mickiewiczowskich.

Boy Żeleński przedrukowywał swoje studia i wygłaszał odczyty o społecznych aspektach twórczości Balzaka. Bezpośrednio po wojnie wypisano w Polsce szereg artykułów o jego „zbliżeniu” się do komunizmu. Nic bardziej wątpliwego. Uczestnicząc w tym bieżącym życiu literackim, Boy starał się unikać wypowiedzi politycznych. Jeśli mimo to, z tej czy innej okazji, wystąpił również na nieliterackiej imprezie, trzeba pamiętać, że (choćby wskutek popularności jego nazwiska i tych — trochę przymusowych — honorów) właśnie jemu było trudniej niż innym się od tego uchylić.

Niektórzy upatrywali jego skłonność do aktywnej współpracy w fakcie, że zgodził się zostać na miejscowym uniwersytecie profesorem literatury francuskiej, mimo że przed wojną odmówił przyjęcia analogicznej nominacji, ofiarowanej mu przez uniwersytet w Poznaniu. W rzeczywistości, „dialektyka” tej sprawy była wręcz odwrotna. Przed wojną odmówił katedry, by móc najaktywniej kontynuować swoją działalność literacką; tutaj przyjął katedrę, by móc swoją literacką działalność zredukować. W jego — by tak rzec — czynnym *outsider*’stwie wyrażał się co najwyżej głęboki sceptycyzm, za wzorem Montaigne’a, który zawsze był jego mistrzem. To prawda, że nawet w prywatnych rozmowach trudno było skłonić Boy’a do wyrażenia własnej opinii o bieżących wypadkach. Pamiętam jednak jak niby wymijająco powiedział mi raz z bardzo melancholijnym uśmieszkami: —

„Lękam się, że w tych nowych ustrojach wymrą mi czytelnicy Prousta”.



Mała stosunkowo lecz aktywna grupa rzuciła się od razu na wielkie wody. Składali się na nią głównie przekonani komuniści, pośród których jedni w istocie zachowali swoją wiarę, inni — mimo wstrząsu doznanego przy konfrontacji wiary z rzeczywistością — woleli nie wyciągać z tego wniosków. Dynamizm ich wyładowywał się, w dużej mierze, w gatunkach doraźnych: wierszach, nowelach, artykułach, słuchowiskach.

Równocześnie, jedni z głośnym trzaskiem, inni po cichu, w tajemnicy, zależnie od temperamentu i indywidualnej kalkulacji efektu, przygotowywali grubsze pozycje, w których obiecywali sobie dać „swoją miarę”. Prócz pasji autorskiej urzekała (zwłaszcza w tym wstępnym okresie wyczekiwania na „poważne dzieło”) perspektywa dużych nakładów i tłumaczeń „serią” na języki Związku Sowieckiego oraz zajęcia mocnego miejsca w płynnej na razie hierarchii.

Do prowizorycznej mety także i w tym wyścigu pierwsza przybiła Wanda Wasilewska, sztuką o „Bartoszu Głowackim”. Przewagę nad innymi dawał jej, co prawda, już sam proces tworzenia. Pisała łatwo. Nie czekając dopiero „soc-realistycznych” teorii już z natury gardziła „dzieleniem włosa na czworo”. Operowała pierwszymi danymi, spontaniczną przesadą i brakiem niuansów. Konstrukcję zastępowała nakładaniem obrazów, a spojrzenie czarno-białym rozkładem charakterów i sytuacji. To na co — w nowych warunkach — inni musieli się dopiero zdobywać, u niej wynikało już z predyspozycji.

Temat do sztuki o „Bartoszu Głowackim” zaczerpnęła z wersji, według której bohater bitwy raławickiej wcale nie zginął pod Szczekocinami, ale — wróciwszy po wojnie do swoich Rzędowic — został wezwany przez dziedzica Szujskiego do odrabiania pańszczyzny; gdy — powołując się na Kościuszkę — odmówił, dziedzic miał go oddać w rekruty, do armii austriackiej.

Tę samą wersję (opartą na krótkiej wzmiance jednego z pamiętnikarzy, a przez historyków uważaną za wymysł) podjął już przed wojną Wojciech Skuza, w dużym poemacie p.n. „Kumac”. Mimo widocznych wpływów Brunona Jasieńskiego (mianowicie „Słowa o Jakubie Szeli”), utwór ten, nasycony bardzo autentyczną ludowością, rozwijał już szeroko teorię dwóch nurtów oraz przepaści między prawdą a legendą. Skuza nawiązywał już również do bieżącej (tj. przedwojennej) rzeczywistości:

*„Kum Wincenty jest w Brześciu”⁵
Kum Bartosz na bibułkach”⁶*

W momencie wystawienia sztuki Wasilewskiej, Skuza (aresztowany, o czym była już mowa, z innymi literatami lewicy) przebywał już od szeregu miesięcy w jakimś azjatyckim więzieniu, skąd już nigdy nie wrócił.

Wasilewska przełożyła tę wersję na szereg luźnych obrazów. Tendencję „wypunktowała” w scenie końcowej, stanowiącej rodzaj przedłużenia hipotezy o oddaniu Bartosza w rekruty. Jako austriacki żołnierz, Głowacki dostaje się mianowicie do niewoli na włoskim froncie. Tutaj spotyka Polaków walczących w armii Napoleona przeciw Austrii. Ci, rozpoznawszy w nim bohatera spod Racławic, witają go z entuzjazmem, pewni, że Bartosz zaciągnie się w ich szeregi. Nauczony bolesnym doświadczeniem, Głowacki jednak odmawia. Jego wrogiem, mówi, nie jest Austria, ale panowie. Jego ojczyzną nie jest ta ich pańska, ale ta jego chłopska Polska. Ironię sytuacji podkreślają słowa piosenki, śpiewanej przez polskich żołnierzy i dochodzącej z pobliskiego biwaku: „Bartoszu, Bartoszu, oj nie trać-wa nadziei...”.

Sztukę wystawił teatr polski we Lwowie. Pisma zamieściły pochwalne recenzje. Uroczysta dyskusja, odbyta z tej okazji w Związku Pisarzy, uplasowana była już z góry pod znakiem zbiorowego panegiryku. Przewodniczył jej, lub lepiej mówiąc — czuwał nad jej przebiegiem sam Desniak. Większość dyskutantów myślała, przypuszczam, w istocie to co mówiła. Z tym zastrzeżeniem, że z tego co myślała wypowiadała tylko część pozytywną.

Nie o sztukę tu jednak chodzi. Jej rzekoma oryginalność polegała przecież na rozwinięciu (mniejsza o to w tej chwili — prawdziwej czy zmyślonej) wersji o oddaniu Głowackiego w austriackie rekruty, wersji którą podjął Wojciech Skuza. Czy w normalnych warunkach byłoby zatem do pojęcia, by — omawiając nowość — nie wspomnieć jej — jakby nie było — prekursora? I to tak świeżej daty? Ten prekursor, który jeszcze tak niedawno przesiadywał codziennie w tym samym lokalu, gdzie teraz odbywała się ta dyskusja z udziałem autorki, obecnie znajdował się w dalekim więzieniu; jego nazwisko nie miało prawa nawet do wzmianki.

5. Aluzja do Wincentego Witosa, uwięzionego, razem z innymi posłami, w osławionej odtąd twierdzy w Brześciu nad Bugiem.

6. Wizerunek Bartosza Głowackiego z kosą, w istocie zdołał bibułki do papierosów, których nabywcami byli głównie chłopci.

Toteż, gdy słuchałem tych uroczystych panegiryków, osaczyła mnie w myśli jeszcze jedna dodatkowa scena do owej wersji o Bartoszu. Ten ostatni przybrał na chwilę rysy chłopskiego syna, Wojtka Skuzy: ...Podczas gdy z daleka dochodzą słowa jego poematu, katorżnik Wojciech Skuza potrząsa kajdanami, jakimi uraczyła go wymarzona przez niego, proletariacka władza. I za co? Że w prywatnych rozmowach ośmielił się nie zachwycać się okupacją Polski przez Hitlera?

Do głosu zapisałem się z jedyną intencją znalezienia pretekstu do przypomnienia Skuzy. Wyglądało to mniej więcej tak: — Wasilewska oparła się na wersji, którą przed nią podjął i szeroko rozwinął, w swoim „Kumacu”, Wojciech Skuza. (...) Zważywszy, że powyższa wersja z góry narzuca już bardzo określoną interpretację, można było się lękać, że autorka zadowoli się *samograjem*. Na szczęście, żywość scen i dialogów..., itd.

Stylizacja była zatem ostrożna i w istocie „rozeszła się po kościach”. Nawet trochę zanadto. U tego i owego z Polaków, wymienienie nazwiska Skuzy wywołało przez chwilę błysk zafrapowania, który jednak natychmiast zamarł na kamiennej twarzy: „Moja chata z kraju; niczego nie znaju”.

Jedynym pogłosem mojej interwencji była dosyć zabawna uwaga jednego z sowieckich gości. Okazało się, że w momencie gdy użyłem słowa „*samograj*”, zauważył on kilka uśmiezków. Wobec czego poprosił kogoś, by wytłumaczył mu dokładniej znaczenie tego polskiego słowa. Po wieczorze przystąpił do mnie i, komplementując mnie, doradził mi dobroduszenie, przyjaźnie, że szanujący się *pisatiel* nie powinien używać tak śmiesznego wyrazu, który narusza powagę dyskusji: „Czto to takoj *samograj*? Nie nada!”.



„Realizm socjalistyczny” stanowił chroniczny temat kazań i sloganów. Jak wyglądał on jednak w praktyce?

Autorka ukraińska Helena Wilde przedstawiła nowelę, odwołującą się rzekomo do wypadków dnia: Rosyjski inżynier przybył — jako oficer Czerwonej Armii — na wyzwoloną świeżo „Ukrainę Zachodnią”. We Lwowie poznał i zakochał się w tutejszej dziewczynie. Inżynier ten jednak od dawna ślubował sobie, że poświęci się bez reszty pracy nad wynalazkiem, mogącym posiadać duże znaczenie dla jego proletariackiej ojczyzny. Wobec tego mimo że posiada wzajemność ukochanej i mimo że „serce krwawi”, jego żarliwy patriotyzm sowiecki zmusza go moralnie do rezygnacji z małżeństwa, które przeszkodziłoby mu oddać się całko-

wicie wspomnianym poszukiwaniom. Inaczej mówiąc: spóźniona co najmniej o ćwierć wieku, któraś tam woda po Żeromskiego „Ludziach Bezdolnych”. Jakby wszakże nie było, wymieniony konflikt stanowił jedyny problem i jedyny pretekst całego opowiadania.

Wysłuchawszy go, orderonosiec i akademik Petro Pancz zawyrokował, że nowela — owszem, ładna. Nie do przyjęcia jest za to jej rozwiązanie: — „Tylko w państwach burżuazyjnych wynalazca musi rezygnować z miłości. Nie u nas”. Trzeba więc ożenić tego inżyniera i jego wybrankę, która stanie u jego boku do wspólnej, słonecznej pracy.

Autorka w istocie zmieniła w tym sensie zakończenie i tak też tę nowelę wydrukowano. Uniknęła dzięki temu odchylenia od generalnej linii, ale czytelnik musiał się zapytać, o co właściwie chodzi w tym całym utworze? Skoro bowiem żadnego konfliktu nie było, odpadała jedyna racja napisania tej noweli.



Jednym z dziwolągów nowego ładu było urzędowe przesunięcie miejscowego zegara o pełne dwie godziny, by go uzgodnić z (obowiązującym w sowieckim imperium) „czasem moskiewskim”. Przeskok ten stał się prawdziwym utrapieniem. Zamiast o siódmej lub o ósmej rano, pracownicy musieli się stawiać do swoich fabryk czy biur już o piątej lub o szóstej. W dużej ilości zakładów zmieniono co prawda godziny pracy. Na razie wynikały z tego dodatkowe pomieszania.

Gorzej jeszcze, że do zegarowego przewrotu, ludność nie chciała ani rusz przyzwyczaić się i w dalszym ciągu określała czas po staremu. Z tego powodu, umawiając się na godzinę czwartą po południu, rozsądnie było dodać o jaką czwartą godzinę chodzi: „dawnego czy nowego czasu?”. W uporze tym władze dojrzały rychło oczywisty i niewątpliwy symptom reakcyjności. Ludzie ostrożni, nie chcący się narazić ani jednej ani drugiej stronie, gdy zapytano ich o godzinę, odpowiadali więc z powagą: „piąta dzień, czasu obowiązującego”. Ten „polityczny” aspekt, a co za tym poszło — okazje do manifestacji — podwoiły tylko obustronną zaciekłość. W rezultacie, nakręcając swój zegarek, jedni regulowali go na „dawny czas”, by każdorazowo dodawać dwie godziny. Inni, przeciwnie, lękając się, że wypadnie wyjąć zegarek w obecności ludzi niepewnych, ustawiali wskazówki według „nowego czasu”, by każdorazowo dwie godziny odejmować. W rezultacie zdarzało się często, że po spojrzeniu na swój własny

zegarek, opadały człowieka wątpliwości: zapomniał według „jakiego czasu” go uregulować.

Józek Nacht machnął na ten temat zabawną parafrazę znanego przed wojną przeboju, zaczynającego się od słów: „Umówiłem się z nią na dziewiątą”. Brzmiało to mniej więcej tak:

*„Umówiłem się z nią na dziewiątą,
na dziewiątą — nowy czas;
ona przyszła o dziewiątej,
o dziewiątej — stary czas”*

Co stanowiło z kolei punkt wyjścia do nieporozumień, w dalszych zwrotkach.

Ku zdumieniu „tubylców”, sowieccy arbitrzy, do których piosenka dotarła, byli nią zachwyceni. Uważali tylko, że brak jej naturalnego i oczywistego jak stalinowska konstytucja — zakończenia. Mianowicie, że nauczeni bolesnym nieporozumieniem zakochani będą odtąd uznawać i umawiać się jedynie według „nowego czasu”, a ten stary niechaj zniknie raz na zawsze razem z przeklętą przeszłością! Zakończenie takie powstało i oto zwykły przebój, ba — dowcipna parafraza przeboju urosła nagle do wyżyn patetycznej ody.



Krótko przed wojną, Franciszek Gil zdobył sobie nazwisko pracami na granicy reportażu i publicystyki. Drukował je w tygodnikach lewicy. Szerokie echo zyskał zwłaszcza jego świetny i świetnie udokumentowany artykuł (ogłoszony w lwowskich „Sygnałach”) o krwawej pamięci „tumultach” antysemickich na terenie wyższych uczelni. Zaczynał się on mniej więcej tak: Tego i tego dnia autor złożył w starostwie następujące podanie: — Podpisany prosi o udzielenie mu zezwolenia na posiadanie broni palnej. Powód: wpisał się na Wydział Prawa we Lwowie. Uzasadnienie: ...Tu zaczynał się opis i analiza dzikich harców pałkarzy na uniwersytecie.

Teraz, w „sowieckim” Lwowie, Gil, chociaż chciał, nie bardzo wiedział zrazu o czym i dokąd pisać. Publicystyka? W Związku Sowieckim stanowi ona monopol kilku organów centralnych, których kolumniści są akredytowanymi rzecznikami partii i rządu. Zadanie wszystkich innych gazet redukuje się, w dziedzinie osądu wydarzeń politycznych, do tłumaczenia na język danej związkowej Republiki, do adoptowania do lokalnych wa-

runków, do streszczania lub po prostu do przedrukowania tamtych artykułów.

Tym niemniej, istnieje również mnóstwo czasopism, poświęconych zadaniom specjalnym. Także tam wydźwięk zamieszczanych prac określony jest już z góry, mianowicie samym programem danego miesięcznika czy tygodnika, lecz autorzy posiadają możliwość instruowania i dokumentowania owego programu własnym materiałem. W końcu Gil postanowił napisać do wychodzącego w Kijowie „Bezbożnika”, cykl artykułów o przejawach religijnego fanatyzmu w Polsce przed wojną. Wysławszy do redakcji rozdział o katolikach, przygotowywał następny przeciw przesądom i fanatykom religii mojżeszowej. O artykułach tych byłbym się chyba nigdy nie dowiedział, gdyby nie to, że otrzymał numer, w którym pojawił się pierwszy rozdział jego cyklu, Gil doznał morskiej choroby samopoczucia. Dręczony nią, czuł widać gwałtowną potrzebę bodaj podzielenia się swoim utrapieniem:

Artykuł, podpisany jego pełnym imieniem i nazwiskiem, zachował z jego tekstu zaledwie jakieś nikłe „punkty odbicia”, ale rozwijał je w sposób drakońsko osobliwy. Gil wspomniał na przykład, że nacjonalistyczne ugrupowania studenckie organizowały pielgrzymki do Częstochowy, by kończyć je antysemickimi rozruchami. Wzmianka powyższa była (niestety!) zgodna ze smutną prawdą, jednak redaktorom „Bezbożnika” nie wystarczyła. W drukowanej wersji, nie pielgrzymujący na Jasną Górę studenci rozpętywali awantury, lecz sami zakonnicy urządzali dziki taniec dokoła powalonych ofiar i, depcząc po nich, wykrzykiwali: „Niech żyje Jezus Chrystus!”.

— Obok mnie, mówił mi przygnębiony Gil, mieszka stary Żyd, z taką dużą, dużą brodą. (Tutaj Franek umieścił dłoń na wysokości brzucha by uzmysłowić mi długość owej brody, co miało znaczyć, że ten Żyd jest bardzo ortodoksyjny i że o żadną osobistą sympatię do zakonników z Jasnej Góry nie można go podejrzewać). Ktoś, widać, pokazał mu ten rzekomo mój artykuł, bo ten Żyd mówił do sąsiadki, głośno, tak bym go dobrze słyszał: — „A ja myślałem, że ten pan Gil jest porządnym człowiekiem”. Pomyśl tylko: Żyd z taką — taką długą brodą...”.

By zrehabilitować się chociaż trochę, Gil napisał do „Bezbożnika” bardzo delikatne sprostowanie. Dostał następującą odpowiedź: — W załączeniu przesyłamy wam czek za wasz artykuł. Co do sprostowania, odbiega ono o wiele bardziej od waszego artykułu, niż drobne zmiany, które musieliśmy w nim zrobić. Czekamy na zapowiadziany artykuł o fanatykach religii mojżeszowej.



Władze Związku Pisarzy i wszyscy oficjalni referenci pouczali, perswadowali i zaklinali literatów aby czerpali tematy z życia i to przede wszystkim z życia bieżącego. Na domiar — bieżące życie w istocie piętrzyło się od problemów w najwyższym stopniu pasjonujących. By się z nimi zapoznać nie trzeba było ani organizowanych wycieczek w „teren”, ani organizowanej „wymiany poglądów”. Tragedia narodu i kryzysy sumienia, nędze i deklasacje, rozdarcie rodzin i gwałtowne śmierci, tłumne więzienia i masowe deportacje, o to wszystko każdy pisarz ocierał się bezpośrednio, osobiście i na każdym kroku. Żaden z tych tematów nie wchodził jednak w rachubę jako materiał dopuszczalnego utworu.

Wielu przebywających we Lwowie pisarzy miało za sobą walkę we wrześniowej kampanii. Inni przeszli i przeżyli ją jako cywilni uchodźcy. Dla wszystkich była ona doświadczeniem wstrząsającym. Od kampanii tej dzieliły wtedy zaledwie miesiące. Toteż wielu spośród tych, którzy pragnęli teraz pisać i teraz publikować, tworzyło spontanicznie na ten temat, i to wymijając z góry wszystkie fakty i powiązania „zakazane” oraz każdą niebezpieczną aluzję, a zwłaszcza wszystko co dotyczyło sowiecko-hitlerowskiego przymierza⁷. Niebawem okazało się jednak, że nawet tak wysterylizowane utwory, ba! — nawet te, które (zgodnie z „linią generalną”) kładły usłużnie nacisk na „zradę” lub niedołęstwo polskiego rządu i dowództwa, widziane są bardzo źle: — „Nie należy się babrać w tej przeszłości”.

W rezultacie, chociaż nigdzie indziej nie było tyle co tutaj mowy o „organicznym związku” literatury z bieżącym życiem oraz jego problemami, nigdzie chyba literatura nie była tak bardzo od owego życia i od jego problemów daleka.

Można naturalnie oponować, że opisywany tutaj okres trwał wszystkiego kilkanaście miesięcy, wypełnionych na domiar organizowaniem ram i procesem wrastania w zmienione warunki. Tak, to prawda. Ale cóż oznacza „wrośnięcie” w tamte nowe reguły tworzenia, jeżeli nie przyswojenie sobie i pogodzenie się ze wszystkimi *tabu*?

Nie chodzi przy tym nawet o tzw. „pseudonimowanie” rzeczywistości. Pod tym względem sowieckie ucho igielne z góry odrzucało wszelką możliwość alegorii i każdą możliwość aluzji choćby bardzo odległych.

Zderzenie z sowiecką praktyką dawało okazję jeszcze do innej konfrontacji:

7. Niektóre z tych utworów (J. Putramenta, A. Rudnickiego) były nawet drukowane. Znalazły się one zresztą również w powojennych wydaniach tych autorów.

W Polsce, przed wojną, przekłady utworów pisarzy sowieckich były liczne. Obok zrozumiałego zainteresowania dla odwiecznie tajemniczego sąsiada i dla jego wielkich eksperymentów dziejowych, obok tendencji polskich pisarzy komunistów i komunizujących do przyswojenia owych dzieł, działała w tym kierunku zachłanność wydawców. „Dzięki” nieistnieniu konwencji w tej dziedzinie między Związkiem Sowieckim a Polską, prawa pisarzy sowieckich nie były w Polsce chronione. W rezultacie można ich było wydawać po korsarsku, bez ich zgody i bez płacenia im honorariów. Niejeden wydawca czyhał więc i rzucał się na nowe utwory sowieckie, byle tylko wyłapać je innemu. Dochodziło z tych przyczyn nawet do grubszych skandali, jak ten z przekładem powieści „Człowiek zmienia skórę”. Przebywający w Związku Sowieckim Bruno Jasieński napisał ją po polsku, ale wydał zrazu w tłumaczeniu rosyjskim. Zanim się spostrzegł, pojawił się w Polsce błyskawiczny przekład z przekładu i zablokował możliwość wydania oryginału.

Wśród dzieł sowieckich wydanych przed wojną w polskim tłumaczeniu, było szereg wybitnych. Wielu z nas czytało je z dużą uwagą i z wyraźną wolą poznania dzięki nim i poprzez nie sowieckiego życia. Czym więc wytłumaczyć, że o tym codziennym życiu nie wiedzieliśmy, jak się teraz okazywało, nic i że wszystko było w nim dla nas nie tylko nieznane, ale bez mała egzotyczne?

Czekała nas zresztą inna jeszcze niespodzianka. Dziś zjawisko to należy już do banałów, lecz wówczas, mimo wszystkich „uprzedzeń”, wydawało się zrazu wręcz niepojęte. Drobnym przykładem:

W styczniu 1941 r. zjawił się we Lwowie Rokotow, redaktor wydawanej w Moskwie w kilku językach, „Literatury Międzynarodowej”. Któryś z kolegów, pragnąc widocznie ukazać mnie w najlepszym świetle, przedstawił mnie jako autora m.in. studium o André Malraux. Na sam dźwięk tego nazwiska, Rokotow zdrętwiał: „Malraux niet!” przeciął.

Kogóż zresztą cytowało się, z niewinnością niemowlęcia, mówiąc o literaturze sowieckiej? Babela, Borysa Pilniaka, Bruna Jasieńskiego... Przy wymienieniu któregośkolwiek z tych nazwisk, przypadkowy rozmówca sowiecki bladł zaskoczony, dopatrując się prowokacji. Rychło więc, tytułem ostrożności, w ogóle unikało się cytowania kogokolwiek, przynajmniej do czasu.

Pewnego dnia zajechał do Lwowa i do Klubu Pisarzy Aleksy Tołstoj, w towarzystwie lokaja, którego dochował jeszcze ze swoich czasów hrabiowskich. Jeden z kolegów odetchnął wtedy

z ulgą i powiedział: — Teraz przynajmniej wiadomo, że Aleksego Tołstoja wolno *jeszcze* wspominać.

Inny ucieszył się „odkryciem”, że nie tylko wolno lecz nawet *wypada* i *należy* powoływać się na Szołochowa: — A miałem grube wątpliwości, rozumiesz? Kozak przecież i pisał o Kozakach...

Przyszłość miała okazać, że ową karykaturalną ostrożność warto było niestety zachowywać permanentnie. Tak na przykład sekcja żydowskich pisarzy przyjmowała w Klubie z dużym entuzjazmem, przybyłych do Lwowa, w gości, poetów Pereca Markisza, Icka Pfefera i innych. W późniejszych latach wszyscy oni zostali rozstrzelani.

W dniach hitlerowskiej inwazji

Sekretarzem Związku był miejscowy literat ukraiński Siurkowski: szczupły blondyn z filuterną bródką à la St. Germain des Près.

W Polsce Lwów uchodził za miasto wesołe, z barwnym folklorem i z fantazją, ale nie był lewym brzegiem Paryża. Od czasu wojny, wesołość ustąpiła miejsca melancholii i przygnębieniu, fantazja sposepniała a mody westymentarne (jeśli nie brać pod uwagę smutnej — bo z musu — „barwności” uchodźców) przeszły w zdecydowaną szarzyznę. W tych warunkach, stylizowane i fryzowane zarosty lub czupryny były pretensjonalne i śmieszne. Takie też wrażenie robiła ta bardzo troskliwie zaplanowana i niemniej troskliwie utrzymywana bródka młodego sekretarza. Zwłaszcza tutaj, w tym Związku Literatów, gdzie żadnemu z dziesiątków pisarzy nie przyszło do głowy „robić się na artystę”. Trąciła zapóźnionym snobizmem sprzed 1914 i wdziękiem się prowincjonalnego *Schöngeista*. W pierwszych tygodniach służyła nawet jako znak rozpoznawczy. Ilekroć któryś kolega, nie znający jeszcze sekretarza, pragnął chwycić go w przejściu, by załatwić jakiś papierek, radzono mu szukać „śmiesznego faceta” z taką a taką bródką nad ugrzecznonym i jakby przyklejonym uśmiechem. *Differentia specifica* była niezawodna, nie można się było pomylić.

U mnie „montparnasowa” stylizacja sekretarza wywoływała zrazu, muszę przyznać, kredyt sympatii: — „Zawsze to jakaś świeżbiączka na ekscentryczność, na jakiś anty-konformizm”, powiedziałem raz do łódzianina Rafała Lena (autora powieści „Ludzie na schodach”). Potem ten nabijał się już do końca, z tej

mojej wstępnej diagnozy. Jako urzędnik, Siurkowski odrabiał i załatwiał bowiem wszystko z przymilnym uśmiechem, stanowiącym element *maquillage'u*, ale też załatwiał to wszystko najściślej według litery każdorazowej instrukcji. W czasie zebrań, przewodniczący udzielał mu głosu, niby przygotowanej z góry marionetce. Marionetka Siurkowski wstawał z miejsca i zaczynał nieodmiennie tak: „Towariszczy, jest propozycja”. Za czym, bez przewlekania i bez niepotrzebnej motywacji, proponował opodatkowanie się na proklamowaną przez władze pożyczkę czy daninę, witanie z entuzjazmem kolejnej decyzji rządu, potępienie z oburzeniem tego czy innego odchylenia, wystanie takiego lub innego wiernopoddanego adresu. Wniosek uchwalano zawsze jednomyślnie, często gęsto nie rozumiejąc i nawet nie troszcząc się o co idzie.

W połowie 1941 roku wybuchła wojna niemiecko-sowiecka. Od pierwszej bomby rzuconej na miasto, padli dwaj cenieni przedstawiciele literatury ukraińskiej — koledzy Tudor i Hawryluk. Kilka dni po wdarciu się armii hitlerowskiej do Lwowa, równocześnie z rozpętanem krwawych pogromów antyżydowskich na ulicach, okupant zrealizował pierwszą w tym mieście „akcję” w kierunku eksterminacji polskiej elity umysłowej. Jej ofiarami, obok lekarzy i innych przedstawicieli inteligencji, padli głównie profesorowie uniwersytetu. Gdy zbiry przyszli aresztować profesora Greka, zastali również zamieszkałego u niego (jego krewnego) Boy’a Żeleńskiego. Zapytali go o nazwisko i zawód. Przekonany, że niebezpieczeństwo grozi mu głównie z racji jego działalności pisarskiej, Boy wymienił zawód profesora uniwersytetu. — „W takim razie pójdzie pan z nami”. Zginął śmiercią męczeńską, zastrzelony razem z innymi ofiarami owej „akcji”.

W niespełna tydzień po inwazji hitlerowskiej na Lwów, czekała mnie mała niespodzianka: by uniknąć niepożądanych identyfikacji (byłem autorem wydanej krótko przed wojną powieści antyhitlerowskiej, nie mówiąc o dziesiątkach antyhitlerowskich artykułów i wystąpień), zaciągnąłem się do czarnej roboty w ogrodach za miastem. W pewnej chwili — nie wierzę własnym oczom: Siurkowski, niedawny sekretarz Związku Pisarzy, nadciąga tam w towarzystwie dwóch innych ukraińskich literatów. Może, by tak jak ja — zaciągnąć się do czarnej roboty i ukryć się w ten sposób przed hitlerowskim zaborcą? Wprost przeciwnie. Wszyscy trzej ubrani są odświętnie. Zadowoleni z siebie, zmierzają do pobliskiego budynku, widać na urzędowe spotkanie, tym razem z nową administracją. Spostrzegłszy mnie, Siurkowski i jego towarzysze przystanęli na moment zażenowani.

Potem poszeptali między sobą, odwrócili spojrzenia i minęli mnie. Na wyznaczone im spotkanie przybyli jednak prawdopodobnie zbyt wcześnie. Dosyć długo wypadło im czekać, i to zaledwie kilka kroków ode mnie. Raz jeden, raz drugi rzucali na mnie od czasu do czasu niby zbłąkane spojrzenie. Przestali udawać, że mnie nie widzą, ale też, chociaż nikogo nie było w pobliżu, nie uważali za stosowne kompromitować się znajomością.

Nie jeden z kolegów, którzy zostali we Lwowie, padł później pod kulami egzekucyjnych plutonów okupanta. Inni jeszcze wzięli udział w ruchu podziemnym i w partyzantce. Spośród tych, co wycofali się w głąb Związku Sowieckiego, jedni wrócili do Polski dygnitarzami, inni rozbitkami. Te „dalsze ciągi” należą już jednak do innego rozdziału.

Po wojnie „kwestię polską” rozwiązano we Lwowie gruntośnie i ryczałem, przerzucając całą ludność polską na Zachód od Sanu.

Nie wątpię, że Klub Literatów istnieje we Lwowie na nowo i chyba w tym samym co wtedy pałacyku. Toteż ilekroć w ciągu tych ostatnich lat siedemnastu, wypadało czytać w prasie o literackich odwilżach czy zamrożeniach w Zw. Sowieckim, o nagrodach czy odznaczeniach, o jubileuszach czy o potępieniach, wydawało mi się, że widzę jak przewodniczący udziela głosu, może temu samemu, może innemu obywatelowi Siurkowskiemu, który wstaje i mówi: „Towarisz, jest propozycja”. Następnie wszyscy zebrani, w tej samej co ongiś sali, uchwalają każdy z tych wniosków... jednomyślnie i z entuzjazmem.

Michał BORWICZ

Pragnąc zebrać możliwie obszerną dokumentację do okresu pierwszej okupacji sowieckiej we Lwowie, Redakcja „Zeszytów Historycznych” prosi o przysyłanie wszelkich uzupełnień do pracy Michała Borwicza.

Z PARYSKIEJ „REGINY”
DO LONDYŃSKIEGO „RUBENSA”
(Kartki z mojego notatnika)

2 marca 1940 roku. Hotel Jean Bart. Paryż

„Regina” — siedziba Sztabu Naczelnego Wodza — piękny hotel, oddany nam przez Rząd Francuski, dalej plotkuje na potęgę i aż huczy od mnóstwa ludzi, szykujących się do objęcia różnych posad. Intrygi kwitną w całej pełni i biedni człowieczkowie jak mogą tak podstawiają jeden drugiemu nogę. Bardzo to nasze — prawdziwie polskie! i w tych czasach! — A swoją drogą przykry i ponury widok sprawia olbrzymi przedśionek hotelowy „Reginy”: wystawiony tam jest silny posterunek polskiej żandarmerii **połowej**, który wprost wzbrania wejścia do wnętrza kwatery głównej Sztabu N.W. tak zwanym „niepowołanym osobom”. Do nich należą rzesze przeróżnych dygnitarzy przedwrześniowych — generałów, pułkowników, wysokich urzędników itd.



W poniedziałek 3 marca br. wyjeżdżam do Londynu, wczoraj ustaliłem termin mojego wyjazdu z płk. Kędziorem, Szefem Sztabu N.W. Pułkownik dyplomowany Aleksander Kędzior długo i obszernie mówił mi wczoraj o naszej, polskiej, sytuacji we Francji — nie jest ona zbyt pomyślna. Jak zwykle, Kędzior mówi trochę przez nos, z ciągłym chrząkaniem i z nieco sztuczną pozą. Powiedział mi, że za wiele jest tu polityki i personalnych sporów i kwasów. Ze słów Kędziora wynikałoby, że dużą rolę odgrywa w Rządzie R.P. profesor Stanisław Kot, którego płk. Kędzior określił: „mason i liberał”, mający wielkie wpływy na generała

Sikorskiego. Zdawało mi się, że płk. Kędzior chciał dać mi do zrozumienia, iż generał Sikorski ulega silnym postronnym wpływom (Kot? Modelski? Kukiel?) i jest nieco chwiejny. Generał Sikorski, ciągnął płk. Kędzior, stanowczo za wiele spraw państwowych wziął na siebie: Prezes Rady Ministrów, Naczelnny Wódz Polskich Sił Zbrojnych i Minister Spraw Wojskowych — temu on nie może podolać. W dalszym ciągu naszej rozmowy płk. Kędzior mówił wyraźnie o swoim rychłym odejściu ze stanowiska Szefa Sztabu N.W., jak również o swoich stosunkach z profesorem Kotem, o posądzeniach i o różnych skargach na niego, jakie profesor Kot wysuwa z czasów jego pobytu w Portugalii (był on tam naszym attaché wojskowym). Właściwie nie bardzo rozumiem o co tutaj chodzi? Dlaczego pułkownik Kędzior jest zwalczany przez Kota, skoro, jak widać, spełnia dobrze swoje zadanie i Sztab N.W. przedstawia się obecnie zupełnie poprawnie — zaledwie po trzech miesiącach od chwili jego zorganizowania.

11 czerwca 1940 roku, 4, Manchester Street, Londyn

Włochy wypowiedziały wczoraj wojnę Francji i Wielkiej Brytanii. Dzisiaj od godziny 00.01 rozpoczynają się działania wojenne. Sytuacja we Francji staje się wprost rozpaczliwa. Armie francuskie są w bezładnym odwrocie na Sekwanę i na Marnę. Paryż wyraźnie jest już zagrożony. Rząd Francuski i naczelne urzędy są ewakuowane z Paryża do Bordeaux. Opór Francuzów właściwie już nie istnieje, a przynajmniej jest wyraźnie zachwiany. O włoskim teatrze działań wojennych nic jeszcze nie wiemy. Rzekomo Włosi o świcie dzisiaj przekroczyli granicę francuską.

9/10 czerwca br. Alianci opuścili ostatecznie Norwegię. Narvik był zdobyty przed samą ewakuacją. Nasza Brygada Podhalańska jest już zapewne w drodze do Anglii. Komitet Międzypartycki, którego jestem członkiem, nic o tym nie wie. Generał Lelong mówił mi, że wojska alianckie z Norwegii otrzymały rozkazy bezpośrednio z Kwatery Głównej generała Weyganda.

Nasz Sztab Naczelnego Wodza w Paryżu milczy od dwóch tygodni jak zaklęty — w dalszym ciągu nic nie wiemy o położeniu naszych jednostek wojska we Francji i w Norwegii. Obawiam się poważnie, że już są zagrożone nasze ośrodki wyszkoleniowe w Bretanii wobec zajęcia przez wojska niemieckie Rouen na Sekwanie.

Wypadki wojenne we Francji posuwają się w zawrotnym tempie, podobnie, jak w Polsce we wrześniu 1939 roku.

Sytuacja ogólna Aliantów jest bardzo niebezpieczna. Powiększa się odcięcie Francji od Wielkiej Brytanii. Francja coraz bardziej zostaje zdana na własne siły. Na kontynencie europejskim nie wytrzyma ona w żadnym wypadku wspólnej akcji Niemiec i Włoch.

Stany Zjednoczone Ameryki Północnej we wczorajszym przemówieniu swego Prezydenta Roosevelta opowiedziały się po stronie Aliantów, obiecując pomoc materiałową, lecz nie wypowiadając, jak dotąd, wojny Niemcom. Rosja Sowiecka pozostaje nadal sfinksem — ani tu, ani tam. Mussolini, według doniesień prasowych, miał solennie obiecać Niemcom, iż nie ruszy Bałkanów.

W ostatnich dniach Francuzi i Anglicy starannie unikają zetknięcia się ze mną w Komitecie Międzyalianckim. Od wczoraj nie mogę w żaden sposób zetknąć się ani z generałem Le-longiem, ani z generałem Cornwalllem. War Office — pułkownik Carlisle, szef gabinetu, również niezwykle uprzejmie odwleka rozmowy ze mną.

13 czerwca 1940 roku. Londyn.

Wojna we Francji zbliża się milowymi krokami do Paryża, który podobnie jak Warszawa w roku 1939, jest już w sferze działań operacyjnych. Niemcy zmierzają do dwustronnego oskrzydlenia armii francuskich walczących na Sekwanie i na Marnie, jednocześnie chcą pobić siły francuskie łączące się z linią Maginota. Wczoraj, w rejonie Reims, weszły do akcji odwodowe niemieckie wielkie jednostki pancerno-motorowe; Sekwana i Marna zostały przez Niemców przekroczone. Linia Maginota zaczyna być zagrożona i pewnie będzie wkrótce zupełnie opuszczona. Ewakuowany jest Le Havre, zniszczono tam wielkie zapasy benzyny.

Sytuacja w *la belle France* jest doprawdy bardzo przykra, a właściwie zgoła katastrofalna, gdyż nie ma żadnej nadziei na zatrzymanie niemieckiego natarcia. Pozostaje Francji jedno: przemieść, co się uda, do Północnej Afryki i stamtąd prowadzić dalszą wojnę z Niemcami, licząc na Imperium Brytyjskie, na Stany Zjednoczone i... na Rosję Sowiecką. Nie mogę sobie odmówić jednej przyjemności, chociaż, przyznaję, jest to nieładne uczucie, ale chciałbym bardzo w tej chwili widzieć dwóch Francuzów, a mianowicie: gen. Denain i płk. Gannevala. Chciałbym się

zapytać ich obecnie co sądzą o położeniu na *swoim* froncie, jaka jest ich opinia o przebiegu polskiej kampanii wrześniowej 1939 roku, po doświadczenia *własnej* kampanii 1940 roku i co myślą o *wartości swego własnego wyższego dowodzenia?*

Nie spotkam gen. Denain i płk. Ganneval zapewne już nigdy w życiu, a szkoda. Powiedziałbym im, że na naszych bardzo ciężkich błędach, na naszym doświadczeniu tak przeraźliwie drogo opłaconym, Alianci nasi nie chcieli się niczego nauczyć, po prostu z pogardą spoglądali na nas, uważając Polaków za mierną wartość.

Zachodni Alianci, a w szczególności Francja, zmarnowali *czas*, który w dużej mierze zapewniły im Polskie Siły Zbrojne.

Otrzymałem wiadomość drogą okrężną z Litwy od żołnierzy tam internowanych, że rzekomo w Rosji Sowieckiej ma się formować Legion Polski, złożony z naszych żołnierzy internowanych w różnych obozach. Żołnierze polscy internowani na Litwie otrzymali taką informację i zapytują Rząd R.P., jak mają się do tego ustosunkować. Przekazując tę wiadomość gen. Sikorskiemu, poddałem sugestię, aby pozwolono im na wstępowanie i pomoc przy formowaniu Legionu — jeżeli wiadomość ta jest prawdziwa. W wypadku, gdyby Rosja miała wejść do wojny przeciwko Niemcom, będziemy posiadali wtedy polskie wojsko na Wschodzie, w każdym bądź razie nic nie tracimy, a dużo zyskujemy przez takie postawienie sprawy.

Wczoraj odbywały się we Francji ważne narady francusko-angielskie. Brali w nich udział: Reynaud, Daladier, marszałek Pétain, generał Weygand oraz Churchill, Eden i generał Bill, szef sztabu brytyjskiego. Decydowane były sprawy dalszego prowadzenia wojny przez Francję; Churchill miał zaproponować Francji Unię Brytyjsko-Francuską. Francuzi podobno odmówili. Do Londynu przybył nowo mianowany wice-ministrem spraw wojskowych Francji gen. de Gaulle. Gen. de Gaulle jest specjalistą od broni pancernej, dowodził w czasie tej kampanii jedyną posiadaną przez Francję dywizją pancerną. Gen. de Gaulle, będąc jeszcze pułkownikiem, miał proponować gen. Gamelinowi — na początku wojny w 1939 roku — wyodrębnienie w jedną całość wszystkich oddziałów czołgów, trzymanych w rozproszeniu przez Sztab Francuski na szczeblu armii i grup armii i formowanie chociażby prowizorycznych dywizji pancernych, zanim będzie można stworzyć nowoczesne dywizje pancerne po wyprodukowaniu odpowiedniego sprzętu. Projekt gen. de Gaulle'a, jak już wiemy, nie został przez Gamelina przyjęty.

Wczoraj w samo południe, bez żadnego uprzedzenia, zjawił się u mnie w biurze generał brygady (*général de brigade*)

Bethouart, dowódca francuskiej dywizji mieszanej w Norwegii, w skład której wchodziła nasza Brygada Podhalańska gen. Szyszko-Bohusza. Gen. Bethouart, jak na francuskiego generała, wygląda bardzo młodzieńczo i prezentuje się doskonale: rosły, gładko wygolony z ciemnymi włosami i niebieskimi oczami, wykwinie ubrany, przy tym bardzo przystojny i miły w obejściu. Gen. Bethouart bardzo pochlebnie odzywał się o naszych oddziałach Brygady Podhalańskiej. W natarciu na Narvik wyróżnił się szczególnie, według niego, 2-gi batalion strzelców Podhalańskich pod dowództwem majora Deca. W Narviku Niemcy byli bici, zupełnie nie wytrzymywali natarcia Podhalan; ponieśli bardzo ciężkie straty: nasz polski 2-gi batalion strzelców Podhalańskich zastał, po ataku, na pozycjach niemieckich 140 trupów niemieckich, w tym wielu oficerów. Wycofanie wojsk francuskich i polskich nastąpiło w momencie największego powodzenia — za kilka dni Niemcy byłiby wyparci do Szwecji. Operacje alianckie w Norwegii gen. Bethouart określił z rozbrajającą szczerością, jako *abominable*. Według niego, Anglicy wysłali na Oslo trzy bataliony piechoty terytorialnej, żołnierzy prawie zupełnie niewyszkolonych, bez żadnej artylerii, bez czołgów i wsparcia lotniczego. Dodał przy tym, że w Norwegii, po stronie alianckiej widziano jedynie działalność lotnictwa niemieckiego. Zapytany przeze mnie co sądzi o obecnym położeniu we Francji, mówił, że jest ono również *très abominable*, *très mauvais* i sądzi, że trzeba będzie puścić i Sekwanę i Marnę, a nawet i Loirę, bo jest to mało prawdopodobna linia zatrzymania natarcia niemieckiego. „Linia Maginota nie posiada już obecnie najmniejszego znaczenia, trzeba będzie ją opuścić” — mówił gen. Bethouart. „Wojnę Alianci mogą wygrać przy pomocy lotnictwa, czołgów i benzyny”. W żadne przeciwnatarcia operacyjne gen. Bethouart nie wierzy, bo nie ma we Francji potrzebnych i odpowiednich do tego sił.

Zapytałem go, gdzie jest obecnie Brygada Podhalańska z dowódcą gen. Szyszko-Bohuszem. — Odpowiedział, że przyleciał pośpiesznie bez swojej dywizji, że jeszcze dzisiaj wieczorem odlataje do Francji, że prawdopodobnie nasza brygada jest jeszcze w drodze, na morzu, na okrętach; nic mu nie jest wiadomo, jakie jest jej dalsze przeznaczenie, gdyż jego dywizja była kombinowana a teraz została rozwiązana. Gen. Bethouart dodaje, że w zasadzie jednostki francuskie powracają do Francji, a brytyjskie do Anglii. Konsekwentnie polska Brygada Podhalańska, jako formowana i należąca do Francji, powinna być skierowana do Francji.

Po pożegnaniu się z gen. Bethouart natychmiast depeszuję treść rozmowy z nim do Sztabu Naczelnego Wodza w Paryżu,

na stary adres, bo nie mamy w Londynie pojęcia, gdzie nasz Sztab N.W. znajduje się, nie posiadamy z nim absolutnie żadnej łączności od kilku dni. (Akurat taka sama sytuacja, jak była... w Kownie we *wrześniu* 1939 roku!). Dochodzą do nas tylko pogłoski, może plotki, które nie wiadomo jaką drogą przenikają do Londynu z Paryża. Jedna z nich głosi, że Szefem Sztabu Naczelnego Wodza został wyznaczony płk. dypl. Tadeusz Klimecki, oraz że duża część Sztabu N.W. została ewakuowana z Paryża wraz z Rządem R.P. do Bordeaux.

Klimecki — doskonale go znam z WSWoj., obydwu byliśmy wykładowcami Taktyki Ogólnej na drugim roczniku szkoły, w latach 1930-1932. Tadeusz Klimecki, typ górala z naszych Tatr, z orlim nosem, o śniadej cerze, przenikliwych czarnych oczach patrzących niezwykle uważnie, średniego wzrostu, bardzo zgrabny, sprężysty i niezwykle przystojny, przy tym przesadnie nawet chorobliwie ambitny, nie znoszący żadnych sprzeciwów wobec swoich poglądów operacyjnych, nieraz wchodzący w uliczkę bez wyjścia w zażartej obronie swoich tez, a przy tym bardzo wykształcony wojskowo, wybitnie czytany, prymus swojej promocji WSWoj. i dobry, szczerzy i serdeczny kolega.

Co się stało z płk. Aleksandrem Kędziorem? — moim zdaniem był on odpowiedni na stanowisku Szefa Sztabu N.W. — dlaczego ta zmiana?

15 czerwca 1940 roku. Londyn

13 czerwca 1940 roku wieczorem wojska niemieckie wkroczyły do Paryża... Wojska francuskie wycofały się na południe, jak dochodzą do nas słuchy, w zupełnym nieporządku i bez żadnych walk. Niemcy ogłaszają triumfujące komunikaty, pisząc w nich o panicznej ucieczce wojsk francuskich, o rzucaniu przez nich broni i o swoim uroczystym wejściu do Paryża poprzez *l'Arc de Triomphe*... Jakżeż to inaczej było z Warszawą w roku 1939!

Premier Francji, Reynaud, zwrócił się z dramatycznym wezwaniem do Stanów Zjednoczonych o pomoc dla Francji. Radio i prasa francuska ogłaszają, że wojsko francuskie bije się z przysięgającą przewagą niemiecką, że natychmiastowa pomoc jest nieodzowna, aby zapobiec katastrofie.

Wczoraj po południu otrzymałem informacje z naszej ambasady, że w wypadku nieotrzymania pomocy wojskowej od Stanów Zjednoczonych Francja kapituluje, poddaje się Niemcom. Późnym wieczorem, 14 czerwca br., ambasador Raczyński i ja

otrzymaliśmy depesze od naszego Rządu R.P., jeszcze z Angers, zawiadamiające nas o możliwościach zawarcia przez Francję odrębnego pokoju z Niemcami.

O godz. 23-ej tegoż dnia przybyli z tą wiadomością do mnie, do prywatnego mieszkania, oficerowie łącznikowi War Office majorowie Bryson i Colder. Byli niesłychanie poruszeni i wyraźnie speszeni postępowaniem Francji. Mówili, że decyzje francuskie, pomimo perswazji i korzystnych propozycji Churchilla, już zapadły. Francja już skapitulowała, czy też kapitułuje. W War Office już wydano rozkazy ewentualnego internowania całej Wojskowej Misji Francuskiej w Londynie. Bryson i Colder przysłani byli w rzeczywistości, aby wy badać, jaki jest nastrój w tym decydującym momencie u polskiego przedstawiciela do Międzynarodowego Komitetu.

Dziś, 15 czerwca, popołudniu byłem u generała Nesbitta z prośbą o przygotowanie ewakuacji całości naszych wojsk z Francji do Anglii, gdyby zaszła tego potrzeba. Generał Nesbitt przyjął moją prośbę bardzo dobrze; powiedziałem mu, że, my, wojsko polskie na obczyźnie i Polacy w kraju, nie uważamy wojny z Niemcami za skończoną, że będziemy się bili nadal. Rząd R.P. opuścił Angers i jest już w Bordeaux. Ambasada londyńska ma wciąż dobrą łączność (radiową) z Rządem R.P. My zaś — Misja Wojskowa i Attachaty — nie mamy żadnej łączności i nadal nic nie wiemy, gdzie jest Sztab Naczelnego Wodza. Podobno, gen. Sikorski od tygodnia znajduje się na froncie, przy którejś z naszych dywizji. Wydaje mi się to zgoła nieprawdopodobne, bo przecież dywizje nasze działają oddzielnie, w dużej odległości jedna od drugiej, a więc cóż tam przy nich miałby robić Naczelnny Wódz? Chyba, krzepić ducha żołnierzy? — ale czy to jest tak niezbędne w sytuacji, w jakiej znalazła się Francja? Zgaduję jednak, że generał Sikorski, wierny, oddany i zagorzały wielbiciel Francji i Francuzów, musi niewymownie ciężko przeżywać swój, a niestety i nasz, srogi zawód w stosunku do Francuzów...

18 czerwca 1940 roku. Londyn

Francja zwróciła się do Hitlera z prośbą o pokój. Rząd Reynaud ustąpił. Prezydent Francji Lebrun powierzył nowy rząd Francji marszałkowi Pétain, który podjął się prowadzenia pertraktacji o zawieszenie broni i o zawarcie pokoju z Niemcami, wykorzystując pośrednictwo Hiszpanii. Hitler odrzucił propozycje zawieszenia broni i zażądał bezwarunkowej kapitulacji całych

francuskich sił zbrojnych. Do chwili obecnej nie ma wiadomości czy Francja na te warunki się zgodziła. Prawdopodobnie zgodzi się...

Premier brytyjski Winston Churchill we wspaniałej mowie, wygłoszonej z całą swadą oratorską, ogłosił całemu światu przez radio, że Wielka Brytania, że całe Imperium Brytyjskie, będzie się biło do ostatka swych sił i aż do całkowitego zwycięstwa nad Niemcami.

Wstąpił nowy duch i w nas, Polaków, w Londynie. A więc pomimo że Francja małodusznie zawarła odrębny pokój z Niemcami, wojna będzie prowadzona nadal przez Anglię.

Sytuacja naszego wojska we Francji jest mi nadal zupełnie nieznaną, chodzi mi przede wszystkim o 1, 2 d.p. i o brygadę lekką generała Maczka. Z niemieckiego komunikatu dowiedziałem się, że wszystkie dywizje polskie miały być przez Niemców otoczone w ostatnich walkach w Lotaryngii. Zgodnie z poprzednimi pogłoskami z Paryża, gen. Sikorski miał się udać na front i zamierzał przebywać przy walczącym wojsku. Jeżeli to doszło do skutku — a nazwać bym mógł to szaleństwem — zachodzi obawa, że może być odcięty przez Niemców od powrotu do Bordeaux. Plany gen. Sikorskiego i Rządu R.P. w związku z kapitulacją Francji są mi absolutnie nieznane. O tym nigdy nie było mowy z gen. Sikorskim, bo ufał on ślepo i wierzył bez żadnych zastrzeżeń w wielką, potężną Francję...

Uważam jednakże, że miejsce Polski walczącej przeciwko Niemcom jest obecnie tylko przy boku Wielkiej Brytanii. Prezydent R.P., Rząd Polski i całe wojsko powinni przybyć tutaj, do Anglii, aby w dalszym ciągu prowadzić tę walkę.

Naradzam się bardzo poważnie od kilku dni z dr. Retingerem i z płk. Bohdanem Kwiecińskim nad tym, co można by jeszcze uczynić, aby dopomóc gen. Sikorskiemu w wydostaniu się z Francji i w umożliwieniu mu jak najszybszego przybycia do Londynu celem omówienia naszych spraw i zawarcia potrzebnych układów. Dr Retinger, odrzucając oferty Kwiecińskiego i moje, powiedział, że on sam osobiście poleci samolotem na poszukiwania gen. Sikorskiego w Bordeaux, a gdyby zaszła potrzeba, to i dalej, na froncie we Francji. W dłuższej dyskusji doszliśmy do wniosku że wyprawa Kwiecińskiego albo moja nie jest wskazana wobec ogólnie niejasnej sytuacji. Płk Kwieciński natychmiast (o godzinie 17-ej) udał się do dowództwa lotnictwa brytyjskiego z prośbą o samolot do Bordeaux po gen. Sikorskiego. Po niespełna godzinie powrócił i oświadczył nam, że prośba ta została przyjęta przez Anglików nadzwyczaj przychylnie, że ofiarują samolot (wodnopłat wojskowy) i że w towarzystwie majora

angielskiego (zapomniałem jego nazwiska) dr Retinger może odjechać dziś (18 czerwca br.) w nocy.

Dr Retinger odjechał do Bordeaux, wioząc gen. Sikorskiemu nasze raporty, że według nas, Wielka Brytania będzie biła się przeciwko Niemcom aż do ostatecznego zwycięstwa i, że wobec tego potrzebny jest niezwłoczny przylot Generała do Londynu celem omówienia z Rządem Brytyjskim nowego położenia. Podaliśmy również że są potrzebne rozkazy o ewakuacji naszego wojska z Francji do Anglii, i że w tym celu musimy wiedzieć, gdzie jest nasze wojsko we Francji. Jednocześnie w porozumieniu z admirałem Świrskim uzyskaliśmy od Administracji Brytyjskiej okręt wojenny (zdaje się, że krążownik) dla przewiezienia Prezydenta R.P. Władysława Raczkiewicza i Rządu R.P. z Francji do Anglii. — Okręt wojenny „Arethuza” już odszedł do Bordeaux.

Przygotowuję ewakuację naszego wojska z Francji — robię to na własną rękę i na własną odpowiedzialność, nie mając najmniejszych instrukcji i trochę na ślepo, gdyż nie znam dyslokacji naszych jednostek we Francji. Miałem dzisiaj w związku z tym dwie konferencje. Pierwsza odbyła się w Komitecie Międzypartijnym, który zresztą stał się już niepotrzebny i powoli likwiduje się, następne u gen. Ismaya, szefa sztabu Premiera Churchilla. Gen. Ismay odniósł się niesłychanie przychylnie do mego wniosku. Podałem mu dane liczbowe i w przybliżeniu, to co sam wiedziałem, wskazałem rozmieszczenia 3-ej i 4-ej dywizji piechoty oraz innych naszych oddziałów we Francji. Z tego co było mi wiadomo, jednostki te powinny być w Bretanii, a jeżeli nasze władze wojskowe we Francji oceniają sytuację podobnie jak ja w Londynie, to wszystkie oddziały z Bretanii (Rennes i Parthnay) powinny już być w portach atlantyckich, gotowe do załadowania. Ponieważ nasz Rząd R.P. informował nas w Londynie o zamiarze kapitulacji Francji, należałoby przypuszczać, że Sztab Naczelnego Wodza zrobił to, co do niego należało i na czas wydał zarządzenia ewakuacyjne dla tych oddziałów, które nie były użyte na froncie. Ani na chwilę nie wątpię, że innej decyzji oprócz dołączenia do Wielkiej Brytanii i prowadzenia dalszej wojny z Niemcami, być nie mogło.

Nieoficjalnie ogłoszono w dzisiejszej prasie angielskiej warunki pokojowe Niemiec dla Francji. Są one niezwykle ciężkie: Utrata Alzacji i Lotaryngii oraz większej części francuskiej Afryki; Korsyka i Sabaudia z Niceą oraz Tunis dla Włoch.

Na wschodzie Europy Rosja Sowiecka zabezpiecza się na gwałt w obliczu nowej sytuacji we Francji przez całkowite oparcie Państw Bałtyckich. Litwa, Łotwa i Estonia zostały oku-

powane bez reszty przez wojska sowieckie, poprzednie rządy ustąpiły, władzę objęły nowe rządy pro-komunistyczne, ustanowione przez Rosjan. Na Litwie premierem nowego rządu został, znany mi osobiście, dawny redaktor kowieńskiego brukowca „Laiskas”, niejaki ponas Paleckis, uważany zresztą i w latach 1938-1939 za osobnika o poglądach komunistycznych. Prezydent Litwy Antanas Smetona uszedł do Prus Wschodnich, do Niemiec i tam został honorowo internowany wraz z rodziną. Są wiadomości, że z Litwy uszło do Niemiec dużo inteligencji, w tym sporo Polaków.

Jednocześnie mają miejsce jakieś rozmowy niemiecko-rosyjskie. Tu, w Londynie, coraz bardziej ustala się opinia, że Rosja Sowiecka staje się decydującym czynnikiem w tej wojnie i że niebawem musi dojść do jej starcia z Niemcami. Są to poglądy polityków i wojskowych brytyjskich. Takie jest i moje przekonanie: starcie bloku Niemcy — Włochy — Japonia z blokiem Imperium Brytyjskie — Stany Zjednoczone Ameryki — Rosja Sowiecka wydaje się być nieuniknione. Nasze aktualne cele polegają według mnie na tym by: 1) uratować ile się da wojska z Francji, na nowo formować wojsko w Anglii i, o ile będzie to możliwe w Kanadzie i w Stanach Zjednoczonych, 2) utrzymać Prezydenta R.P. i Rząd R.P. w Anglii, 3) poszukiwać porozumienia z Rosją Sowiecką.

Ogólną bazę dla naszych stosunków z Rosją Sowiecką podał mi dzisiaj do wiadomości p. Litauer, przedstawiciel Polskiej Agencji Telegraficznej w Londynie, po długiej rozmowie z przedstawicielem sowieckiego TASS'a. Polska mianowicie ma się wyrzec na zawsze politycznych wpływów wobec Ukrainy i Białejrusi; Rosja Sowiecka uznaje prawo narodu polskiego do posiadania własnego państwa, jako państwa narodowego, jednolitego etnicznie, lecz pozostającego pod polityczną kontrolą Związku Sowieckiego; Rząd gen. Sikorskiego i osoba gen. Sikorskiego, jako premiera i kierownika polityki polskiej, uznawane są przez rząd sowiecki, jako odpowiednie do rozpoczęcia zasadniczych rozmów.

Warunki sowieckie, podane mi przez p. Litauera w tonie beznamiętnym, bardzo spokojnym, brzmią nieprawdopodobnie, twar-do i brutalnie, nawet zważywszy naszą obecną sytuację. Co to znaczy wyrzeczenie się wpływów politycznych w stosunku do Ukrainy i do Białejrusi? Czy chodzi tylko o zaniechanie prometeizmu? Rosjanie wszystkich odcieni zwykli nazywać Zachodnią Ukrainą Małopolską Wschodnią łącznie z czysto polskim Lwowem, a Zachodnią Białorusią nasze województwa wschodnie na wschód od rzeki Bug z odwiecznie — od XVI w. — polski-

mi, względnie spolszczonymi, Wilnem, Grodnem i Nowogródkiem. Więc chodzi Rosji Sowieckiej o ponowną zmianę naszych granic? Kontrola polityczna Związku Sowieckiego nad Państwem Polskim wyraźnie zaprzecza przyznaniu nam przez Rząd Sowiecki prawa posiadania własnego Państwa, bo państwo kontrolowane politycznie przez inne potężniejsze państwo, przestaje być tym pojęciem. Rosja Sowiecka przyznaje więc Polsce prawa państwa quasi-niepodległego i narodowego, jest to coś podobnego, jak z dzisiejszą Litwą, Łotwą i Estonią i niebawem Rumunią. Czy może chodzi o zmianę gruntowną ustroju Polski na ustrój podobny do sowieckiego? Zadałem te wszystkie pytania p. Litaue-
rowi, ale on wysłuchał mnie z nieporuszoną twarzą sfinksa i nie otrzymałem żadnej odpowiedzi, ani przeczącej, ani potwierdzającej.

Decyzje niesłychanie ważne, które może powziąć jedynie Rząd R.P. — podam to wszystko do wiadomości gen. Sikorskiemu.

O godzinie 16.30 mjr. Bryson przyniósł mi dobrą wiadomość, że Prezydent R.P. Władysław Raczkiewicz i gen. Władysław Sikorski są już na pokładzie krążownika „Arethuza” w drodze z Bordeaux do Anglii, ale że Brygada Podhalańska, niestety, odeszła już do Francji na rozkaz dowództwa francuskiego. Mjr Bryson mówił, że batalion brygady ma się znajdować na okrętach w Caën, lub w Cherbourg, reszta zaś brygady odeszła na front.

Sprawa Brygady Podhalańskiej była przedmiotem mojej interwencji w War Office po dowiedzeniu się, że okręty z Brygadą były w dniu 13 czerwca 1940 w porcie brytyjskim w Greenock, o czym nikt nas nie zawiadomił. War Office wzywał płk. Bohdana Kwiecińskiego, aby mu zakomunikować o przejeździe Brygady przez port Greenock. Płk Kwieciński bardzo słusznie odmówił przyjęcia do wiadomości podawanych mu przez Anglików tłumaczeń, że w nawale pracy i pod wpływem wydarzeń na froncie zapomniano nas o tym zawiadomić. Wina, że tak się stało, leży bezprzecnie po stronie gen. Szyszko-Bohusza, dowódcy Podhalańskiej Brygady; mógł on znaleźć sposoby porozumienia się z nami w Londynie, chociażby telefonicznie, tak, jak to było za pierwszym razem, gdy jechał z brygadą do Norwegii. Po dniu 12 czerwca 1940 roku, gdy już wiedziałem o kapitulacyjnych zamiarach Francji, nie wypuściłbym Brygady Podhalańskiej z Anglii pod żadnym pozorem, chyba na wyraźny rozkaz gen. Sikorskiego.

Po wizycie mjr. Brysona prosiłem komandora Tadeusza Stoklasę, naszego attaché morskiego w Londynie, aby sprawdził

w Admiralicji Brytyjskiej, czy istotnie generał Sikorski znajduje się na pokładzie „Arethuzy” razem z Prezydentem Raczkiewiczem i Rządem R.P.

W kilkanaście minut po rozstaniu się z komandorem Stoklasą zadzwonił telefon i rozległ się dobrze mi znany, z lekka ochrypły głos dr. Retingera, który śmiejąc się i dowcipkując powiedział, że gen. Sikorski jest już szczęśliwie w Londynie, w Hotelu Dorchester, że odpoczywa, i że jestem proszony o przybycie tam na godzinę 23-cią wspólnie z admirałem Świrskim i płk. Kwiecińskim.

Z ogromną ulgą przyjąłem tę nader pomyślną wiadomość. Gen. Sikorski jest w Londynie, a więc będą decyzje — można jeszcze uratować wiele naszych sił z pogromu francuskiego.

19 czerwca 1940 roku — godz. 23. 4, Manchester Street. Londyn

Całą poprzednią noc pracowaliśmy z gen. Sikorskim. Generał przyleciał do Londynu z dwoma oficerami: kpt. dypl. Podolskim i adiutantem osobistym por. Władysławem Tyszkiewiczem. Dr Retinger szczęśliwie odnalazł gen. Sikorskiego od razu już w Bordeaux; wszystko udało mu się bardzo pomyślnie — lot w obie strony również — bez żadnego spotkania czy wypadku. Ale o pobycie w Bordeaux Retinger milczy — wyobrażam sobie, że nie musiało tam być zgoła anielsko... Początek wczorajszej konferencji, czy odprawy, był bardzo burzliwy i wskazywał, że gen. Sikorski był u kresu nerwów i sił moralnych; było to po nim znać od pierwszego wejrzenia. Nie znałem go bliżej, ale wydał mi się on w chwili gdy mu się meldowałem, silnie podenerwowany, z twarzą nachmurzoną, jakby nabrzmiałą, i o oczach prawie błędnych czy mało przytomnych. Po dość chłodnym przywitaniu się z admirałem Świrskim, płk Kwiecińskim i ze mną — gen. Sikorski tonem z miejsca bardzo ostrym, prawie że opryskliwym, rzucił admirałowi Świrskiemu pytanie: „Co Pan Admirał zarządził już w sprawie ewakuacji naszego wojska z Francji do Anglii? co Pan uzyskał już od Anglików?” — Biedny admirał Świrski najpierw na dłuższą chwilę zaniemówił z rzeczywistego zaskoczenia tym pytaniem, zaczerwienił się przy tym, a potem trochę niepewnym tonem, jękając się z lekka, odpowiedział: „Panie Generale, ja nie otrzymałem żadnych instrukcji pod tym względem, a ponadto nie jestem zupełnie zorientowany, ile jest naszego wojska we Francji i skąd, z jakich portów francuskich ma być ono ewakuowane”. — Gen. Sikorski zachnął się na to gwałtownie i powiedział coś mało przyjemnego o braku zmysłu

rzeczywistości, braku przewidywań i inicjatywy, co nie powinno cechować wyższych wojskowych... Było widoczne, że jest niezwykle zdenerwowany i po prostu zgnębiony wytworzonym położeniem w związku z całkowitym upadkiem Francji, najmniej przez niego przewidywanym, a przez to i losem naszych sił zbrojnych i Polski. Zarzuty w stosunku do admirała Świrskiego były tego najlepszym dowodem, bo doprawdy admirał Świrski nic absolutnie nie wiedział i nie mógł wiedzieć o ewakuacji z Francji, skoro i my, jako Misja Wojskowa i Attachat Wojskowy, również nic nie wiedzieliśmy. Może słusznie mówił gen. Sikorski o przewidywaniach i o własnej inicjatywie, ale w takim razie...

Zabrałem wobec tego głos i zameldowałem, że nie mając również żadnych instrukcji ani informacji ze Sztabu Naczelnego Wodza w Paryżu już od przeszło dwóch tygodni, omawiałem w sposób przygotowawczy sprawę ewakuacji naszych wojsk z Francji do Anglii w Komitecie Międzyalianckim, w War Office, i z gen. Ismay'em. Poinformowałem gen. Sikorskiego o stanowisku Brytyjczyków, że najchętniej dopomogą nam w sprowadzeniu całości naszego wojska do Anglii. Podkreśliłem, że dotychczas nie otrzymałem od nikogo żadnych wskazówek co do ewakuacji i że wszystko, co już zrobiłem, dokonałem wyłącznie na własną rękę. Najgorsze jest to, meldowałem, że Sztab N.W. we Francji nie informował ani mnie, ani nikogo innego w Londynie o położeniu naszych wojsk we Francji, nie mogłem przeto podać Brytyjczykom wiadomości ile jest naszego wojska i skąd je zamierzamy ewakuować. W tej chwili jest sprawą najważniejszą i najbardziej pilną — mówiłem gen. Sikorskiemu — podanie tych danych do War Office i Admiralicji Brytyjskiej, aby wiedziano, dokąd skierować okręty. Anglicy upewnili mnie, że okręty mogą być we Francji, w oznaczonych portach, po upływie kilku godzin od chwili otrzymania przez nich tych danych.

Po wysłuchaniu mego raportu gen. Sikorski, jak mi się może tylko wydawało, odetchnął głęboko i powiedział, już o wiele miększym tonem: „No, nareszcie coś konkretnego usłyszałem!”.

Od tego momentu rozpoczęła się błyskawicznie szybka praca. Gen. Sikorski wydał szereg rozporządzeń i jeszcze tej samej nocy polecił ambasadorowi Edwardowi Raczyńskiemu, który do nas w międzyczasie dołączył, zorganizowanie na dziś (była już godzina 2 w nocy) rano konferencji z premierem Churchilllem.

Otrzymałem od Generała polecenie prowadzenia z Anglii całości spraw ewakuacji i pełne pełnomocnictwa do przeprowadzenia wszelkich potrzebnych rozmów z władzami brytyjskimi. Gen. Sikorski oddał mi do pomocy kpt. dypl. Podolskiego, zaraz też zasiadłem razem z nim do pracy. Już w czasie tej pierwszej

nocy natrafiłem na poważne trudności. Okazało się, że gen. Sikorski nie znał szczegółów dyslokacyjnych naszych wojsk we Francji, i, niestety, nie znał ich również kpt. Podoski, który był specjalnie wydelegowany z gen. Sikorskim z ramienia Oddziału III Sztabu N.W. — Trzeba było więc operować niedokładnymi danymi i w ogóle trochę improwizować. To, co wiedzieli gen. Sikorski i kpt. Podoski o sytuacji dyslokacyjnej naszego wojska we Francji, przedstawiało następujący obraz:

1 i 2 dywizje piechoty oraz brygada lekka gen. Maczka są na froncie gdzieś w Alzacji i w Lotaryngii, były się dzielnie odpierając natarcia niemieckie; gen. Sikorski — jak mówił — dojechał prawie do 1-ej dywizji piechoty (Grenadierów) i stwierdza, że działała ona bardzo dobrze. Jednostki nie walczące, nie gotowe do działań wojennych, 3 i 4 dywizje piechoty w trakcie organizacji, bez artylerii, bez broni towarzyszącej, reszta brygady lekkiej (przewidziana była dywizja lekka), i centra wyszkoleniowe broni i szkoły podchorążych pozostają w dalszym ciągu, bez żadnej zmiany (!!!) w Bretanii w obszarze Partheney — Rennes — Coëtquidan, instytucje centralne, jak Sztab Naczelnego Wodza, Ministerstwo Spraw Wojskowych oraz inne urzędy wojskowe z Paryża i innych miejscowości Francji zostały już prawie zebrane w Bordeaux. O Brygadzie Podhalańskiej gen. Sikorski nic nie wiedział. Liczebność poszczególnych grup nie była dokładnie znana kpt. Podoskiemu, a więc określiliśmy w przybliżeniu całość naszego wojska we Francji na cyfrę 100.000 ludzi; ponadto przyjęliśmy, że po odliczeniu jednostek, będących na froncie, których ewakuacja jest niemożliwa, chyba że będą przedzierać się pojedynczo lub małymi grupami przez fronty niemieckie, pozostałość w Bretanii i w Bordeaux może wynosić około 40.000 ludzi.

Oprócz naszych wojsk we Francji należało też pamiętać o wydaniu zarządzeń dla grupy lotniczej, znajdującej się w Północnej Afryce, w Casablance, i o Brygadzie Karpackiej pułkownika Kopańskiego, kończącej swoją organizację w Syrii — wobec kapitulacji Francji jednostki te musiały przejść niezwłocznie na obszary brytyjskie, aby nie dostać się do niewoli, względnie, nie zostać internowane.

Zaproponowałem gen. Sikorskiemu, aby zaraz nadać przez radio B.B.C. jawne rozkazy po polsku, po francusku i po angielsku, dla 1, 2 dywizji piechoty, brygady lekkiej gen. Maczka i brygady Karpackiej płk. Kopańskiego, by nie wykonywały rozkazów dowództwa francuskiego o kapitulacji i nie poddawały się wspólnie z jednostkami francuskimi Niemcom. Jednostki, znajdujące się na froncie francuskim, o ile pozwoli im położenie,

mają przebijać się do portów na Atlantyku, a, gdyby to nie było możliwe, to mają niszczyć broń i sprzęt, rozpraszać się na małe grupy i przebijać się w ten sposób wszelkimi drogami do Wielkiej Brytanii, gdzie odtwarzane będzie Wojsko Polskie. Brygada Karpacka w Syrii otrzymała rozkaz przejścia jak najprędzej do Palestyny pod rozkazy i opiekę brytyjską; płk. Stanisław Kopański otrzymał rozkaz, że nie ma dać się rozbroić Francuzom, nawet w razie potrzeby stosując czynny zbrojny opór. Wszyscy dowódcy tej grupy zostali poinformowani, że Polskie Siły Zbrojne przechodzą do Anglii i że Polska nadal się bije przeciwko Niemcom, jako sojuszniczka — jedyna — Wielkiej Brytanii.

Amb. Raczyński, dr Retinger i płk Kwieciński jeszcze w ciągu tejże nocy zorganizowali nadanie tych rozkazów w trzech językach przez radiostację B.B.C. oraz przez radiostację War Office dla Brygady Karpackiej. Prosiłszy War Office o zakomunikowanie tych rozkazów wszystkim zainteresowanym dowódcom brytyjskim. Podobne zarządzenia otrzymał również admirał Świrski dla omówienia z Admiralicją Brytyjską, ponieważ zależało nam na wydobyciu z portów francuskich i spod kompetencji Francuzów wszystkich jednostek naszej floty handlowej.

Około godziny 5-ej rano ukończyliśmy naszą pracę. Gen. Sikorski poszedł spać nieco wcześniej. Raniutko, gdy wychodziłem z Hotelu Dorchester, dopiero leniwie wstawało słońce, zapowiadał się piękny dzień czerwcowy w zazwyczaj ciężko mglistym i raczej pochmurnym Londynie. W położonym naprzeciwko Hyde Parku nisko leżała lekka poranna mgła, owijając w swoich oparach drzewa, krzewy i nielicznych przechodniów. Postanowiłem pójść piechotą do mego mieszkania przez Hyde Park aż do Oxford Street, aby odetchnąć nieco świeżym powietrzem poranka po męczącej i pełnej niezwykłych przejść nocy.

Więc koniec epopei francuskiej, jak niegdyś za Napoleona; jesteśmy związani z Anglią na okres tej wojny!

Dziś od wczesnego rana uruchomiłem War Office (gen. Beaumont-Nesbitt i płk Carlisle), Admiralicję (przez komandora Stoklasę), Komitet Międzyzaliancki (generał Marshall-Cornwall i komandor Clarke), a także generała Ismaya i jego biuro. Wszędzie byłem osobiście i wszystkim podałem, zgodnie z poleceniami gen. Sikorskiego, że nasze jednostki wojskowe mają być ewakuowane z Francji do Anglii i że będą nadchodziły do francuskich portów Brest, Lorient, St. Nazaire, La Rochelle i Bordeaux. Prosiłem o skierowanie jak najprędzej okrętów do tych portów. Największe zgrupowanie może być w portach St. Nazaire i La Rochelle, ponieważ są to porty najbliższe rejonów

zakwaterowania 3, 4 dywizji piechoty oraz ośrodków wyszkoleniowych. W Bordeaux są nasze sztaby i liczne grupy oficerów z południowej Francji (ze stacji zbórnych). Prosiłem również o przyjmowanie na okręty brytyjskie rodzin wojskowych i osób cywilnych, pozostających pod opieką wojska. Najwięcej było kłopotów z podaniem Anglikom wskazówek, co do jedynej bojowej jednostki, którą ewentualnie w całości można byłoby uratować, a mianowicie, co do Brygady Podhalańskiej. Niestety, nikt z nas nic konkretnego nie wiedział. Ustaliłem z Anglikami (gen. Ismay i szef operacji w Admiralicji), że będzie wysłany zespół kontr-torpedowców do Cherbourga, który przeprowadzi rozpoznanie w porcie, wysadzi partię na ląd i będzie czekał na redzie Cherbourga co najmniej dwie doby, a w wypadku, gdyby nie znalazł tam Brygady Podhalańskiej, ma szukać jej w innych portach przez utrzymywanie łączności z wysłanymi tam morskimi jednostkami brytyjskimi. Muszę tu specjalnie podkreślić, że wszyscy bez wyjątku generałowie, admirałowie i wyżsi oficerowie Brytyjczycy okazali nadzwyczajną życzliwość dla sprawy naszej ewakuacji z Francji do Anglii. Najwidoczniej podobała się im prawdziwie rycerska decyzja gen. Sikorskiego: walczyć aż do zwycięstwa przeciwko Niemcom. Pracowali oni wspólnie z nami w tym dniu z rzetelnym zapałem i poświęceniem, tak jakby chodziło o ich własnych ludzi.

W czasie, gdy prowadziłem tę konferencję u gen. Nesbitt'a, nadeszło polecenie od premiera Churchilla, aby były wykonywane wszelkie życzenia Polaków, dotyczące ewakuacji. Stanowiło to bezpośrednie następstwo rozmowy gen. Sikorskiego z Winstonem Churchillem.

Po południu byłem u gen. Sikorskiego w Hotelu Dorchester, aby zdać sprawozdanie z dokonanych prac. Zastałem Generała najzupełniej odrodzonego, w doskonałym nastroju, całkowicie innego niż był wczoraj. Twarz mu promieniała, a oczy błyszczały radośnie. Powitał mnie głośnym okrzykiem: „Zawarłem dzisiaj sojusz na śmierć i życie z Churchillem! Sojusz Polski z Anglią aż do ostatecznego zwycięstwa nad Niemcami!”. Potem opowiedział mi o całej rozmowie z Churchillem, która zakończyła się długim, serdecznym uściskiem dłoni i wzajemnym ślubowaniem: „aż do pełnego zwycięstwa nad Niemcami!”. Gen. Sikorski wyrażał się z wielkim entuzjazmem i niekłamany podziwem o Winstonie Churchillu, jako o wielkim mężu stanu światowego autorytetu. Generał mówił, że podobali się sobie nawzajem i zawarli osobistą przyjaźń i powiedział mi o zleceniach, które w jego obecności Churchill wydał telefonicznie do War Office i do Admiralicji.

Informuję Generała, że już wiem o tym i że skutki tego zlecenia są już widoczne, ale, że i bez tych poleceń Brytyjczycy robią wszystko, co jest w ich mocy ażeby nam pomóc.

Gen. Sikorski oświadcza, że zaraz chce wracać do Francji i osobiście kierować akcją ewakuacyjną naszego wojska. Obecni przy tym amb. Raczyński a zwłaszcza dr Retinger wysuwają poważne obiekcje, że Generał nic tam nie pomoże, a tu, w Londynie, jest właśnie teraz najbardziej potrzebny. „Nie trzeba zresztą zbytnio i przesadnie igrać z losem — mówi dr Retinger. — Generał nie może i nie powinien ryzykować swojego życia, bo jest ono potrzebne dla Polski”. Rozmowa ta prowadzona jest przy czarnej kawie poobiednej, jest więc zupełnie swobodna i nieoficjalna. Korzystam z tego i odwołuję dr Retingera pod byle jakim pretekstem do przyległego pokoju na chwilę, i tam tłumaczę mu, że namawiając Generała do pozostania w Londynie teraz, w tej sytuacji, naraża Go na nieobliczalną krytykę ze strony naszego wojska, a w szczególności na bezlitosną i bezwzględną krytykę tych, którzy są mu przeciwni. Generał, mówię Retingerowi, nie może zachować się w tym wypadku, tak, jak zachowali się inni generałowie we wrześniu 1939 roku, którzy znaleźli się bezpiecznie zagranicą dużo wcześniej niż pierwsze oddziały wojska. Generał Sikorski nie może narażać się na tego rodzaju zarzuty, bo oczekuje Go wielka, ciężka i wysoce odpowiedzialna praca przez całą wojnę dla Polski, a po wojnie jeszcze większe i trudniejsze obowiązki w Polsce. Generał powinien bezwarunkowo powrócić do Bordeaux, wydać na miejscu potrzebne zlecenia, podnieść przez swoją obecność ducha w wojsku i potem może powrócić do Londynu. Jestem pewien, mówię, że Anglicy dadzą Generałowi samolot do dyspozycji na czas potrzebny. Nie wiem, czy dr Retinger powtórzył to wszystko Sikorskiemu, bo, gdy wychodziłem decyzja jeszcze nie zapadła.

Przerzuciłem pobieżnie komunikaty: sytuacja na froncie: całkowity rozkład i rozpad wojska francuskiego, całe pułki rozchodzą się, żołnierze porzucają broń i idą bezładnymi masami do swych domów. Niemcy zajmują Francję przy pomocy patroli motocyklistów, nie oddając ani jednego strzału. Żadnych walk już nie ma. A jednak we wrześniu, nawet w październiku, 1939 roku było nieco inaczej w Polsce: biliśmy się z Niemcami do ostatniej kropli krwi.

Późno wieczorem mjr. Bryson zapytał mnie, jak wyobrażamy sobie rozlokowanie polskiego wojska po przybyciu jego do Anglii. Ze strony War Office sugerują dla nas Szkocję, ponieważ jest tam więcej miejsca i ponieważ w razie inwazji niemieckiej Szkocja będzie mniej narażona na ataki niemieckie. Polskie woj-

sko nie posiada pełnego uzbrojenia — mówił Bryson, a poza tym po ewakuacji z Francji nie będzie organizacyjnie w porządku, lepiej więc, aby nie znalazło się od razu w sferze działań wojennych. Przyznałem mu rację, ale zastrzegłem sobie ostateczną odpowiedź po przedstawieniu tego gen. Sikorskiemu. Następnie Bryson, z zażenowaną miną, zakłopotany i mocno przepraszając, wyksztusił, że, niestety, wojsko nasze będzie musiało pozostawać przez pewien czas pod namiotami, zanim przygotowane będą odpowiednie pomieszczenia. Uspokoilem go mówiąc, że to nic nowego dla polskich żołnierzy spać w namiotach. Potem ustaliliśmy z mjr. Brysonem porty wylądowania i punkty zborne dla żołnierzy przybywających z Francji. Wyzaczyłem oficerów łącznikowych do każdego portu wylądowania — wypożyczył mi ich admirał Świrski z kadry Marynarki Wojennej. Na pierwszego komendanta obozu zbornego w Szkocji (Glasgow) wyznaczyłem w imieniu Naczelnego Wodza komandora Zajązkowskiego.

25 czerwca 1940 roku. Londyn

21 czerwca 1940 roku przyjechał do Londynu Prezydent RP. Władysław Raczkiewicz i był powitany na dworcu Paddington osobiście przez króla Jerzego VI. — Na dworcu witali również Prezydenta przedstawiciele polskich władz w Londynie na czele z ambasadorem Edwardem Raczynskim i ze mną, jako szefem Misji Wojskowej. Przy tej okazji byłem przedstawiony królowi Jerzemu VI przez ambasadora Raczynskiego. Jerzy VI posiada majestat królewski, jest bardzo postawny, ma bardzo przyjemny uśmiech, tylko nic nie mówi: jąka się rzekomo. Jerzy VI podał mi rękę bez słowa i tylko bardzo uważnie na mnie spojrzał. Prezydent Raczkiewicz robi doskonałe wrażenie. Świetnie ubrany, mówiący swobodnie po francusku, spotkał króla Jerzego VI z pełnym dostojeństwem. Tym samym pociągim, po podróży morskiej na „Arethuzie”, przyjechał także płk. dypl. Tadeusz Klimecki, nowomianowany Szef Sztabu Naczelnego Wodza.

Rozpoczynamy więc nowy etap naszej tułaczki na obczyźnie: z Polski do Francji — wrzesień 1939, z Francji do Anglii — czerwiec 1940...

Londyn staje się tymczasową siedzibą Prezydenta i Rządu R.P., odnośnie Sztabu Naczelnego Wodza, decyzja jeszcze nie zapadła.

Generał francuski de Gaulle organizuje w Londynie, z pomocą Churchilla Francuski Komitet Narodowy dla prowadzenia

dalszej wojny przeciwko Niemcom, po sromotnej klęsce, jaką była kapitulacja Francji pod rządami Pétaina. Intencją de Gaulle'a i Churchilla jest, aby Komitet Francuski objął pod swoją władzę obszary Imperium Francuskiego w Afryce i w Azji i przede wszystkim flotę wojenną francuską.

Gen. de Gaulle działa bardzo energicznie. Wspaniale, porywająco przemawia przez radio B.B.C. do narodu francuskiego. Poznałem go osobiście, gdy był z wizytą u gen. Sikorskiego w Hotelu Dorchester, w dniu 19 czerwca br. De Gaulle jest człowiekiem o prawdziwie imponującej postaci: istny wielkolud, olbrzymiego wzrostu, nie jestem i ja ułomkiem, ale patrzyłem mu w oczy, zadzierając głowę do góry. W wyrazie twarzy gen. de Gaulle'a uderza coś niecodziennego, coś niezwykłego, jakiś mistycyzm, jakaś siła nadprzyrodzona. Gen. Sikorski przemawiał wczoraj przez radio (B.B.C.). Była to oficjalna deklaracja Rządu Rzeczypospolitej Polskiej z Londynu o dalszym prowadzeniu przez Polskę wojny przy boku Wielkiej Brytanii aż do ostatecznego zwycięstwa nad Niemcami. W mowie tej gen. Sikorski dał upust swojemu uczuciowemu stanowisku względem Francji, mianowicie wyraził nadzieję, że naród francuski odrodzi się po klęsce, jaką poniósł. Wyobrażam sobie, jak dużo musiały go kosztować te słowa — przecież on sam tak mocno wierzył w potęgę Francji — i aż do ostatniej chwili... A propos, w mowie swojej gen. Sikorski porównał działania Hitlera z... Napoleonem! Nie należę do żarliwych zwolenników poczynań politycznych Napoleona, zwłaszcza w odniesieniu do Rzeczypospolitej Polskiej, ale przecież jest kolosalna różnica między nimi.

Poza tym gen. Sikorski wygłosił następujące wytyczne dla kraju: wojna z Niemcami nie jest skończona, trwać mocno i wierzyć w nasze zwycięstwo.

Między 20 a 23 czerwca br. gen. Sikorski był w Bordeaux. Powrócił w towarzystwie gen. Sosnkowskiego. Byłem u gen. Sikorskiego natychmiast po jego powrocie i zastałem obu generałów w jak najlepszej komitywie, mówiących do siebie po imieniu i zjadających obiad z jakąś tam butelczyną wina. Gdybym nie wiedział, co w trawie piszczy, to bym uwierzył własnym oczom...

We Francji na kierownika ewakuacji wyznaczony został gen. Marian Kukiel, do pomocy przydzielono mu gen. Stanisława Burhard-Bukackiego.

Codziennie widuję gen. Sikorskiego i towarzyszę mu we wszystkich wojskowych oficjalnych wizytach. Gen. Sikorski zdobywa sobie w Anglii wielki szacunek i ogromną popularność. Prasa angielska jest teraz codziennie pełna spraw polskich. Zdaje

się, że nie bez kozery jest tu duży wpływ rządu brytyjskiego, a właściwie Churchilla. Stajemy się, my, żołnierze polscy, ulubionymi faworytami angielskiej publiczności; mundur polski witalny jest wszędzie, w całej Anglii i w Szkocji, z oznakami poważania i widocznej życzliwości. Polskie Siły Zbrojne są obecnie *jedynym* walczącym sprzymierzeńcem Wielkiej Brytanii. Rozmowa gen. Sikorskiego z Winstonem Churchilllem została ogłoszona przez całą prasę angielską w formie bardzo uroczystej. *Poland semper fidelis...* — piszą gazety angielskie.

Ewakuacja z Francji, pomimo nieopisanego zamętu, jaki tam panuje, poszła nadspodziewanie pomyślnie i gładko. Straciłszy wprowadzić wszystkie bojowe jednostki (dwie dywizje piechoty, brygadę strzelców Podhalańskich i brygadę lekką) nie mogły się przedostać z frontu do portów atlantyckich, ale udało się wywieźć znaczną liczbę żołnierzy z formacji niezaangażowanych na froncie i będących przeważnie w Bretanii.

Z brygady strzelców Podhalańskich uratowany został jeden (niecały) batalion, którego dowódca mjr. dypl. Władysław Dec na wiadomość o kapitulacji Francji odmówił kategorycznie wyłączenia się w Cherbourgu bez pisemnego rozkazu gen. Sikorskiego. Był to 2-gi batalion strzelców Podhalańskich, który miał to szczęście, że przybył do portu w Cherbourgu ostatni, opóźnionym transportem z Norwegii via Szkocję — Greenock. Gen. Szyszko-Bohusz mógł uratować całą swoją brygadę, gdyby w Greenock, dał nam znać do Londynu o swoim przybyciu.

Uratowane są również dwa bataliony z lekkiej brygady gen. Maczka, które nie były na froncie; wyprowadził je do portów płk. dypl. Kazimierz Dworak, dzielny dowódca 24 pułku ułanów w kampanii wrześniowej, a we Francji zastępca dowódcy brygady lekkiej. Dwa bataliony zmotoryzowane są to w rzeczywistości dawne pułki kawalerii zmotoryzowanej z 10 brygady kawalerii z Polski: 24 pułk ułanów i 10 pułk strzelców konnych ze swoimi dawnymi Sztandarami, z oficerami, podoficerami i z dużą częścią ułanów i strzelców konnych.

Poza tym mamy już pewne dane, że żołnierze z jednostek bojowych, z wyjątkiem 2-ej dywizji piechoty, która uszła Niemcom do Szwajcarii i jest tam internowana, przedzierają się małymi grupami i pojedynczo do portów francuskich. Mamy też wiadomości, że po całej Francji odbywa się masowa wędrówka żołnierzy-Polaków, ciągnących na rozkaz gen. Sikorskiego na zachód, do portów atlantyckich, albo na południe do portów, prowadzących do Afryki. Pamiętając naszą historię, historię czasów Napoleońskich, a ostatnio epickie przygody polskich żołnierzy w wędrówce z Polski do Francji przez całą Europę, jestem pewny,

że przynajmniej pewien odsetek żołnierzy z Francji znajdzie się w Anglii już w niedalekiej przyszłości.

Dotychczas ewakuacja z Francji dała nam około 20.000 żołnierzy, w tym około 6000 oficerów. Nadmiar oficerów będzie problemem bardzo trudnym do rozwiązania. Zwłaszcza, że są to w dużej ilości oficerowie starsi wiekiem, nie liniowi, ze stanu spoczynku i z dawnej rezerwy. Należy nieustannie pamiętać, że kwiat i elita polskiego korpusu oficerskiego, przeważająca większość dowódców liniowych wszystkich szczebli — dostała się po kampanii wrześniowej 1939 roku do niewoli niemieckiej, względnie sowieckiej, a ostatnio po niefortunnej kampanii we Francji, znowu do niewoli niemieckiej. Oddziałów, jako tako zorganizowanych, przybyło do Anglii bardzo niewiele: niepełny batalion strzelców Podhalańskich, część brygady lekkiej: 24 pułk ułanów i 10 pułk strzelców konnych, część związków oddziałów z 3-ej a zwłaszcza z 4-ej dywizji piechoty, które jeszcze nie były gotowe organizacyjnie do użycia na froncie (brak artylerii i broni), resztki szkół podchorążych oraz bardzo liczne ośrodki zapasowe, stacje zborne oficerskie itp. Ponadto w pełnym komplecie przybyła, popularnie zwana przez całe polskie wojsko we Francji osławiona „Regina”, to znaczy Sztab Naczelnego Wodza i Ministerstwo Spraw Wojskowych, które mieściły się w Paryżu w Hotelu „Regina”. Razem z ewakuowanym wojskiem przybyło do Anglii parę tysięcy osób cywilnych, w większości kobiety, nawet z dziećmi; są to przeważnie rodziny wojskowych.

Wartość bojowa ewakuowanych 20.000 żołnierzy, jest obecnie żadna. Musimy i będziemy organizowali się na nowo. Tym razem, jak sądzę, na modłę angielską, we Francji bowiem robiliśmy wszystko po francusku... do mundurów naszych włącznie.

Myślę, że stadium organizacyjne potrwa dobrych kilka miesięcy. Płk Klimecki, nowy Szef Sztabu N.W., przewiduje sformowanie dwóch brygad piechoty i jednej brygady pancernej, ale czy starczy na to żołnierzy? — W każdym razie będą to bardzo skromne siły wojska lądowego, lecz po doliczeniu do tego Marynarki Wojennej i Lotnictwa, znajdujących się już w Anglii w sile około 3000, oraz Brygady Karpackiej (około 2500) będzie to związek na lepsze czasy, które muszą kiedyś nadejść.

Nasze wojsko jest już całe w zimnej (w końcu czerwca!) Szkocji, w licznych obozach, pod płóciennymi namiotami. Żołnierze nasi, przeważnie starsi oficerowie, narzekają, sarkają i wymyślają, po prostu klną, że jest zimno i wilgotno. Rzeczywiście, klimat szkocki jest ciężki i nieprzyjemny, ale przecież rdzenni Szkoci słyną z dobrego zdrowia i z długowieczności. Zresztą, zgodnie z obietnicą War Office, jest to tylko przejście-

we, do czasu przygotowania dla nas odpowiednich pomieszczeń.

Sztab Naczelnego Wodza jest na razie w Londynie; zbiera się powoli i „urzęduje” przeważnie u mnie w Misji Wojskowej i w attachacie wojskowym. Oficerowie Sztabu N.W. kwaterują w pobliskim Hotelu Redbourne, który specjalnie dla nich prawie w całości zakontraktowałem.

Prowadzę rozmowy z War Office, co do ulokowania Sztabu N.W. Gen. Sikorski nie jest jeszcze zdecydowany, czy pozostawić Sztab w Londynie, czy też umieścić go w pobliżu wojska w Szkocji. Płk Klimecki wolałby to drugie rozwiązanie, przeprowadzając maksymalną redukcję dawnej, smutnej pamięci „Reginy”. Klimecki w rozmowie ze mną przyznał, że niechętnie patrzy na pewne przerosty i dodatki w Sztabie N.W. i do Sztabu N.W.; chciałby, żeby to był czysty i idealny sztab strategiczno-operacyjny, broni się przed wszelką tzw. „polityką”, nawet zagraniczną. Mówię mu, że strategia z polityką zagraniczną zawsze stanowią nierozdzielną całość, ale to nie wiele pomaga. Klimecki jest *par excellence* zawodowym wojskowym. Jednak ja myślę, że gen. Sikorski powinien być w Londynie, a nawet musi być tutaj, jako Premier Rządu R.P., więc, a właściwie na pewno, Sztab N.W. pozostanie w Londynie.

30 czerwca 1940 roku. Londyn

Ogólna sytuacja wojskowo-polityczna jest bardzo niejasna. Nacisk Rosji Sowieckiej na państwa bałtyckie i na Rumunię jest stanowczo posunięciem wymierzonym przeciwko Niemcom. Posunięcia te aczkolwiek rzekomo czynione za wiedzą Niemców musiały niemile zastanowić Hitlera i Mussoliniego. Chodzi bowiem o cały rejon bałkański, który dziś grozi wybuchem wojny i zatem pozbawieniem Niemiec i Włoch benzyny i żywnościowego śpi-chlerza bałkańskiego.

Przewidywałem od dawna, bo jeszcze na jesieni 1939 roku, że Niemcy i Rosja muszą spotkać się orężnie i to w trakcie trwania tej wojny. Niemcy w tej wojnie pragną bić się tylko na jednym, jedynym, froncie, pamiętając dokładnie doświadczenia z pierwszej wojny światowej że bijąc się na dwóch frontach bezwzględnie przegrają. Wojna pomiędzy Niemcami a Rosją, jako decydująca batalia o panowanie nad Europą, wydaje się być nieunikniona. Obecny dylemat niemiecki polega na wyborze: najpierw Anglia, a potem Rosja, czy też odwrotnie?

Gen. Sikorski wezwał mnie wczoraj do siebie celem omówienia sprawy objęcia przeze mnie szefostwa Oddziału II Sztabu

N.W. Na początku rozmowy Generał wypowiedział swoją opinię o przedwojennej działalności Oddziału II. Opinia ta była na ogół dodatnia, jeżeli chodzi o wyniki pracy wywiadu polskiego przeciwko Niemcom. Generał stwierdził, że dane Oddziału II, dotyczące rozpoznania niemieckich przygotowań do wojny i w szczególności obrazu niemieckiej koncentracji i *ordre de bataille*, były bez zarzutu dobre i potwierdzają się obecnie. Natomiast skrytykował bardzo ostro, nie przebieając w słowach, używanie oficerów Oddziału II do wewnętrznej działalności politycznej w Polsce, zarzucając niektórym byłym oficerom Oddziału II czynny udział w sprawie Brzeskiej i w szeregu intryg i aktów terroru politycznego przeciwko osobom i grupom politycznym, będącym w opozycji do obozu rządzącego. Zarzuty gen. Sikorskiego skierowane były w szczególności przeciwko kontrwywiadowi, który nazwał: „policją polityczną reżymu pomajowego”.



Dalsza rozmowa zeszła na sprawy ogólne i na naszą politykę zagraniczną. Gen. Sikorski uważa, że w obecnej sytuacji zarówno naszej jak i alianckiej, zagadnieniem kluczowym jest sprawa stosunków niemiecko-rosyjskich. Zdaniem Generała konflikt zbrojny pomiędzy Niemcami a Rosją jest nieunikniony. Omawiając te sprawy, Generał stwierdził, że popełniliśmy wiele błędów, które nie pozwoliły na zawarcie sojuszu antyniemieckiego już w roku 1935, a potem w latach 1938 i 1939; gdyby był zawarty sojusz zachodnich mocarstw z Rosją Sowiecką, to nie doszłoby do wojny w ogóle. Gen. Sikorski odwołał się do swoich artykułów, pisanych przed wojną, w których nieustannie podnosił, że jedyną słuszną polityką Polski, dopóki jest sama, jest oparcie się na ścisłym sojuszu z Czechosłowacją i z Rosją Sowiecką oraz na żywej przyjaźni i sojuszach wojennych z zachodnimi mocarstwami.

Miałem prawdziwą przyjemność stwierdzić wobec gen. Sikorskiego, że są to i moje własne tezy.

Następnie gen. Sikorski powiedział mi, że już panowie Litauer i dr Retinger referowali mu warunki, na jakich można by teraz spróbować rozmawiać z Rządem Sowieckim, zmierzając do ułożenia przyszłych powojennych stosunków. Generał jest osobście zwolennikiem szukania już obecnie porozumienia z Rosją Sowiecką i natychmiastowego rozpoczęcia bezpośrednich rozmów, tym bardziej uważa to za potrzebne, że jest całkowicie poinformowany o poczynionych już krokach Rządu Brytyjskiego w celu doprowadzenia do współpracy z Rosją. Uważa jednak, że wa-

runki podane przez Rosję Sowiecką za pośrednictwem p. Litauera, są bardzo niejasne, zbyt grubo wygórowane, graniczące z bezczelnością, a właściwie nie do przyjęcia. Sprawa ta wymaga więc dokładnego, aż do szczegółów, przestudiowania, a później uchwały Rady Ministrów.

Była to moja pierwsza dłuższa i poważniejsza rozmowa z gen. Sikorskim. Nabrałem po niej wielkiego szacunku dla jego rozumu i przezorności politycznej i dla jego słuszych, w moim pojęciu, przewidywań. Wodzem Narodu bowiem może być tylko mąż stanu, który zdolny jest przewidzieć wydarzenia polityczne na wiele lat naprzód.



Mjr Bryson mówił mi wczoraj, że pewne sfery brytyjskie wywierają bardzo poważne naciski na Rząd Brytyjski, aby zakończyć wojnę i przyjąć niemieckie oferty pokojowe. Mjr Bryson, który jest gorącym patriotą angielskim i całego Imperium Brytyjskiego, zagorzałym rojalistą, który z całej duszy nienawidzi Niemców, nazwał z prawdziwym oburzeniem zwolenników tego kierunku „piątą kolumną”.

Nasze polskie życie w Anglii, na „wyspiarskiej kępie”, jak ją nazwał jeden z naszych żołnierzy, podjeżdżając okrętem do brzegów angielskich: „O rany, z tej kępy to nawet nie będzie gdzie wiać!” — normalizuje się coraz bardziej. Organizujemy się powoli. Są jednak poważne niedomagania: dużo niezdecydowanych pociągnięć personalnych, mnóstwo projektów, najczęściej mało realnych i niezawsze najpotrzebniejszych, dużo zamieszania i kręcenia się w kółko, jednak pomimo to, zrobiliśmy już naprawdę dużo. Z Francji wyjechały gorsze, drugorzędne kadry i niedobitki wojska, a mam pełną nadzieję, iż po paru miesiącach staniemy się ponownie wojskiem. Anglicy poszli nam na rękę i bardzo dopomagają. Ewakuacja z Francji została wykonana przez ich okręty bardzo sprawnie i z ogromnym szczęściem: wszystkie statki doszły cało do brzegów angielskich.

2 lipca 1940 roku. Londyn

Pracuję jeszcze ciągle, jako szef Misji Wojskowej, względnie jako przedstawiciel Polskiego Naczelnego Wodza do Komitetu Miedzialianckiego — zresztą „tytuł” jest rzeczą obojętną. Istotne jest to, że Misja Wojskowa właściwie spełnia dotychczas funkcję Sztabu N.W., który dalej nie ma lokalu i jest ciągle

rozproszony. Niesłuchanie wolno postępują sprawy organizacji wojska i umowy, a Sztab N.W. właściwie nie funkcjonuje. Ogólnie muszę stwierdzić, że nastąpił po opuszczeniu Francji, w związku z jej kapitulacją, pewien rozkład moralny i u nas. Przeglądam się bliżej i uważniej oficerom sztabu i w ogóle ludziom z naszego wojska i spoza wojska, którzy przybyli z Francji do Londynu. Muszę powiedzieć, że spostrzeżenia moje nie są zbyt pocieszające; nie wszystko jest w porządku; są pewne, na szczęście nie nagminne i nie powszechne, niedobre oznaki. Wielu ludzi myśli o ratowaniu, co się da, a w szczególności siebie samych. Są wypadki zupełnie defetystycznych, panikarskich nastrojów; niektórzy mówią, że wojna jest całkowicie przegrana, że nie ma żadnego sensu dalej walczyć, że trzeba się poddać losowi i Niemcom. Są także przykre objawy hysterii, podejrzeń i absurdalnych wzajemnych posądzeń o różne rzekome występki. Wydarzenia związane z ewakuacją naszego wojska z Francji dały temu bogatą pożywkę; praktycznie nie było ani jednego wyższego oficera, nie wyłączając osoby Naczelnego Wodza, któremu by czegoś nie zarzucano w związku z opuszczeniem Francji.

Po „polskim” Londynie, w okolicach New Cavendish Street i Welbeck Street, kręci się nieustannie mnóstwo polskich oficerów, podchorążych, podoficerów, szeregowców z cenzusem i bez cenzusu, a przede wszystkim masa kobiet, żon, córek i krewnych wojskowych różnych stopni. Wszyscy oni mają pilne i ważne sprawy osobiste do załatwienia, które sprowadzają się w zasadzie do urządzenia się jakoś w Londynie, w „nowej Reginie”.

Moje biuro i attachaty (55 New Cavendish Street) są permanentnie oblegane od wczesnego ranka do późnego wieczora przez setki interesantów; dzieje się tu coś podobnego, jak to miało miejsce w Kownie we wrześniu 1939 r.

4 lipca 1940 roku. 4, Manchester Street. Londyn

Brygadier Bridge, wyznaczony na szefa misji łącznikowej przy naszym Sztapie N.W., nagabywany przeze mnie nieustannie, daje od jutra Hotel Clifton dla sztabu, jako pomieszczenie tymczasowe; za kilka tygodni mamy otrzymać coś lepszego i bardziej obszernego.

Z brygadierem Bridge, dawnym (w roku 1925) attaché wojskowym w Warszawie, zawarłem z miejsca dobre stosunki, chociaż on, mimo długiego pobytu w Polsce, nie rozumie ani słowa po polsku, a mój angielski jeszcze wyraźnie szwankuje. Brygadier Bridge, oficer kawalerii, bardzo elegancki, postawny,

o przystojnej twarzy, z pięknym czarnym, przystrzyżonym wąsem, zawsze z trzcinką obszytą skórą pod lewą pachą, w nieskazitelnie skrojonym mundurze z czerwonymi patkami, wygląda okazale. Co prawda, chciałby on, aby mu podlegał bez reszty cały Sztab Naczelnego Wodza, jeśli nie całe wojsko polskie, ale jakoś potrafimy mu to wytłumaczyć i wybić z głowy...

8 lipca 1940 roku. Londyn

Od trzech tygodni jesteśmy suwerenną Rzeczypospolitą Polską — na wygnaniu (*in exile*) — w Anglii.

Prezydent i Rząd R.P., Naczelný Wódz Polskich Sił Zbrojnych ze Sztabem N.W. są w Londynie. Całe wojsko lądowe jest rozlokowane w Szkocji, w okolicach Glasgow i pod Edynburgiem. Lotnictwo nasze znajduje się w okolicach Londynu. Organizacja wojska lądowego postąpiła bardzo naprzód; urzędy cywilne — ministerstwa — również doprowadzają się do porządku po ewakuacji z Francji. Na wszystkich odcinkach można zauważyć więcej ładu w porównaniu z sytuacją, jaka istniała we Francji. Nawet skrajni pesymiści, przysięgli krytycy „Reginy”, powiadają, że małżeństwo „Reginy” z „Cliftonem” wyszło bardzo na dobre Reginie... Przypuszczam, że ma tu znaczenie w największym stopniu uporządkowany sposób życia angielskiego.

Zawieramy umowy wojskową i lotniczą z rządem brytyjskim. Gen. Sikorski powierzył mi prowadzenie umów dotyczących wojska lądowego; ze strony brytyjskiej wyznaczony został do tej sprawy przez War Office gen. Wallace. Rozmowy moje z gen. Wallace na ten temat idą na ogół gładko i w tym miesiącu sprawa umowy będzie zakończona.

Z dobrych wiadomości trzeba zanotować nad wyraz pomyślne przejście Brygady Karpackiej z Syrii do Palestyny, spod władzy Francuzów do Anglików. Płk dypl. Stanisław Kopański wykonał skrupulatnie rozkaz gen. Sikorskiego i spisał się ponad wszelkie pochwały. Francuzi początkowo zamierzali rozbroić brygadę, usiłowali nawet odebrać amunicję i działa. Płk Kopański zagroził oporem zbrojnym, niczego nie oddał i z całą Brygadą Karpacką, około 3000 ludzi, z pełnym uzbrojeniem, wyposażeniem i taborem przemaszerował do Anglików, do Palestyny. Anglicy, w War Office, są zachwyceni tym wyczynem Kopańskiego i nie mają słów uznania dla niego i dla jego żołnierzy. Gen. Sikorski w uznaniu tych zasług mianuje Kopańskiego generałem brygady. W moim i Klimeckiego mniemaniu jest to

niedużo wcześniej, można by z tym awansem poczekać do pierwszej bitwy jego brygady.

Następną dobrą wiadomością jest znaczne powiększenie się naszych stanów liczebnych. Tak jak przypuszczałem, nasza dzielna wiara żołnierska wszystkimi możliwymi drogami jedzie na „Kępę”. Powiedzonko to rozeszło się w mig po całym naszym wojsku.



Gen. Sikorski, jak zdołałem się już zorientować, ma przeciwko sobie bardzo dużą opozycję. Należą do niej wszyscy, prawie bez wyjątku, ludzie, przynależni w ten lub w inny sposób do politycznej grupy, rządzącej Polską przed rokiem 1939. W wojsku opozycją są Legioniści, przeważnie z I brygady, poza tym, wszyscy tak zwani „pokrzywdzeni”, to znaczy ci, którzy nie otrzymali odpowiednich dla siebie stanowisk, do których aspirowali w wojsku odtwarzanym we Francji i obecnie w Anglii. Stosunki gen. Sikorskiego z prezydentem Raczkiewiczem wydają mi się mocno naciągnięte, przy zachowaniu pozorów wzajemnej kurtuazji. Stosunki z gen. Sosnkowskim są również bardzo niewyraźne; cała opozycja stoi murem za Sosnkowskim i wysuwa go, wprost forsuje, na stanowisko Naczelnego Wodza Polskich Sił Zbrojnych. W obecnej chwili organizowana jest przez opozycję akcja przeciwko gen. Sikorskiemu za pozostawienie wojska we Francji i nieudolnie przeprowadzoną ewakuację naszych wojsk z Francji. Na ten temat głośno puszcza się po całym wojsku nieprawdopodobne kalumnie na gen. Sikorskiego, po prostu oszczerstwa. Można gen. Sikorskiemu postawić zarzut, że zbyt ufał Francji i uwierzył w jej potęgę, że umowa wojskowa z Francją o użyciu naszego wojska była źle przeprowadzona, że nie zawarowano w niej użycia naszych dywizji, jako całości i pod naszym dowództwem, ale w sprawie samej ewakuacji z Francji gen. Sikorski zrobił więcej, niżeli mógłby zrobić ktokolwiek inny, będąc na jego miejscu. Z Francji uratowano wszystko, co można było fizycznie uratować. Gen. Sikorski nie mógł wydać rozkazu ewakuacyjnego do Anglii bez porozumienia się na miejscu, a zresztą, jakby to wyglądało wobec naszych — bądź co bądź — sojuszników Francuzów? Polskie wojsko walczące mogło odejść z szeregów alianckich dopiero po poddaniu się Francji — tak właśnie się stało.

O akcji, prowadzonej przeciwko gen. Sikorskiemu otrzymałem urzędowe informacje, a ponadto wywnioskowałem to z rozmowy z prezydentem Raczkiewiczem. Przedwcześniej zostałem

wezwany przez mjr. Stanisława Skarbka do Prezydenta. Gdy przybyłem do Hotelu Claridge, gdzie mieści się tymczasowa rezydencja Prezydenta, zastałem w gabinecie Prezydenta gen. Sosnkowskiego. Zadano mi pytanie, jakie są do dnia dzisiejszego wyniki ewakuacji naszych wojsk z Francji. Podałem cyfry i oświadczyłem, że akcja ewakuacyjna była bardzo pomyślna, nie ponieśliśmy w czasie transportu najmniejszych strat, że wydostaliśmy z Francji około 60-70% tego, co można było doprowadzić do portów i załadować na okręty. Pozostało 30-40% — są to głównie Polacy z Francji, których nasz rząd polecił na żądanie Francuzów zdemobilizować już po kapitulacji Francji, że jednak i z tej kategorii Polaków, wielu przybyło do Anglii. Gen. Sosnkowski, po wysłuchaniu mego sprawozdania, zapytał: „a co z Brygadą Podhalańską? ilu żołnierzy przybyło z Francji z 3-ej i 4-ej dywizji?”. W odpowiedzi podałem fakty o „nieporozumieniu” z Aliantami, co do transportu morskiego Brygady Podhalańskiej przez Anglię do Francji i o niezawiadomieniu mnie w Londynie przez dowódcę brygady, gdy był w Greenock w drodze powrotnej z Norwegii do Francji; co do 3-ej dywizji piechoty, to, według moich wiadomości, przedostali się do Anglii, względnie do południowej Francji, wyżsi dowódcy — żołnierze natomiast w większości rozproszyli się, i tylko znikoma ich liczba jest w Szkocji. 4-tą dywizję piechoty, prawie w całości, wyprowadził z Francji jej dowódca generał brygady Rudolf Dreszer — jest ona w Szkocji.

Pytania gen. Sosnkowskiego w obecności Prezydenta były wysoce zastanawiające; przecież gen. Sosnkowski był osobiście we Francji aż do dnia 22 czerwca br. i przyleciał do Londynu wspólnie z gen. Sikorskim, znana więc mu była cała sytuacja ewakuacyjna.



Wiadomości o naszym wojsku w Szkocji są ciągle niezbyt pomyślne, a, mówiąc prawdę, po prostu złe. Nasze naprawdę dobre wojsko pozostało we Francji, poszło do niewoli niemieckiej lub zostało internowane w Szwajcarii. W rezultacie do Anglii przybyły, słabsze elementy, przede wszystkim oddziały tyłowe i nieużytki z minimalnym odsetkiem żołnierzy frontowych, oraz zupełnie nieproporcjonalna ilość oficerów wszelkich stopni. W najlepszym wypadku stosunek szeregowych do oficerów wynosi obecnie 4 do 1, podczas gdy, stosunek mniej więcej normalny powinien być: 15 do 1, uwzględniając sztaby i urzędy tyłowe. Stwarza to bardzo trudną i przykrą sytuację. Szukamy

sposobów, jak z tego wyjść. Są różne projekty: Legie Oficerskie kursy, ośrodki szkolne, staże u Anglików, a także odesłanie oficerów starszych wiekiem, słabych zdrowiem, lub zgoła nienadających się, do Dominii brytyjskich, do pracy w zawodach cywilnych, lub — w odniesieniu do oficerów zawodowych, często w stanie spoczynku i emerytów, sprzed 1939 roku — przeniesienie względnie pozostawienie, na uposażeniu emerytalnym. Plany te przenikają ze Sztabu N.W. do ogółu wojska i naturalnie są fałszywie komentowane przez zainteresowanych, podchwytywane skwapliwie przez opozycję polityczną, rosną plotki i na tym żerują ci, którzy chcieliby pozbawić władzy gen. Sikorskiego. Gen. Sikorski popełnił duży błąd, chociaż sam projekt nie był jego, mianowicie podpisał zarządzenie o założeniu obozu, do którego są odsyłani oficerowie z różnych względów szkodliwi i niepożądani. Posłużyło to do szalonej nagonki na niego i na Sztab N.W.

Wojsko nasze, jako całość, przeżywa jeszcze ciężki wstrząs, jakiego doznało w katastrofie Francji. Jest to nieunikniona konsekwencja naszego położenia. W tej chwili jest w złej formie. Nastroje są niedobre. U niektórych występuje zupełne załamanie wiary w zwycięstwo i w potrzebę dalszej walki. Dużo rozgoryczenia i niezadowolenia z władz wojskowych. Stosunek żołnierzy do oficerów, szczególnie do oficerów starszych stopniem, jest wyraźnie zły. Brak zaufania, pochodzący jeszcze z Polski, z kampanii wrześniowej, jeszcze bardziej się pogłębił po ewakuacji z Francji.

Najlepiej pod każdym względem przedstawia się uratowana część brygady gen. Maczka — zmotoryzowane 10 pułk strzelców konnych, 24 pułk ułanów i dywizjon rozpoznawczy. Jednostka ta otrzymała, a raczej zatrzymała, dawną swoją nazwę sprzed września 1939 roku, a mianowicie: 10 Brygady Kawalerii i stanowi w tej chwili jedyną pewną, z punktu widzenia zalet wojskowych i moralnych, jednostkę naszego wojska na obczyźnie.

W porównaniu z wojskiem lądowym sytuacja w Marynarce Wojennej i w Lotnictwie jest bezwzględnie pomyślniejsza. Marynarce i lotnicy nie przeszli przez katastrofę Francji.

Według mnie nasze całe wojsko jest bezwarunkowo chore psychicznie; potrzeba dużo czasu i odpowiednich sprzyjających warunków, aby podleczyć tę chorobę, bo o zupełnym wyleczeniu, o całkowitym wyzdrowieniu nie ma mowy; można to uczynić jedynie w kraju, po wojnie, i radykalnymi środkami. Na doraźne podleczenie tej choroby będziemy mieli prawdopodobnie dosyć czasu, o ile nie nastąpi inwazja Wysp Brytyjskich przez Niemców. Warunkami obecnego leczenia są: praca, znośne wa-

runki bytowania i właściwa organizacja. Za najlepsze, doraźnie uspakajające lekarstwo uznaliśmy z Klimeckim niezwłoczny wyjazd gen. Sikorskiego do Szkocji, celem przeprowadzenia inspekcji wszystkich oddziałów naszego wojska. W czasie inspekcji tej, gen. Sikorski powinien wyjaśnić osobiście żołnierzom naszą nową sytuację, wskazać dalsze cele naszego pobytu w Anglii i rację kontynuowania walki przy boku Wielkiej Brytanii, jako jedynej dla nas drogi, prowadzącej do zwycięstwa nad Niemcami i odzyskania Niepodległej Ojczyzny. Przypuszczamy, a w każdym bądź razie mamy nadzieję, że inspekcja Generała podniesie ducha i uspokoi żołnierzy. Gen. Sikorski, któremu referowałem to w obecności płk. Klimeckiego, obiecał że wyjedzie w pierwszej połowie sierpnia br.

18 lipca 1940 roku. Londyn

W naszym polskim życiu w Anglii nadal ruch organizacyjny i prace nad zawarciem umowy wojskowej z Anglikami. Sztab Naczelnego Wodza wreszcie ukonstytuował się i rozpoczął swą pracę. Zdecydowano również ostatecznie, że Sztab pozostanie w Londynie. Brygadier Bridge zawiadomił mnie, że od pierwszych dni sierpnia br. otrzymamy na pomieszczenie Sztabu cały duży Hotel Rubens, na Buckingham Palace Road, prawie naprzeciwko pałacu królewskiego. Oglądaliśmy Hotel wspólnie z brygadierem Bridge; jest to obszerny, pięciopiętrowy budynek z pięknym wejściem do wielkiego hall'u, z dwiema windami, restauracją, pokojami reprezentacyjnymi i salonami na pierwszym piętrze, i przedstawia się bardzo przyzwoicie.

W wojsku w Szkocji ciągle jest niedobrze. Żołnierze siedzą nadal pod namiotami, mokną, bo pogoda w tym roku jest wyjątkowo fatalna: zimno, nieustanne deszcze i mgły, brak słońca. Z tego powodu jest dużo wypadków zachorowań, zwłaszcza wśród starszych, i wielkie narzekania i pretensje do Sztabu N.W. za złe zakwaterowanie. Żołnierze przyjeżdżający z obozów w Szkocji rozповідаją *urbi et orbi*, że jest to jedynie wina Sztabu N.W. Tłumaczenia, że nie możemy wymagać od władz angielskich, ażeby dały nam to, czego nie przewiduje angielska ustawa, a mianowicie kwaterunku u obywateli, albo stałych koszar, których sami nie mają zawiele, jakoś nie bardzo działają na naszych malkontentów.



Dużo wiadomości nadchodzi z Francji. Odnalazło się w południowej Francji wielu żołnierzy i 1 dywizji piechoty i z brygady Znalazł się również generał Zygmunt Szyszko-Bohusz z nieodłącznym mjr. dypl. Januszem Ilińskim oraz kilkuset żołnierzy z Brygady Podhalańskiej. Projekty ewakuacyjne z Francji do Maroka i do Algieru, a stamtąd przez Lizbonę do Anglii są bardzo trudne do wykonania, ale nic innego nie pozostało, bo na Hiszpanię (Miranda!) nie można liczyć. W Anglii jest mało nadziei na rychłe otrzymanie sprzętu i uzbrojenia, oprócz karabinów. Przed późną wiosną 1941 roku nie można liczyć na gotowość naszego mikroskopijnego wojska lądowego. W naszych Siłach Zbrojnych, po Marynarce Wojennej, będą gotowi niebawem Lotnicy.

19 lipca 1940 roku. Londyn

Wczoraj, 18 lipca 1940 roku, miał miejsce „zamach stanu”, a raczej zamach oficerów Sztabu Naczelnego Wodza, na ministra Augusta Zaleskiego. Wypadki przygotowywane od dawna przez opozycję przeciwko gen. Sikorskiemu, o czym poprzednio wspominałem, zaszyły bardzo daleko i musiały doprowadzić do kryzysu. Prezydent Raczkiewicz, niewątpliwie pod wpływem opozycji, zażądał w dniu 15 lipca od gen. Sikorskiego podania się do dymisji ze stanowiska Prezesa Rady Ministrów R.P. i jednocześnie zawiadomił go, iż na Prezesa Rady wyznaczył Augusta Zaleskiego. Po stronie prezydenta Raczkiewicza znaleźli się natychmiast wszyscy z grupy zwolenników rządu przedwrześniowego, czyli, jak ich nazywa profesor Kot, „z sanacji”, oraz wszyscy absolutnie „niezadowoleni”. Powodem żądania dymisji gen. Sikorskiego ze stanowiska Prezesa Rady Ministrów, a przypuszczam, także i ze stanowiska Naczelnego Wodza, było: rzekome stracenie bez potrzeby naszego wojska we Francji; niedołączenie wykonanie ewakuacji z Francji oraz polityka porozumienia w stosunku do Rosji. Są także osobiste urazy i pretensje do Sikorskiego ze strony osób, nie należących w rzeczywistości do opozycji politycznej; są nimi niektórzy ministrowie i wyżsi urzędnicy którzy zanadto pośpiesznie opuszczali Francję, co gen. Sikorski wypominał im publicznie...

Wczoraj wieczorem płk. dypl. Klimecki, Szef Sztabu N.W., został powiadomiony o dymisji gen. Sikorskiego i o nominacji min. Zaleskiego. Płk. Klimecki natychmiast zaalarmował kilkunastu starszych oficerów, przeważnie z Oddziału III Sztabu N.W. i w nocy opanował gmach Ambasady Polskiej w Londynie, gdzie

mieszka i urzęduje minister Zaleski. Płk. Klimecki i oficerowie zmusili ministra Zaleskiego, pod groźbą użycia argumentów oręża, do pisemnego złożenia niezwłocznie otrzymanej nominacji. Rozmowa płk. Klimeckiego z ministrem Zaleskim była niezwykle ostra i dramatyczna; Klimecki działał bardzo zdecydowanie — minister Zaleski poddał się i napisał żądane zobowiązanie. W grupie oficerów III Oddziału Sztabu N.W., użytych przez płk. Klimeckiego, byli: ppłk. dypl. Jerzy Krubski, mjr. dypl. Michał Protasewicz, ppłk. dypl. Andrzej Marecki, ppłk. dypl. Bronisław Noël i kilku innych, których nazwisk nie zapamiętałem. Cały przebieg tej akcji opowiadany mi był następnego ranka przez samego płk. Klimeckiego, oraz przez płk. Mareckiego.

Czyn płk. Klimeckiego i oficerów Sztabu N.W. ma wielkie znaczenie polityczne, przeszkodził bowiem, moim zdaniem, przynajmniej na jakiś czas, zamiarom usunięcia gen. Sikorskiego od steru władzy i powrotu do władzy grupy zwolenników polskich rządów przedwrześniowych z ich całą polityką, a przede wszystkim z polityką zagraniczną. W obecnej sytuacji grupa ta mogłaby poszukiwać *modus vivendi* z Niemcami i organizować akcję przeciwko Rosji Sowieckiej. Dla prowadzenia podobnej polityki usunięcie gen. Sikorskiego byłoby absolutnie niezbędne, bowiem Generał reprezentuje od dawna, jeszcze przed wybuchem wojny, wręcz przeciwny kierunek polityczny i jest on przedstawicielem obozu, skupiającego przeważającą większość Polaków, celem którego jest zdecydowana walka przeciwko Niemcom.

Angielska reakcja na „zamach stanu”, dokonany przez płk. Klimeckiego jest nadzwyczajnie charakterystyczna i zawiera się w słowach ministra Halifaxa, wypowiedzianych do ambasadora Raczyńskiego: „zmiana Prezydenta Polski posiadałaby dla nas znaczenie formalne, lecz zmiana gen. Sikorskiego oznaczałaby dla Wielkiej Brytanii zmianę kierunku polityki Rządu Polskiego w sensie dla nas niepożądanym”.

W związku z wystąpieniem płk. Klimeckiego, prez. Raczkiewicz miał wczoraj w nocy złożyć oświadczenie o swoim ustąpieniu. Następcą Prezydenta, zgodnie z Konstytucją z 1935 r., jest gen. Kazimierz Sosnkowski. Informują mnie, że gen. Sosnkowski odmówił objęcia Prezydentury R.P. w razie ustąpienia Raczkiewicza, i że przez to dał dowód, że popiera Raczkiewicza w żądaniu ustąpienia Sikorskiego.

Gen. Sosnkowski, chociaż nie wyraża tego otwarcie, jest jednym z najgłówniejszych filarów opozycji przeciwko Sikorskiemu; pomiędzy tymi dwiema osobistościami wielkiej miary trwa nie od dzisiaj zacięta, ostra, nieprzebiegająca w środkach walka o wpływy, o władzę; odbywa się ona pod płaszczykiem wysokiej

kurtuazji z obu stron. Obaj są przywódcami przeciwnych obozów politycznych; gen. Sosnkowski reprezentuje bez wątpienia większość starszych oficerów, w szczególności Legionistów i Peowiaków, a także osoby spoza wojska.

Rozmawiałem dzisiaj bardzo długo z płk. Klimeckim i płk. Krubskim — obaj twierdzą, że musieli wziąć na siebie odpowiedzialność, aby zapobiec poważnym, kompromitującym nas politycznie następstwom — powrotu sanacyjnego Rządu R.P.

Czy Klimecki postąpił słusznie, organizując „zamach” i terroryzując ministra Zaleskiego? Czy powtórzenie sceny z Sejmu Rzeczypospolitej w 1930 roku było dobrym posunięciem? Płk Klimecki z punktu widzenia prawnego jest winien, jest mowa o ukaraniu go, żąda tego prezydent Raczkiewicz, i — zdaje się — rozumie to sam gen. Sikorski, lecz, jeśli idzie o meritum sprawy, sytuacja jest podobna do tej, jaka była przy marszałku Piłsudskim, i tutaj płk. Klimecki postąpił słusznie i miał rację.

Wiadomości z obozów w Szkocji wskazują, że gen. Sikorski jest przedmiotem bardzo ostrej nagonki; zarzucają mu ciągle pozostawienie naszego wojska we Francji i złą politykę zagraniczną: Rosja. Czytałem raporty na ten temat ze Szkocji, a sam gen. Sikorski bardzo mocno się bronił przed Radą Narodową.

Sprawa zamachu płk. Klimeckiego trzymana ma być w tajemnicy. W Londynie istotnie mało kto o tym wie, natomiast wysoce znamienne i zadziwiające jest to, że wieść o dymisji gen. Sikorskiego dotarła błyskawicznie do obozów w Szkocji, do niektórych wyższych wojskowych, przeciwników gen. Sikorskiego; część z nich, w przewidywaniu wypadków, zjechała do Londynu, i była wręcz zaskoczona wystąpieniem Klimeckiego i oficerów Sztabu Naczelnego Wodza.

24 sierpnia 1940 roku. Buckingham Road. Fountain Court.

Londyn

Sztab Naczelnego Wodza przeniósł się od wczoraj do Hotelu Rubens. Wybrałem dla Oddziału II (jestem jego szefem od dwóch tygodni) najwyższe piętra gmachu: czwarte i piąte, bowiem zawsze lepiej (i bezpieczniej) być z daleka od reszty Sztabu, a więc od „interesantów”. Dla siebie wybrałem mały pokój na piątym piętrze, pewnie jeden z najtańszych pokoi w Hotelu Rubens, ale miał on tę zaletę, że okna jego wychodziły na pałac królewski i, co najważniejsze do okien przylegał duży taras. Moimi sąsiadami przez taras byli harcerze angielscy, którzy w sąsiednim domu mają swoją kwaterę główną. Codziennie widuję

tych dzielnych młodzieńców („Bóg i Ojczyzna, dzielny młodzieńcze!” — jak przemawiał do mnie, ówczesnego porucznika, w roku 1919 podpułkownik lekarz medycyny Sławoj-Składkowski, szef sanitarny 2-ej dywizji piechoty Legionów, podkreślając ogromnego węża), jak ćwiczą na tarasie gimnastykę. Na ogół pomieszczenia Sztabu są bardzo wygodne. Wszystko i wszyscy łatwo się pomieścili, a nawet paru oficerów zamieszkało w nowej siedzibie Sztabu. Naczelný Wódz, jego Adiutantura i Gabinet Wojskowy oraz biura osobiste Szefa Sztabu N.W. Klimeckiego umieszczono na paradytnym pierwszym piętrze. Gen. Sikorski ma duży, ładny pokój, jako gabinet, do którego przylegają dwa pokoje: poczekalnia i pokój adiutanta. Naprzeciwko rezyduje Gabinet Wojskowy, któremu przewodzi ppłk. dypl. Zygmunt Borkowski, straszny formalista i pedant w pracy, a zarazem niezwykle dbały o rygor wojskowy. Bardzo obszerna restauracja hotelu, składająca się z kilku sal na parterze, nie licząc pomieszczenia dla kuchni itd. — została zamieniona w piorunującym tempie na Kasyno Oficerskie, do którego przychodzą oficerowie angielscy, aby pokosztować prawdziwie polskich zakąsek. Oficerowie Sztabu N.W. na razie nieco sarkali, że wybrano zbyt wspaniały lokal, że to nie jest na czasie taki luksus, że nie powinniśmy się lokować w pierwszorzędnym hotelu podczas kiedy wojsko nasze siedzi pod namiotami w zimnej i dżdżystej Szkocji. Nieco speszony tymi oświadczeniami, zapytałem się brygadiera Bridge’a, ile za ten hotel nam Anglicy policzą — odpowiedział, że tyle samo, jak za lokale w Hotelu Clifton i donajętych domach prywatnych, bo sam Hotel Clifton (trzeciorzędny hotelik, na bocznej uliczce) nie wystarczał na pomieszczenie całego Sztabu N.W. — np. Oddział II Sztabu N.W. mieścił się w domu prywatnym na ulicy Welbeck niedaleko od Hotelu Clifton

14 września 1940 roku. Londyn

Wczoraj z okna mojego pokoju, na najwyższym piętrze Hotelu Rubens, widziałem wybuchy dwóch bomb lotniczych, przeznaczonych przez Niemców dla króla Jerzego VI i dla jego rodziny. Bomby wybuchły z wielkim hukiem, poleciały w powietrze deski, belki, straszny kurz, ale na szczęście nie uczyniły wielkiej szkody, w każdym razie straty w ludziach były minimalne, zdaje się dwóch czy trzech gwardzistów, pełniących wartę, zostało poranionych. Pałac królewski został mało uszkodzony, zniszczeniu uległo jedno skrzydło (ogród zimowy) i wyleciały prawie wszystkie szyby. Zresztą tego samego dnia w życiu pałaco-

wym wszystko było *as usual*. Król Jerzy VI i królowa Elżbieta pozostali na miejscu. Warty pułków gwardii królewskiej stały na swych zwykłych miejscach; uroczystość zmiany wart odbyła się nazajutrz z całym wiekowym ceremoniałem bez opuszczenia najmniejszego szczegółu, a tylko z powodu wojny w mundurach polowych, tj. w *battle-dress*'ach, zamiast szkarłatnych mundurów i niedźwiedzich bermyc.

Leon MITKIEWICZ

ŁOŻE

W całym francuskim okresie emigracyjnym i w pierwszych miesiącach w Londynie generał Sikorski starał się zachowywać pozory, że łączy go najlepsze stosunki z generałem Sosnkowskim, członkiem jego rządu i następcą Prezydenta Rzeczypospolitej. Sosnkowski, choć znał doskonale Sikorskiego, pragnął współpracować lojalnie z premierem i naczelnym wodzem. A że się do żadnych rozgrywek wewnętrznych nie mieszał wszystko zdawało się potwierdzać krążące wersje o rzekomo zawartym między obu generałami „pakcie”.

Szerzyli je w Paryżu, a potem w Londynie, niektórzy „bracia”, jak minister spraw zagranicznych August Zaleski, należący do loży wolnomularskiej, zwanej popularnie „szkocką”. Docierały te wersje do licznych na emigracji piłsudczyków różnego autorytetu, niechętnych Sikorskiemu. Odnosiły nawet pewien skutek. Część piłsudczyków zaczęła szeptać, że „szef” — jak nazywali Sosnkowskiego od czasów legionowych — „porozumiał się” z człowiekiem, który przez wiele lat intrygował przeciw Komentantowi. Z małymi jednak wyjątkami ogół piłsudczyków nie wiedział o istnieniu takiej loży ani że odgrywa w niej co najmniej wpływową rolę grupa piłsudczyków różnych odcieni. Nie wiedzieli również o istnieniu loży czy łóż masonów na emigracji szeregowi innych kierunków politycznych, odnoszących się krytycznie do polityki Sikorskiego i jego otoczenia.

Adam Romer, jeden z bliskich ludzi Sikorskiego, twierdzi w swej broszurze „Z Sikorskim i Mikołajczykiem”, że Prezydent Raczkiewicz znajdował się w okresie londyńskim całkowicie w rękach braci Wielkiej Narodowej Loży Polski. Romer przyznaje się nawet do autorstwa „poufnego raportu”, który o tej loży przygotował dla Sikorskiego. Nie jest wykluczone, że pisząc go korzystał z autorytatywnego źródła.

Po klęsce wrześniowej przyjechał do Paryża kiedyś poseł R.P. w Sofii, wybitny mason Władysław Baranowski. Przywiózł

Artykuł jest fragmentem obszernej pracy autora o pierwszym przesileniu rządowym na emigracji do którego doszło w Londynie 18 lipca 1940 r.

z sobą całe czy też część archiwum Wielkiej Narodowej Łoży Polski, które oddał na przechowanie swej kuzynce zamieszkałej w Paryżu. Wkrótce zmarł. Po jego śmierci zjawił się pod nieobecność kuzynki inny krewny Baranowski, wyniósł archiwum i miał oddać zaufanym premiera. Być może, że właśnie to archiwum znał A. Romer, przygotowując swój „poufny raport”.

Wśród członków Łoży wymienia Romer następujące osoby: Juliusza Łukasiewicza, b. ambasadora R.P. w Paryżu, Augusta Zaleskiego, Tadeusza Tomaszewskiego, wybitnego działacza P.P.S., w okresie emigracyjnym prezesa NIK'u (Najwyższa Izba Kontroli Państwa), Władysława Neumana, b. posła R.P. w Oslo, adwokata Zygmunta Nagórskiego, członka Stronnictwa Ludowego, Adama Pragiera, wybitnego działacza P.P.S., b. posła na Sejm i więźnia brzeskiego, adwokata Jerzego Kuncewicza, członka Stronnictwa Ludowego, Karola Poznańskiego, konsula generalnego w Londynie Adama Tarnowskiego, b. posła R.P. w Sofii, późniejszego ministra spraw zagranicznych rządu polskiego w Londynie, członka Stronnictwa Ludowego oraz b. Ambasadora R.P. w Waszyngtonie Tytusa Filipowicza. Ponadto Romer wspomina także b. posła R.P. w Atenach Władysława Günthera.

Oczywiście lista nazwisk przytoczonych przez Romera nie zawiera wszystkich członków Łoży w czasie wojny. Stwierdza to sam autor broszury dodając, że należało do niej jeszcze „kilku pomniejszych braci”. Wydaje się, że było ich więcej i wcale nie pomniejszych.

„Wielka Narodowa Łoża Polski — pisze A. Romer — brała ongiś jak wiadomo udział w przeprowadzeniu zamachu majowego w sojuszu z P.O.W. i P.P.S. W nagrodę za to prof. Bartel został wtedy premierem. Później jednak Piłsudski pokłócił się z „braćmi” i większość długo była w nielasce; reżym grawitował potem raczej w stronę nacjonalizmu. Na emigracji jednak dawna konspiracja masonsko-peowiacka została wznowiona, a kandydatami jej na premiera względnie naczelnego wodza stali się pp. August Zaleski i generał Sosnkowski. Łoża zaraz po przybyciu rządu do Londynu starała się pozyskać dla swoich planów wpływowo koła angielskie. Niektórzy uwierzyli w legendę jakoby dni Churchilla były policzone i jakoby polityka opierania sprawy polskiej przez generała Sikorskiego głównie na przyjaźni z Churchillem skazana była na bankructwo. Zdawało im się, że następnym premierem rządu brytyjskiego będzie liberał, a wśród liberałów angielskich „bracia” nasi liczyli na pomoc właśnie dzięki kontaktom masonskim. Podejrzenia moje w tym względzie zostały potwierdzone poufną rozmową jaką wówczas odbyłem z radcą ambasady brytyjskiej przy rządzie R.P. p. Severy, bardzo dobrym moim znajomym z okresu jego dwudziestoletniej kariery konsularnej w Polsce”.

Tyle Adam Romer, powierzchowny i stronnaczy komentator wydarzeń emigracyjnych. Nie znaczy to, by jego informacje o istnieniu Wielkiej Narodowej Łoży Polski były nieścisłe. Fakt

ten potwierdził na łamach londyńskich „Wiadomości” (kwiecień 1962) Stefan Łaniewski, przewodniczący szkockiej loży paryskiej „Kopernik”.

„Istotnie — pisał — na przełomie lat 1939/40, po przybyciu do Francji z armią i rządem okazałej grupy członków Wielkiej Loży Narodowej Polski wznowiono od razu w Paryżu — pod auspicjami Wielkiej Loży Francji — prace „macierzystej loży polskiej” pod tradycyjną nazwą „Kopernik”. Loża ta działała w Warszawie do końca XVIII w., a w okresie międzywojennego 20-lecia zajmowała pierwsze miejsce wśród warsztatów Wielkiej Loży Narodowej Polski. Pracom jej przewodniczył z wyboru w r. 1939-1940 późniejszy premier rządu polskiego w Londynie śp. Tadeusz Tomaszewski. Brało w niej czynny udział wielu polskich wolnomularzy, których los rzucił wtedy do Francji i którzy przeważnie byli w wojsku; ponadto aż do zawieszenia prac Loży w tragicznym lecie r. 1940 inicjowano kilkunastu nowych członków. Podobnie jak się to działo w Polsce niepodległej — przed r. 1795 i po r. 1918 — Loża pracowała wedle obrządku szkockiego dawnego i uznanego „na chwałę Wielkiego Budowniczego Świata”. Wielka Loża Francji reprezentuje ten sam obrządek na swoim terenie i z tego tytułu przyjęła pod swój patronat i udzieliła braterskiej gościny lożom uchodźców z Europy środkowo-wschodniej”.

Ani tendencyjne komentarze A. Romera, ani autorytatywne potwierdzenie na ogół znanych faktów przez S. Łaniewskiego nie wyjaśniają okoliczności towarzyszących wznowieniu działalności loży szkockiej w niepodległej Polsce, jej losów w międzywojennym dwudziestolecu i jej politycznych aspiracji w emigracyjnym okresie wojennym. „Praca nasza — pisze ogólnie Łaniewski — ma służyć ludzkości i ojczyźnie zgodnie z przykładem danym nam przez naszych poprzedników, którymi się szcycimy”. Wśród zadań loży wymienia m.in. „dbałość o nieprzerwany udział Polaków-wolnomularzy w światowym ruchu wolnomularskim”. O tym udziale wzmiankuje Roger Peyrefitte w książce „Les fils de la lumière”. Wśród różnych łóż emigracyjnych wymienia również polską lożę „Kopernik”.

Spróbujmy przyjrzeć się najpierw jej początkom. Według jednego z dawnych „szkotów” inż. Jerzego Iwanowskiego, ministra dwóch pierwszych gabinetów odrodzonego w listopadzie 1918 roku państwa, do powstania zaraz w pierwszych miesiącach dwudziestolecia loży obrządku szkockiego miał się walczyć Józef Piłsudski. Podobnie jak Roman Dmowski zdawał sobie sprawę z wpływowej roli jaką przed pierwszą wojną światową i bezpośrednio po klęsce cesarskich Niemiec odgrywała masoneria na terenie międzynarodowym. Z tej zgodnej oceny obaj wyciągali jednak odmienne konkluzje. Dmowski, ideolog polskiego nacjonalizmu, dopatrywał się w każdym przejawie niechęci czy wrogości do Polski wpływu połączonych sił tajemniczych: międzynarodowego żydostwa i międzynarodówki masońskiej.

Piłsudski nie miał żadnych kompleksów żydowsko-masońskich. Jako realista liczył się po prostu z wpływami masonerii międzynarodowej. Wróciwszy wraz z Sosnkowskim 10 listopada 1918 r. z więzienia magdeburskiego uprzytomnił sobie, że na arenie międzynarodowej, zwłaszcza na najważniejszym wówczas politycznie gruncie paryskim, rozporządza małymi kontaktami. A czas naglił. W Wersalu miała się zebrać Konferencja Pokojowa aby, między innymi zadecydować o przyszłych granicach państwa.

W Paryżu działał Polski Komitet Narodowy pretendujący do miana i roli jedyne go reprezentanta interesów Polski na terenie międzynarodowym. Opanowany przez Narodową Demokrację z Dmowskim na czele nie chciał się z nikim tą rolą dzielić. Tymczasem już u schyłku 1918 r. Francja doszła do przekonania, że konieczne jest osiągnięcie zgody między różnymi czynnikami politycznymi „powołanymi do odbudowania przyszej Polski”. Rząd francuski zwrócił się do Piłsudskiego z propozycją wysłania do Paryża delegacji. Piłsudski propozycję przyjął. W końcu grudnia tegoż roku wyjechała z Warszawy delegacja zaufanych Piłsudskiego w składzie: K. Dłuski, A. Sujkowski, M. Sokolnicki i B. Wieniawa-Długoszowski. Dopiero w pierwszych dniach stycznia 1919 r. znalazła się nad Sekwaną. Głównym jej zadaniem było osiągnięcie porozumienia z Polskim Komitetem Narodowym w sprawie — „wspólnego działania wobec aliantów”.

Na razie wszystko szło jak po grudzie. W drugiej połowie stycznia, porozumienie jednak osiągnięto. Według ex-braci szkockich nie małą w tym rolę odegrała okoliczność, że jeszcze przed przybyciem do Paryża część delegacji Piłsudskiego miała via Rzym nawiązać kontakty masońskie. Mając już poparcie „macierzystej loży” włoskiej wysłannicy Piłsudskiego mieli ułatwione zadanie na gruncie paryskim. W Paryżu nawiązali kontakt m.in. z Wielką Lożą Francji. Dzięki temu udało się delegacji Piłsudskiego dotrzeć ubocznymi drogami do francuskich czynników oficjalnych. Odnaleźć mieli nawet „wtajemniczonych” w Polskim Komitecie Narodowym, którzy współdziałali na rzecz porozumienia. Ostatecznie delegatami Polski na Konferencję Pokojową w Wersalu zostali: Paderewski i Dmowski. Zastępcą Paderewskiego był Dłuski. W tym trójosobowym zespole tylko Dmowski nie był osobiście związany z masonerią.

Zachęcony paryskimi doświadczeniami Piłsudski popierał rozbudowę Wielkiej Narodowej Loży Polski, obrządku dawnego i uznanego (*Ancient and Accepted Scottish Rite*). Kierował do tego odłamu wolnomularzy polskich, najbliższych i dalszych współ-

pracowników spośród legionistów i peowiaków. Rosła szybko liczebnie, dzieląc się na loże czyli „warsztaty”, występujące pod różnymi nazwami jak: Łukasiński, Mochnacki i inne. Pierwsze miejsce wśród nich zajmowała loża „Kopernik”.

Wielka Narodowa Loża Polski była do czasu instrumentem politycznym Piłsudskiego. Rzeczywiście odegrała nie małą rolę w przeprowadzeniu zamachu majowego. Główna kwatera zamachowców mieściła się w mieszkaniu oddanego Piłsudskiemu masona Stanisława Patka. Pomajowy premier rządu prof. Kazimierz Bartel był masonem. Później jednak drogi Piłsudskiego i wielu braci zaczęły się rozchodzić. Część z nich wierna demokracji parlamentarnej nie chciała popierać tendencji autorytatywnych, występujących coraz silniej po zamachu. Peyrefitte porusza również tę sprawę. Uważa Augusta Zaleskiego za masona i przypomina krążącą zresztą kiedyś w Polsce wersję o powodach zwolnienia tego pomajowego ministra spraw zagranicznych. Według niej Piłsudski domagał się od Zaleskiego by opuścił masonerię, ale Zaleski odmówił.

Faktem jest, że Wielka Narodowa Loża Polski zaczęła ciążyć Piłsudskiemu. Pod względem ideologicznym nie budziła obaw. Miała charakter narodowy, społecznie umiarkowany i deistyczny. Wiązały ją jednak — jak to stwierdza Łaniewski — „nieprzerwane” kontakty ze „światowym ruchem wolnomularskim”, a w tym ruchu, zwłaszcza w sojuszniczej Francji, wielką rolę odgrywała Loża Wielkiego Wschodu. *Grand Orient* zaś był ateistyczny, międzynarodowy, społecznie radykalny. Według ex-braci szkockich Wielki Wschód nie ograniczał się do wpływania na stosunki w Polsce wyłącznie własnymi kanałami. Wyzyskiwał kontakty z Wielką Narodową Lożą Polski, aby i tą drogą ingerować w wewnętrzne sprawy polskie. Tego miał się obawiać Piłsudski i dlatego wycofywał z niej odkomenderowanych wojskowych, działaczy politycznych i społecznych.

Powoli zaczął się zmierzch łóz szkockich w Polsce. Kurczą się liczebnie. Część się likwiduje. Niektórych masonów, jak niemal legendarnego masona przedwojennego M.S.Z., prof. Emila Kipę, spotykają szykany w postaci rewizji policyjnych. Ostatnim uderzeniem w masonerię jest wydany w 1938 roku okólnik rządowy, skierowany przeciwko organizacjom tajnym. Zamknięto wtedy z dużym rozgłosem polską filię żydowskiej organizacji „B'nai B'rith” (po hebrajsku — „Synowie Ziemi”) o celach etyczno-dobroczynnych. Ten „niezależny zakon” założony w połowie ubiegłego stulecia w Nowym Jorku rządził się własnymi regułami, uważany był jednak zawsze za rodzaj żydow-

skiej masonerii, powiązanej jak najściślej z międzynarodowym ruchem wolnomularskim.

Po okólniku „legaliści” zrywają formalne związki z masonerią. Zdaje się, że na długo przed okólnikiem opuszcza już przerzedzone szeregi „szkockie” brat z loży wileńskiej, późniejszy Prezydent Rzeczypospolitej Władysław Raczkiewicz. Lecz nie wszyscy idą za przykładem legalistów. Według relacji zmarłego po wojnie w Londynie Adama Tarnowskiego pozostają w loży szkockiej piłsudczycy rozzarowani do rządów pułkownikowskich, potem ozonowych, wierni ideałom liberalno-demokratycznym oraz ludzie podobnych poglądów. „Szkoci” nie poddają się komendzie „Wielkiego Wschodu”. Zachowują własne oblicze również na emigracji. Postanowiają teraz przeciwstawiać się autorytatywnym rządowi Sikorskiego. Wśród braci-piłsudczyków odżyły ponadto dawne urazy do generała, sięgające często czasów legionowych. Wydaje się, że był jeszcze jeden, szczególny powód niechęci „szkotów” do Sikorskiego.

Powiązania masoniekie Sikorskiego były inne. Walcząc z Piłsudskim nie mógł na gruncie rodzimym szukać kontaktów w środowisku wolnomularzy, którzy w pierwszych latach niepodległości popierali bez zastrzeżeń Piłsudskiego, a i później uczuciowo dochowywali mu wierności. Orientując się, że Wielka Narodowa Loża Polski ma silne oparcie w wojsku Sikorski zaczął organizować własną konspirację oficerską. Nazywała się „Strażnicą” i uchodziła za teren wpływów masonerii francuskiej nie „szkockiego”, lecz „wschodniego” obrządku.

Po zamachu majowym Sikorskiego i wielu jego zwolenników usunięto z czynnej służby w wojsku. Usunięci kontynuowali dalej konspiracyjną działalność polityczną pod hasłem obalenia rządów Piłsudskiego i przywrócenia Polsce ustroju na wzór demokracji zachodnich. Sikorski świadom słabości oddanego mu ośrodka szukał sprzymierzeńców we wszystkich stronnictwach opozycyjnych. W pewnym okresie nawet wśród „falangistów” spod znaku Bolesława Piaseckiego. Równocześnie zacieśniał kontakty z odłamek masonerii francuskiej, który ze względu na swój międzynarodowy i ultraliberalny charakter musiał być przeciwny autorytatywnym rządowi Piłsudskiego, a potem jego epigonów. W dodatku *Grand Orient* przed ostatnią wojną uchodził za najwpływowwszy odłamek europejskiej międzynarodówki masoniekiej. Jego emanacją polityczną było stronnictwo „*Radicaux Socialistes*”, odgrywające wielką rolę we francuskim życiu politycznym. Te powiązania Sikorskiego uchodziły za pewne. Nie mogą pominąć ich milczeniem nawet ci krajowi badacze najnowszej historii polskiej, którzy siląc się na bezstronność, skłonni

są oceniać pozytywnie rolę i zasługi polityczne Sikorskiego w czasie wojny.

„Sikorski orientuje się we Francji na koła liberalne — pisze Andrzej Micewski w „Więzi” (lipiec-sierpień 1961). Powoduje to, że jego przeciwnicy chcą w nim widzieć przedstawiciela masonerii kół radykalnych, ba, niemal frontu ludowego, od czego Sikorski był daleko”.

Powiązania Sikorskiego z radykalnym odłamek masonerii francuskiej, których ośrodkiem był *Grand Orient* ze swą główną kwaterą paryską przy rue Cadet, zdają się nie ulegać wątpliwości. Trudno sobie wyobrazić — choć i tego wykluczyć nie można — by szukał dla siebie oparcia w innych ścierających się z sobą odłamach masonerii francuskiej. Nie szukał go chyba ani przed wojną, ani we francuskim okresie emigracyjnym, w oficjalnie deistycznej Narodowej Wielkiej Łoży (*Grande Loge Nationale*) znajdującej się pod wpływem Wielkiej Łoży Anglii. Nie wydaje się, by mógł liczyć na poparcie Wielkiej Łoży Francji (*Grande Loge de France*) rytu szkockiego z rue Puteaux, opiekującej się szkocką Wielką Narodową Łożą Polski, grupującą w swych szeregach tylu jego przeciwników politycznych. Faktem jest, że w czasie wojny odwiedzał gmach przy rue Cadet. Czy był tam w charakterze czynnego lub „uśpionego” brata, trudno jest powiedzieć. W każdym razie i ten szczegół potwierdza opinię, że łączyły Sikorskiego bliskie powiązania z *Grand Orient*.

Z „Wielkim Wschodem” związani byli w Polsce ludzie z którymi w okresie dwudziestolecia utrzymywał Sikorski stosunki polityczne i osobiste. Choć konspirowali się lepiej od „szkotów” manifestując swą „nienawiść do światła” (*odium lucis*), orientowano się w przynależności do polskiej loży „wschodniej” niektórych polityków, działaczy społecznych, profesorów, pisarzy, adwokatów czy lekarzy. Wymieniano nawet „wielkich mistrzów” tej loży jak: wybitnego spółdzielcę inż. Zygmunta Chmielewskiego, świetnego powieściopisarza Andrzeja Struga, a ostatnio zmarłego w kraju w 1952 roku, klasycznego przedstawiciela demokratycznego postępu warszawskiego z końca XIX wieku i początku naszego stulecia — Stanisława Stempowskiego. Wymieniano w ogóle wiele nazwisk. Znanego ekonomisty prof. Henryka Tenebauma, historyka prof. Marcelego Handelsmana, b. dyrektora Departamentu Higieny Ligii Narodów dr. Ludwika Reichmana, dyrektora biblioteki sejmowej dr. Henryka Kołodziejskiego, osobistych przyjaciół Sikorskiego prof. Stanisława Kota, dr. Józefa Retingera i innych.

Przekonanie, że Sikorski związany jest z „Wielkim Wschodem” zaważyło w dużym stopniu na niepowodzeniu jego planów politycznych, które chciał realizować wkrótce po śmierci

Piłsudskiego. W lutym 1936 roku zjechali się w podgenewskiej siedzibie Paderewskiego w Morges: gen. Sikorski, gen. Józef Haller i Wincenty Witos. Sikorskiemu chodziło o stworzenie w Polsce frontu „jedności narodowej” i powołanie „rządu zaufania narodowego”. Ale plan przekształcenia „frontu Morges” w szeroki obóz zjednoczenia narodowego nie udał się. Koncepcję Sikorskiego poparło bez zastrzeżeń jedynie pozbawione większych wpływów Stronnictwo Pracy. Stronnictwo Ludowe, faktycznie kierowane przez Macieja Rataja, zajęło wobec „frontu Morges” postawę tylko życzliwej rezerwy. P.P.S. nie poparło planu Sikorskiego. Tak samo z innych względów Stronnictwo Narodowe. Obawiało się, że „wschodnie” powiązania francusko-masońskie Sikorskiego mogą wciągnąć cały zespół „frontu” do akcji politycznych na terenie międzynarodowym w których Stronnictwo Narodowe nie chciało brać udziału.

Pewny poparcia *Grand Orient* Sikorski w całym bez mała dziewięciomiesięcznym okresie francuskim spoglądał z optymizmem w przyszłość. Polscy wolnomularze wschodniego obrządku byli w Paryżu górą. „Szkoci”, choć się szybko skrzyknęli, byli raczej w defensywie. Wielka godzina miała dla nich wybić dopiero po klęsce Francji, kiedy w środowisku uchodźczym zaczęły się coraz bardziej potęgować nastroje niezadowolenia z Sikorskiego i jego rządów.

Ale już we Francji przygotowywali się na chwilę kiedy to nastąpi. Zaopiekowali się przede wszystkim osobą ex-brata z wileńskiej łoży szkockiej Władysława Raczkiewicza, który 30 września 1939 roku, zresztą nie bez ich pomocy, objął w Paryżu urząd Prezydenta Rzeczypospolitej po Prezydencie Ignacym Mościckim.

Roli tej podjęło się kilka osób. Przede wszystkim inż. Adam Piotrowski, przyjaciel Raczkiewicza i jego sekretarz, bodaj również mason, dalej szef kancelarii Prezydenta minister dr. S. Łepkowski oraz minister spraw zagranicznych A. Zaleski. Zaleski był dla Raczkiewicza wyrocznią w sprawach międzynarodowych. Prezydent raczej z terenem międzynarodowym nieobyty był wdzięczny Zaleskiemu, że go o wszystkim informuje i właściwie w sprawach zagranicznych za rękę prowadzi. Na tym tle doszło między nimi, już w Paryżu, do dużego zbliżenia. Zbliżył się do Raczkiewicza inny „szkot”, warszawski adwokat Tadeusz Tomaszewski, od grudnia 1939 r. prezes NIK'u. Był to kontakt dla Raczkiewicza bardzo cenny. Nie tylko dlatego, że stanowisko prezesa NIK'u dawało prawo wglądu w działalność wszystkich resortów państwowych, ale również dlatego że Tomaszewski objął w Paryżu stanowisko przewodniczącego „macierzystej łoży

polskiej” „Kopernik”. Tomaszewski należał do starej gwardii niepodległościowych socjalistów polskich. Po zamachu majowym pozostał wprawdzie w P.P.S., która przeszła do opozycji, ale zachował nigdy niewygasłe sentymenty do Piłsudskiego, a Sikorskiego nie znosił. Znalazł się także w zespole „szkotów” inny wybitny działacz P.P.S., przybyły w początkach grudnia 1939 do Paryża — Adam Pragier. Stronnictwo Ludowe w ośrodku szkockim reprezentowali: adwokat Zygmunt Nagórski, adwokat Jerzy Kuncewicz oraz podsekretarz stanu w ministerstwie spraw zagranicznych dr Zygmunt Graliński.

„Szkoci” zaopiekowali się więc nie tylko osobą Prezydenta. Byli w wojsku. Zapewnili sobie wpływy w aparacie służby zagranicznej oraz rozporządzali swymi wtyczkami w przedwojennych stronnictwach opozycyjnych P.P.S. i Stronnictwie Ludowym. A oba te stronnictwa stanowiły zasadniczy trzon tak zwanego rządu jedności narodowej, któremu przewodniczył naczelny wódz generał Sikorski.

Kłeska Francji spowodowała nie tylko zawieszenie prac łoży „Kopernik”. Odcięła Sikorskiego od jego cennych kontaktów masonskich w Paryżu. Musiał teraz szukać takich samych względnie podobnych na zupełnie nieznanym gruncie angielskim, który obsadzili „szkoci”. Niektórzy z nich, jak Zaleski, znali Anglię od dawna. Toteż z prawdziwą ulgą powitał Sikorski przybycie do załamującej się Francji w samolocie brytyjskim swego starego przyjaciela dr. J. Retingera. W swym burzliwym życiu — według powszechnej opinii — Retinger utrzymywał bliskie stosunki z obrządkiem „wschodnim”, a nawet w pewnym czasie z żydowską masonerią „B'nai B'rith”. On też do ostatka był nieodstępnym towarzyszem premiera rządu polskiego. Nie tylko ułatwiał mu nawiązywanie w Anglii kontaktów oficjalnych, ale zbliżył z łożami tak potężnymi w Wielkiej Brytanii. I znowu nie mogły być to łoże które roztoczyły opiekę nad przeciwnikami Sikorskiego z łoży „Kopernik”.

Różne odmiany wolnomularstwa polskiego, choć w czasach przedwojennych skupiały wiele wybitnych jednostek, nie odgrywały nigdy większej roli w życiu politycznym kraju. Nie interesowano się zbyt „szkotami”, uważając ich jeszcze długo po maju 1926 roku za instrument działań Piłsudskiego. Zainteresowanie kół politycznych tym odłamek sprawadzało się często do pytań w rodzaju, czy jest prawdą, że Piłsudski zabronił Beckowi względnie Miedzińskiemu należenia do łoży „szkockiej” i czym się to tłumaczy. Za „prawdziwych” masonów uważano „wschodnich”, widząc w nich przedstawicieli klasycznej międzynarodówki masonskiej. Ale wpływy i tego odłamu były w Polsce znikome.

Inaczej na emigracji. W pierwszych miesiącach, zarówno w Paryżu jak w Londynie stronnictwa polityczne były nieliczne i słabe. Ledwo zaczęły się organizować we Francji, przyszła klęska militarna. W Anglii trzeba było wszystko niemal zaczynać od nowa. Słabość stronnictw stwarzała dla zakonspirowanych zespołów masonskich wyjątkową koniunkturę.

Największą siłą masonów popierających Sikorskiego był on sam. Nie tylko dlatego, że skupił w swych rękach dwie funkcje premiera i naczelnego wodza. Bezpośrednio po klęsce militarnej Polski, którą obciążano wyłącznie rządu przedwrześniowe, cieszył się nieograniczonym kredytem zaufania zdecydowanej większości uchodźców i całego kraju. Dopiero błędy Sikorskiego i jego otoczenia mnożące się już w emigracyjnym okresie francuskim miały się stać bronią, którą zaczęli go zwalczać jego przeciwnicy, wśród nich wolnomularze szkockiego obrządku. W anormalnych warunkach emigracyjnych, gdy gabinet Sikorskiego rządził bez parlamentu, opozycja miała niezwykle ograniczone możliwości korygowania tego co się działo na szczytach emigracyjnej hierarchii państwowej. Konspiracja „szkotów” mogła przeto myśleć o przeprowadzeniu w niej zasadniczych zmian personalnych tylko przy pomocy tak czy owak związanej z nią Prezydenta Rzeczypospolitej.

O wszystkim tym milczą, zarówno „szkoci” jak masoni polscy wschodniego obrządku. Lecz zwolennicy Sikorskiego — jak A. Romer — komentując wydarzenia okresu wojennego usiłują powiązaniami masonskimi obciążyć wyłącznie przeciwników tragicznie zmarłego premiera i naczelnego wodza. Opinie te aprobowają milcząco znacznie bardziej powołani od Romera do pisania o Sikorskim jego bliscy współpracownicy i przyjaciele. W świetle takich bowiem opinii Sikorski wyrasta na polityka, który obarczony w czasie wojny wyjątkową odpowiedzialnością polityczną i wojskową, musiał walczyć nie tylko z jawnymi przeciwnikami, ale także z przeciwnikami ukrytymi w Wielkiej Narodowej Łoży Polski. A tymczasem, zarówno on sam jak jego najbliższe otoczenie, związane było z konspiracją masonską, tylko innej odmiany.

Masonskie kulisy emigracyjnej sceny zapowiadały przyszłość raczej pełną tarć wewnętrznych, utrudniających konstruktywną działalność władz państwowych w skomplikowanych czasach wojny. Pierwsze tygodnie pobytu ich w Londynie, bezpośrednio po klęsce Francji, obawy te potwierdziły.

Tadeusz KATELBACH

OMÓWIENIA

DZIEJE ŁAWRY POCZAJOWSKIEJ

W połowie 1961 roku ukazała się w Kanadzie praca metropolity Ilariona: „Forteca prawosławija na Wołyni, Śwjata Poczajiwśka Ławra¹. Trudno zgodzić się z wielu wywodami autora, i stąd potrzeba dokładniejszego omówienia tej książki tym bardziej, że autor postawił sobie za zadanie „zwrócenie pilnej uwagi na ideologiczne i narodowe życie monasteru” (str. 11).

Zacznijmy od strony „ideologicznej”. Autor powiada m.in.:

„....Za polsko-rzymską unią kryło się całkowite zniszczenie Ukrainy jako odrębnego narodu, i wszyscy dobrze znają te straszne 200 lat...” (s. 9-10). „....Kto stworzył unię: fanatyk i głupi (*nedoumyj*) król Zygmunt III, polska władza, jezuita oraz księża razem z panami dziedzicami, wszyscy razem rzucili się na monaster jako twierdzę prawosławia i ukraińskiej kultury, aby opanować i oddać go jezuitom. Robić to gwałtem nie było zρέcznie, dlatego posłużono się jezuitami i ich rozkładową taktyką, by po mału zagnać wszystkich do unii, następnie do katolicyzmu, a wreszcie wszystkich przerobić na Polaków. I wtedy koniec Rusi, oto główny cel unii...” (s. 68). „....W postanowieniach tzw. ‘wiecznego pokoju’ 1686 r. między Polską a Moskwą, znajduje się także punkt, że diecezja łucka (eparchija) musi pozostać prawosławną. Polacy wślawili się w dziejach tym, że oni wszystko zazwyczaj podpisywali, ale swoich umów nigdy nie dotrzymywali...” (s. 98). „....Poczajowscy bazylianie nigdy nie podtrzymywali narodowej kultury na Wołyniu, — przeciwnie niszczyli tu wiekową cerkiewną tradycję i prawosławną kulturę. Następstwem ich pracy był wielki upadek oświaty na Wołyniu oraz wzmocnienie polskości...” (s. 175).

Jeśli idzie o sprawy narodowe, przedstawia je autor tak:

„....Świetny ośrodek prawosławia, stał się ośrodkiem antyukraińskiej rozkładowej unijnej agitacji” (str. 162). „Otóż, poczajowski monaster w

1. Mytropolyt Ilarion, *Forteca prawosławija na Wołyni, Śwjata Poczajiwśka Ławra, cerkowno-istryczna monografija*. Winnipeg 1961, Instytut Dosliidiw Wołyni, str. 398.

okresie przebywania w rękach unickich nie był żadnym ośrodkiem kulturalnym — był to ośrodek łacińskiego Rzymu, poddanego papieskiego, spolszczonego bazylianstwa” (s. 174).

Z powyższych przytoczeń (a można je mnożyć) widzimy, że autor łączy narodowość ukraińską z wyznaniem prawosławnym, że polszczenie mas ukraińskiej szlachty dokonało się przez pracę kościelną, mianowicie pod przykrywką unii kościelnej miało się niby doprowadzić do przejścia Ukraińców na katolicyzm i w ten sposób miała być przeprowadzona denacjonalizacja Ukraińców i przerobienie ich na Polaków.

Całe to dowodzenie polega niewątpliwie na wielkim nieporozumieniu. Autor zapewne nie chciał pamiętać, co o tych sprawach mówili dwaj najwybitniejsi historiografowie ukraińscy: Mychajło Hruszewś'kyj oraz Wacław Lipiński (Wjaczesław Lypynś'kyj). Przypomnijmy tu wypowiedzi tych ukraińskich historyków. Mychajło Hruszewś'kyj w swym olbrzymim dziele „Istoria Ukrajiny-Rusy” sprawę polszczenia się szlachty rusko-ukraińskiej rozpatruje osobno dla poszczególnych ziem ukraińskich. I tak o stosunkach na Rusi Czerwonej powiada:

„Działy tu bowiem nadzwyczaj energicznie takie czynniki i wpływy jak wspólność interesów klasowych, ...oddziaływania szlachecko-polskiej kultury i rosnące obok wpływy katolicyzmu... wreszcie mieszane śluby Rusinów z Polkami i odwrotnie...”².

Oдноśnie Wołynia Hruszewski powiada:

„...ów napływ żywiołu polskiego (jeszcze za czasów przynależności Wołynia do Litwy)... wszystko to przypadło na czas słabnięcia odporności narodowej w samym żywiole ukraińskim, stopniowego zatracenia się łączności między warstwami wyższymi narodu a cerkwią wschodnią, która stanowiła w owych czasach pierwsze kryterium przynależności do narodowości ukraińskiej, a zarazem była najsilniejszą podstawą w czasie, gdy te warstwy wyższe nie zadawała się już granicami, w których trzymała się i zachowywała ówczesna ruska kultura, coraz bardziej zbliżająca się do kultury i społeczności polskiej. I równocześnie z tym zbliżaniem się ku żywiołowi polskiemu przedstawiciele ukraińskich warstw wyższych zwiększał się wpływ tego żywiołu, wzmacniała się polityczna łączność z Polską, a wszystko to razem przyczyniło się do stopniowego wynarodowienia się tych warstw narodu ukraińskiego...”³.

2. Hruszewś'kyj Mychajło, *Istoria Ukrajiny-Rusy*, Lwów 1907, tom VI. str. 237-283. Toż u Wacława Lipińskiego, *Z dziejów Ukrainy*, Kijów 1912 (drukowano w Krakowie) str. 4. O różnicach poglądów między Hruszewskim a Lipińskim zob. Pelens'kyj Jarosław, *Geschichtliches Denken und politische Ideen V. Lypynś'kys*, w *Jahrbücher für Geschichte Osteuropas*, 1961, tom 9 zeszyt 2 str. 223-247.

3. Hruszewski, o.c.s. 278-279, Lipiński, o.c. 31-32.

Jeśli Hruszewski mówi tylko o warstwie szlacheckiej, to wyjaśnia nam Lipiński, dlaczego tak wówczas było.

„....Jedną bowiem tylko warstwą szlachecką wciągniętą ongi do państwowego życia Rzeczypospolitej, przemożnym wpływem polskim, z początku politycznym, a potem językowym i kulturalnym, w ogromnej swej większości uległa”⁴.

Widzimy więc z wypowiedzi tych dwu najwybitniejszych historyków ukraińskich, że nie Kościół katolicki obrządku łacińskiego czy unickiego był decydującym czynnikiem w wynarodowieniu się szlachty ukraińskiej, że nie zmiana wiary była powodem wynarodowienia się, lecz było to tylko już ostatecznym wynikiem tego wynarodowienia, ową przysłowiową kropką nad i.

Dalej pamiętać musimy, że autor w swym opracowaniu dziejów Ławry Poczańskiej ciągle operuje raz pojęciem naród ukraiński a raz naród prawosławny i stawia znak równania między narodem ukraińskim a prawosławiem.

Znowu nieporozumienie, przed którym ostrzegał już dawno Lipiński:

„....większość wśród nas wyznaje prawosławie, ogólnopanstwowe, synodalne w Ukrainie rosyjskiej i wschodnie na Bukowinie; drugie miejsce co do liczby wyznawców zajmują protestanci (sztundyści) i różni tzw. sektanci, liczni szczególnie na ziemiach południowych; następnie idą greko-katolicy (tj. unicy — przyp. J.H.) w Ukrainie zachodniej i wreszcie rozrzućci po całej Ukrainie prawobrzeżnej i zachodniej Ukraińcy rzymsko-katolicy — 'Ruś zakonu rzymskiego'...” „....Powszechnym więc dziś naszym hasłem w stosunku do wiary powinna i musi być jak najdalej posunięta tolerancja religijna, w polityce zaś s t a n o w c z o (podkreślenie J.H.) odrzucić musimy wszelkie identyfikowanie wyznania z narodowością”⁵.

Pisał to Lipiński w 1911 r., cóż dopiero dzisiaj identyfikować narodowość ukraińską z prawosławiem? Jak tam wygląda teraz na Ukrainie rosyjskiej sprawa wyznaniowa, tego nie wiemy, — ale domyśleć się musimy z wszelką prawdopodobnością, że powstał tam po 40 latach panowania sowieckiego olbrzymi zastęp bezwyznaniowców — których ilości nawet w przybliżeniu nie da się ustalić. Wiemy, że po śmierci zaś metropolity Szeptyckiego (1.XI. 1944) na terenie Ukrainy zachodniej zapanowało przymusowo prawosławie w miejsce zniesionego, na skutek „dobrowolnej” uchwały Synodu w dniach 8-10 marca 1946 Kościoła unickiego. Jeśli idzie o emigrację to także nie wiadomo, czy większość Ukraińców stanowią prawosławni, czy też greko-katolicy (unicy). Stawianie więc znaku równania między narodowością ukraińską

4. Lipiński, o.c.s. VII.

5. Lipiński, o.c.s. III-III.

a wyznaniem prawosławnym jest dzisiaj co najmniej anachronizmem.

Reasumując można stwierdzić: polszczenie się szlachty ukraińskiej nastąpiło wyłącznie z przyczyn społecznych i kulturalnych, a zmiana wyznania jest tylko zjawiskiem pochodnym. Przypomnieć też wypada, że jeśli idzie o Wołyń, to przejście na katolicyzm obrządku łacińskiego, czy nawet na unię (co rzadziej bywało) poprzedziło przejście tej szlachty przez wyznania różnowiercze jak arianizm, kalwinizm itp.

Zastanović się należy, dlaczego i jak się to stało, że z taką łatwością szlachta ukraińska polszczyła się na prawobrzeżu, na lewobrzeżu zaś uległa rusyfikacji, a później, po rozbiorach, w całości prawie się ruszczyła (w zaborze rosyjskim). Tu trafnie zdaniem mym odpowiedział Leon Wasilewski:

„Gdy kijowscy uczeni (połowa XVII w.) skupiający się przy Ławrze (Peczerskiej — przyp. J.H.) i akademii mohylańskiej, kostnieli coraz bardziej w przestarzałym scholastyctwie, nawracając w swych pismach do cerkiewnoślawiańszczyzny a z uszczerbkiem mowy ludowej, wpływ polski szerzył się z żywiołową siłą... Polszczyzną posługuje się w znacznej mierze i starszyzna kozacka. Cały szereg pisarzy ruskich (tj. ukraińskich — przyp. J.H.) używa języka polskiego jako literackiego”⁶.

Stąd też i to pochodne zjawisko, na które zwraca uwagę Wasilewski, że

„Piśmiennictwo ukraińskie kół inteligencji, piśmiennictwo poważne, zarówno w dziedzinie literatury pięknej, jak i w badaniach naukowych, należy do literatury rosyjskiej i polskiej. Mowa ludowa zapanuje tylko w bogatej poezji ludowej, w przepięknych pieśniach epickich (dumach — przyp. J.H.) i lirycznych, przepojonych prawdziwym czarem poezji”⁷.

Wypadnie z kolei zastanović się nad rolą unii kościelnej w życiu narodu ukraińskiego. Najlepszy niewątpliwie znawca stosunków polsko-ukraińskich w przeszłości Aleksander Jabłowski powiada:

„Jakkolwiek niezupełnie wolni od pobudek jednostronnych, samolubnych inicjatorowie unii mieli wszakże na celu głównym dobro tak cerkwi jak i narodowości ruskiej (tj. ukraińskiej — przyp. J.H.). Leżało to na sercu szczerze tak Pocielowi i Rutskiemu jak i Kuncewiczowi nawet. Zamieniali oni zwierzchność carogrodzką na posłuszeństwo Rzymowi, ale pragnęli utrzymać na zawsze zuniowaną swą cerkiew, jako cerkiew ruską. I byłaby ona pozostała nie tylko z nazwy, lecz w istocie samej jako taka, gdyby unia mogła objąć całą Ruś w obrębie Rzplitej. Ale rozdwojenie onej reli-

6. Wasilewski Leon, *Ukraińska sprawa narodowa w jej historycznym rozwoju*. Warszawa 1925, str. 31.

7. Wasilewski, o.c.s. 35.

gijne, wywołując coraz zawziętszą walkę stron przeciwnych, rzucało zwolenników unii wciąż bardziej w objęcie Zachodu łacińskiego i polskości, wytwarzało większą jedność ideałów wychowania oraz charakteru szkół, przez co niepostrzeżenie dawali oni przeciwnikom wytrącać sobie z ręki ster przodownictwa sprawie ruskiej i występować coraz wyłącznie w charakterze jedynych przedstawicieli Rusi⁸.

Lipiński, powtarzając tę wypowiedź Jabłonowskiego zauważa, że trudno historykowi powiedzieć co by było gdyby...⁹. Wydaje mi się jednak, że można dzisiaj, po wielu latach doświadczenia historycznego, przyznać rację Jabłonowskiemu.

Kościół unicki pozostał ukraińskim, mimo że niewątpliwie swego czasu posługiwał się polskim językiem w druku i w szerzeniu swej wiary. Musiały dopiero przyjść nowe czasy, które przyniosły nowe idee i odrodzeniowe ruchy narodowe. Są to lata połowy XIX wieku, wieku „wiosny ludów”. Widzimy to nie tylko na narodzie ukraińskim. Najlepiej widać to na narodzie litewskim, gdzie nie było różnic wyznaniowych. Jak naród polski w swej olbrzymiej większości był katolickim, tak i naród litewski był wyznania rzymsko-katolickiego. A jednak mimo spolszczenia się tego Kościoła na Litwie, właśnie na skutek hasła „wiosny ludów” budzi się w nowej z chłopów powstałej inteligencji, głównie wśród księży, odrodzieńczy ruch narodowy litewski. To samo widzimy i w narodzie ukraińskim. Świadomość narodowa ukraińska, w szerszych masach, powstała może wcześniej w zaborze austriackim, więc wśród unitów. Natomiast „ojciec literatury ukraińskiej” Iwan Kotlarew’skyj, autor słynnej „Eneidy”, czuł się Rosjaninem a nie Ukraińcem. Dopiero pojawienie się Szewczenkowskiego „Kobzara” w 1840 r. było doniosłym narodowym wydarzeniem w zaborze rosyjskim. Autor zresztą sam przyznaje to, ale tylko częściowo, mówiąc:

„Unicka Galicja (Hałyczyna) odrodziła się narodowo dopiero w XX wieku (— a w rzeczywistości nastąpiło to już w połowie XIX w., — przyp. J.H.) i tylko dlatego, że przodującym elementem odrodzenia była głównie ukraińska świecka inteligencja”

(o księżach unickich autor nie chce nic wiedzieć, a przecież unita, ksiądz Martian Szaszkewycz, był tu pierwszym poetą — przyp. J.H.). Mylnie bowiem twierdzi autor:

„Odrodziła się nie unicka cerkiew, a tylko i wyłącznie życie polityczne i właśnie ta unicka idea cały czas kopła duchowy Zbrucz między

8. Jabłonowski Aleksander, Akademia kijowsko-mohylańska, Kraków 1899-1900 s. 30.

9. Lipiński, o.c.s. 113.

Kijowem a Lwowem, ponieważ tego chciał Rzym i arcykatolicka Austria" (s. 175).

Tu wypadnie już tylko podziwiać nieświadomość autora, czy też rozmyślną złośliwość.

W omówieniu tej części książki wypadnie tylko jeszcze zwrócić uwagę na dwa fakty: 1) Skąd autor zaczerpnął wiadomość, że Zygmunt III chciał zniszczyć naród ukraiński i spolszczyć go przy pomocy Kościoła unickiego, pozostanie to wyłącznie jego tajemnicą, gdyż nigdzie na to dowodu nie znajdzie. 2) Autor mówi, że „następstwem pracy bazylianów poczajowskich był wielki upadek oświaty na Wołyniu oraz wzmocnienie polskości” (s. 175). Cóż na takie twierdzenia odpowiedzieć? Nie śmiem posądzać uczzonego profesora Iwana Ohijenkę, a zarazem metropolitę Ilariona, że nie wie nic o zakładaniu w tym właśnie czasie szkół na Wołyniu przez Tadeusza Czackiego ze sławnym Liceum Krzemienieckim na czele. Liceum to między innymi wydało pierwszego na Wołyniu poetę polsko-ukraińskiego Tymka Padurę. Można więc i należy zakwalifikować tę wypowiedź jako niepotrzebną złośliwość, taką samą jak to, że „Polacy wsławili się w dziejach tym, że oni wszystko zazwyczaj podpisywali, ale swych umów nigdy nie dotrzymywali” (s. 98). W rzeczywistości bowiem stan oświaty i Kościoła prawosławnego na Wołyniu już i dawniej był na tak niskim poziomie, że obrońca prawosławia, książę Wasyl Konstanty Konstatynowicz Ostrogski, założył szkołę średnią w Ostrogu i powołał do życia Akademię Ostrogską, by podnieść życie religijne właśnie prawosławne. Po zgonie księcia upadek oświaty i życia religijnego prawosławnego tylko się pogłębił.

Oдноśnie tzw. „pokoju wieczystego” z 1686 roku, muszę przypomnieć autorowi, że każdy traktat nabiera mocy prawnej dopiero po ratyfikacji. Ten zaś traktat Sejm polski ratyfikował dopiero w 1710 roku. Z wymienionych w traktacie pięciu biskupstw prawosławnych nie istniało w 1702 roku ani jedno. Cztery z nich bowiem, w tym łuckie, połączyły się z Kościołem rzymskim, więc nie były już prawosławne, piąte zaś, mohylowskie (mścisławskie) z braku wiernych samo upadło i zostało przyłączone do arcybiskupstwa połockiego. Z tego też powodu, Sejm ratyfikując w 1710 r. traktat z 1686 r. dodał zastrzeżenie, potrzebne wobec stanu faktycznego, które brzmiało: *salva integritate Religionis s. Romanae catholicae utriusque ritus latini et graeci juxta statum est conditionem, in quo nunc sunt*. Najwidoczniej o tym zastrzeżeniu autor zapomniał.



Przejdę do innego zagadnienia, które autor nazywa „powrotem do wiary ojców”. Autor powiada:

„Sprawa powrotu monasteru poczajowskiego do Cerkwi prawosławnej była sprawą palącą i drażliwą na Wołyniu jeszcze od czasów przywłaszczenia go przez unitów w 1721 r. Przy każdym polepszeniu sytuacji politycznej (co przez to rozumie autor, tego niestety nie mogę odgadnąć — przyp. J.H.), zaraz poczynano mówić o oddaniu monasteru prawosławnym. Niestety, ukraiński naród nie miał wtedy swoich obrońców, którzy mogliby występować o swoją świątynię, o monaster poczajowski” (s. 190).

Mówi dalej:

„Naród żył ciągle nadzieją, że prawda jednak zwycięży, że Sam Pan Bóg upomni się o Swoją świątynię” (s. 191).

Autor uważa, że wpływy jezuitów w Rosji spowodowały, że Katarzyna II i car Paweł I nie znieśli unii (str. 182).

„Po 1803 roku car Aleksander oddał całe prawobrzeże w ręce Polaków — zamianował znanego Tadeusza Czackiego kuratorem szkół na Wołyniu, Podolu i Kijowszczyźnie. I rozpoczęła się jawna polonizacja! A w roku 1803 w mieście Krzemieńcu ten Czacki założył znane Liceum Krzemienieckie, jako wyższą szkołę dla Polaków. Krzemieniec — niedaleko Poczajowa — polonizuje się i monaster” (s. 183).

Naturalnie można różnie osądzać działalność Tadeusza Czackiego. Metropolicie Ilarionowi, autorowi dzieła „Hramatyczno stylistyczny słownyk Szewczenkowej mowy” przypomniał tylko, że wieszcz Ukrainy Taras Szewczenko tak się wyraził o Czackim: *Porom zemlja Tobi, blahorodnyj Czac'kyj. Ty ljubyw myr i proświtu! Ty ljubyw ljudynu tak, jak zapowiu nam ljubyty Chrystos*. Zdaje mi się, że Szewczenko lepiej ocenił działalność Czackiego. Twierdzi, że monasteru nie zwrócono prawosławnym ani w roku 1793 ani 1795, gdyż wstrzymali to jezuiti (str. 184).

„Caryca Katarzyna II po pierwszym rozbiórce nakazała gubernatorom, by zawiadomili ludy nowoprzyłączonych (sic! — J.H.) ziem, że wszystkim zapewnia się swobodę wiary... Nie bacząc na to, naród spontanicznie (*spontano*) powrócił do wiary swych przodków i w latach 1781-1783 powróciło 117-161 unitów” (s. 184). „Rosyjska władza pomagała oficjalnie organizować się unitom, i jeszcze na początku panowania Mikołaja I były jeszcze cztery unickie diecezje: wileńska, połocka, brzeska i łucka. Ale wiernych było mało, i unickie duchowieństwo zmniejszyło się liczebnie. Wśród przywódców unickich nie było jedności i zgody, bazylianie jawnie walczyli ze swym świeckim duchowieństwem, i to doprowadziło do połockiego Soboru 12 lutego 1839, na którym i reszta unitów powróciła do swej dawnej wiary, do prawosławia” (s. 189).

Autor twierdzi, że Golicyn minister Wyznań i Oświecenia, był ateistą, jawnie „pomagał innowiercom odsuwając prawosław-

nych" (s. 196). Dopiero archimandryta Pocięj rzucił klątwę na Golicyna i tym

„przełamał nastrój bezbożny wyższego otoczenia cara i tym sposobem przygotował akt 1839 roku — powrotu unitów do prawosławia, czemu sprzeciwiało się wyższe carskie otoczenie" (s. 197).

Dalej mówi autor o udziale bazylianów poczajowskich w powstaniu 1831 roku i nawet daje szyderczy tytuł podrozdziałowi „'Panowe, — za ojczyznu!' — kryczat' wasylijan" (s. 199), omawiając odezwę drukowaną w poczajowskiej drukarni. Opowiada autor o dochodzeniu w sprawie udziału bazylianów w powstaniu i w rezultacie: Komisja aresztowała zakonników i zaleciła zwrócić monaster prawosławnym. Car rezolucją z dnia 10 września 1831 r. nakazał powrócić monaster poczajowski prawosławnym.

Autor mówi, że

„katolicy i unicy w swej propagandzie twierdzą, jakoby udział bazylianów w polskim powstaniu 1830 r. wykorzystał rząd rosyjski i zniweczył unię. Nie — po 1830 r. pozostałe duchowieństwo unickie pokłóciło się zupełnie z bazylianami i to doprowadziło do połockiego soboru 1839, kiedy i reszta unitów dobrowolnie (podkreślenie — J.H.) przeszła na prawosławie" (s. 210).

Kończy autor ten rozdział słowami:

„Polski historyk biskup Likowski tak o tym powiada: 'Twierdzenie, jakoby rewolucja 1830 roku zmusiła cara Mikołaja I by przystąpił do zniszczenia unii z powodu udziału w nim części unitów, jest całkiem nieprawdziwe i mylne'".

Do tego doprowadziły inne przyczyny, o których — jak pisze autor — „już pisaliśmy" (s. 202).

Każdego, kto zajmował się tymi sprawami, muszą twierdzenia autora co najmniej dziwić. Cóż powiedzieć o „spontanicznym" powrocie unitów do prawosławia za Katarzyny II? Nie będę przytaczał dowodów znanych bodaj z dzieła ks. biskupa Likowskiego, na którego, jak to później zobaczymy, autor niefortunnie się powołuje. Z terenu Wołynia przytoczę tylko fakt, że w Muzeum barona Steinheila, w Gródku pod Równem, były dokumenty policji z 20.XI.1863 i z r. 1869, że chłopci w powiecie rówieńskim niejednokrotnie nie chcą chrzcić dzieci w cerkwiach prawosławnych, a więc jeszcze w 30 lat po oficjalnym powrocie unitów na prawosławie¹⁰.

Z własnego doświadczenia, z wędrówek po kraju przytoczę: w roku 1922 w powiecie nowogrodzkim spotykałem jeszcze stare

10. Czasopismo rosyjskie *Na Czużoj Storonie*, Praga 1925 tom IX.

babki, które mimo przynależności do Kościoła prawosławnego nadal modliły się z polskich unickich ksiąg, i z tego powodu były wyśmiewane przez młodych, wychowanych już w prawosławiu. W takiej wsi Podlesie koło Lachowicz powiatu baranowickiego, chłopci z dumą wspominali, że przed ikoną ich cerkwi, ongiś cudowną, „pokłony bił ostatni wojewoda mścisławski” i pokazywali z dumą księgi cerkiewne pisane w języku polskim. W okolicach Nieświeża, koło Horodzieja, często wspomniano, jak to ich dziadków bito nahajami, by się na prawosławie nawrócili, uważając, że wystarczy, jak „głowa” rodziny przyjmie prawosławie, to i reszta przejdzie. Zresztą zacytuję tu znowu zdanie Lipińskiego, dotyczące terenu Podlasia i Chełmszczyzny czasów późniejszych: „Ten wiecznie męczony chłop podlaski, dawniej przemocą zmuszany do unii, dziś znów przemocą nawracany na prawosławie”¹¹. To nawracanie nie było „spontaniczne”, w rzeczywistości wyglądało zupełnie inaczej: było ono przemusowe i pod naciskiem policyjnym, a często nawet i wojskowym.

Autor powołuje się i na jezuitów i na bezbożników w rodzaju Golicyna, że to oni powstrzymali nawracanie na prawosławie. Nie.

Autor nie chce pamiętać, że jak ongiś Piotr Wielki wykorzystywał sprawę prawosławia w Polsce dla celów politycznych, tak i później sprawa „powrotu” czy nie powrotu na prawosławie, była dla rządu rosyjskiego nie zagadnieniem religijnym, ale ściśle i wyłącznie zagadnieniem politycznym. Szło bowiem o dwie koncepcje powstałe po śmierci Katarzyny II i widoczne od Pawła I do Mikołaja I. Sprawą tą była kwestia zachodniej granicy cesarstwa rosyjskiego i stosunek Polaków w późniejszych tzw. „guberniach zachodnich”. Chciano bowiem z Polaków z tych późniejszych „gubernii zachodnich” stworzyć sobie przyjazny i przychylny element, i chciano, by sami ci Polacy ostatecznie orzekli, że pragną pozostać w ramach carstwa rosyjskiego a nie w granicach Królestwa Kongresowego. To było istotną przyczyną wahania się kół rządowych rosyjskich, i nie chciano sobie zniechęcać tych Polaków walkami religijnymi i prześladowaniem unitów jako katolików. O tej sprawie granicznej, bez uwzględnienia jednak spraw unickich, pięknie pisze Askenazy¹². Z chwilą, gdy zdecydowano w kołach rządowych, że „zachodnie gubernie” nie będą przyłączone do Królestwa, zbędne było kokietowanie Polaków „liberalizmem wyznaniowym” i zabrano się do ujednolicenia

11. Lipiński, o.c.s. 118.

12. Askenazy Szymon, *Bracia*, przedruk w „Tekach Historycznych” t. XI, Londyn 1961.

carstwa pod względem religijnym. To było istotnym powodem, który doprowadził do „dobrowolnego” przystąpienia soboru połockiego 1839 r. do prawosławia. Że wypadło to po powstaniu 1830/31 r. wielu sądziło, że tak ukaz cesarski o oddaniu prawosławnym monasteru poczajowskiego w r. 1831, jak i sławny Sobór połocki 1839 r. były następstwem powstania.

Niezależnie jeszcze od tej „sprawy granicznej”, przygotowano już wcześniej za Mikołaja I „akcję powrotu na prawosławie”.

Autor przytacza zdanie biskupa Likowskiego, że nie powstanie było przyczyną zniesienia unii i dodaje od siebie „do tego doprowadziły inne przyczyny, o których pisaliśmy” (s. 202). Wygląda na to, że i o tych „innych” przyczynach pisze biskup Likowski. Biskup Likowski nie pisze nic o obojętności religijnej wyższych sfer otoczenia carskiego. Pisze natomiast o przygotowaniach, o których Autor zupełnie nie wspomina. I tak pisze biskup Likowski¹³ o „ukazie z 9 lutego 1826 zabraniającym sprzedawania unickich *ruskich* (podkreślenie moje — J.H.) książek do nabożeństwa na jarmarkach, odpustach i przy okazji większych zbiegowisk ludu” (str. 278). I dalej o „ukazie carskim z 1827 r. wzbraniającym przyjmowania do zakonu bazylianów osób innego obrządku” (szło o łacinników — przyp. J.H.) (s. 287); o ukazie z 22 kwietnia 1828 r., który był „niejako ustawą organiczną Kościoła unickiego na przyszłość”, dążącą do oprałowania unii (str. 288). Na skutek tego ukazu zawieszono w urzędowaniu biskupa unickiego w Łucku Sierocińskiego, który nie chciał przejść na prawosławie i przeniesiono go do zreformowanego już unickiego kolegium (s. 293). W r. 1830 zakazano posyłać kleryków unickich do Rzymu i co dziwniejsze do głównego seminarium wileńskiego, a wysyłano ich tylko do seminariów niższych i już zreformowanych w Połocku i Żyrowicach (s. 294-5). Opis przejścia klasztoru poczajowskiego i środków ostrożności z tym związanych na skutek obaw Błudowa („możliwy bunt ludu okolicznego unickiego i łacińskiego”) podany u Likowskiego na str. 302-303. Dalej wspomina bp. Likowski o ukazie z 16 lutego 1832 znoszącym godność prowincjałów zakonu bazylianów (s. 301). To wszystko przytacza biskup Likowski jako przygotowania do zniesienia unii przez „dobrowolny” Sobór połocki, ale tego nie podaje autor książki. Wreszcie jak to „spontaniczne” powrót do prawosławia i „dobrowolna” uchwała

13. Likowski Edward ks., *Dzieje Kościoła unickiego na Litwie i Rusi w XVIII i XIX wieku, uważane głównie ze względu na przyczyny jego upadku*. Poznań 1880. Metropolita Ilarion powołuje się na wydanie warszawskie z r. 1906. Tego wydania nie mam tutaj i podając wyżej w nawiasach strony, podaję z wydania poznańskiego 1880 r.

Soboru połockiego wyglądały, wystarczy za biskupem Likowskim przytoczyć słowa adiutanta carskiego, który z polecenia samego cara przyjechał do księży unickich, nie chcących „dobrowolnie” przejść na prawosławie, a uwięzionych w Torokanach”:

„daję wam sześć miesięcy czasu, sam po tym terminie przyjadę dla zrobienia porządku i różę nie pożałuję; taka jest wola carska; cesarz zniósł unię i was zniesie, jeżeli prawosławia nie przyjmiecie” (s. 338).

Tak to pokrótce wygląda w rzeczywistości „powrót dobrowolny i spontaniczny” na prawosławie.

Część VII książki „Życie Poczajowskiej Ławry w ostatnich czasach” jest bardzo ciekawie napisana. Naturalnie w myśl poznanych już założeń, teraz dopiero następuje rozkwit życia religijnego, a tym samym zdawałoby się i narodowego. „W ostatnich czasach Ławra Poczajowska rozwija się mocno i stała się wielkim ośrodkiem religijnym i kulturalnym” (s. 235) — powiada autor. Osiągnięcia te idą w różnych kierunkach.

Najpierw sprawa rozbudowy Ławry:

„Jak już wyżej wspomnieliśmy — mówi autor — bazylianie całkiem zrujnowali gdzieś około 1773 r. dawny murowany Troicki sobór, który zbudowali pobożni dziedzice Fedor i Ewa Domaszewscy w r. 1649. Był to niczym nieusprawiedliwiony barbarzyński uczynek, obcych ukraińskiemu narodowi, poczajowskich bazylianów. Sobór Wniebowzięcia N.M. Panny hrabiego Potockiego mało ma w sobie ukraińskiego, ale wybudowany w stylu epoki i przymusowo: taki sobór nie tylko w jednym Poczajowie. Sobór ten wyraźnie łańcińskiego stylu, dlatego też robi na prawosławnych wrażenie obce albo mało zrozumiałe. Historycy sztuki oceniają jednak ten sobór inaczej” (s. 236).

Kiedy w r. 1902 arcybiskupem wołyńskim został Antoni Chrapowickij, wyraził zaraz ostro swe niezadowolenie z powodu stylu i architektury soboru Wniebowzięcia N.M. Panny (Uspieński). On też wołał: 'nie będę odprawiał nabożeństw w katolickiej świątyni, — nie mogę odprawiać nabożeństw twarzą na „zachód” itp. Domagał się, by zbudowano nowy sobór (tamże). „Ale arcybiskup Antoni nie chciał stylu ukraińskiego i... wybrał sobie jako wzór sobór Siergiejewski pod Moskwą... upodobanie czysto subiektywne” (s. 238). Autor powtarza zdanie następcy arcybiskupa Antoniego, arcybiskupa Eulogiusza Gieorgiewskiego: 'Troicki sobór zbudowany przez arcybiskupa Antoniego był stylu nowogródzkiego i nie harmonizował ze stylem głównej poczajowskiej świątyni. Swoim ponurym wyglądem — powiada Eulogiusz — jest kontrastem w stosunku do soboru Uspieńskiego i reszty budynków Ławry. Te dwa style — dodaje Eulogiusz — to dwa światopoglądy'. Od siebie zaś dodaje Autor: „...Wygląd starego

Troickiego soboru z r. 1649 znamy z portretu Domaszewskich, — sobór ten wielki i piękny, i właśnie taki, wedle tego rysunku należało zbudować” (s. 241). Autor widać nie pamiętał o sztychu wydanym w poczajowskiej drukarni, wyobrażającym obłężenie Poczajowa przez Turków w r. 1675 r. znajdującym się w wydawnictwie w języku polskim, a tam jest lepszy widok cerkwi św. Trójcy.

Mówiąc o fundatorze soboru Wniebowzięcia N.M. Panny (Uśpieńskim) Mikołaju Potockim, nie wspomina nic o tym, że Potocki przed tą budową ufundował trzy inne klasztory bazylińskie: buczacki, horodeński i sokolecki. Osobny rozdział zatytułował autor: „Bazylianie nie spieszą z budową nowego soboru”, mimo że Potocki dał, jak się wyraża, „miliony” na budowę i ciągle bazylianom te „miliony” wypomina. Sam przecież autor podaje, że Potocki wydał na budowę 2,244.000 złotych (s. 133). Autor nie uważał za stosowne nadmienić, że opóźnienie w budowie nastąpiło na skutek jakby rozpisania konkursu na tę budowę i nie wspomina o różnych planach budowy, o czym musiał wiedzieć z pracy Dutkiewicza¹⁴. Píše autor:

„Unicy bazylianie kąpali się w złocie, sami żyli jak magnaci, utrzymywali zwierchność unicką, używali pieniędzy na drugorzędne ale własne sprawy” (s. 134). „Unicy bazylianie zamyślali przebudować w monasterze wszystko, i wyrzucić wszystkie poprzednie cerkwie, żeby z prawosławnego nic nie pozostało” (s. 135).

I znowu myli się autor. Jak podaje Dutkiewicz:

„Chociaż cerkiew wzniesiona przez Domaszewskich była jeszcze niewątpliwie w najlepszym stanie, jak świadczy choćby opinia wydana przez o. Giżyckiego (bazylianina unickiego — przyp. J.H.) i mogła trwać w długie czasy, to prawdopodobnie już w pierwszej połowie XVIII w. okazała się ona za szczupłą dla potrzeb pątniczych i dla wzrastającego kultu cudownego obrazu. Świadczyć o tym może wiadomość, że o. Gedeon Kozubski już w czwartym dziesięcioleciu XVIII w. gromadził wielkie zapasy cegły i nosił się z zamiarem zniesienia dotychczasowej cerkwi i wzniesienia wspañialej”¹⁵.

Potrzeba większej świątyni była tym czynnikiem, który spowodował zbudowanie nowej, a miejsce dla niej na górze mogło się znaleźć tylko po usunięciu dotychczasowej. Sprawę budowniczych soboru też źle przedstawia, mianowicie twierdzi, że było o jednego (G. Hoffmana — przyp. J.H.) za mało i Potocki sam

14. Dutkiewicz Józef Edward, *Fabryka cerkwi Wniebowzięcia N.M. Panny w Poczajowie*. „Dawna Sztuka” t. II zeszyt 2 i odbitka (cytuje strony odbitki) str. 8--11.

15. Dutkiewicz, o.c.s. 4.

zakontraktował Ksawerego Kulczyckiego. Píše też autor, że „wszystko to robił sam hrabia Potocki, roboty bazylianów nie widać” (s. 137). Znowu mylne twierdzenie, gdyż kontrakt tak z Godfredem Hoffmannem, gdy zaś już Hoffman nie pracował — z Kulczyckim i innymi rzemieślnikami zawierały władze klasztorne¹⁶.

Przechodząc do „ostatnich czasów” autor szeroko opowiada o pobudowaniu przez archimandrytę Witalego Maksymenkę skita na „kozackich mogiłkach” pod Beresteczkiem, na polu pamiętnej bitwy roku 1651 między wojskami Rzeczypospolitej a kozakami Chmielnickiego. Postanowiono zbudować na polach tej bitwy pomnik-cerkiew. Car Mikołaj II, jak pisze autor „zrozumiał wielkość tego dzieła i podarował na tę budowę 25.000 rubli, a dyrektor morozewskiej fabryki Iwan Kolesnikow darował na ten cel 50.000 rubli” (s. 247). Budowa tej cerkwi trwała lat pięć. Postawiono ją na błotach wsi Plaszcowa, na wysepce Żurawlicha. Autor podaje dosłowną treść wmurowanej tablicy pamiątkowej: „...za poległych za prawosławną wiarę i świętą Rus”, w nawiasie zaś dodał „Ukrainę”, którego to wyrazu nie ma na tej tablicy, gdyż zarówno autorzy pomysłu cerkwi, jak i tablicy pod wyrazem „święta Rus” nie rozumieli Ukraina, tylko Rosja, ale tego już autor nie wyjaśnia (s. 247).

Także mówiąc o świętach obchodzonych specjalnie przez Ławrę Pocajowską (s. 227 i 337) autor nie podaje tego, co pisze historyk Cerkwi prawosławnej E. Gołubinskij: „W Ławrze Pocajowskiej od wcale niedawna, bo od roku 1866 święci się dnie świętych wołyńskich” (tu wylicza ich daty). Nie podaje też za Gołubińskim¹⁷, że dzień 25 maja święcono na pamiątkę „cudownego ocalenia imperatora Aleksandra Nikołajewicza od grożącego mu niebezpieczeństwa w Paryżu 2 maja 1867 (zamazach Berezowskiego — przyp. J.H.), a po śmierci Aleksandra przeniesiono je na dzień 10 października, jako na dzień powrócenia Ławry Pocajowskiej na prawosławie. — Autor nie dostrzega wyraźnych intencji w celu rosyjszczenia ludności wołyńskiej, a raczej czuje większą sympatię do Moskwy i wszystkiego co trąci moskiewszczyzną.

Dalej opisuje autor dzieje Ławry w czasach pierwszej wojny światowej. W kilka dni po wybuchu wojny wywieziono obraz cudowny N.M. Panny, i szczątki ciała św. Joba Żelizo do Żytomierza,

16. Dutkiewicz, o.c.s. 15 oraz aneks s. 25-34.

17. Golubinskij E., *Istoria kanonizacji swjatyh w russkoj Cerkwy*, wyd. 2. Moskwa 1903 s. 221 (obok dawniejszych świętych: kniazia Fedora Ostrogskiego i kniahini Julianny Holszanskiej oraz mnicha Joba Żelizo, dodano nowych świętych: kniazia włodzimierskiego Jaropolka Izjasławicza, biskupów włodzimierskich Stefana II i Amfiliona).

w ciągu zaś 1915 r., głównie w lipcu, wywieziono na Wschód cały ruchomy majątek Ławry. Pozostali w Ławrze najlepsi (*najkraszczy*) zakonnicy. 24 sierpnia 1915 wojsko austriackie zajęło Ławrę i mnichów wywieziono do obozu koncentracyjnego koło Waser genu na Węgrzech. Wojsko zajęło budynki klasztorne i utrudniało odprawianie nabożeństw. W r. 1916 „napastników” (tj. wojsko austriackie — przyp. J.H.) wygnano z Poczajowa i zakonnicy powoli zaczęli powracać do Ławry. W r. 1919 zajęły Ławrę wojska sowieckie i zniszczyły co się dało zniszczyć. 8 września 1920 zajęły Wołyn wojska polskie, i, jak pisze autor:

„zaczęła się dla Ławry Poczajowskiej nowa doba — polska, znowu katolicka... „i cały ten czas katolicy usiłowali takim czy innym podstępem zagarnąć (*zachopyty*) świętą Ławrę w swoje ręce. Usiłowania te szły za usiłowaniami, i życie zakonników w Ławrze za Polaków stało się bardzo uciążliwe. I gdyby Polska nie zakończyła swego istnienia w 1939 roku, św. Ławra byłaby już zniszczona, byłaby zagarnięta przez katolików” (s. 253). „Władza polska przeprowadzała usilną polonizację prawosławnej Cerkwi. Robiła to stopniowo, uparto i oszukańczo: najpierw wyrzuciła rosyjską mowę, jako prawdziwie cudzą, zastępując ją mową ukraińską, i w tym pomagali rządowi Ukraińcy. Ale jeśli się lepiej przypatrzeć, rząd dążył do wprowadzenia w Cerkwi i we władzach cerkiewnych języka urzędowego, tj. polskiego, — a w ten sposób usuwano mowę ukraińską z urzędów cerkiewnych. Tyczyło to i poczajowskiego klasztoru” (s. 254). „Katolickie duchowieństwo poczęło zaraz szerzyć swoją ideologię, że wszystko to, co należało ongiś do unitów, a powróciło do prawosławia, powinno być teraz przekazane katolikom. W sierpniu 1929 r. metropolita wileński i lwowski oraz biskupi łucki i piński (katolicy — przyp. J.H.) wniosli do swych sądów 664 pozwy (potem zwiększono je na 774) o cerkwie, monastery i wszystkie majątki, — wszystko to powrócić im, gdyż rząd rosyjski zabrał im to” (s. 255). „20 listopada 1933 r. zebrał się w Warszawie Najwyższy Sąd i wszystkie te skargi odrzucił. Sprawę przegrał i papież i wszyscy katolicy” (s. 256). „Grekokatolickie cerkiewne władze z metropolitą Andrzejem Szeptyckim na czele nie występowały oficjalnie, by pounickie cerkwie i mienie powrócić jemu, jako niby gospodarzowi ich. Nie wystąpił, gdyż 1) papież zabronił im tego za pośrednictwem nuncjusza Mar-magiego, 2) nie można było w żaden sposób dowieść, by te cerkwie jak i ich mienie kiedykolwiek prawnie należały do unitów. Przemoc — nie prawo” (s. 257).

Na te ostatnie zdania metropolity Ilariona, to już i szkoda w ogóle odpowiadać.

Ostatnia część książki: VIII „Znaczenie Ławry Poczajowskiej” omawia różne aspekty „ideologiczne”, głównie zajmuje się walką Ławry z unią.

Z dawnych czasów autor wymienia tylko Ioba Żelizo, gdyż Bogiem a prawdą Poczajów nigdy nie był ani wielkim ośrodkiem kulturalnym ani nawet myśli religijnej. Ośrodkiem kulturalnym i religijnym był Ostróg za Wasyla Konstantego Ostrońskiego, zaś po jego śmierci i ten ośrodek zmarł śmiercią naturalną, głównie

z powodu, jak już wyżej za Wasilewskim nadmieniałem, trzymania się przez kler prawosławny kurczowo języka cerkiewnoświątecznego, a nie stworzenia nowego, literackiego, na podstawie mowy ludowej. Monaster z Żelazą prowadził walkę z unią, ale walkę tę prowadziły i inne klasztory. Walor zaś Począjowa spoczywał na czymś zupełnie innym: na legendarnych cudach obrazu Matki Boskiej, który to kult zwiększyli właśnie bazylianie unicy, doprowadziwszy do koronacji obrazu. Później, po przywróceniu monasteru prawosławnym, po podniesieniu go do godności Ławry, (1833), z powodów czysto politycznych, by szerzyć rosyjskość Rosjanie wyolbrzymili znaczenie Ławry. Najlepszym tego dowodem, — poza wymienioną już datą podniesienia do godności Ławry i ustanowieniem świąt świętych wołyńskich 1866 r. — jest to, co pisze sam autor:

„W roku 1869 począjowski monaster założył swymi kosztami wielką szkołę rzemieślniczą... 28 sierpnia zamieniono ją na bardziej potrzebną szkołę, dwuklasową „cerkowno-prychodzką”. W szkole tej 25 uczniów było na pełnym utrzymaniu monasteru, 10 zaś na połowie kosztów... 6 listopada 1890 r. założono przy klasztorze cerkiewno-nauczycielską szkołę dla całego Wołynia... W r. 1893 dwuklasową „cerkiewno-prychodzką”, czyli powszechną, albo w terminologii dzisiejszej podstawową, zreformowano w ten sposób, że absolwenci tej szkoły mogli przechodzić do seminarium nauczycielskiego w Żytomierzu” (s. 336).

Widać nie stać było ani monasteru ani rządu rosyjskiego na założenie w klasztorze począjowskim szkoły bodaj średniej, nie mówiąc już o wyższej, takiej jaką ongiś założył Czacki w Krzemieńcu.

O ile dotąd autor z sympatią odnosi się do poczynąń władz cerkiewnych, będących w ręku Rosjan, to dopiero w podrozdziale „Rozkładowe moskwofilstwo w Ławrze Począjowskiej” przybiera inny ton. Dziwne jednak wydają się i tu niektóre sądy jego. Np.:

„arcybiskup Antoni... był szowinistą rosyjskim, i tę swoją rosyjskość siłą wszczepiał i wołyńskiej Cerkwi. Prawda, ona silnie się przed tym broniła, ale broniła nie świadomo” (na czym ta nieświadoma obrona polegała, nie podaje Autor — przyp. J.H.) (s. 351). „Archimandryta Witalij (rodem ze wsi Lipki na Wołyniu) prowadził na zewnątrz niby ukraińską narodową pracę, budował na polach beresteckich cerkiew, zebrał kości kozackie i pochował je w niej. Ale *niestety* (podkreślenie moje — J.H.), nikt z ukraińskiej inteligencji tym się nie zaciekał, ani mu pomógł. Przeciwnie, często w prasie wyśmiewano go. I tak bez żadnej pomocy, ojciec Witalij pracuje dalej i z polecenia swego arcybiskupa Antoniego wydaje rosyjskie narodowe pismo „Wołyńska Zemlja” oraz „Począjewskij Listok”, a sam należy wraz ze swoim arcybiskupem do konserwatywnego „Sojuza Russkago Naroda”... to właśnie Witalij pierwszy swoją *nieświadomą ręką* (podkreśle-

nie moje — J.H.) wciągnął św. Ioba do pracy politycznej, — bronić Sojuza Russkago Naroda z jego najciemniejszymi hasłami” (s. 353).

Autor przytacza fragment wspomnień arcybiskupa wołyńskiego Eulogiusza, który stwierdza:

„Przeznaczeniem drukarni było nie tyle szerzenie oświaty religijnej wśród ludu, ile polityczna walka „drukarzy” w duchu Sojuza Russkago Naroda — z wszystkimi tymi, którzy inaczej myślą. Na święta schodziły się do Ławry niezliczone gromady ludu, i z tego korzystali ‘misjonarze’ dla zacieklej agitacji politycznej... Archimandryta Witalij szerzył wśród pątników czarnosecinne ulotki” (s. 356).

po tym pisze:

„Arcybiskup Antoni Chrapowski i jego archimandryta Witalij Maksymko ciężko uderzyli w monaster, chociaż może i nieświadomie” (s. 357).

Podziwiać tylko należy „nieświadomość” i przychylność do wszystkiego co rosyjskie ze strony profesora ukraińskiego Iwana Ohijenki i zarazem Ilariona metropolity Greko Prawosławnej Cerkwi w Kanadzie.

Osobno omawia autor wielką manifestację w dniu 10 września 1933 roku, kiedy to na święto Ioba zjechało się mnóstwo ludzi do Poczajowa. Było wtedy ponad 15 do 20.000 pątników.

„Posłowie polonofile („bebeki”) zρέcznie przygotowali setki młodych chłopców, aby zmanifestować swój protest przeciw rusyfikacyjnej (w znaczeniu rosyjszczenia — przyp. J.H.) linii metropolity Dionizego... Zorganizowana młodzież jakoś podejrzenie (pidozrilo) przyjeżdżała z różnych stron...”.

Po opisanu całej tej demonstracji (nie mówi autor o głównym inicjatorze jej b. pośle, obecnie metropolicie Mścisławie Skrypnyku przyp. J.H.), dodaje:

„Można różnie myśleć o tej demonstracji antymoskiewskiej, ale 15-20.000 uczestników jej mówi o jej wadze” (s. 362).

Pisze dalej o skutkach tej demonstracji: arcybiskupem wołyńskim został Ukrainiec Aleksy Gromadzki, w Ławrze zaprzestano wygłaszać kazania w języku rosyjskim, arcybp Aleksy wprowadził język ukraiński na całym Wołyniu, oraz tenże język został językiem urzędowym jego konsystorza. Czyżby to wszystko bolało autora?

Stwierdzić należy bezstronnie i z całą świadomością, że Ławra Poczajowska po przywróceniu jej do prawosławia, nie tylko nie odgrywała żadnej dodatniej roli w ukraińskim życiu narodowym na Wołyniu, ale przeciwnie, była wielkim hamulcem w

rozwoju świadomości narodowej ukraińskiej ludności Wołynia. Ławra rosyjszczyła ludność i dopiero po przybyciu Strzelców Siczowych do Włodzimierza w 1916 roku, w tej okolicy zaczęło się szerzyć uświadomienie narodowe ukraińskie. Nie prawosławni więc działacze Ławry to robili, ale właśnie unicy Strzelcy Siczowi¹⁸. Widzimy to też i we wspomnieniach jednego z wójtów wołyńskich, który pisze:

„Wojna światowa wyzwoliła mnie z jarzma rosyjskości. Byłem tak przesycony literaturą w języku rosyjskim, że uważałem własną mowę ukraińską na Wołyniu i mowę polską, którą rzadko słyszałem, za nie posiadającą własnej literatury, jako że książek na wsi w tych językach nie można było zdobyć. Poza tym, mieszkający tu (w powiecie łuckim — przyp. J.H.) na wsiach Polacy rozmawiali po ukraińsku, a w szkołach uczyli się po rosyjsku. Jakież było moje zdziwienie, kiedy po przejściu granicy austriackiej (jako zmobilizowany żołnierz armii rosyjskiej — przyp. J.H.), podczas pierwszego noclegu w m. Chołojów, w miejscowej szkole otworzyłem szafę i pierwsza książka, jaka mi wpadła do rąk, była ukraińska czytanka. Radości mej nie było granic. Płakałem. Jak okazało się, w tej szafie wszystkie książki to były podręczniki szkolne w języku ukraińskim; nimi przyznam się, naładowałem swój polowy plecak. Wtedy dopiero zrozumiałem tę wielką pod względem oświaty wolność ludu zamieszkałego w państwie austriackim, gdzie nauka w szkołach była prowadzona w języku macierzystym”¹⁹.

O szerzeniu się ukraińskiego uświadomienia narodowego na Wołyniu dopiero po 1918 roku, znajdzie czytelnik wiele materiału w wydanych przez Instytut Badania Wołynia „Litopys’ Wołyni”²⁰.

Autor nigdzie nie wspomina o antyukraińskich ukazach rządu rosyjskiego, nawet o ukazie z 18/30 maja 1876, na skutek którego nie tylko nie wolno było drukować w języku ukraińskim w obrębie cesarstwa rosyjskiego, ale żandarmi zabraniali dziadom-lirnikom śpiewać na jarmarkach pieśni w języku ukraińskim i rozbijali im liry. Fakty te z pewnością znane są autorowi. Stawianie więc znaku równania między prawosławiem a narodem ukraińskim, oraz sławienie Ławry Pocajowskiej, jako będącej rzekomo w służbie narodu ukraińskiego, jest zupełnie nieuzasadnione. Wyznać muszę, że czytając omawianą książkę, nieraz zastanawiałem się, czy pisał ją Ukrainiec, czy też raczej „Małoros”.

Osobno i wcale szeroko opowiada autor o dziejach drukarni

18. *I zwidomlenie Uprawy Ukrainśkij Narodnoj Szkoły im. Szewczenka w Wołodymyri Wołyńskom za 1916/17 rik.* Wołodymyr Wołyński 1917 (drukowane we Lwowie).

19. *Życiorysy wiejskich działaczy Wołynia.* Słowo wstępne Zygmunt Hermaszewski. Warszawa 1938. Instytut Socjologii Wsi Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego s. 22-23.

20. *Litopys’ Wołyni*, zeszyty 1-4 Winnipeg Man. 1935-1958.

poczajowskiej, której poświęcił część VII książki (s. 299-326). Autor przedstawia dzieje drukarni zgodnie z faktami historycznymi, ale i tu musi dorzucić antypolskie poglądy. Nawet osobny podrozdział zatytułował: „Poczajowską drukarnię prowadzili bazylianie tylko dla agitacji unijnej, a nie dla narodowej oświaty” (s. 171-173). „Książek w języku polskim wydawali bazylianie w dużej bardzo ilości i przez to wnosili polonizację w ukraiński naród — mój spis ich (tj. poczajowskich — przyp. J.H.) polskich wydań przewyższa 50” (s. 325). Jest to niespełna jedna trzecia całej produkcji drukarni poczajowskiej do przejścia jej w ręce prawosławne.

Autor nie chce pamiętać, że język polski na wschodzie Europy był przez pewien czas niejako *lingua franca*, o czym pięknie i dobrze pisał swego czasu Borys Olchiw'skij: „carewicz Aleksy Aleksiejewicz witał posłów polskich przemówieniem w języku polskim... Łazarz Baranowicz (arcybiskup czernihowski — przyp. J.H.), wysyłając 1672 roku carowi swoje polskie poezje „Lutnię Apolinową” (wydaną w języku polskim w Kijowie 1671 — przyp. J.H.) pisał do niego: 'Wiem, że doradcy Waszego Carskiego Przeświatłego Wielicztwa tego języka nie unikają, czytają księgi i historie lackie z rozkoszą' ”²¹. Nawet „Paterik Peczerski” był drukowany w języku polskim w Kijowie. Ba, już o wiele wcześniej, jak to sam Autor stwierdza, język polski był w powszechnym użyciu, gdyż Ewa z Bereżec Domaszewska testament swój i ofiarę dla monasteru poczajowskiego pisze w języku polskim, co wiernie przedrukował autor (s. 48-49). Więc nie unici dopiero szerzyli język polski.

Na str. 323 daje autor podrozdział „Poczajowska drukarnia w rękach prawosławnych”. Czytamy tam

„Drukarnia rozrosła się bardzo, drukowała wiele książek z cerkiewnej historii Wołynia, a także „Wołyńskija Eparchialnija Wiedomosti”, które wychodziły od 1866 r. aż po roku 1915 trzy razy w miesiącu. W tych Eparchialnych Wiadomościach drukowano szereg cennych prac dla badania dziejów cerkwi Wołynia... Nareszcie w r. 1893 postanowiono założyć dobrą drukarnię, powstała taka w latach 1894-97 i zaczęła należycie pracować. Trochę później archimandryta Witalij Maksymenko rozbudował ją w nowoczesny sposób... Ale od czasu, gdy Poczajów z Wołyniem dostał się pod władzę Polski, stało się niemożliwe prowadzenie prawosławnej drukarni — i drukarnia musiała przestać istnieć”.

Od siebie zadam tu tylko autorowi dwa pytania: 1) czy drukarnia służyła narodowi ukraińskiemu, drukując po rosyjsku i w duchu „Sojuzu Russkago Naroda”, oraz 2) czy źle się stało

21. Olchiw'skij Borys: *Polsko-ukraińska księgarnia w Moskwie. „Wschód-Orient”*, Warszawa 1934. Rok V. Nr 4 s. 155.

że drukarnia ta przestała drukować wydawnictwa antyukraińskie i antypolskie? Na te pytania może autor sam sobie odpowie.

Z ważniejszych spraw omawianych w książce, poruszyć jeszcze muszę sprawę archiwum monasteru. Temu zagadnieniu nie poświęcił autor osobnego rozdziału, ale w różnych miejscach do tego zagadnienia powraca. Czytamy:

„Żadnych aktów o przejściu poczajowskiego monasteru na unię nie ma, — kiedy się to stało i jak się to stało, nie wiemy. Niewątpliwie (*bezumowno*), takie dokumenty były w monasterskim archiwum, ale ojcowie unicy-bazylianie, osiadłszy w tym monasterze, wiele starych i nowych aktów popalili...” (s. 11). „Poniszczyli oni i te dokumenty jakie pokazywały straszną prawdę (mowa o rachunkach z kwot podarowanych na budowę przez Mikołaja Potockiego — przyp. J.H.) (s. 135).

Mówi, że „prowokator ksiądz Jan Nawrocki” dostał się do Poczajowa jako niby nawrócony na prawosławie, a w rzeczywistości nasłany przez jezuitów, wykraść wiele dokumentów z archiwum poczajowskiego (s. 207-209). Wystarczą te przykłady. W rzeczywistości było inaczej. Aleksy Deruga stwierdza: „Piotr Wielki kazał schwycić biskupa (Dionizego Zabokrzyckiego — przyp. J.H.) i zawieźć go do Kijowa. Na wydanie przez Piotra W. podobnego zarządzenia wpłynął Józef Sajewicz były prawosławny ihumen poczajowski. W ostatnich latach XVII w. był on gorliwym obrońcą spraw biskupa-nominata łuckiego i z paru innymi ihumenami pisał, że „po społu (z Zabokrzyckim) prawosławia światoho nie odstąpić nigdy i zdrowiem naszym współ z nim pieczętować deklarujemy” (to po polsku pisane — więc przed przyjęciem bazylianów unickich — przyp. J.H.). Ale w r. 1702 sytuacja uległa gruntownej zmianie. Sajewicz nie chciał przyjąć unii i w r. 1704 korzystając z pojawienia się na Wołyniu kozaków Mazepy, wyemigrował na Ukrainę, *zabierając* (podkreślenie moje — J.H.) ze sobą kilku zakonników oraz dokumenty i kosztowności monasteru poczajowskiego. Przyjęty gościnnie w prawosławnej monarchii, uskarżał się na srogie prześladowania jakich doznaje błahocześnie od biskupa odstępcy (tj. Zabokrzyckiego — przyp. J.H.)²². Co do tych dokumentów oraz zajazdów, jakie na majątki monasteru dokonywali Polacy wedle autora rzekomo tylko dlatego, że był to monaster prawosławny, czytamy fakty: Mikołaj Szczesny Hulewicz (pasierb Dionizego, chorążyc czernihowski — przyp. J.H.) i Jerzy Zabokrzycki (bratanek biskupa — obaj prawosławni — przyp. J.H.) „w poszukiwaniu kompromitujących dokumentów, które by mogły stwierdzić 'zbrodnie' biskupa pozabierali *disposi-*

22. Deruga Aleksy, *Piotr Wielki a unia kościelna 1700-1711*. Wilno 1936, s. 183.

tiones ex archivi i poczęli ściągać wszelkie daniny z poddanych (i poczajowskiego monasteru, przyp. J.H.)²³. Przy aresztowaniu biskupa (17 czy 18 grudnia 1709 r.) Dionizego Zabokrzyckiego „...Żołnierze rosyjscy zabrali nie tylko wszelkie mienie ruchome, przedstawiające jakąkolwiek wartość, ale ponadto wszelkie dokumenty, rachunki i korespondencje dotyczące spraw diecezji”²⁴. Pierwszymi więc, którzy niszczyli archiwum poczajowskie byli właśnie prawosławni a nie unicy bazylianie, jak tego chce autor.

Zajazdy w dawnej Polsce były częste i autor chyba zna poemat Mickiewicza, jeśli nie w oryginale, to przynajmniej w świetnym tłumaczeniu ukraińskim Ryłskiego, i bodaj z tego poematu winien wiedzieć, że zajazdy na majątki sąsiadów były bez różnicy wyznania. Katolicy zajeżdżali równie dobrze majątki katolików, jak i prawosławni prawosławnych.

Po przeczytaniu omawianej książki, pokiwałem z melancholią głową gdyż:

1) spodziewałem się po uczonym profesorze Iwanie Ohience rzetelnej, bezstronnej pracy historycznej, a czytałem wielce stronniczą i w wielu miejscach niezgodną z faktami historycznymi;

2) spodziewałem się po arcybiskupie Ilarionie, że mimo krzywd wyrządzonych przez Polskę prawosławiu, okaże więcej miłości chrześcijańskiej, bodaj takiej jaką okazał w swym Liście Pasterskim z dnia 4 kwietnia 1944 r. w związku z rzezią na Wołyniu, Chełmszczyźnie i Hrubieszowszczyźnie, w którym to Liście nawoływał między innymi do „spokoju braterskiego, do wzajemnego zrozumienia i prawdziwej sąsiedzkiej zgody”... „Listem tym — pisał On szlachetnie — publicznie osądzam każdą rękę, która się podniesie na bezbronnego”. Sądzę, że List ten będą wdzięcznie Polacy pamiętali.

3) Nie spodziewałem się, by Metropolita Ukraińskiej Greko-Prawosławnej Cerkwi w Kanadzie pałał taką nienawiścią do Kościoła unickiego, którego wiernymi są prawie wyłącznie Ukraińcy.

Skit Poczajowskiej Ławry zamknęły władze sowieckie²⁵. Żałować wypada, że w tej chwili właśnie tego rodzaju monografię-pomnik wydał IDW (Instytut Dosłidiw Wołyni).

Odkładam książkę na półkę z przekonaniem, że w przeciwieństwie do innych tyczących Wołynia, nie prędko po nią sięgnę.

Jakub HOFFMAN

23. Deruga, o.c.s. 191.

24. Deruga, o.c.s. 200.

25. *Ukraińskie Prawosławne Słowo*, South Bound Brook N.J. 1961. Rok XII Nr 10, s. 11.

GŁOS NIEMIECKIEGO PRZYJACIELA

Zgodnie z przeszło stuletnią już tradycją pewne zagadnienia polskiej przeszłości są wprawdzie opracowane przez historyków niemieckich niż polskich. Żaden z polskich historyków nie pokusił się jeszcze o przedstawienie dwudziestolecia Polski republikańskiej, uczynił to już natomiast historyk niemiecki¹.

Od razu na okładce wyjaśnia czytelnikowi, iż stanowisko Polski wśród innych narodów europejskich jest zarówno „dominujące jak delikatne. Wśród plemion i narodów Europy środkowowschodniej Polska już przed pierwszą wojną światową była i czuła się „narodem historycznym”. Ta świadomość narodowa została szczególnie wzmocniona rozbiorami, jednymi z najbardziej ponurych rozdziałów polityki mocarstw europejskich.

Wstęp do zasadniczego tematu daje prawdziwy i wierny opis społeczeństwa w przededniu wojny światowej, podzielonego na partie i odłamy, barwnego i patriotycznego, marzącego o niepodległości, prowadzącego w swej elicie „bogate i wesołe życie pańskiej i liberalnej Polski osiemnastowiecznej” (str. 18).

Ujęcie lat 1916-1921 nie odbiega w swym ogólnym zarysie od wcześniejszych przedstawień polskich historyków². Autor nie ukrywa swej sympatii do polityki Piłsudskiego odbudowania imperium jagiellońskiego i swego żalu, iż mu to się nie udało. Ciekawą jest uwaga, iż powstająca 11 listopada 1918 roku polska republika była w rzeczywistości przedłużeniem polskiej monarchii, powołanej do życia aktem listopadowym. Co do tego byli zgodni zarówno regent Zdzisław Lubomirski jak i odbierający od niego władzę Józef Piłsudski (str. 48). Zjawiająca się niepodległość nie była zasługą żadnego poszczególnego człowieka,

1. Hans Roos: *Geschichte der polnischen Nation 1916-1960*. W Kohlhammer Verlag, Stuttgart 1961, str. 263.

2. H. Wereszycki: *Historia polityczna Polski w dobie powstaniowej 1864-1918*. Warszawa 1948. M. Kukiel: *Dzieje Polski Porozbiorowej 1795-1921*. London 1961.

ani Piłsudskiego ani Dmowskiego, ale rezultatem skomplikowanej gry różnych sił politycznych i wynikiem, przenikającego wszyskie obozy i ludzi, polskiego patriotyzmu.

Czynnikiem najbardziej jednoczącym były dzielnice zaborcze w pierwszym okresie, były partie polityczne. Najsilniejszą wśród nich okazała się narodowa demokracja, najsłabszą socjalistyczna. Uchwalona konstytucja oddawała właściwą władzę w państwie sejmowi a zasada proporcjonalności w wyborach sprzyjała powstawaniu małych i luźnie związanych z sobą grup politycznych. „Stale się zmieniające koalicje nie różniły się w zasadzie od konfederacji starej Polski” (str. 101). W końcu nawet Witos uznał pod koniec roku 1925 iż „nasza konstytucja poszła za daleko w swym liberalizmie”.

Zmieniające się ciągle rządy nie potrafiły, bo i nie mogły, zaradzić brakowi kapitałów tak bardzo potrzebnych do ustabilizowania waluty a następnie do uprzemysłowienia kraju. Istniejący zapas ziemi nie mógł rozwiązać przeludnienia wsi, ubóstwo kraju pogrążało masy chłopskie w coraz większą pauperyzację.

Było tragedią nie tylko Piłsudskiego ale i Polski, iż zamachu stanu w 1926 r. dokonał człowiek o nadwątłym już zdrowiu, starzejący się, humorzasty (*launenhaft*). Mimo, iż zaraz po walce głosił pojednanie, usunął jednak z wojska Władysława Sikorskiego, najwybitniejszego, obok siebie, polskiego dowódcę tych lat, oraz „kazał zamordować gen. Zagórskiego” (str. 115).

Rozpoczęła się wkrótce walka z opozycją. Brześć wykopał przepaść między Piłsudskim a społeczeństwem, czułym na bezprawie. „W ten sposób obniżył poczucie prawa, odsunął od siebie większą część narodu, zdany był odtąd tylko na swych oficerów i biurokratów” (str. 123). Następnie przyszła kolej na prawicę, o tyle niebezpieczną, iż cała młoda inteligencja, a nawet część BBWR zaczęła sobie przyswajając poglądy Dmowskiego. Rozwiązał Obóz Wielkiej Polski, a gdy ten odrodził się w Obozie Narodowo-Radykalnym rozwiązał i jego, stwarzając dla przywódców, za radą Goebbelsa, obóz koncentracyjny w Berezie Kartuskiej. „Te prześladowania podniosły wielce autorytet moralny schodzącego w podziemie konspiracji ONR” (str. 126).

Jedynie w polityce zagranicznej zachował Piłsudski jasność swego spojrzenia. Układ w Lokarno był pierwszym ostrzeżeniem, iż Polska nie może liczyć w zupełności na Francję. Gdy w 1933 r. ta ostatnia odrzuciła polską sugestię zbrojnej interwencji, rządowi warszawskiemu nie pozostało nic innego jak szukać odprężenia stosunków z Niemcami. Nastąpiło ono w 1934 r. przez podpisanie paktu o nieagresji. Gdy w dwa lata później Niemcy obsadziły Nadrenię Polska ponowiła swą gotowość pójścia razem z Francją; i tym razem spotkała się z bezczynnością Paryża. Beck szukał wyjścia z ciężkiej sytuacji przez utworzenie bloku państw śródziemnomorskich. Podstawą tego miała być ścisła współpraca z Węgrami i Słowacją z jednej strony, z państwami bałtyckimi z drugiej. Rozpad Czechosłowacji, do którego Beck „lekko pomógł”,

dał Polsce, dzięki odzyskaniu Zaolzia, znaczne wzmocnienie potencjału przemysłowego oraz wspólną granicę z Węgrami. Jednakże Hitler zarówno w basenie naddunajskim jak i nad Bałtykiem pokrzyżował plany polskiego ministra, nie dopuszczając do powstania żadnego bloku jakiejś „Trzeciej Europy”. Jednocześnie wysunął pod adresem Warszawy propozycję wspólnego marszu na Rosję. Polska odrzuciła tę propozycję. Odpowiedzią był układ niemiecko-rosyjski i wspólne uderzenie na Polskę. Zwycięstwo niemieckie było szybkie i całkowite; najważniejszą przyczyną klęski polskiej była bezczynność francuska mimo pięciokrotnej wtedy przewagi nad przeciwnikiem. Dzień 17 września, dzień wejścia wojsk rosyjskich, był rzeczywistym końcem Polski republikańskiej.

Okrucieństwo i brutalność okupacji rosyjskiej i niemieckiej są przedstawione bez próby ich łagodzenia. Niemieckie wyjaśnia Roos doktryną narodowo-socjalistyczną, która widziała na wschodzie Europy tylko podludzi, mających służyć wyższej rasie panów. Polakom nie zostało więc nic innego jak zbrojny opór, który znalazł swój wyraz w zorganizowaniu się Armii Krajowej. Jej duży rozwój przypisuje właśnie reakcji na okrucieństwa okupanta, nie kryjąc, iż ogólna nienawiść do niego została wywołana polityką wyniszczania zastosowaną na terenach zajętych. Nie bez podziwu jednak notuje, iż w tym ogromnym emocjonalnie napięciu antyniemieckim znaleźli się Polacy, którzy zaczęli ostrzegać rodaków, iż Rosja jest ponownie głównym wrogiem niepodległości, a nie głupio okrutne Niemcy. Narodowe Siły Zbrojne pozostały do końca, a nawet jeszcze po wojnie, ostoją wszelkich poczynań antyrosyjskich. Nie znalazły one jednak zrozumienia u AK i rozbić polskiego podziemia trwało przez cały okres wojny.

Oślabiony, do czego przyczyniły się walenie i akcje AK., front wschodni nie wytrzymał więcej naporu sowieckiego i nowy okupant wkraczał na ziemie polskie. Nie krył bynajmniej swej wrogości i swych zamiarów. Na przykład w Sandomierskim więcej wyniszczył on Polaków w ciągu pierwszego pół roku swej okupacji niż uczynili to Niemcy w ciągu całego okresu wojny. Obojętnie przyglądał się zgnieceniu Powstania Warszawskiego, odpłacał się w ten sposób stolicy polskiej za rok 1794. Na wiosnę 1945 r. cała Polska znalazła się w rękach rosyjskich; rozpaczliwy opór oddziałów NSZ i WiN nie zdołał już tego zmienić.

Książka zawiera wiele licznych i ciekawych spostrzeżeń i uwag dotyczących tego okresu, tak różnych od naświetleń polskich. Oto kilka z nich: Stosunek polsko-austriackich eksceleńcji jak Jaworski, Biliński czy Bobrzyński do litewskiego rewolucjonisty Piłsudskiego przed rokiem 1914 przypominał stosunek Cavoura do Garibaldi (str. 20). Zwycięstwo polskie w 1920 r. jeszcze raz podkreśliło nieświadomą wielkość decyzji z 9 listopada 1918 r., która uwolniła Piłsudskiego z Magdeburga i wysłała go do Warszawy, i która dzięki temu odwróciła siły polskie od

Niemiec, kierując je ku wschodowi. Bitwa nad Wisłą umożliwiła państwu bałtyckim zawarcie korzystnych układów pokojowych z Rosją, unicestwiła marsz czerwonej armii na zachód i prawdopodobnie skomunizowania Niemiec, przekreśliła plany Trockiego rewolucji światowej i dała rację bytu hasłu Stalina o socjalizmie tylko w jednym państwie. Sąd lorda d'Abernona, iż była to jedna z „18 decydujących w historii świata bitew” niewątpliwie się utrzyma, mimo iż dziewiętnaście lat potem Hitler zniszczył dzieło Piłsudskiego wpuszczając wojska sowieckie do centrum Europy (str. 88). Polska po pokoju ryskim była tylko prowizorium, które musiało albo się rozwinąć do Rzeczypospolitej jagiellońskiej albo zostać zredukowane do ciasnych granic etnograficznych (str. 99). Rządy BBWR były „nowymi rządami szlachty litewskiej w Polsce” (str. 118). Ze śmiercią Piłsudskiego zeszedł do grobu ostatni wielki władca epoki jagiellońskiej (str. 143). W wyniku decyzji jałtańskiej Polska zachowała jedynie 28% swego stanu posiadania z roku 1772, straciła do obszaru Polski królewskiej 470.000 m², równa się to obszarowi całych Niemiec sprzed drugiej wojny światowej (str. 211)³. Stosunki w Polsce po roku 1945 przypominają w swej treści okres pracy organicznej po klęsce styczniowej (str. 257).

Autor przyznaje, iż zarówno zwrócone Polsce Poznańskie i Pomorze jak przydzielona część Śląska zamieszkane były w większości przez Polaków, zaznacza jednak, czemu trudno się dziwić, lokalną nieraz większość niemiecką poszczególnych miejscowości. Podkreśla zresztą, iż traktat wersalski był dla Polski takim samym dyktatem jak dla Niemców i że Polacy mieli wszelkie dane by go tak przyjąć. Wspomina o niedosłej, przez wrogie stanowisko Czechów, ofercie węgierskiej z lata 1920 roku wysłania 30.000 szabel na pomoc Polsce.

Pomyłek czy przeoczeń jest niewiele. Brak wiadomości o spaleniu Kalisza w 1914 r., a jest to ważne gdyż czyn ten miał później wpływ na kształtowanie się stosunku Polaków do władz niemieckich. Niezręczne jest twierdzenie, iż historycy „uciekają się do przeszłości” (str. 245). Autor nie mógł podać, ze względu na charakter wydawnictwa, całego aparatu naukowego do swoich ciekawych i nowych stwierdzeń, ale powinien przytoczyć źródło: oświadczenie premiera Tomasza Arciszewskiego, iż Polska nie pragnie ani Wrocławia ani Szczecina; ukazało się ono w „Sunday Times” 17 grudnia 1944 roku. Straty ludnościowe nie były „nie znanym w takim zakresie wydarzeniem polskiej historii” (str. 259). Potop szwedzki zniszczył Polskę jeszcze bardziej niż ostatnia wojna, straciła ona wtedy przeszło 33% swej ludności. Autor oddałby historiografii polskiej znaczną przysługę, gdyby przy najbliższej okazji ogłosił całość zapisanej i posiadanej przez

3. Państwo Kazimierza Jagiellończyka miało 1.115.000 km.², Stefana Batorego 925.000 km.², Stanisława Augusta 733.000 km.², Polska republikańska 390.000 km.².

niego rozmowy Goebbelsa z polskimi ministrami, w której to wyniku Piłsudski zdecydował się na utworzenie obozu w Berezie.

Jedyną słabą stroną tego opracowania jest bibliografia, w książce przeznaczonej dla czytelnika niemieckiego tytuły polskie nie wiele mówią a brak kilku niezłych pozycji niemieckich⁴. Pożyteczną byłaby także mapa obrazująca historię granicy polsko-niemieckiej, wliczając w to i Austrię, w latach 1772-1945, nie zawadziłaby i druga przedstawiająca ludność polską w Niemczech przed pierwszą wojną światową⁵.

Na zakończenie jeszcze jeden problem: odpowiedzialność za drugą wojnę światową. Autor kilkakrotnie o tym wspominając, mówi zawsze o Hitlerze albo o „narodowo-socjalistycznym potworze” (np. str. 160-164, 290). Nie wydaje się to odpowiadać znanym obecnie faktom i dokumentom. Przyczyn jej należy szukać już w samym traktacie wersalskim, a następnie w decyzjach dyplomacji zachodniej lat 1919-1920. Pokój, podpisany w Wersalu, zastał Niemcy rozbrojone, ale z nienaruszonym potencjałem przemysłowym, z wycieńczonym sąsiadem na zachodzie i z rozpaczliwie walczącym o niepodległość sąsiadem wschodnim. Francuzi nie zdołali przeprowadzić swoich postulatów, które uważali za konieczne dla własnego bezpieczeństwa, a które bynajmniej nie zagrażały ani wynarodowieniem ludności niemieckiej, ani nie przewidywały jakichkolwiek ograniczeń ich życia narodowego. Premier brytyjski odrzucał po kolei wszystkie francuskie plany zabezpieczenia równowagi sił w dolinie Renu, w rezultacie Niemcy pozostały potencjalnie silniejsze od wykrwawionej Francji. Jeszcze korzystniej ułożyły się dla nich stosunki na wschodniej granicy. Nikt nie był zainteresowany w odbudowaniu silnej Polski. W pierwszych tygodniach swego niepodległego bytu otrzymała ona dwa silne ciosy, któreomal jej nie zniszczyły. Odmowa brytyjska przekazania jej Gdańska z największą w Europie fabryką karabinów, atak czeski na Zaolzie i stracenie jedyne go niespuszczonego okręgu przemysłowego⁶. Przebieg wojny polsko-rosyjskiej wykazał dobitnie, iż Polska była za słabą by odbudować równowagę sił w Europie wschodniej⁷: trudno odpowiedzieć

4. Georg Baron Manteuffel-Szoegge: *Geschichte des polnischen Volkes während seiner Unfreiheit 1772-1914*, Berlin 1950. Friedrich W. Oertzen: *Alles oder Nichts*, Breslau 1934. Paul Roth: *Deutschland und Polen*, München 1958. Dyskusja w *Historische Zeitschrift* 1959-1960.

5. Mapa taka znajduje się w: Franz Tetzner: *Die Slawen in Deutschland* 1902.

6. Dalszym osłabieniem Polski przez Czechów było unicestwienie dywizji syberyjskiej, a przy ówczesnym stanie sił na froncie polsko-rosyjskim jedna dywizja więcej była wzmocnieniem na wagę złota, oraz nieprzepuszczenie idącej na pomoc kawalerii węgierskiej. Należy dodać, iż premier brytyjski specjalnie naciskał na przyznanie Rusi zakarpackiej Czechom by w ten sposób uniemożliwić powstanie wspólnej granicy polsko-węgierskiej.

7. Premier brytyjski sprzeciwił się, by Polacy kupili 300.000 karabinów niemieckich, lub jakąkolwiek ilość od Austrii i Turcji. — *Documents on British Foreign Policy*, First Series, Volume XI, 1961, Nr 185,433.

jakby się potoczyły wypadki gdyby Polacy od momentu zawieszenia broni w listopadzie 1918 r., rozporządzali całym byłym zaborem pruskim, z Gdańskiem, Pomorzem, Warmią, Poznańskim, jak tego się domagali Francuzi i sprzeciwili Anglicy i gdyby przed walną rozprawą z Rosją mieli do swego rozporządzenia oba Śląski, pruski i cieszyński, jak tego chciała miejscowa ludność, a sprzeciwiały się państwa zachodnie: Francja w sprawie Zaolzia i Anglia w sprawie Śląska pruskiego. Na dłuższą metę stworzenie przez dyplomację angielską tak zwanego korytarza, okazało się zabójcze, Dmowski bezskutecznie starał się o niedopuszczenie do tego, i tym razem przeważyła jednak wola premiera brytyjskiego. Wystarczy pobieżna znajomość natury ludzkiej by zrozumieć, iż upokorzone i rozdrażnione, a nie osłabione Niemcy będą się starać o jak najszybsze przekreślenie pokoju wersalskiego. Niedopuszczenie przez dyplomację zachodnią do utworzenia na wschodzie Europy silnego państwa na wschód od Niemiec było zaproszeniem ich do podjęcia jeszcze jednej próby opanowania całego kontynentu. Wcześniej czy później rozjątrzone ale i najsilniejsze przemysłowo i najliczniejsze ilościowo mocarstwo musiało raz jeszcze rzucić wyzwanie narodom, które nie potrafiły odbudować w okresie 1918-1920 równowagi europejskiej. To że druga wojna światowa wybuchła 1 września było osobistą decyzją kanclerza Rzeszy, że mogło w ogóle do niej dojść ponosi odpowiedzialność ktoś inny; jeżeli musimy wymienić jedno tylko nazwisko, będzie ono brzmiało: Lloyd George.

Profesor Hans Roos należy do tej, mało znanej nawet Polakom, grupy Niemców, którzy pojawiają się w każdym niemal pokoleniu od roku 1772, a którzy nie kryją się ze swoim polonofilstwem. Nie tworzą oni ani ciągłości organizacyjnej ani najczęściej nie znają się osobiście, a więc nie tworzą żadnej tradycji przekazywanej następcom. Pojawiają się wśród swego społeczeństwa, głoszą więcej lub mniej umiejętnie potrzebę porozumienia polsko-niemieckiego i zanikają porwani biegiem głównego nurtu historii, który notuje gwałtowną wzajemną niechęć poczętą przez rozbiory⁸. Autor omawianej książki jest jednym z najwybitniejszych z tej niepowiązanej tradycji. Stosunki między naszymi narodami znajdują się w tej chwili na rozstaju, jeżeli jednak dojdzie, najpierw do znośnego ich ułożenia, a potem nawet do przyjaźni, będzie w tym duży wkład profesora Roosa.

Stanisław BÓBR-TYLINGO

8. Ciekawe, iż takiego nurtu polonofilskiego nie wytworzyła ani Austria ani Rosja.

S P I S T R E Ś C I

Piotr Wandycz:	
TRZY DOKUMENTY: PRZYCZYNEK DO ZA- GADNIENIA WOJNY PREWENCYJNEJ	7
Franciszek Kalinowski:	
NACZELNI WODZOWIE I LOTNICTWO	15
Tadeusz Nowacki:	
CZY MOGLIŚMY UNIKNĄĆ KLĘSKI WRZEŚ- NIOWEJ	46
Adam Uziembło:	
Z OKAZJI NIEDAWNEJ ROCZNICY	56

RELACJE I WSPOMNIENIA (*Okres Niepodległości*)

Tadeusz Święicki:	
JAK PROF. WŁADYSŁAW SMOLEŃSKI O MAŁO NIE ZOSTAŁ PREMIEREM	69
Wiktor Sukiennicki:	
„MADEMOISELLE” PIŁSUDSKIEGO	75
Jerzy Grobicki:	
DWA NIEDOSZŁE ZAMACHY	93

Walerian Mercik:

WSPOMNIENIE Z „WYPADKÓW MAJOWYCH” 103

Leon Orłowski:

PIERWSZE WIADOMOŚCI O WOJNIE 112

RELACJE I WSPOMNIENIA

(Okres wojny)

Michał Borwicz:

„INŻYNIEROWIE DUSZ” 121

Leon Mitkiewicz:

Z PARYSKIEJ „REGINY” DO LONDYŃSKIEGO
„RUBENSA” 164

Tadeusz Katelbach:

ŁOŻE 199

OMÓWIENIA

Jakub Hoffman:

DZIEJE ŁAWRY POCZAJOWSKIEJ 211

Stanisław Bóbr-Tylingo:

GŁOS NIEMIECKIEGO PRZYJACIELA 231

SERIA „DOKUMENTY”

- Nr 1 **O kulcie jednostki i jego następstwach** (1 F)
- Nr 2 **Przemówienie 1 Sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki na VIII Plenum 21.X.1956.**
(1 F)
- Nr 3 **Przyczyny rewolucji węgierskiej. Testament Haricha** (wyczerpane).
- Nr 4 **Warszawa-Kijów** (1 F)

W „BIBLIOTECIE KULTURY”

- Nr 5 **Program Związku Komunistów Jugosławii. Krytyka „Komunista”** (8 F)
- Nr 6 **Kultura Masowa** — Praca zbiorowa w opracowaniu Czesława Miłosza (6 F)
- Nr 7 **Wiktor Sukiennicki: Kolumbowy Błąd** — Szkice z historii, teorii i praktyki sowieckiego „komunizmu” (9 F)
- Nr 8 **Węgry.** — Praca zbiorowa w opr. i tłum. Czesława Miłosza (9 F)
- Nr 9 **Adam Ciołkosz: Róża Luksemburg a rewolucja rosyjska** (15 F)
- Nr 10 **Andrzej Stawar: Pisma ostatnie** (wyczerpane)
- Nr 11 **Sześć lat temu...** (Kulisy polskiego Października) (10 F)

A C H E V E D'IMPRIMER
LE 29 JANVIER 1963
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 1^{er} trim. 1963

**KSIĄŻKI HISTORYCZNE
W „BIBLIOTECE KULTURY”**

Józef Mackiewicz: Kontra (7 F)

**Paweł Zaremba: Historia Stanów Zjednoczonych
(18 F.)**

Tadeusz Katelbach: Rok złych wróżb (8 F)

Stanisław Kot: Jerzy Niemirycz (7 F)

Paweł Zaremba: Historia Polski, Tom I (20 F)

**Józef Czapski: Na nieludzkiej ziemi (Wydanie drugie)
(15 F)**

Bernard Singer: Od Witosza do Sławka (18 F)

Milovan Djilas: Rozmowy ze Stalinem (9 F)